

Valerio Massimo Manfredi

Urodził się w roku 1943, z wykształcenia jest filologiem klasycznym - specjalizuje się w topografii świata antycznego. Uczestniczył w wielu wyprawach archeologicznych, wykładał na uniwersytetach m.in. w Mediolanie, Chicago, Wenecji, Paryżu. Jest także publicystą i scenarzystą filmowym. Napisał kilkanaście powieści historycznych tłumaczonych na wiele języków, m.in. *Uoracolo* (1990), *La torre della solitudine* (1996), trylogie o Aleksandrze Wielkim (*Alexmdros*, J 998). Mieszka w swoim domu na wsi w regionie Modeny.

V. M. MANFREDIEGO

OSTATNI LEGION

IMPERIUM SMOKÓW

Valerio Massimo Manfredi

SPARTANIN

Część pierwsza

*Mój przyjacielu, co się ma stać z woli boga,
tego nie może odwrócić człowiek;-
bo nikt nie chce słuchać tych,
co mówią prawdę. (...)
A najdotkliwszym bólem
dla człowieka jest to, że choć wiele
rozumie, niczego nie może działać.
Herodot, „Dzieje” (IX, 16—17)*

TAJGETOS

Wielki Arystarchos spoglądał z sercem przepelnionym goryczą na swego synka Klejdemosa, który spał spokojnie w ogromnej ojcowskiej tarczy zastępującej mu kołyskę. Tuż obok, w zawieszanej u sufitu kolebce, leżał pogrążony we śnie jego starszy brat Brytos.

Nagle ciszę otaczającą stary dom Kleomenidów przerwał szum dębów z pobliskiego lasu. Długie, głębokie westchnienie wiatru.

Niezwyceżoną Spartę spowijał mrok nocy; jedynie płonący na akropolu ogień rzucał różowawy blask w kierunku przesłoniętego czarnymi chmurami nieba. Arystarchos, którym wstrząsnął dreszcz, rozwarł okno i rzucił okiem na pogrążoną we śnie i ciemnościach wieś.

Pomyślał, że skoro bogowie skryli księżyc i spuścili na ziemię zasłonę nocy, chmury na niebie zaś były pełne łez, nadszedł czas, by spełnił swój obowiązek.

Zdjąwszy z haka w ścianie płaszcz, zarzucił go sobie na ramiona, po czym pochylił się nad synkiem, podniósł go, przytulił powoli do piersi i oddalił się lekkim krokiem, podczas gdy śpiąca mamka chłopca przewracała się właśnie na drugi bok.

Arystarchos znieruchomiał na chwilę, żywiąc w głębi serca nadzieję, że coś pozwoli mu odwlec ów straszny czyn, który miał zaraz popełnić, usłyszawszy jednak ciężki oddech kobiety, zmusił się, by wyjść z izby i minąć prostaś, słabo oświetlony blaskiem glinianej lampki oliwnej. Znalazłszy się na dziedziń-

cu, poczuł silny poryw wiatru, który niemal zdmuchnął już i tak słaby płomyczek, kiedy zaś odwrócił się, by zamknąć ciężkie dębowe drzwi, ujrzał przed sobą swą żonę Ismenę, która z pobladłą twarzą i błyszczącymi, szeroko otwartymi oczami wyglądała jak jakieś nocne bóstwo.

Na jej licach malował się śmiertelny strach; zaciśnięte usta, przypominające krwawą ranę, zdawały się skrywać niehumaniczny ból.

Arystarchos poczuł, że krew ścina mu się w żyłach, silne zaś niczym filary nogi stają się miękkie, jakby były z trzciny.

— Nie dla siebie — powiedział urywanym szeptem. — Nie spłodziliśmy go dla siebie... Jeśli nie zrobię tego dziś w nocy, nigdy już nie znajdę w sobie dość siły...

Ismena wyciągnęła dłoń w kierunku zawiniątka, jednocześnie spoglądając mężowi prosto w oczy... W tej samej chwili chłopiec, który się właśnie przebudził, zaczął płakać, Arystarchos pobiegł więc czym prędzej przed siebie. Stojąca na progu Ismena spoglądała przez jakiś czas na uciekającego mężczyznę, wsłuchując się w słabnący płacz synka, małego Klejdemosa, któremu bogowie zadali cios, kiedy jeszcze nosiła go w swym łonie: jako że urodził się kaleką, zgodnie z niewzruszonym prawem Sparty został skazany na śmierć.

Zawarłszy drzwi, ruszyła powoli w głąb prostasu, zatrzymując się przed posągami bogów, którym składała hojne ofiary przez cały okres, gdy była brzemienna, i których błagała przez wiele miesięcy, aby tchnęli życie w tę sztywną stopkę, lecz wszystko na próżno.

Usiadła przy ogniu pośrodku ogromnej pozbawionej ozdób komnaty, kiedy zaś rozplotła czarne warkocze, włosy opadły jej na ramiona i piersi. Zebrawszy trochę popiołu u stóp trójnogu z gałęzi, posypała nim głowę. W drżącym świetle lampki oliwnej posągi bogów i kleomenidzkich bohaterów spoglądały na nią z nieruchomym uśmiechem wyrzeźbionym w drewnie cyprysowym. Ismena pomazała sobie włosy popiołem i podrapała twarz aż do krwi, jej serce zaś zamykało się w lodowatym imadle.

Tymczasem Arystarchos biegł przez wieś przyciskając ręce do piersi; na ramionach łopotał mu targany podmuchami Boreasza płaszcz.

Wspinał się po zboczu torując sobie drogę wśród krzaków jeżyn i leśnych zarośli, tymczasem w świetle błyskawic, które przecięły nagle niebo, poruszały się jakieś groźne kształty. W owej chwili największej goryczy bogowie Sparty znajdowali się daleko, teraz musiał więc posuwać się samotnie naprzód wśród ciemnych zjaw nocnych, wśród złośliwych leśnych stworów, które zastawiają pułapki na wędrowców i wydobywają koszmary z brzucha ziemi.

Znalazłszy ścieżkę na skraju gęstych zarośli, przystanął na moment zdyszany, by złapać oddech. Dziecko przestało kwilić; jego maleńkie członki poruszały się wewnątrz zawiniątka niczym u szczenięcia, które zaraz wrzucą do rzeki.

Wojownik spojrzął na niebo zasnute ogromnymi chmurami przybierającymi poszarpane, groźne kształty... Wyszep-tawszy przez zęby stare zakłęcie, ruszył stromą ścieżką, podczas gdy pierwsze krople deszczu uderzały o ziemię z głuchym plaśnięciem. Minał polanę, po czym znów zanurzył się w zaroślach. Nie mógł osłonić się dłońmi, toteż gałęzie i ciernie podrapały mu twarz. Tymczasem pod wpływem stale przybierającego na sile deszczu, który zaczął przenikać przez listowie, grunt stał się grząski i śliski. Arystarchos przewracał się co chwila upadając na kolana, był cały powalany błotem i zgniłymi liśćmi, a ostre kamienie wystające z ziemi na coraz bardziej stromej i wąskiej drodze podarły mu szaty. Dotarłszy ostatnim wysiłkiem woli do najbliższego szczytu, zagłębił się w dębowy zagajnik widniejący pośrodku polany, którą porastała gęsta i niska roślinność, same derenie, wrzośce i żarnowce.

Deszcz zamienił się w ulewę. Arystarchos z włosami przyklejonymi do czoła, w przemokniętym odzieniu, szedł powoli pewnym krokiem po miękkim, pachnącym mchu. Przystanąwszy przed wiekowym dębem o wydrążonym pniu, ukląkł wśród korzeni i położył zawiniątko we wgłębieniu. Przyglądał się przez chwilę synkowi, który machał wyciągniętymi spod derki rączkami, i przygryzając do krwi dolną wargę, czuł, jak woda cieknie mu po krzyżu strumieniami, usta wszakże miał wyschnięte, język zaś przypominał płat skóry przyklejony do podniebienia. Zrobił to, co powinien był zrobić, reszta znajdowała się w rękach bogów. Teraz był czas wracać, nadeszła chwila, by na zawsze stłu-

mić zew krwi i krzyk serca. Podniósł się powoli, jakby cały ból świata przygniatał mu pierś, po czym ruszył tam, skąd przybył.

Kiedy Arystarchos schodził po urwiskach Tajgetos, burza jęła przycichać. Z wnętrza gór wydostawała się lekka mgła, rozpraszając się wśród wiekowych pni, spowijając ociekające wodą zarośla, przesłaniając smugi na ścieżkach i polanach. Wiatr dął nadal, jego krótkie porywy strącały krople wody z gałęzi drzew. Wynurzywszy się wreszcie z lasu, Arystarchos przystanął na chwilę na równinie spoglądając na szczyty gór. Widział przed sobą skapaną w deszczu wieś i lśniące wody Eurotasu, połyskujące od zimnych promieni księżyca, który wychynał właśnie spomiędzy chmur. Kiedy już miał wejść na drewnianą kładkę łączącą brzegi rzeki, usłyszał jakiś hałas dochodzący z lewej strony. Odwróciwszy się gwałtownie, w bladym świetle księżyca zobaczył jeźdźca, który z głową osłoniętą hełmem pędził na zmokniętym, parującym od potu koniu. Na wypolerowanym pancerzu błysnął przez moment znak gwardii królewskiej. „Sparta... Spartajuz wie...” Uderzony pietami wierzchowiec stanął dęba, po czym odgłos galopu ucichł na wietrze, wśród pól.

— Krios! Krios! Na wszystkich bogów, zatrzymasz się wreszcie czy nie? Chodź tu, mówię do ciebie!

Mały kundel nie bacząc na nawoływania biegł truchtem wzdłuż ścieżki wzbijając fontanny wody z kałuż, stary pasterz zaś podążał za nim niepewnym krokiem, cały czas złorzecząc. Pies kierował się prosto ku olbrzymiemu dębowi, u którego stóp przystanął szczekając i machając ogonem.

— Niech cię licho porwie — gderał starzec — nigdy nie zostaniesz psem pasterskim... Co tym razem znalazłeś?... Pewnie jeżozwierza albo pisklę kosa. Nie, jeszcze za wcześnie na pisklętą kosa. Na Zeusa i Heraklesa, może to młode niedźwiedzie? Ajajaj! Zaraz przyjdzie niedźwiedzica i rozszarpie nas obu na strzępy!

Dogoniwszy psa, starzec schylił się, by go podnieść i zawrócić, nagle jednak stanął jak wryty, zgięty w pół.

— To nie jest młode niedźwiedzia, Krios — mruknął pieszczotliwie, głaszcząc psa — tylko ludzkie szczenię... Może ma z rok albo trochę więcej... Zobaczymy — dodał otwierając

zawiniątko. Kiedy jednak ujrzał, że maleństwo ledwo się porusza, skostniała z zimna, jego twarz spoważniała. — Porzucili cię — powiedział. — Pewnie jesteś dotknięty jakimś kalectwem, które nie pozwoliłoby ci zostać wojownikiem. I co teraz zrobimy, Krios? My też je porzucimy? Nie, nie, Krios, heloci nie porzucają dzieci... Zabierzemy je ze sobą — postanowił wyjmując tobolek z dziupli drzewa. — Zobaczysz, że się uratuje... Skoro jeszcze żyje, to znaczy, że jest silne. A teraz wracajmy, bo zostawiliśmy stado bez opieki.

Starzec ruszył w drogę, a za nim pies. Po chwili dotarł do gospodarstwa, zwierzę zaś pobiegło do stada, które pasło się nieopodal. Pchnąwszy drzwi do chaty, mężczyzna wszedł do środka.

— Spójrz, co znalazłem, córeczko — powiedział do niemłodej już kobiety, która robiła właśnie ser w ogromnym naczyniu. Podniósłszy pewnym ruchem płótno z twarogiem, zawiesiła je na wbitym w ścianę haku, po czym podeszła do starca, który położył zawiniątko na ławie i jął je ostrożnie rozwijać.

— Widzisz, znalazłem to przed chwilą w dziupli wielkiego dębu... To ani chybi jeden z nich. Pewnie pod osłoną ciemności i ulewy porzucili go dziś w nocy. Musi mieć jakąś wadę... Może to ta stopka... widzisz? Nie porusza nią. Wiesz, kiedy dzieci nie są idealnie zbudowane, rzucają je wilkom na pożarcie, przeklećci... Ale Krios go znalazł, a ja chcę go zatrzymać.

Kobieta bez słowa napelniła mlekiem rybi pęcherz, przewiązała go tworząc wypukłość, po czym przebiła szpilką i przystawiła do ust chłopca, który poczuwszy ciepło ciecicy, zaczął ssać zrazu powoli, potem zaś coraz łapczywiej.

— A nie mówiłem, że jest silny? — zawołał z zadowoleniem starzec. — Zrobimy z niego porządnego pasterza i dzięki temu pożyje dłużej, niż gdyby został między nimi. Czyż wielki Achilles nie powiedział do Odysa w piekle, że wolałby za parobka służyć na cudzej roli, niż tam panować nad wszystkimi, co znikli ze świata?

Kobieta spojrzała nań szarymi oczyma, w których czaił się smutek.

— Jeśli prawdą jest to, co mówisz — odrzekła — że bogowie zadali mu cios w stopę, on i tak na zawsze pozostanie Spar-

taninem; to syn i wnuk wojowników, nigdy nie będzie jednym z nas. Ale jeżeli chcesz, będę go karmić i wychowywać.

— Pewnie, że chcę, na Heraklesa! Jesteśmy biedni i los uczynił nas niewolnikami, ale możemy przynajmniej zwrócić mu życie, które zostało mu odebrane. Poza tym będzie nam pomagał w pracy. Stary już jestem, więc prawie wszystkie cięższe obowiązki spadły na ciebie. Pragnęłaś zaznać radości z posiadania dzieci, lecz straciłaś męża, nim zdążyłaś się znaleźć w błogosławionym stanie. To małeństwo cię potrzebuje i potrafi dać ci szczęście, które jest udziałem matek.

— Ale skoro ma chorą stopę — odrzekła kobieta potrząsając głową — może nigdy nie będzie mogło chodzić, a wtedy nasi panowie obarczą nas jeszcze jednym ciężarem... Czy właśnie tego chcesz?

— Na Heraklesa! Mały będzie chodził i będzie silniejszy i zwinniejszy od innych chłopców. Nie wiesz, że za sprawą nie-szczęścia muskuły mężczyzn stają się twardsze, wzrok się wyostroża, a umysł jest lotniejszy? Wiesz, co powinniśmy zrobić, córeczko? Ty dbaj o niego, żeby mu nie brakło świeżego mleka, a jeśli się uda, podbieraj panu miód tak, żeby się nie zorientował. Stary Kratyppos jest już bardziej zdzienniały ode mnie, a jego syn myśli i śni wyłącznie o udach swojej pięknej żony, którą może widywać tylko raz w tygodniu, kiedy pozwolą mu opuścić koszary. Nikt w rodzinie nie zajmuje się już uprawami ani stadami, więc nawet nie zauważają, że przybyła im jedna gęba do wykarmienia.

Kobieta chwyciła zatem koszyk, wymościła go jagnięcymi skórąmi i ułożywszy na nich niemowlę, które niemal natychmiast zasnęło zmęczone i najedzone do syta, okryła je wełnianą derką. Starzec popatrzył na nie przez chwilę z rozczuleniem, po czym odszedł do stada w towarzystwie psa, który zaczął podskakiwać wokół niego szczekając.

— Do owiec! Niech cię лихо, masz pilnować owiec, a nie mnie! Ty mały bezużyteczny kundlu... Czy ja jestem owcą? No chyba, że nie jestem owcą, tylko starym Krytolaosem... starym głupcem... właśnie tak... Precz, precz stąd, mówię! O, tak, dobry pies, przyprowadź no tu te zwierzaki, które leżą prosto w przepaść!... Ech, oszalała koza spisała by się lepiej!

Burcząc tak pod nosem starzec dotarł do skrajów łąki, na której pasło się stado. Przed jego oczami rozpościerał się wyraźnie widok doliny, którą ciągnęła się srebrzysta wstęga Eurotasu. Pośrodku zaś bieląło miasto: szereg niskich domów z małymi tarasami, nad którymi wznosiły się z jednej strony bryła akropolu, a z drugiej dachy świątyni Artemidy Ortia pokryte czerwoną dachówką; na prawo biegła zakurzona droga, niknąca w kierunku morza.

Starzec podziwiał w zadumie wspaniały krajobraz, którego wczesnowiosenne kolory skrzyły się i lśniły w przejrzystym powietrzu, sercem wszakże był gdzie indziej; jego umysł powędrował ku dawnym czasom, kiedy to jego naród, wtedy jeszcze wolny i potężny, zamieszkiwał żyzną równinę, ku czasom z opowieści przekazywanych przez przodków, kiedy to butni władcy nie zdążyli jeszcze podporządkować sobie tego dumnego i nieszczęsnego ludu. Pieszczotliwa morska bryza rozwiewała mu śnieżnobiałe włosy, jego wzrok zaś zdawał się szukać dalekich obrazów: umarłego miasta helotów na wzgórzu Itome, zaginionych grobów królewskich, zdeptanej dumy... Teraz bogowie zamieszkiwali pyszne miasto władców... Kiedy nadejdzie czas wolności i zemsty? Do jego uszu dobiegało jedynie beczenie owiec, odgłos poddaństwa. Powrócił myślami do dziecka, które wyrwał z rąk śmierci — z jakiej pochodziło rodziny? Kim była jego matka o kamiennym sercu, która pozwoliła je sobie odebrać? Kim był ojciec, który porzucił je na łaskę leśnych bestii?... Czy na tym właśnie polegała siła spartiatów? Czy litość, której uległ, była słabością niewolników, pokonanych?

„Może, pomyślał, każdemu narodowi, podobnie jak każdemu człowiekowi, bogowie wskazują jego los i każdy musi podążać wyznaczoną ścieżką, nie oglądając się za siebie... Być ludźmi, biednymi śmiertelnikami skazanymi na choroby, nieszczęścia, podobnie jak liście są skazane na wiatr... Ale także poznawać, osądzać, słuchać głosu serca bądź rozumu... Tak, mały kaleka stanie się mężczyzną, być może po to, by cierpieć, na pewno po to, by umrzeć, ale nie u progu życia...”

W tej samej chwili starzec poczuł, że odmienił przeznaczenie. Mały dorosł, on zaś nauczył go wszystkiego, co mężczyzna powinien wiedzieć, by kroczyć ścieżką życia, a nawet wię-

cej. Nauczy go wszystkiego, co mężczyzna powinien wiedzieć, by zmienić bieg losu, który został mu przeznaczony... Losu niewolnika... Imię, trzeba mu nadać jakieś imię. Z pewnością rodzice pomyśleli o imieniu dla niego — imieniu niszczyciela. Jakie imię może nadać niewolnik innemu niewolnikowi? Stare imię należące do jego ludu? Imię, które przypominałoby o dawnej dumie?... Nie, on nie należy do tego narodu, piętna krwi zaś nie da się zmyć, ale przecież nie jest również synem Sparty — miasto go bowiem odrzuciło. Przyszła mu do głowy jedna z wielu starych opowieści, o które często prosiły go dzieci podczas zimowych wieczorów: „...Dawno, dawno temu, kiedy herosi przechadzali się jeszcze po ziemskich drogach, bóg Hefajstos wykuł z brązu olbrzyma, który miał strzec skarbu bogów, ukrytego w głębokiej jaskini na wyspie Lemnos. Olbrzym poruszał się i chodził, jakby był żywy, ponieważ bóg wlał mu do ogromnego ciała cudowny płyn, który go ożywił. Żył, w której się ów płyn znajdował, zatkana była gwoździem, również wykonanym z brązu, umieszczonym w pięcie, aby nikt go nie zobaczył. Słaby punkt olbrzyma, który nosił imię Talos, tkwił więc w jego lewej stopie.”

Starzec przyśmknął oczy. „Imię powinno przypominać mu o jego nieszcześciu, a zarazem podsycać w nim siłę i gniew... Będzie miał na imię Talos.” Wstał wspierając się na wiklinowym kosturze, który zyskał gładkość od dotyku jego wielkich chropowatych dłoni, i wrócił do stada. Słońce zaczęło kryć się za morzem, z rozproszonych zaś po górach chat unosiły się cienkie smużki dymu — znak, że kobiety zabierały się właśnie do przygotowywania skromnej wieszery dla swych mężczyzn powracających z pola, nadszedł zatem czas, by przygonić stado. Kiedy starzec gwizdnął, pies zaczął biegać wokół owiec, które becząc zbiły się w gromadkę. Brykające po łące jagnięta przybiegły schronić się pod brzuchami matek, podczas gdy baran stanął na czele stada, by zaprowadzić je do zagrody. Zamknąwszy zwierzęta i oddzieliwszy samce od samic, Krytolaos przystąpił do dojenia zbierając parujące mleko do dzbana. Po czym nabrał odrobinę do czarki, którą zaniósł do chaty.

— Oto świeże mleko dla naszego małego Talosa — powiedział wchodząc.

— Talosa? — powtórzyła ze zdziwieniem kobieta.

— Tak, Talos to imię, które dla niego wybrałem. Tak postanowiłem i tak będzie. Ale jak on się czuje? Daj popatrzeć... O, zdaje się, że miewamy się o wiele lepiej, prawda?

— Przespał większą część dnia i niedawno się obudził; musiał być wycieńczony, biedactwo, pewnie płakał, dopóki mu tchu starczyło, a teraz nie może wydobyć z siebie głosu... Chyba że jest także niemową.

— Gdzie tam niemową! Bogowie nigdy nie uderzają jednego człowieka dwoma kijami... Przynajmniej tak powiadają.

W tej samej chwili maleństwo wydało z siebie jęk.

— Widzisz? Wcale nie jest niemową, co więcej, jestem pewien, że nie raz będziemy się zrywać w nocy z powodu wrzasków tego pisklęcia. — Mówiąc to podszedł do wiklinowego kosza, w którym leżało niemowlę, i wyciągnął dłoń, by je pogłaskać, malec zaś natychmiast uchwycił mocno gruzłowaty palec wskazujący pasterza, ściskając go z całej siły. — Na Heraklesa! Nogi mamy słabe, ale ręce silne, co? Dobrze, dobrze, trzymaj mocno, mały! Nie wypuszczaj z rąk tego, co twoje, a nikt nie zdoła ci tego odebrać...

Promienie zachodzącego słońca przenikały przez szpary w drzwiach, kładąc się złotym blaskiem na siwych włosach starca, na skórze niemowlęcia, która przybierała barwę bursztynu i alabastru, i na skromnych sprzętach poczerniałych od dymu. Krytolaos usiadł na ławie, po czym położywszy sobie dziecko na kolanach, wziął ze stołu kawałek czarnego chleba i sera i zabrał się do spożywania wieczerzy. Z zagrody dobiegało beczenie jagniąt, ze skraju polany głębokie tchnienie lasu, rozdzierający śpiew słowika.

Nadeszła chwila, kiedy cienie zaczynają się wydłużać, chwila, kiedy to bogowie zdejmują ludziom z ramion ciężar smutku zsyłając na nich z purpurowych obłoków sen, który wszystko koi i uśmierza... Jednakże tam, na równinie, na wspaniałym domu Kleomenidów padał już ostry, zimny cień przerażającej góry. Z leśnych wierchołków spływały ku dolinie niepokój i żal. Dumna żona Arystarchosa leżała w małżeńskim łóżu wpatrując się osłupiałym wzrokiem w belki na suficie, w jej skamieniałym sercu rozlegało się wycie wilków z Tajgetos, w uszach zaś

rozbrzmiewało głuche zgrzytanie żelaznych szczęk... Ich żółte ślepie świeciły w ciemności. Nie zdołały jej uspokoić ani potężne ramiona męża, ani jego szeroka pierś, ani słodki płacz, który uwalnia serce od smutku...

Talos prowadził stado wzdłuż ukwieconych brzegów Eurotasu, z trudem stawiając słabą nogę i wspierając się na wiklinowym kosturku. Wokół niego rozciągało się morze maków, które falowały pod dotknięciem lekkiego wiatru, w powietrzu zaś unosiła się ostra woń rozmarynu i tymianku. Kiedy mokry od potu chłopiec przystanął, by ochłodzić się w rzece, zmęczone upałem owce legły jedna po drugiej pod wiązem, którego spalone słońcem gałęzie dawały trochę cienia. Obok niego przycupnął pies, który tak długo machał ogonem popiskując cicho, aż mały pasterz pogłaskał jego najeżoną ostem i łubinem sierść, następnie przysunawszy się bliżej swego pana, jął lizać powoli jego chorą stopę, jakby wylizywał krwawiącą ranę. Chłopiec przyglądał się zwierzęciu szeroko otwartymi spokojnymi oczyma, od czasu do czasu przeczesując palcami jego gęste futro na grzbiecie, kiedy jednak skierował wzrok daleko, ku miastu, nagle sposepniał. W drżącym od gorąca powietrzu, przy wtórze ogłuszającego cykania świerszczy, znad równiny wynurzał się niczym niespokojna zjawia spieczony przez słońce akropol.

Wyjawszy z przewieszzonej przez ramię sakwy trzciniowy aulos подарowany mu przez Krytolaosa, Talos zaczął grać; wśród polnych maków rozbrzmiała lekka i świeża melodia, mieszając się z pluskiem rzeki i śpiewem skowronków, których całe chmary otoczyły go wzbijając się do lotu ku ognistej kuli, po czym opadły jak porażone na ściernisko i pożółkłą trawę. Nagle dźwięk aulosa stał się ostry niczym odgłos tryskającego z ciemnej jaskini, z głębi górskich trzewi strumyka. Dusza małego pasterza wibrowała mocno wraz z muzyką płynącą z instrumentu. Od czasu do czasu chłopiec odkładał aulos i spoglądał w górę, w kierunku zakurzonej drogi, która wiodła z północy, jakby na coś czekał.

— Wczoraj widziałem pasterzy z wysokich gór — oznajmił mu rano starzec. — Powiadają, że wojownicy wracają, a wraz z nimi wielu naszych, którzy służą w wojsku jako tragarze i poganiacze mułów.

Talos zaś pragnął ich zobaczyć; po raz pierwszy zszedł wraz ze stadem z gór aż na równinę, aby popatrzeć na wojowników, o których tyle słyszał... Ze złością, z pogardą, z podziwem, ze strachem...

Nagle Krios podniósł łeb i zaczął wachać powietrze, które stało się niemal zupełnie nieruchome, po czym głucho warknął.

— Co się dzieje, Krios? — zapytał pasterczyk podrywając się z brzegu. — Dobry pies, dobry, nic się nie stało — dodał usiłując uspokoić skulone zwierzę.

Chłopiec wyteżył słuch, po chwili zaś wydało mu się, że słyszy w oddali dźwięk aulosów, jakże jednak różny od tego, który wydawał jego własny instrument. Odgłosowi aulosów towarzyszyło rytmiczne, przenikliwe walenie przypominające uderzenia pioruna, które cichną oddalając się ku morzu. Po pewnym czasie do uszu Talosa dobiegł wyraźnie tupot wielu kroków, jak wtedy, gdy przechodzili tędy pasterze z Mesenii ze stadami wołów, i nagle ujrzał, jak wyłaniają się zza wzgórze, które miał po swej lewej stronie — to byli oni, wojownicy!

Ich wspaniałe sylwetki rysowały się niewyraźnie w lekkiej południowej mgle. Dźwięki, które słyszał na początku, wydawała grupa mężczyzn krocząca na czele kolumny, grając na aulosach i wtórując sobie rytmicznym, metalicznym waleniem w bębny.

Była to dziwna muzyka: jednostajna, natrętna, składająca się z ostrych, wibrujących dźwięków, budziła wszakże w chłopcu nieznane pragnienie, podniecenie, jakiego nigdy dotąd nie zaznał, lecz które przyprawiało go o silne bicie serca. Za nimi podążali hoplici w nagolenicach z brązu, w pancerzach na piersiach, każdy z głową osłoniętą hełmem, przy czym hełmy wodzów ozdobione były czarnymi i czerwonymi grzebieniami; na prawym ramieniu każdy z nich niósł okrągłą tarczę z wyrytymi na niej wizerunkami baśniowych zwierząt i potworów, o których opowiadał mu Krytolaos. Kolumna posuwała się rytmicznym krokiem, wzbijając na drodze gęste tumany kurzu, który osiadał na grzebieniach i sztandarach, na przygarbionych ramionach wojowników.

Kiedy pierwsi z nich znaleźli się blisko niego, niespodziewanie ogarnął go strach i zapragnął uciec, jakaś tajemni-

cza siła pochodząca z głębi serca nie pozwoliła mu się wszakże ruszyć z miejsca. Mijający go żołnierze znajdowali się tak blisko, że gdyby wyciągnął rękę, mógłby dotknąć włóczni, na których wspierali się podczas marszu. Zaglądał im po kolei w twarze, aby zobaczyć, aby poznać, aby zrozumieć to, co mu o nich opowiadano. Ujrzał wytrzeszczone, płonące od potu oczy ukryte za groteskowymi maskami hełmów, oślepienie słonecznym żarem, ujrzał brudne od kurzu brody, poczuł w nozdrzach kwaśny, przenikliwy odór potu i krwi. Wojownicy mieli rany na plecach i ramionach, na ich dłoniach zaś, na lśniących od potu udach i ostrzach włóczni widniały poczerńnięte skrzepy; maszerowali nie zwracając uwagi na muchy, które przysiadły chciwie na ich obolałych ciałach. Rozdziawiwszy usta, jakby nie był sobą, Talos pożerał wzrokiem ich sylwetki mijające go w niekończącym się szeregu, w rytm owej muzyki, która stawiała się coraz bardziej odległą i nierzeczywista, niczym w nocnym koszmarze.

Poczuwszy nagle czyjaś natarczywą, wyjątkową obecność, otrząsnął się, obejrzał za siebie i zobaczył szeroką pierś osłoniętą pancierzem ozdobionym postaciami z legend, owłosione ramiona, pokryte bliznami niczym pnie wiecznie zielonych dębów, na których niedźwiedzie ostrzą sobie pazury, posępną twarz okoloną kruczoczną brodą, na której widniały pierwsze siwe włosy, żelazną dłoń zaciśniętą na rękojeści włóczni wykonanej z jesionowego drewna... i dwoje czarnych jak noc oczu, świadczących o potężnej sile woli, w których czaił się ogromny ból.

— Pilnuj psa, chłopcze, jeśli nie chcesz, żeby ostrze włóczni przebiło mu kości! Żołnierze są wyczerpani i rozdrażnieni. Zawołaj go i idź stąd, to nie miejsce dla ciebie.

Talos otrząsnął się otepiały, jakby zbudzony ze snu, po czym przywołał psa, oddalił się wspierając na kosturku. Po kilku krokach wszakże przystanął i odwrócił głowę: wojownik zastępnął w bezruchu z osłupiałą miną, spoglądając nań z dzikim, tęnym bólem; jego błyszczące oczy wpatrywały się w chromą stopę. Przygryzł dolną wargę, całym zaś jego ciałem wstrząsnął dreszcz, spiżowe uda drżały niczym osika. Trwało to zaledwie chwilę, po czym mężczyzna zakrył głowę ogromnym hełmem ozdobionym

grzebieniami, zarzucił na ramię tarczę z wizerunkiem smoka i dołączył do kolumny, która znikła już za zakrętem. Potworne napięcie, które nie dawało mu spokoju aż do tej chwili, zelżało, Talos zaś poczuł wzbierający w sercu strumień gorących łez, które napęłniły mu oczy i spłynęły po policzkach aż na kościstą, wątlą pierś! Jednocześnie z wiodącej ze wzgórze ścieżki dobiegło drżące, pełne niepokoju wołanie — to stary Krytolaos przyzywał go podążając ku niemu tak szybko, jak pozwalały mu na to podeszły wiek i słabe nogi.

— Talosie, synku! — powiedział niespokojnie starzec tułac chłopca. — Dlaczego to zrobiłeś, dlaczego tu przyszedłeś? Nie wiesz, że to nie miejsce dla ciebie? Nie wolno ci tu więcej przychodzić, musisz mi to obiecać: nigdy więcej.

Obaj ruszyli ścieżką, tymczasem pies zaganiał owce popychając je w stronę szczytu. Daleko w dole długa kolumna przypominająca węża, który pośpiesznie chowa się w gnieździe, wkraczała właśnie do miasta.

Tej nocy Talos długo przewracał się na pościeli, ciągle mając przed oczami to uporczywe, przepęłnione bólem spojrzenie, ten tajemniczy smutek, dłoń zaciśniętą na włączni, jakby zamierzała ją zmiażdżyć... Kim był ów wojownik ze smokiem na tarczy? Dlaczego patrzył na niego w taki sposób?...

W uszach nadal rozbrzmiewała mu osobliwa muzyka, która wzbudziła w jego sercu tak silne wzruszenie. W końcu powieki zrobiły się ciężkie, oczy wojownika odpłynęły w ciemność, muzyka stała się powolna, a potem łagodna niczym kobiecy śpiew, dopóty pieszcząc jego zmęczone ciało, dopóki nie zmorzył go sen.

ŁUK KRYTOLAOSA

— Uważaj, chłopcze — powiedział starzec wpatrując się w niego przenikliwym wzrokiem. — Dobrze wiesz, że jeśli ptak złamie sobie skrzydło, nie może już latać. — Talos słuchał jego głosu siedząc obok Kriosa. — Ale z ludźmi jest inaczej; ty jesteś wystarczająco zwinny i szybki, mimo że masz chromą stopę. Ale ja chcę, żebyś nabrał jeszcze więcej sił i pewności siebie, żebyś przewyższył innych chłopców; kij, który ściskasz w dłoni, powinien być dla ciebie niczym trzecia noga i ja cię nauczę, jak się nim posługiwać. Chociaż to ci się wyda dziwne, do nauki będziesz musiał użyć całej siły woli. Nie wystarczy, żebyś się na nim opierał przy chodzeniu, jak to robiłeś do tej pory. Kij stanie się osią, wokół której będzie się obracało twoje ciało i to na rozmaite sposoby; w zależności od potrzeby będziesz wspierał na nim jedno lub obydwie ramiona.

— Dlaczego mi to mówisz, Krytolaosie? Przecież poruszam się bez trudu; chodzę szybkim krokiem, potrafię dogonić jagnięta, które oddalają się od stada, a w marszu po wysokich pastwiskach jestem bardziej wytrzymały niż Krios, chociaż on ma cztery łapy!

— To prawda, chłopcze, ale widzę, że twoje ciało sztywnieje jak świeże drewno pozostawione na słońcu. — Talos spochmurniał słysząc te słowa. — A ja tego nie chcę. Jeśli do tego dopuścimy, twoje ruchy będą coraz mniej pewne, kiedy zaś kości staną się twarde i sztywne, nie będziesz już mógł polegać na własnych siłach... Talosie — ciągnął starzec — twoja stopa

uległa uszkodzeniu, kiedy położna wyjmowała cię z łona matki. Twój ojciec Hylas, raniony w górach przez niedźwiedzia, skonał na moich ramionach, ale zanim zamknął oczy, obiecałem mu, że zrobię z ciebie mężczyznę... Oczywiście można uznać, że mi się to udało, bo odznaczasz się hartem ducha, lotnym umysłem i szlachetnym sercem, aleja chcę, żebyś stał się silny, bardzo silny i tak zwinny, aby nie było dla ciebie rzeczy niemożliwych.

Starzec zamilkł na chwilę i przymknął oczy, jakby szukał słów w głębi serca, po czym położywszy dłoń na ramieniu chłopca, mówił powoli:

— Talosie, odpowiedz szczerze... Wróciłeś na dół, żeby popatrzeć na żołnierzy mimo mojego zakazu? — Chłopiec spuścił wzrok. — Rozumiem — ciągnął starzec. — A więc wróciłeś. Spodziewałem się tego i zdaje się, że nawet wiem dlaczego.

— Skoro tak — przerwał mu chłopiec urażony — powiedz mi, boja nie wiem.

— Wróciłeś, bo oczarowała cię ich siła i potęga... Może w głębi serca nie jesteś zwykłym pasterzem...

— Żartujesz sobie ze mnie, Krytolaosie? A kim my możemy być, jeśli nie niewolnikami albo pastuchami?

— To nieprawda! — zawołał niespodziewanie starzec, w którego oczach zalśnił na chwilę błysk jakiejś dumnej i szlachetnej siły. Jego dłoń, niczym pazury starego lwa, zacisnęła się na przegubie chłopca, który przyglądał mu się oniemiały. Krytolaos powoli cofnął rękę, po czym spuścił wzrok i głowę jak ktoś, kto musiał się nauczyć posłuszeństwa. — To nieprawda — podjął spokojniejszym tonem — nasz naród nie zawsze pozostawał w niewoli; były czasy, kiedy posiadał w swoim władaniu góry i doliny ciągnące się aż do zachodniego morza i rządził równiną aż do przylądka Tenaros hodując stada ognistych rumałów; Nestor i Antyloch, władcy Pylos i Itome, walczyli u boku Agamemnona pod murami Troi. Kiedy Dorowie najechali na tę ziemię, nasz naród opierał się z rozpaczliwą odwagą, nim się w końcu poddał... W naszych żyłach płynie krew wojowników: królów Aristomenesa i Aristodemosy...

— Oni nie żyją! — wybuchnął chłopiec. — Nie żyją! A wraz z nimi umarli wszyscy ci wojownicy, o których opowiadasz. A my na zawsze pozostaniemy niewolnikami, rozumiesz?

Niewolnikami! — Krytolaos wpatrywał się weń z osłupiałą i zboląłą miną. — Niewolnikami... — powtórzył Talos ścisząc głos zmieszany. — Sługami.

Chwycił za rękę starca, który milczał zakłopotany.

— Ile lat temu wydarzyło się to, o czym mówisz? — zapytał. — Chwała twoich królów poszła w zapomnienie... Wiem, co myślisz, wiem, że moje słowa cię dziwią, bo zawsze słuchałem twoich opowieści z otwartymi ustami... To bardzo piękne opowieści. Ale ja już nie jestem dzieckiem, a twoje marzenia sprawiają mi ból...

Między nimi zaległa długa cisza, przerywana jedynie pobekiwaniem owiec w zagrodzie. Kiedy zapadł zmierzch, starzec wstał nadstawiając uszu.

— Co się dzieje? — zapytał Talos.

— Słyszysz? To wilki. Wyły tak samo tamtej nocy, gdy... przyszedłeś na świat. A przecież jeszcze nie czas na gody.

— Już prawie ciemno — stwierdził Talos. — Wracajmy.

— Nie, niekiedy bogowie dają nam znaki. Najwyższa pora, żebyś się dowiedział. Przynieś z domu mój płaszcz i pochodnię i chodź za mną.

Krytolaos oddalił się w kierunku ciemnego lasu, rosnącego na skraju polany. Następnie ruszył krętą ścieżką między drzewami, za nim zaś podążał milczący, pogrążony w myślach chłopiec. Po blisko godzinnym marszu, podczas którego nie zamienili ze sobą ani słowa, doszli do skalnego występu porośniętego gęstym mchem. U jego stóp znajdował się stos kamieni, które wyglądały tak, jakby dawno temu osypały się z pobliskiego szczytu.

— Odsuń te kamienie — nakazał Krytolaos. — Ja nie jestem w stanie tego zrobić.

Talos spełnił polecenie umierając z ciekawości i niecierpliwości, by się dowiedzieć, jakąż to tajemnicę chce mu wyjawić stary. Ochoczo zabrał się więc do pracy, chociaż sprawiała mu ona trudności. Pokryte zielonkawą mazią z wodorostów i mchu kamienie wyślizgiwały mu się z rąk, chłopiec pracował wszakże bez wytchnienia, aż w świetle pochodni, którą starzec trzymał w dłoni, ukazała się wydrążona u stóp skały jama. Kiedy Talos skończył odgarniać kamienie, ujrzał wyraźnie prowadzący do

podziemi korytarz, w głębi zaś można było dostrzec słabo wykute schody pokryte szarawym nalotem.

— Wejźdźmy do środka — powiedział Krytolaos schylając się ku korytarzowi. — Pomóż mi — dodał po chwili — nie zamierzam połamąć nóg na tym wąskim chodniku.

Talos zszedł pierwszy, po czym podał rękę Krytolaosowi, który ruszył za nim wspierając się na jego ramieniu, by się nie pośliznąć. Pokonawszy prymitywne schody wykute w skale, obaj trafili wkrótce do niewielkiej jaskini. Ze znajdującego się prawie tuż nad ich głowami sklepienia w wielu miejscach kapłała woda. Pieczara wydawała się pusta, dopóki Rrytolaos nie oświetlił pochodnią jednego z zakamarków, z którego wyłoniła się ogromna drewniana, inkrustowana skrzynia wzmocniona okuciami z brązu. Całe wieko wzdłuż krawędzi zalane było smołą. Starzec odsunął rygiel, po czym czubkiem noża zeszkrobał smołę.

— Otwórz — polecił Talosowi, który przyglądał się jego czynnościom w osłupieniu.

— Co jest w tej skrzyni? — zapytał chłopiec. — Może jakiś skarb, który ukrywałeś aż do tej pory?

— Nie, Talosie, nie ma tam żadnych bogactw, są za to rzeczy o wiele dla mnie cenniejsze niż złoto i srebro; otwórz, a sam się przekonasz.

Chłopiec wyciągnął rękę.

— Podaj mi nóż — powiedział.

Wziąwszy od starca nóż, Talos począł się mocować z wiekiem, które jęło z trudem odchodzić od krawędzi, jakby było do niej przyklejone. Kiedy nóż zdołał przejść wzdłuż całej szpary, chłopiec wstał rzuciwszy krótkie spojrzenie na swego towarzysza, który odpowiedział mu potakującym skinieniem głowy, uniósł z wysiłkiem wieko opierając je o ścianę jaskini, po czym wziął z rąk Krytolaosa pochodnię i oświetlił wnętrze skrzyni.

Jego oczom ukazało się coś, co zaparło mu dech w piersiach: w skrzyni znajdował się wspaniały hełm z brązu ozdobiony zatopionymi w metalu wilczymi kłami, ciężki pancerz, również z brązu, ozdobiony cyną i srebrem, zamknięty w pochwie miecz z jantarowym jelcem, a do tego osłony na uda i nagolenice z wy-

klepanym reliefem oraz wielka tarcza z łbem wilka, wszystko zaś zachowane w doskonałym stanie.

— Nie do wiary — powiedział Talos nie mając jeszcze odwagi sięgnąć po te cuda. — Jak to możliwe... Przecież ta skrzynia jest zamknięta od niepamiętnych czasów, a zbroja nienaruszona.

— Przyjrzyj się uważniej... Dotknij — odparł starzec.

Chłopiec wyciągnął rękę, by dotknąć wspaniałej zbroi.

— Tłuste — szepnął — pokryte łojem... Czy to twoja służba, starcze?

— Tak, moja i wielu innych przede mną... Nawet ten worek został nim nasączony, zanim zamknięto go po raz ostatni... Zajrzyj do środka — polecił starzec wskazując ciemne zawiąniętko, którego olśniony przepiękną zbroją Talos w ogóle nie zauważył.

Chłopiec wyciągnął dłonie, by otworzyć pognieciony szorstki worek, po czym wydobyl zeń olbrzymi łuk całkowicie pokryty grubą warstwą baraniego łaju.

— Znakomicie — powiedział Krytolaos zdejmując powoli tłuszcz grzbietem noża. — Znakomicie... Zachował się w doskonałym stanie; we wprawnych rękach może znów uderzyć... — Jego oczy lśniły pod opuszczonymi powiekami. — We wprawnych rękach — powtórzył spoglądając na chłopca z niespodziewanym błyskiem determinacji w oku — w twoich rękach, Talosie!

Chwyciwszy ogromny łuk chudą, kościstą dłonią poznaczoną błękitnymi żyłkami, podał go chłopcu, który wpatrywał się weń nie śmiać dotknąć.

— Weź go, synu, jest twój.

Talos otrząsnął się z zadumy i chwycił w ręce nieziemską broń. Była wykonana z gładkiego, lśniącego rogu; jedynie majdan otoczony został cienką srebrną blaszką, na której również wyklepano łeb wilka. Głęboki rowek po lewej stronie wskazywał, że z łuku tego wypuszczono mnóstwo strzał i to z ogromną siłą. Talosa ogarnęło niepohamowane wzruszenie; w jego głowie kłębiły się tysiące myśli. Ów stary i przerażający przedmiot zdawał się emanować jakimiś osobliwymi prądami, które przenikały jego ciało wprawiając je w drżenie niczym trzcinę.

— Do kogo należy ten łuk, Krytolaosie? Do kogo należy ta broń?... Nigdy nie widziałem niczego podobnego, nawet tamci żołnierze na dole takich nie mieli. Ten łuk nie jest drewniany...

— Rzeczywiście, jest zrobiony z rogu.

— Ale przecież nie ma zwierząt o takich długich rogach...

— To prawda, Talosie, nie ma, przynajmniej w naszym kraju. Zwierzę, z którego pochodzą, biegło po równinach Azji dziesięć pokoleń wstecz. Ten łuk jest darem od władcy tamtejszych ziem...

— Do kogo, do kogo należał?

Starzec przybrał uroczysty wyraz twarzy.

— To łuk króla Aristodemos, pana Pylos i Itome, władcy Meseńczyków, spadkobiercy Nestora, pasterza narodów...

Spuścił na moment siwą głowę, po czym spoglądając prosto w twarz chłopcu, który stał przed nim z szeroko otwartymi oczyma i rozdziawionymi ustami, powiedział:

— Talosie, mój chłopcze, tak długo czekałem na tę chwilę...

— Na jaką chwilę, Krytolaosie? Co przez to rozumiesz? Nie mogę tego pojąć, mam zamęt w głowie.

— Na chwilę, w której powierzę ci królewski łuk — odrzekł stanowczo starzec. — Jestem ostatnim strażnikiem tej zbroi i broni, skrzętnie pilnowanych od wielu pokoleń... One są symbolem i dumą naszego narodu, ostatnią pamiątką po naszej wolności. Najwyższy czas, abym wyjawiał ci wreszcie tę straszliwą i cenną tajemnicę. Jestem już stary i wkrótce mogę odejść z tego świata.

Sciskając w dłoniach rogowy łuk chłopiec wpatrywał się błyszczącym wzrokiem w spoczywającą w skrzyni zbroję. Po chwili spojrział Krytolaosowi w oczy.

— Ale co ja mam zrobić? — zapytał. — Przecież ja nic nie wiem, nawet nie znam naszego ludu... Broń jest stworzona do walki, prawda? Prawda, Krytolaosie?... Jestem kaleką i na dodatek tylko chłopcem. Zamknij tę skrzynię... Ja nie mogę... Nie umiem... Nie — dodał stanowczo — nie, nie powinieneś był mi pokazywać tej zbroi, to niepotrzebne... Nikt nigdy nie będzie mógł jej włożyć.

Starzec oparł mu dłoń na ramieniu.

— Uspokój się, Talosie — odrzekł — uspokój się. Jest jeszcze mnóstwo rzeczy, których nie potrafisz i których musisz się nauczyć. Upłynie jeszcze wiele czasu, ale nadejdzie dzień, gdy ktoś włoży tę zbroję, a wraz z nim król Anstodemos powróci do swego ludu, aby zwrócić mu utraconą wolność; bogowie znają już jego imię... A teraz weźmiesz ten łuk, ja zaś nauczę cię nim się posługiwać, abyś mógł się bronić i strzec swojej tajemnicy, kiedy mnie zabraknie. Stanie się on twoim wiernym i niezawodnym towarzyszem, będzie cię bronił przed wilkami i niedźwiedziami... A także przed ludźmi, Talosie, także przed ludźmi.

— Cóż mi może grozić od ludzi, Krytolaosie? Przecież nikomu nie wyrządziłem nijakiej krzywdy... Kto mógłby czyhać na życie kulawego pasterza? — zapytał ze smutkiem.

— Są rzeczy, których nie mogę ci jeszcze wyjawić, chłopcze. Cierpliwości, pewnego dnia zrozumiesz... A teraz zamknij skrzynię, czas wracać.

Talos odłożył łuk i podszedł do skrzyni, aby opuścić wieko, po czym rzuciwszy ostatnie spojrzenie na zbroję, która lśniła złowrogo w drżącym świetle niemal wypalanej pochodni, nagle wyciągnął prawą dłoń chcąc pochwycić jelec miecza.

— Nie, Talosie! Nie! — krzyknął starzec tak głośno, że chłopiec aż podskoczył. — Nie dotykaj tej broni!

— Wystraszyłeś mnie — powiedział Talos z urazą. — Dlaczego mam jej nie dotykać? W końcu to tylko miecz, nawet jeśli kiedyś należał do króla.

— Do wielkiego króla, Talosie, ale nie w tym rzecz — ciągnął z powagą Krytolaos pośpiesznie zamykając wieko skrzyni. — Ten miecz jest przeklęty!

— Och, skończ wreszcie z tymi twoimi głupimi bajkami, starcze. Jesteś gorszy od puszczyka, który bezustannie straszy ludzi przenikliwym pohukiwaniem.

— Przestań kpić, Talosie — odrzekł surowo Krytolaos. — Ty nic nie wiesz. Tym mieczem król Aristodemos złożył ofiarę bogom piekieł z własnej córki, żeby pokonać wrogów i dać wolność swojemu narodowi... Lecz na próżno... Nikt więcej nie ośmielił się go tknąć i ty też nie powinienes.

Czując, jak lodowaty dreszcz przebiega mu po krzyżu, Talos umilkł, po czym wzięwszy z rąk starca pochodnię, przeje-

chał nią po krawędzi skrzyni, by ją zapieczętować roztopiając na nowo smołę. Następnie otaj opuścili podziemny chodnik, a wejście na powrót zakryli kamieniami. Talos zasłonił głazy warstwą mchu, po czym ruszył za Krytolaosem, posuwającym się naprzód ścieżką i trzymającym pochodnię, która zdążyła się już zamienić w dymiący kikul. Po dość długim marszu dotarli na skraj polany. W oddali widać było chatę, słabo oświetloną promieniami bladego księżyca, chylącego się ku zachodowi. Szczekanie Kriosa świadczyło o tym, że ich nadejście nie pozostało nie zauważone. Krytolacs wyrzucił wypaloną pochodnię i przystanął.

— Przyjdzie dzień, że ktoś znów chwyci za ten miecz, Talosie — powiedział. — Jest napisane, że człowiek ten musi być silny i niewinny, że musi tak bardzo miłować swój naród, by nie zważać na zew krwi...

— Kto i gdzie napisał te słowa?... I skąd tyje znasz?... Kim naprawdę jesteś? — dopytywał Talos szukając w mroku oczu starca.

— Pewnego dnia dowiesz się także tego... i będzie to ostatni dzień Krytolaosa... A teraz chodźmy, już późna noc, jutro czeka nas praca.

Ruszył zdecydowanym krokiem ku chacie, za nim zaś podążał Talos ściskając w dłoniach ogromny rogowy łuk — łuk króla Aristodemos.

Talos leżał w ciemności na posłaniu z szeroko otwartymi oczyma. W głowie kłębiły mu się tysiące myśli, serce zaś waliło równie mocno jak tamtego dnia, kiedy przemówił do niego tajemniczy wojownik. W końcu usiadł i wyciągnął ramię ku ścianie, po czym zdjął z niej łuk, który powierzył mu Krytolaos. Ścisnął go mocno w obu dłoniach czując, że jest gładki i zimny niczym myśl o śmierci. Przymknawszy oczy, wsłuchiwał się w szaleńcze bicie swego serca, łomotanie w palących skroniach, po czym powoli z powrotem się położył... Pod zamkniętymi powiekami ujrzał taki oto widok:

Miasto okolone potężnym murem najeżonym wieżami, zbudowane z olbrzymich szarych głazów na szczycie opustoszałego wzgórza, pogrążone w obłokach kurzu... W pewnej chwili

zerwał się silny wiatr, rozwiewając gęstą mgłę zasnuwającą wypalone słońcem pola, po czym ukazali się wojownicy, ci sami, których widział na równinie. Były ich tysiące, wszyscy w rozgrzanych zbrojach i hełmach na głowach; nadchodzili ze wszech stron okrążając miasto, które wydawało się wymarłe. Wylinali się ze skał, z zarośli, z dziur w ziemi niczym zjawy, poruszając się w rytm dobiegających znikąd uderzeń bębna. W miarę jak się zbliżali, ich szeregi stawały się coraz bardziej zwarte i ciasne, krok coraz równiejszy, ustawione zaś w jednej linii tarcze zamieniły się w ścianę z brązu, przypominając monstrualne kleszcze, zamykające się wokół osamotnionego, opustoszałego miasta. W miarę jak straszliwy krąg się zaciesniał, Talos czuł się tak, jakby czyjaś dłoń ścisnęła go za gardło nie pozwalając złapać tchu, chociaż jednak bardzo się starał, nie zdołał otworzyć oczu ani wypuścić z palców rogowego łuku. Nagle z wnętrza miasta wyrwał się przerażający, rozpaczliwy ryk, potężny niczym uderzenie gromu, po czym niespodziewanie na przedpiersiu zaroilo się od kolejnych żołnierzy, ci wszakże różnili się od poprzednich, nosili bowiem dziwaczne zbroje i mieli olbrzymie tarcze ze skóry wołu. Ich skórzane hełmy nie osłaniały twarzy... Twarzy mężczyzn, młodzieńców i starców z siwymi brodami. Do murów przystawiono setki drabin, po których zewsząd wdrapywały się w milczeniu tysiące wojowników z bronią w garści... Kiedy dotarli niemal do przedpiersia, nagle na najwyższej wieży tłum się rozstał, robiąc miejsce dla gigantycznego wojownika, którego ciało osłaniała całkowicie lśniąca niczym płomień spizowa zbroja. U boku zwisał mu miecz z jantarowym jęlcem... Talos poczuł, jak oczy zachodzą mu mgłą, bicie serca zaś staje się coraz wolniejsze, podobnie jak uderzenia bębnów. Przyjrzał się ponownie scenie, która zdawała się rozplywać... Wojownik niósł w ramionach martwe ciało młodej kobiety, otulone czarną tkaniną... Czarna tkanina, plama krwi na piersi, burza włosów. Jakże pragnął pieścić te delikatne, pozbawione życia usta... Kulawy Talos... Uderzenia bębnów i bicie serca jęły przybierać na sile, stając się coraz głośniejsze, wojownicy z brązu wylali się na przedpiersie niczym wezbrana rzeka, która przerywa wały, ich nieubłagane miecze porozbijały w pył ogromne tarcze ze

skóry wołu, dziurawiąc skórzane pancerze. Całymi setkami napierali na mężczyznę, który stał wyprostowany na najwyższej wieży... On zaś, położywszy kruche ciało dziewczyny, ruszył na wrogów wywijając mieczem z jantarowym jęczmem... Otrzymując ciosy ze wszystkich stron, to nikał z pola widzenia, to znów się pojawiał niczym byk wśród stada rozwścieczonych wilków... Cisza... Wśród dymiących zgliszczy i rozwalonych domów rozbrzmiewały czyjeś powolne kroki. Martwi, wszyscy martwi. Udreżone ciała, zburzone mury i ruiny wież spowija ciężki, gęsty całun pyłu, przyniesiony przez gorący, duszący wiatr... Na osmalonym głazie siedzi jakaś nieruchoma postać — pochylony starzec z twarzą ukrytą w dłoniach, dłoniach pełnych łez... Nagle podnosi siwą głowę, odsłaniając pooraną cierpieniem twarz... Twarz Krytolaosa!

Ujrzał nad sobą twarz Krytolaosa oświetloną promieniami wschodzącego słońca. Starzec coś mówił, Talos jednak nic nie słyszał, jakby jego rozum i zmysły były nadal uwięzione w innym świecie. Po czym nagle stwierdził, że siedzi na posłaniu, Krytolaos zaś powiedział:

— Już czas, Talosie, słońce wstało, musimy zaprowadzić stado na pastwisko... Ale co ci jest? Dziwnie wyglądasz... Może coś ci się przyśniło i się nie wyspałeś. Chodź, świeże powietrze dobrze ci zrobi, a woda ze źródła odświeży. Matka nalała ci już mleka do czarki. Przyodziej się i chodź — dodał opuszczając izbę.

Otrząsnąwszy się Talos siedział przez chwilę otepiały, trzymając głowę w dłoniach, po czym rozejrzał się wokół w poszukiwaniu łuku, który powierzył mu Krytolaos, lecz go nie znalazł. Łuk nikał. Sprawdził pod siennikiem i wśród stosu kozłich skór leżących na klepisku. „Czyżby to był tylko sen? pomyślał. Nie, to niemożliwe... W takim razie...” Siedział przez chwilę oniemiały, po czym odsunąwszy matę, która oddzielała jego posłanie od reszty izby, zajął miejsce przy stole, nad nalanym przez matkę mlekiem.

— Gdzie dziadek, matko? Nigdzie go nie ma.

— Już wyszedł — odparła. — Powiedział, że będzie na ciebie czekał przy wysokim źródle razem z owcami.

Wypiwszy duszkiem mleko, Talos włożył do sakwy chleb, chwycił kosturek i ruszył szybkim krokiem ku umówionemu miejscu. Wysokie źródło był to mały strumyczek tryskający z góry w pobliżu chaty Talosa.

Pasterze z Tajgetos nazywali je tak dla odróżnienia od innego, większego źródła, które spływało po polanie na skraju lasu i w którym zazwyczaj poili wieczorem zwierzęta, odprowadzając je do zagród. Talos szybko przemierzył polanę, znalazłszy się zaś w lesie, ruszył ścieżką wiodącą do góry i po kilku zaledwie krokach ujrzał w oddali Krytolaosa, który zaganiał stado przy wydatnej pomocy pocziwego Kriosa. Wkrótce dołączył doń zdyszany.

— Dziadku!... — zawołał. — Posłuchaj, ja...

Nie zdążył wszakże skończyć zdania.

— Wiem, nie znalazłeś łuku — przerwał mu z uśmiechem starzec odsłaniając połę płaszcza. — Tutaj jest, chłopcze, jak widzisz, łuk znajduje się w pewnych rękach.

— Na Zeusa, dziadku, dziś rano myślałem, że umrę, kiedy go nie znalazłem. Ale dlaczego zabrałeś go ze sobą i dlaczego nie zaczekałeś na mnie jak zawsze?

— Nie chciałem, żebyś zadawał mi pytania w obecności matki.

— Więc nie powinna wiedzieć...

— Nie, twoja matka doskonale zdawała sobie sprawę, dokąd cię wczoraj zabrałem i co zobaczyły twoje oczy, ale nie wie i nie powinna wiedzieć nic poza tym. Serce kobiety łatwo się trwoży. A teraz chodź ze mną — polecił ruszając naprzód i zasłaniając łuk płaszczem.

Maszerowali jakiś czas obok siebie, dopóki Talos znów nie przerwał milczenia.

— Dlaczego zabrałeś łuk, dziadku, i dlaczego go chowasz?

— Pierwsze pytanie jest słuszne — odrzekł starzec — a to drugie głupie.

— Niech ci będzie, heloci nie noszą broni, ponieważ im nie wolno, a łuk to przecież broń...

— Bardzo osobliwa i wyjątkowa!

— Zgoda, czy w takim razie mogę dostać odpowiedź na pierwsze pytanie?

— Racja, Talosie... Masz prawo do odpowiedzi — rzekł Krytolaos przystając na środku ścieżki.

Krios, który odgadł cel marszu, zaganiał stado ku wysokiemu źródłu, gdzie ścieżka stykała się z niewielką, porośniętą trawą polanką.

— Chcę, żebyś nauczył się posługiwać tą bronią z taką samą zręcznością jak wielki Odys.

— Ale jak to możliwe, dziadku? Przecież ty jesteś bardzo stary, a ja...

— Musisz tylko uwierzyć w siebie — powiedział Krytolaos surowo — a co do mnie... Możesz być pewien, że nie bez powodu doszedłem do tego wieku!

Kiedy dotarli do polanki, owce już spokojnie skubały trawę pod czujnym okiem psa, który położył się pod krzakiem. Krytolaos rozejrzał się wokół, po czym podniósł wzrok ku szczytom okolicznych wzgórz, aby się upewnić, że nikogo tam nie ma. Następnie rzucił płaszcz na ziemię i podał łuk Talosowi.

— Twierdzisz, że jestem za stary, zgadza się? — zapytał z ironią. — Posłuchaj mnie uważnie, żółtodziobie — dodał mrugając porozumiewawczo. — A niby kto nauczył wielkiego Achilleasa władać bronią?

— Stary Chiron, o ile się nie mylę.

— Rzeczywiście, nie mylisz się. A kto nauczył strzelać z łuku wielkiego Odysa?

— Ojciec jego ojca, w lasach Epiru.

— Znakomicie! — roześmiał się starzec z zadowoleniem. — A już się bałem, że kiedy ci wyrośnie broda, zacnie cię zawodzić rozum. Jak widzisz, to właśnie doświadczenie starszych pozwala takim głupim i zarozumiałym młokosom jak ty stać się mężczyznami godnymi tego miana.

Talos potarł podbródek; uznał, że nazywanie brodą tego puszku, który porastał mu twarz, to zbyt wiele. Po chwili ścisnął łuk obiema dłońmi, niespodziewanie przybierając poważną minę.

— Nie tak, na Heraklesa, to nie kij, którym zagania się owce do zagrody... Uważaj... Patrz na ten srebrny uchwyt: to majdan, za który musisz mocno złapać lewą ręką.

Chłopiec skinał głową spełniając polecenie.

— Bardzo dobrze — pochwalił starzec. — Z kolei prawą ręką musisz naciągnąć cięciwę, która wyrzuca do przodu strzalcę.

— Ale tu nie ma żadnej cięciwy — odparł osłupiały Talos.

— Ja myślę! Gdyby była, łuk nadawałby się do wyrzucenia. Cięciwę nakłada się wyłącznie przed użyciem łuku, a potem znów się ją zdejmuje. W przeciwnym razie wygiąłby się on na stałe i utracił całą giętkość, a co za tym idzie siłę. Ale nie martw się, mam cięciwę — dodał szperając w sakwie. — Została zrobiona z wołowej kieszki, którą sam wyprawiałem przez wiele tygodni, nic ci nie mówiąc. Teraz trzeba ją tylko założyć. Rób dokładnie to, co ci powiem: oprzyj o ziemię dolne ramię łuku utrzymując go lewą ręką w pozycji pionowej... O, tak; zaczep cięciwę o gryf na dole, a potem przywiąż jej koniec do drugiego ramienia.

— Ale nie dosięga!

— Jeszcze by tego brakowało, żeby dosięgała! Gdyby dosięgała, łuk nie miałby mocy i zabrakłoby ci ręki, żeby go napiąć. Żeby przymocować cięciwę, musisz zgiąć łuk opierając się całym ciężarem ciała i z całej siły o górne ramię, które łapiesz lewą dłonią; jednocześnie prawą naciągając do góry koniec cięciwy, aż nałożysz pętlę na zaczep... Proste, nie?

— Łatwo ci mówić, starcze ■ — odparł zasapany chłopiec usiłując spełnić polecenie. — Ale to urządzenie jest twarde... Wcale nie zamierza się zgiąć, a poza tym — ciągnął Talos rezygnując niepocieszony z przedsięwzięcia — jeśli potrzeba całego tego wysiłku tylko po to, żeby naciągnąć cięciwę... Do diaska, dziadku, gdybym musiał, jak mówisz, bronić się przed wrogiem, zdążyłby mnie spokojnie rozszarpać na strzępy, podczas gdy ja sterczałbym tu jak głupiec walcząc z tym urządzeniem, które w ogóle nie chce się zgiąć... Obawiam się, że źle ulokowałeś swoje zaufanie. Może i przypominasz Chirona albo ojca Laertesę, ale ja nie jestem ani wielkim Achillesem, ani walecznym Odysem... Jestem kulawym Talosem.

— Kiedy skończysz się wreszcie nad sobą użalać — burknął rozsierdzony Krytolaos — i chlipać jak małe dziecko, nauczę cię paru innych rzeczy, które powinieneś umieć. Po pierw-

sze tego: przestań sobie wmawiać, że wszystkiego można się nauczyć łatwo i szybko. Trudne rzeczy, a do takich należy władanie tym łukiem, wymagają przede wszystkim hartu ducha. Z pewnością nie brak ci siły mięśni, lecz wiary w siebie, powtarzam ci. Ale dość gadania, bierz łuk i rób, jak powiedziałem, na Heraklesa!

Przemawiał tak władcym tonem, że Talosowi nawet nie przyszło do głowy, by się sprzeciwić, toteż przełknąwszy kulę, która dławiła go w gardle, chwycił lewą ręką górne ramię łuku, prawą łąpiąc cięciwę. Zacisnął szczęki skupiając wszystkie siły. Wsparłszy lewe kolano o grzbiet łuku, napiął mięśnie aż do bólu

i zaczął nieprzerwanie ciągnąć.

— Dobrze, chłopcze, właśnie tak, ciągnij mocno!

Jeszcze przez chwilę Krytolaos słyszał, jak słowa te odbijają się echem w jego głowie, po czym ujrzał małą rączkę ściskającą jego palec wskazujący wyciągnięty nad skromną kołyską... Daleki promień zachodzącego słońca, wślizgujący się przez szpary w drzwiach... Długie cienie... Nagle obraz się rozplynął, Krytolaos zaś zobaczył przed sobą mokrą od potu twarz Talosa, wyraz triumfu w jego zaczerwienionych oczach: chłopiec ściskał w lewej ręce łuk, który poddał się jego woli, prawą natomiast sprawdzał cięciwę, drgającą z głuchym burczeniem.

— Czy o to ci chodziło, starcze? — zapytał z uśmiechem. Krytolaos wpatrywał się w niego wzrokiem przepelnionym wzruszeniem i zdumieniem.

— Napiąłeś łuk Aristodemos — powiedział drżącym głosem.

Chłopiec spojrział na lśniącą broń, po czym podniósł wzrok szukając oczu starca, które były mokre od łez.

— Łuk Krytolaosa — szepnął.

Od chwili gdy Krytolaos zaczął uczyć Talosa władać łukiem, upłynęły długie miesiące i nie było dnia, żeby starzec nie narzucił chłopcu ciężkich ćwiczeń. Wielokrotnie Talos ulegał zniechęceniu, zawsze jednak brała górę niewiarygodna wytrwałość mistrza, toteż pod koniec jesieni, kiedy w górach zaczęły się pierwsze chłody, chłopak miał już niezwykle zwinne ruchy. Jego poddawane nieustannym ćwiczeniom ramiona stały się sil-

ne i muskularne; całe ciało zmęśniało, przypominał więc o wiele bardziej mężczyznę niż chłopca, mimo że dopiero ukończył szesnaście lat.

Natomiast Krytolaos coraz szybciej opadał z sił, jakby energia, jaką tryskał młody uczeń, uchodziła ze szpiku jego zmęczonych kości. W rzeczywistości wysiłek, jaki wkładał w nieprzerwaną naukę, wyczerpał go. W miarę upływu czasu wydawał się coraz bardziej niespokojny, jakby się bał, że nie zdąży wykonać zadania. Obawa ta zdawała się dodawać mu coraz to nowych sił za każdym razem, gdy z dala od niepożądanych spojrzeń, w jakiejś osłoniętej dolinie bądź na samotnej polanie, skłaniał Talosa do wykonywania coraz trudniejszych ćwiczeń. Chłopiec nauczył się także robić strzały i idealnie je wyważać, a następnie wypuszczać z najwyższą precyzją i siłą. Kilka razy łuk, początkowo sztywny po długim okresie bezczynności, o mało się nie złamał, stopniowo wszakże odzyskał sprężystość. Talos nasmarował go tysiąc razy baraním łojem i ogrzał nad płomieniem.

Zbliżał się dzień ostatecznej próby, która oznaczała dlań tyle samo co inicjacja, osiągnięcie pełni męskości. Świadomość, że staje się coraz bardziej zręczny, podniecała go i zachwycała, często jednak leżąc w nocy na posłaniu oddawał się długim rozmyśleniom. Nie bardzo bowiem pojmował, co starzec zamierza osiągnąć zmuszając go do nieustannych, często zbyt wyczerpujących ćwiczeń. Nauczył go nie tylko strzelać z łuku, ale także posługiwać się kijem. Dereniowy kij stał się w jego rękach posłusznym i zarazem groźnym narzędziem. Obrona stada przed złodziejami i dzikimi zwierzętami mogła uchodzić za wystarczający powód tej nauki, z pewnością nie wyjaśniała wszakże wszystkiego. Talos nieustannie wykonywał ćwiczenia, nie zdołał jednak poznać ich celu. Ponadto trapił się widząc, że Krytolaosowi z każdym dniem ubywa sił. Starzec był coraz bardziej przygarbiony, z trudem trzymał się na nogach; chwilami jego znużony wzrok zdawał się przygasać.

III

MISTRZ

Dzień, który Krytolaos wybrał na ostateczną próbę, był słoneczny, jasny, lecz bardzo wietrzny.

Wstawszy o świcie, wyruszyli szybkim krokiem do wysokiego źródła. Talos zrzucił płaszcz i obmył się w lodowatej wodzie, po czym na znak Krytolaosa chwycił łuk, przewiesił sobie przez ramię kołczan z jagnięcej skóry i oddalił się o jakieś trzydzieści kroków. Starzec zaś podszedł do młodego, prostego i sprężystego derenia i złapawszy go u samej góry, zgiął tak mocno, że wierzchołkiem niemal dotknął ziemi. Po czym odwrócił się do Talosa.

— Uważaj! — zawołał. — Kiedy puszczyć czubek, policz do trzech, a potem strzelaj, zrozumiałeś?

— Doskonale — odrzekł Talos chwytając za kołczan.

W próbie tej skupiały się wszystkie możliwe trudności: należało trafić w mały cel poruszający się z dużą szybkością, a na dodatek jeszcze dokładnie przewidzieć siłę i kierunek wiatru. Talos spojrział na wierzchołki drzew, następnie zaś na cel, który wydał mu się nieprawdopodobnie mały — z tej odległości wyglądał zaledwie jak sucha gałązka. Wybrawszy długą i dość ciężką strzałę, przyjął odpowiednią pozycję.

— Teraz! — zawołał Krytolaos puszcżając czubek derenia i odsuwając się na bok.

Roślina świsnęła niczym bicz, nie przestając szybko drgać. Wstrzymawszy oddech Talos obserwował przez chwilę ruchomy cel, ściskając lewym ramieniem łuk, i wreszcie wypuścił

strzałę. Ciężki, doskonale wyważony pocisk wystrzelił z głuchym świstem i wbił się w ziemię na pobliskiej łące, po drodze zdzierając korę z drzewka.

— A niech to, nie trafiłem! — krzyknął ze złością Talos podbiegając do drzewka, które ciągle jeszcze drgało.

— Na Heraklesa, udało ci się, chłopcze, udało się... — powtarzał półgłosem starzec wpatrując się w roślinę. — Wielki Zeusie, z trzydziestu kroków, w ruchu i na dodatek przy wietrze... — Po czym podnosząc głowę ku chłopcu, który zbliżał się zdyszany, dodał: — Trafiłeś, rozumiesz? A czego się spodziewałeś, że przygwoździsz go do ziemi? Talosie, czy wiesz, co to oznacza?... W kilka miesięcy, dokonałeś tego w kilka miesięcy...

Stary pasterz drżał ze wzruszenia; widać było, z jak ogromnym niepokojem czekał na tę chwilę — ciągle trzęsły mu się nogi.

— Zaczekaj, pomóż mi usiąść, chłopcze. Kolana się pod mną uginają... Chodź no tu, usiądź koło mnie... O, tak. A teraz mnie posłuchaj, chłopcze: zostaniesz wielkim łucznikiem, tak wielkim jak Ajaks, syn Ojleusa, jak Odys...

— Hola, nie rozpędzaj się, starcze — roześmiał się serdecznie Talos. — Nie sądzisz, że za często otwierasz swoje bezzębne usta? To był tylko łut szczęścia!

— Ty mały niegrzeczny hultaju! — zawołał Krytolaos wybałuszając oczy w udawanym gniewie. — Połamię ci kij na grzbiecie, to nauczysz się szanować starszych!

Talos fiknął kozła, by uniknąć cięgów, które zamierzał mu w żartach sprawić starzec, po czym zerwawszy się na równe nogi, popędził do lasu wołając psa:

— Dalej, Krios, biegnij, nicponiu, goń mnie!

Pies puścił się w pogoń za młodym panem szczekając i merdając wesoło ogonem; była to stara, powtarzana tysiące razy zabawa, nie zdążył go wszakże dopaść, Talos bowiem zatrzymał się niespodziewanie: za szerokim pniem buka stał nieruchomo jakiś mężczyzna otulony ciężkim płaszczem z ciemnej wełny, z połą nasuniętą aż na głowę. Wpatrywał się w chłopca przez chwilę, po czym zebrawszy wiązki chrustu, czym prędzej oddalił się ścieżką. W tym samym momencie nadszedł zaspany Krytolaos. Wstrząśnięty, chwycił Talosa za ramię.

— Co jest, dziadku, nigdy nie widziałeś wędrowca?

Krytolaos spoglądał w milczeniu za oddalającą się zakapturowaną postacią, po czym oddał łuk chłopcu.

— Zabij go — powiedział lodowatym tonem.

— Chyba postradałeś zmysły, dlaczego miałbym go zabić? Nawet nie wiem, kto to jest; nie zrobił mi nic złego.

— Widział, jak strzelasz z łuku. To nie jest nikt z naszych, tylko Spartanin; musisz go zabić, no dalej, póki masz jeszcze czas. — Starzec był roztrzęsiony, jego głos zdradzał lęk.

— Nie, nie mogę — odrzekł ze spokojem Talos. — Gdyby mnie napadł, może potrafiłbym strzelić, ale nie tak, nie bezbronemu człowiekowi prosto w plecy.

Krytolaos milczał przez resztę dnia, nie bacząc na wysiłki Talosa, który pragnął go udobruchać. Zdawał się całkowicie przybity, jakby wszystkie nadzieje, wszystko to, co trzymało go przy życiu, rozwiało się w jednej chwili. Z każdym dniem sprawiał wrażenie coraz bardziej niespokojnego. Na pastwisku zachowywał jak najdalej idącą ostrożność, bojąc się zabierać swego młodego ucznia na ćwiczenia w strzelaniu z łuku, a jeśli już odważył się to uczynić, zawsze szukał miejsc odległych i niedostępnych — jednym słowem zachowywał się tak, jakby czuł, że ktoś go obserwuje, szpieguje. Przy każdym szeleście zrywał się na równe nogi, oczy napędliały mu się przerażeniem, co bardzo martwiło Talosa.

Mijały dni i miesiące; wiosna była w pełni, a nie wydarzyło się nic podejrzanego. Krytolaos zaczął się uspokajać, stan jego zdrowia wszakże tak bardzo się pogorszył, że niekiedy w ogóle nie wychodził na pastwisko i przez długie godziny siedział na zydelku. Mężczyźni z pobliskich domostw, udający się do pracy w polu bądź zaganiający swe stada, przystawali, by zamienić z nim kilka słów; wszyscy zdawali się osobliwie zatroskani jego samopoczuciem, jakby uświadamiali sobie, że zbliża się koniec. Wieczorami Talos wracał z owcami i z psem do domu, obrobivszy się zaś, przysiadł u stóp dziadka prowadząc z nim długie rozmowy. Opowiadał mu o ciągłych postępach, jakie robi w strzelaniu z łuku, który teraz zabierał ze sobą. Czasem zniknął na kilka dni, udając się na bardziej odległe pastwiska — sypiał wtedy w szałasie skleconym z gałęzi.

Pewnego dnia, gdy wiosna miała się ku końcowi, wędrował po zboczach Tajgetos, niezbyt daleko od domu. Jako że Krytolaos poczuł się nie najlepiej poprzedniej nocy, nie chciał się za bardzo oddalać. W ten sposób w razie potrzeby matka mogłaby go bez trudu odnaleźć bądź kogoś po niego posłać. Zbliżało się południe i było ciepło. Usiadłszy w cieniu, spoglądał na równinę, gdzie lśniły srebrne drzewka oliwne. Za nim rozciągała się biegnąca z północy droga, która sprawiała wrażenie opustoszałej. Słyszał od służących w mieście towarzyszy, że szykuje się coś wielkiego. Marynarze z Gytejonu, którzy nocą dostarczają ryby na targ, opowiadali o przybywającej ze Wschodu olbrzymiej flocie: o wielu setkach okrętów o długich zakrzywionych dziobach z brązu, które prują fale. Wysłał je ponoć w morze potężny król, żeby prowadzić wojnę z Ateńczykami.

Talos miał raczej mgliste pojęcie na temat tego, co działo się z dala od jego gór. Słyszał o innych narodach Grecji od Krytolaosa, nigdy wszakże nie spotkał żadnych ludzi poza mieszkańcami Tajgetos i wojownikami z miasta. Zastanawiał się, po co ten potężny król chce wypowiedzieć wojnę tak małemu miastu jak Ateny i po co przyplywa z tymi wszystkimi okrętami, jeśli to co mówili rybacy z Gytejonu, było prawdą. Przyszło mu jednak do głowy, że chętnie zobaczyłby okręt. Podobno istniały tak wielkie statki, że na jednym z nich mogliby się zmieścić mieszkańcy całej wioski, ale pewnie to były bajki. Tak czy inaczej od jakiegoś czasu działo się coś dziwnego: niemal codziennie zarówno na północ lądem, jak i drogą morską ruszały oddziały żołnierzy. Wielu pasterzy i wieśniaków z gór obawiało się, że wkrótce wybuchnie straszliwa wojna i że oni też będą musieli pójść razem z wojskiem jako służba lub tragarze.

Kiedy tak siedział zatopiony w myślach, ze wzrokiem wbitym gdzieś w równinę, wydało mu się, że w oddali, na drodze wiodącej z północy, dostrzega jakiś czarny punkt poruszający się wśród pyłu. Przyjrzał się uważniej: ktoś zbliżał się od strony Argos, jakaś samotna postać biegła w słońcu w kierunku Sparty.

Talos wstał zaciekawiony, aby się lepiej przypatrzeć, po czym ruszył w dół zboczem, ku maleńkiemu źródelku, które tryskało na skraju drogi. Dotarłszy do niego wkrótce, przysiadł na brzegu kamiennej niecki, do której spływała woda ze źródła.

Tymczasem czarny punkt, który widział z oddali, zaczął przybierać wyraźniejsze kształty: skrajem drogi biegł jakiś mężczyzna. Niósł na plecach małe zawiniątko, do pasa zaś miał przytroczony długi sztylet; krótki chiton, sięgający mu zaledwie do pachwiny, świadczył o tym, że jest to wojownik. Znajdował się już blisko, Talos mógł mu się więc dokładnie przyjrzeć. Dotarłszy do źródła, pokryty kurzem i potem mężczyzna przystanął. Oddychał w osobliwy sposób, głośno sapiąc przez usta i rytmicznie unosząc szeroką pierś. Nabrał wody z niecki, obmył twarz, ramiona i nogi, po czym zdjął chiton i opłukał resztę ciała, chwilami drżąc pod dotykiem lodowatej wody spływającej prosto z gór.

— Zimna, co? — uśmiechnął się Talos.

— O, tak, chłopcze, zimna, ale przyjemna; wzmacnia mięśnie i ciało i pobudza energię w zmęczonych kończynach.

Prawie nagi mężczyzna miał wspaniałe ciało: silne ramiona, szeroką pierś, długie żylaste nogi. Talos przyjrzał mu się uważnie — to nie mógł być zwyczajny żołnierz, nie umiał wszakże określić, z jakiego kraju pochodzi. Mówił w osobliwy sposób, nieco śpiewnie, jego ruchy zaś budziły zaufanie. Talos sam był zaskoczony łatwością, z jaką doń przemówił, chociaż domyślał się, że ma do czynienia z wojownikiem. Nieznajomy odział się z powrotem.

— Daleko jest do Sparty? — zapytał.

— Niedaleko; jeśli nadal będziesz biegł tak szybko jak przedtem, wkrótce tam dotrzesz. Zaraz za tym zakrętem zobaczysz miasto, na pewno nie zabłądzisz. Ale po co idziesz do Sparty? Nie jesteś Spartaninem. Musisz pochodzić z daleka — dodał po chwili. — Nigdy nie słyszałem takiej mowy jak twoja, nawet u meseńskich pasterzy ani u rybaków, którzy przyplływają do Gytejonu na targ.

— A więc przyglądałeś mi się. Może mnie szpiegowałeś?

— O, nie, po prostu pasłem tutaj owce i przypadkiem zobaczyłem, jak biegniesz drogą. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak długo biegł bez odpoczynku. Więc nie powiesz mi, kim jesteś ani skąd idziesz?

— Oczywiście, chłopcze, że powiem: jestem Fidypides z Aten, zwycięzca ostatnich igrzysk olimpijskich. A ty coś za jeden?

— Jestem Talos — odparł chłopiec spoglądając nieznajomemu prosto w oczy.

— Talos i tyle?

— Talos kulawy.

Nieznajomy milczał przez chwilę zaskoczony.

— Co ci się stało w stopę? Może spadłeś' z góry?

— Nie — odrzekł ze spokojem chłopiec. — Mój dziadek Krytolaos mówi, że położna popełniła błąd wyciągając mnie z łona matki... Ale przeze mnie tracisz czas, pewnie się śpieszysz.

— Masz rację, Talosie, muszę biec dalej, ale jeśli trochę nie odpocznę, pęknie mi serce. Wyruszyłem z mojego miasta przedwczoraj o świcie.

Talos spojrział nań osłupiały.

— To niemożliwe — powiedział. — Wiem na pewno, że Ateny leżą po tamtej stronie morza, więc nie mogłeś dojść tu na piechotę.

— A właśnie że tak, Fidypides nie kłamie, chłopcze. Wczoraj przed zachodem słońca byłem w Argos.

— Wierzę, tylko że mój dziadek Krytolaos mówi, że aby dotrzeć tutaj z Aten, potrzeba prawie siedmiu dni.

— Twój dziadek Krytolaos musi sporo wiedzieć... Może wie też, kim jest Fidypides — odparł atleta z uśmiechem.

— Mój dziadek wie wszystko; jestem pewien, że zna twoje imię. Opowiadał mi kiedyś o igrzyskach, a także o dolinie, w której walczą zawodnicy. Przepływająca nią rzeka ma swoje źródło niedaleko stąd, w naszych górach. Tak więc — ciągnął — przyszedłeś aż tutaj w ciągu zaledwie dwóch dni... Musisz się bardzo śpieszyć i musisz mieć coś bardzo ważnego do przekazania.

— Tak, bardzo ważnego, i to nie tylko dla mnie, ale dla wszystkich Greków.

Nagle spowaźniał, przez jego jasne oczy zaś przemknął cień.

— Zdaje mi się, że wiem, o co chodzi — powiedział Talos.

— Rybacy z Gytejonu mówią, że król ziem, na których wschodzi słońce, wysłał setki okrętów pełnych żołnierzy, żeby złupili wyspy.

— Nie tylko wyspy — dodał ponuro biegacz. — Już zdążyli wejść na ląd. Są jak szarańcza; rozbili obóz na plaży w odległości trochę ponad dwustu stadiów od Aten, w miejscu o nazwie Maraton. Skierowano tam wszystkich naszych żołnierzy, ale nigdy nie dadzą rady sami odeprzeć tak ogromnej masy. Nocą rozpalają tyle ognisk, ile jest gwiazd na niebie. Dzioby ich okrętów są wysokie niczym wieże, mają tysiące koni, wozów, niewolników...

— Chcesz prosić o pomoc Spartan, prawda?... Nie przyjdą. Mój dziadek Krytolaos mówi, że Spartanie to groźni wojownicy, że są najlepsi, ale zadufani w sobie i widzą tylko czubek własnego nosa. Zresztą, jak wiesz, ich miasto nie jest otoczone murami, więc bardzo niechętnie je opuszczają i nie lubią go zostawiać bez ochrony. To też jest głupota, bo gdyby postawili mury, wystarczyłaby niewielka liczba żołnierzy, żeby go bronić, a wtedy większość mogłaby wyruszyć nawet daleko, by stawić czoło niebezpieczeństwu, a nie czekać, aż samo dotrze nad brzeg Eurotasu.

— Jesteś bardzo mądry jak na swój wiek, Talosie; cechuje cię otwarty umysł, ale mam nadzieję, że nie sprawiłoby ci zbyt wielkiej przykrości, gdyby ten jeden raz twój dziadek się pomylił, mam na myśli zadufanie Spartan. Muszą mnie posłuchać, bo jeśli pozwolą, żeby nas zniszczyli, jutro przyjdzie kolej na nich, a wtedy już nie będzie Aten, które mogłyby im pomóc.

— Wiem tylko, że to nie mnie powinienes przekonać, lecz ich. Co do mnie, gdybym tylko mógł... No cóż, chętnie stanąłbym do walki u waszego boku. Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że masz słuszość. Czy wszyscy Ateńczycy są tacy jak ty?

— O, jeśli o to chodzi, niektórzy są nawet lepsi ode mnie — uśmiechnął się Fidypides.

— Nie wierzę — odrzekł Talos potrząsając głową. —■ Ty zwyciężyłeś w igrzyskach olimpijskich.

— To prawda, chłopcze, ale w moim mieście nie liczą się wyłącznie mięśnie, przeciwnie: ważniejszy jest rozum, obywatele zaś starają się wybierać zawsze raczej ludzi mądrych niż silnych do rządzenia miastem.

— Czy to znaczy, że w twoim państwie ludzie sami wybierają tych, co mają nimi rządzić? Nie macie królów?

— Nie, Talosie, kiedyś' mieliś'my, ale teraz już nie.
— To musi być doprawdy dziwny kraj!
— Może i tak, ale moim zdaniem czułbyś' się tam dosko-
nale.

— Nie wiem... Myślisz, że jest kraj, w którym niewolnik może się czuć dobrze?

Fidypides wstał spoglądając na chłopca ze smutkiem.

— Muszę iść — powiedział. Już miał ruszyć w dalszą drogę, odwrócił się wszakże, zdjął skórzaną bransoletę ozdobioną drewnianymi ćwiekami i podał mu. — To dla ciebie, Talosie, nosiłem ją podczas igrzysk, ale chyba nie będzie mi już potrzebna. Będzie ci czasem przypominać Fidypidesa...

Zacisnąwszy pas na biodrach, pobiegł w kierunku Sparty. Talos stał przez chwilę osłupiały, po czym puścił się pędem za atletą, który był już dość daleko.

— Mistrzu! Mistrzu! — zawołał.

Fidypides zatrzymał się na moment i obejrzał za siebie.

— Powodzenia!

Biegacz uniósł prawą rękę w szerokim geście pożegnania, po czym ruszył biegiem znikając w osłepiającym blasku słońca.

Ateńczyk siedział otulony śnieżnobiałym pallium przed szlachetnym Arystarchosem, który słuchał go uważnie.

— Dziękuję ci za gościnę, Arystarchosie. Szlachetność i męstwo Kleomenidów są dobrze znane nawet w Atenach, toteż siedzenie przy twoim stole to dla mnie wielki zaszczyt.

— To twoja obecność sprawia mi zaszczyt, Fidypidesie. Jesteśmy dumni mogąc gościć w tym domu zwycięzcę igrzysk olimpijskich. Pokonałeś naszych najlepszych młodzieńców, Spartanie zaś potrafią docenić męstwo przeciwnika twojej rangi. Niestety moje jadło jest bardzo skromne, nie mogłem cię zatem uraczyć zbyt wyszukаныmi potrawami. Wiem, że wy, Ateńczycy, często kpicie z naszej kuchni i że w szczególności nasza czarna zupa jest przedmiotem wielu żartów. Jak jednak widzisz, nie zmusiłem cię, żebyś jej skosztował.

— I źle uczyniłeś, czcigodny Arystarchosie, spróbowałbym jej bowiem z ogromną ciekawością.

— Obawiam się, że byłoby to dla ciebie raczej niezbyt miłe dos'wiadczenie. Pamiętam doskonale minę Arystagorasa z Miletu, kiedy skosztował trochę podczas uczty, jaką geruzja i eforowie wydali z okazji jego misji w Sparcie osiem lat temu; misji, która jak wiesz, nie zakończyła się zbyt wielkim sukcesem.

— To prawda, nie udzieliliście mu żadnej pomocy w przeciwnieństwie do nas, Ateńczyków, którzy teraz słono płacimy za tamten gest. Z drugiej strony zgromadzenie utrzymywało, że należy wysłać wszelką możliwą pomoc helleńskim miastom, które zbuntowały się przeciwko Wielkiemu Królowi. Czy nie uważasz, że dokonaliśmy słusznego wyboru?

— Czy mam przez to rozumieć, że źle osądzasz sprzeciw geruzji i eforów wobec żądań Arystagorasa?

— Niezupelnie, Arystarchosie — odparł Ateńczyk zdając sobie sprawę, że jego słowa rozdrażniły gospodarza. — Mam świadomość, że wówczas wam, Spartanom, nie było łatwo podjąć tak poważną decyzję.

— Nie w tym rzecz, Fidypidesie. Początkowo wydawało nam się, że człowiek ten działa ze szlachetnych pobudek. Przedstawił nam warunki panujące w greckich miastach Azji, znajdujących się pod uciskiem Wielkiego Króla, myśleliśmy więc, że jedynym jego pragnieniem jest je uwolnić. Wygłosił tak płomienną mowę przed Zgromadzeniem Jednakowych,* że wszyscy wojownicy byli oczarowani. Skądinąd wiesz, że my, Spartanie, nie jesteśmy przyzwyczajeni do krasomówstwa; prości i małowówni z nas ludzie, ale nie głupi. Eforowie, którzy wraz z królami rządzą naszym miastem, zdawali sobie sprawę, że Arystagoras usiłował podporządkować sobie zamieszkaną przez Greków wyspę Naksos i że posłużył się w tym celu wojskami perskimi, aby zyskać w oczach Wielkiego Króla, który w tym samym czasie przebywał w Tracji, walcząc za rzeką Istros ze Scytami. Kiedy mieszkańcy Naksos odparli atak, perscy wodzowie orzekli, że bez wątpienia winą za tę zniewagę należy obarczyć Arystagorasa. Przerażony na myśl, że spadnie nań gniew Wielkiego

* Jak twierdzą Benedetto Bravo i Ewa Wipszycka, autorzy książki *Historia starożytnych Greków*, t. 1, termin *homoioi* należy tłumaczyć raczej jako „jednakowi” niż „równi”, nie oznacza on bowiem równości ekonomicznej ani politycznej, toteż zdecydowałam się na takie właśnie określenie (przyp. tłum.).

Króla, skorzystał z nieporozumienia między oficerami perskimi a oficerami floty greckiej, by ogłosić bunt. Oczywiście Grecy z Azji poszli za nim, co dowodzi, że pragnęli się wyzwolić spod panowania Persów, natomiast co do Arystagorasa, doskonale wiedzieliśmy, że działał wyłącznie we własnym interesie. Skoro tak bardzo mu zależało na wolności Greków, dlaczego usiłował podporządkować sobie wyspę Naksos? W każdym razie mieliśmy słuszne powody przypuszczać, że wszczął bunt przeciw Persom, aby uniknąć gniewu króla Dariusza, gniewu, który spadłby nań po jego powrocie z wojny ze Scytami. Sam chyba przyznasz — ciągnął Arystarchos dolewając wina do pucharu swego gościa, który słuchał go nie roniąc ani słowa — że niełatwo zaufać człowiekowi, który znalazł się w sytuacji bez wyjścia, lecz który udaje, że powoduje nim wyłącznie umiłowanie wolności. Ale ja ci tu mówię rzeczy, o których pewnie wiesz więcej ode mnie.

— Oczywiście po części są mi wiadome — odparł Fidy-pides — ale nie przerywaj, proszę, chciałbym bowiem poznać twoje zdanie na ten temat.

— No cóż — westchnął Arystarchos. — Jednakowi zebrani podczas zgromadzenia może nawet daliby się przekonać, rzecz jednak w tym, że decyzja należała do eforów i królów, a zarówno na jednych, jak i na drugich Arystagoras wywarł jak najgorsze wrażenie, nie mówiąc o tym, które zrobił sam wygląd tego człowieka. Przypominam sobie pewne zdarzenie, które cię rozbawi. Otóż los chciał, że pewnego dnia znalazłem się w domu króla Kleomenesa, który właśnie gościł u siebie Arystagorasa. Gość dopiero co wstał z łóżka i siedział z rękami pod płaszczem (w siedzibie króla rozpalano ogień dopiero po zachodzie słońca), podczas gdy jeden z niewolników zawiązywał mu sandały. Nagle córeczka króla, która miała wtedy sześć lat, pokazała na Arystagorasa wołając: „Spójrz, ojcze, nieznamy gość nie ma rąk!” Przysięgam, że sam musiałem się odwrócić i zakryć dłonią usta, aby nie wybuchnąć śmiechem. Jednym słowem ten mężczyzna, który przedstawił się jako przywódca buntu, nie potrafił nawet zawiązać sobie sandałów!

— A więc my, Ateńczycy, byliśmy zbyt łatwowierni w stosunku do Arystagorasa — stwierdził Fidy-pides z gorzkim uśmiechem.

— O nie, przyjacielu, nie taki był sens moich słów; ja nie potępiam działania Aten, które w owym czasie postąpiły bardzo wspaniałomyślnie. Z pewnos'cią nie wysłały okrętów i oddziałów wojska na odsiecz jońskim buntownikom rozmyślnie dlatego, że Arystagoras was oszukał. W gruncie rzeczy z Jonami, waszymi kolonami z Azji, łączyły was więzy krwi, nic więc dziwnego, że chcieliście im pomóc. Na pewno nasza odmowa wynikała z wrodzonej nieufności; wydawało nam się, że człowiek ten zamierza wciągnąć Spartę w rozpaczliwe przedsięwzięcie, za które należy winić wyłącznie jego wybujałą ambicję.

— Rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć, ale prawda jest taka, że Persowie najechali na Grecję i że wolność wszystkich Hellenów znalazła się w niebezpieczeństwie.

Spartanin milczał przez chwilę zamyślony skubiąc brodę lewą ręką, po czym rzekł:

— Dobrze wiem, że nie warto rozpamiętywać tego, co się wówczas stało. My, Spartanie, moglibyśmy powiedzieć, że gdyby nie interwencja Aten w Azji, teraz nie mielibyśmy w Grecji Persów, z kolei wy, Ateńczycy, moglibyście powiedzieć, że gdyby Sparta przyłączyła się do Jonii, być może wyprawa zakończyłaby się zwycięstwem.

— Zgadzam się z tobą, Arystarchosie, ale znaleźliśmy się w rozpaczliwej sytuacji. Sparta koniecznie musi nam pomóc. Razem możemy zwyciężyć, oddzielnie zaś możemy zostać pobici. Dzisiaj niebezpieczeństwo zagraża Atenom i miastom Attyki, za to jutro przyjdzie kolej na Korynt, Megarę, a nawet na samą Spartę. Król Persów ma setki okrętów, które mogą przewieźć dziesiątki tysięcy wojowników i wysadzić ich na ląd w dowolnym miejscu Hellady.

— To mowa, którą wygłosiłeś dzisiaj przed zgromadzeniem, mowa bez wątplenia przekonująca.

— Tak sądzisz?

— Oczywiście, znając mój naród uważam, że twoje słowa odniosły właściwy skutek. Twój rząd dokonał świetnego wyboru wysyłając do Sparty nie tylko męża stanu, ale także zwycięzcę igrzysk olimpijskich. Spartanie prędzej ulegną męstwu niż wyszukany m słowom.

— A więc myślisz, że jutro będę mógł zanieść Atenom obietnicę natychmiastowej interwencji waszego wojska?

— Możliwe, że uzyskasz przymierze. A co do natychmiastowej interwencji...

— Tak? — wtrącił Fidypides z niepokojem.

— Obawiam się, że trzeba będzie zaczekać na pełnię księżyca. Dopiero wówczas można zwołać Zgromadzenie Jednakowych, żeby zatwierdzić decyzję eforów.

— Przecież to bezsens! — zawołał Ateńczyk. Widząc jednak, że jego rozmówca nagle spochmurniał, czym prędzej dodał: — Wybacz, ale czekanie na pełnię księżyca równałoby się odmowie. Persowie mogą zaatakować w każdej chwili.

Arystarchos, który wydawał się zmartwiony, potarł dłonią czoło.

— Moglibyście się zamknąć za murami miasta i bronić aż do naszego przybycia — powiedział.

— I zostawić wsie na pastwę grabieży i zniszczenia? Dzieśiątki wiosek nie posiadają żadnych umocnień, a nawet gdyby je miały, nie byłoby żadnej nadziei na opór. Nie wiesz, co zrobili w Eretrii? Cała Eubea została spalona i zrównana z ziemią i w końcu miasto też musiało się poddać. Wszystkich mieszkańców wzięto do niewoli. Nie, Arystarchosie, to nie jest wyjście, trzeba ich zatrzymać na brzegu, ale sami nie damy rady... Raczej nie — oświadczył Fidypides niepocieszony, po czym zamilkł z głową ukrytą w dłoniach.

— Zdaję sobie z tego sprawę — odrzekł Spartanin, który wstał i jął się przechadzać nerwowo po komnacie — z drugiej jednak strony takie jest nasze prawo i naprawdę nie widzę, jak...

— A więc nie ma żadnej nadziei...

— Posłuchaj, Fidypidesie, jutro będę namawiał na spełnienie twojego żądania, czyli natychmiastowe wysłanie wojsk, więcej nie mogę zrobić. W najgorszym razie decyzja się trochę odwlecze. W końcu pełnia księżyca już niedługo i za nieco ponad siedem dni być może będziemy walczyć ramię w ramię pod Maratonem. Wierz mi, że właśnie tego pragnę całym sercem.

— Wierzę ci — powiedział mistrz ściskając mocno dłoń spartańskiego wojownika — i jest to dla mnie ogromną pocie-

chę. Mam jednak nadzieję, że twoje słowa zostaną wysłuchane; jestem pewien, że będziemy wspólnie walczyć z wrogiem, a wtedy nadejdzie moja kolej, żeby odwdziżyć się za gościnę, której mi tak wspaniałomyślnie udzieliłeś. A teraz wybaczyć, proszę, jestem bardzo zmęczony i chciałbym się pożegnać. Niech noc podsunie ci dobrą radę, czcigodny Arystarchosie, a także twoim współobywatelom, w których rękach spoczywa teraz los nie tylko mojej ojczyzny, ale całej Hellady.

— Oby bogowie tak zechcieli — odrzekł Arystarchos wstając, po czym odprowadził gościa do jego komnaty.

— Brytos! Brytos! Szybko, nasi wracają, już widać straż przednią na drodze z Argos!

— Zaraz cię dogonię, Agiasie, zaczekaj!

Obaj młodzieńcy popędzili drogą biegnącą przez środek miasta w kierunku bramy północnej. Przepchnawszy się przez tłum kobiet, starców, chłopców, którzy nadchodzili ze wszech stron tłocząc się coraz bardziej na głównej ulicy, zdołali zająć dobre miejsce do obserwacji. Pięciu eforów, powiadomionych przez gońca, stało już przy bramie czekając na przybycie wojska.

— Popatrz, Agiasie — powiedział Brytos do swego towarzysza — tam jest czoło kolumny, a tam król.

Rzeczywiście, król Kleomenes podążał pośrodku orszaku na swym czarnym wierzchowcu czystej krwi, lekko przygarbiony, ze szpakowatą brodą zdradzającą jego nie najmłodszy wiek.

— To dziwne — zaniepokoił się Brytos — ale nie widzę ojca. Jako krewny króla powinien kroczyć u jego boku.

— Nie ma się czym martwić — odparł Agias. — Skoro nie było bitwy, nie ma poległych, taką wiadomość przekazali eforom posłańcy. Powiadają, że kiedy przybyli nasi, Ateńczycy już zdążyli wygrać bitwę. Pole pod Maratonem jeszcze było usiane trupami Persów. Wkrótce dowiemy się więcej; oto król wita się z eforami. Po południu herold powinien obwieścić na agorze, jak się wszystko odbyło.

Chłopcy podeszli bliżej kolumny wojska, która wkraczała właśnie do miasta. Żołnierze rozwierali szeregi, w miarę jak spotykali rodziny i krewnych, którzy wylegli im na spotkanie.

— Tam jest mój brat Adejmantos, chodźmy posłuchać, co się stało. Na pewno coś wie o twoim ojcu — powiedział Agias wskazując hoplite z tylnej straży. — Patrz — dodał po chwili — przysła też twoja matka razem z mamką; na pewno się zamartwiają.

Opuściwszy swój punkt obserwacyjny, obaj chłopcy wybiegli na spotkanie Adejmantosa, który wysunął się właśnie z szeregu zdejmując ciężki hełm.

— Pozwól nam ponieść zbroję, Adejmantosie, na pewno jesteś zmęczony — poprosił Agias niemal wrywając mu z ręki hełm.

— Daj, zaniesiemy ci ją aż do domu — powtórzył jak echo Brytos, ściągając mu z lewego ramienia tarczę.

Cała trójka ruszyła w kierunku wschodniej dzielnicy miasta, gdzie znajdował się dom Adejmantosa. Żołnierze otrzymali pozwolenie, by wrócić do rodzin, a nie, jak to często bywało, do koszar.

— Gdzie mój ojciec? — zapytał natychmiast Brytos. — Jak to się stało, że nie wrócił razem z wami? Kobiety z mojego domu martwią się o niego.

— Niepotrzebnie — odrzekł Adejmantos. — Jeden z członków królewskiej eskorty wkrótce da znać twojej matce. Ojciec został dłużej, żeby wziąć udział w pogrzebie jednego z poległych wojowników ateńskich.

Tymczasem dotarli do domu. Żołnierz wszedł do środka witany radośnie przez rodzinę, po czym zdjął pancerz i usiadł, jedna z kobiet zaś zabrała się do przygotowywania kąpieli.

— Wiesz, kto to był? — zapytał z ciekawością Brytos.

Adejmantos spochmurniał.

— Pamiętasz ateńskiego mistrza, który przybył do Sparty, żeby prosić nas o pomoc?

— Pewnie — odrzekł Brytos. — Gościliśmy go podczas jego pobytu w mieście.

— Zwycięzcę igrzysk olimpijskich? — zapytał Agias.

— Właśnie jego — odparł brat. — Po skończonej bitwie pokonani Persowie wsiedli na okręty, żeby uderzyć na port Faleron, bo myśleli, że nikt go nie strzeże, ale ateński wódz wysłał Fidypidesa, aby obwieścił zwycięstwo i ostrzegł obrońców mia-

sta. Fidypides przebiegł odległość od Maratonu do Aten wynoszącą dwieście pięćdziesiąt stadiów bez odpoczynku, chociaż przez cały poranek walczył na pierwszej linii. Ten straszny wysiłek kosztował go życie. Zdażył tylko przekazać wiadomość, a potem upadł na ziemię i umarł z wycieńczenia.

Obaj chłopcy milczeli oczarowani i wstrząśnięci tym, co usłyszeli.

— To był sprawiedliwy i szlachetny człowiek; poległ śmiercią wojownika i mistrza. Grecy będą o nim pamiętać.

— Muszę już iść — powiedział Brytos wstając. — Matka jest sama i czeka na mnie. Zobaczymy się jutro w palestrze — dodał zwracając się do przyjaciela.

Pożegnawszy się z Adejmantosem, wyszedł na ulicę i ruszył szybkim krokiem w kierunku bramy północnej. Kiedy ją przekroczył, skręcił ku Tajgetos, aby dotrzeć do swego domu, który wznosił się niemal u stóp wzgórza. Na skraju drogi dostrzegł grupę starców, kobiet i dzieci, należących do rodzin helotów, którzy podążali za wojskiem spartańskim jako niewolnicy i tragarze. Radość tych biednych ludzi nie miała granic. Wielu z nich pożegnało bowiem swych bliskich z ogromnym lękiem. Na temat armii perskiej krążyły potworne opowieści, chociaż więc heloci nie brali bezpośredniego udziału w walce, i tak istniały powody do niepokoju.

Gdyby bowiem wrogowie zwyciężyli, w najlepszym razie wzięliby ich w niewolę i wywieźli gdzieś daleko. Nieszczęśnicy ci nie mogliby żywić nawet cienia nadziei na wykupienie czy jakiegokolwiek pertraktacje, jako że ich rodziny ledwo wiązały koniec z końcem. Powszechne przerażenie wzmogły dodatkowo opowieści o potwornych rzeziach, jakich armia perska dokonywała na wyspach. Podobno całe narody zostały wywiezione do odległych krain bez żadnej nadziei na powrót. Młody Brytos przyglądał im się nie mogąc powstrzymać uczucia pogardy, uważał bowiem, że ten troszczący się wyłącznie o swoje nędzne życie tłum nie zasługuje nawet na to, by należeć do rodzaju ludzkiego. Jednocześnie czuł, że hańba z powodu spóźnionej wyprawy na Maraton spadła zarówno na niego, jak i na całą kastę wojowników, której był częścią. Niewyobrażalne i głośne zwycięstwo Ateńczyków podważyło autorytet, jakim cieszyły

się wojska spartańskie. Miał wrażenie, że ci nędzni heloci cieszą się z powodu wstydu, jakim okryli się ich dumni panowie, chociaż nie mają odwagi się do tego przyznać.

Na jego widok gwar ucichł i wszyscy spuścili wzrok. Tylko jeden chłopiec, nieco młodszy od Brytosa, spojrzął mu prosto w oczy z osobliwym wyrazem twarzy, po czym natychmiast się oddalił dziwacznym, kołyszącym się krokiem.

IV

TARCZA

Dla mieszkańców gór pozostała część owego burzliwego roku minęła bez dalszych wstrząsów. Powrócili zatem do swego monotonnego życia, któremu rytm nadawały jedynie zmieniające się pory roku i praca w polu.

Mając teraz znacznie większą swobodę ruchu Talos, który wyrósł na krzepkiego młodzieńca, przebywał coraz częściej w towarzystwie rówieśników. Niemal cały okres dzieciństwa i dorostania spędził z dala od innych chłopców, jako że jego gospodarstwo znajdowało się na odludziu, przy wysokim źródle, z drugiej wszakże strony heloci żyli rozproszeni wśród pól i łąk, Spartanie od zawsze bowiem zabraniali im się osiedlać w wioskach. Tylko starcy pamiętali jeszcze dawne czasy, kiedy to ich naród posiadał własne miasta otoczone murami i wieżami. Opowiadali także o wymarłym mieście, które wznosiło się na wzgórzu Itome, w samym sercu Mesenii. Pod porośniętymi mchem ruinami spoczywali dawni królowie. Zburzone i zmurszałe wieże zamieniły się w gniazda kruków i krogulców, wśród rozwalonych domów zaś rosły drzewa oliwne i dzikie figowce. Pasterze, którzy prowadzili tamtędy swoje stada, powiadali, że w noc pierwszej wiosennej pełni księżyca pośród ruin przechadza się wielki wilk, a między walącymi się ścianami słychać dziwne wycie, kiedy zaś księżyc chowa się za chmurami, spod ziemi, z brzucha góry, dobiegają jęki i płacz królów, więźniów Tanatosa...

Talos słuchał tych cudownych opowieści z otwartymi ustami, traktował je jednak jak wytwór wyobraźni, bo przecież na-

wet dorośli muszą sobie opowiadać bajki. Myślał raczej o pracy, którą należało wykonać, i o codziennych obowiązkach. Teraz to bowiem on odpowiadał za zaopatrywanie rodziny starego Kratypposa w płody rolne i doskonale wiedział, że życie w jego gospodarstwie będzie upływało we względny spokój, dopóki w domu spartańskiego pana, położonym nisko w dolinie, niczego nie zabraknie. Właśnie podczas owych wędrówek między górami a równiną zawarł znajomość z pewnym wieśniakiem helotą, który uprawiał kolejny kawałek ziemi należący do Kratypposa, w pobliżu Eurotasu.

Stary Pelias, wdowiec mieszkający z córką, nie dawał sobie rady z pracą na roli, toteż Talos co jakiś czas schodził wraz ze stadem na równinę i oddawszy je pod opiekę dziewczynie, wykonywał najtrudniejsze, najcięższe czynności, zabawiając tam niekiedy nawet po kilka dni z rzędu.

— Zdaje się, że zapomniałeś o własnym domu — żartował czasem Krytolaos. — Rzadko cię teraz widzujemy. Czy to nie aby mała Antynea zaraziła cię takim zapałem do pracy w polu? Na Zeusa, chciałem z ciebie zrobić pasterza, a tymczasem mam chłopca.

— Och, przestań, dziadku — obruszał się Talos. — Ta dziewczyna mnie w ogóle nie interesuje. Po prostu stary Pelias sam nie daje rady. Gdybym mu nie pomagał przy najcięższych pracach, nie wiedziałby, co począć.

— Oczywiście — odpowiadał Krytolaos. — Doskonale wiem, że oprócz silnych ramion masz dobre serce. Tylko doszły mnie słuchy, że mała Antynea wyrasta na bardzo powabną pannę, nic więcej.

Istotnie, córka Peliasa była naprawdę piękna. Miała długie jasne włosy i oczy zielone niczym trawa mokra od rosy. Chociaż musiała pracować w polu, miała gibkie ciało pełne wdzięku, toteż kiedy Talos widział, jak zwinnie się porusza niosąc na głowie gliniany dzban pełen wody zaczerpniętej ze źródła, odrywał się od swych zajęć. Nie dość na tym. Niekiedy wyobrażał sobie nawet, jaki kształt mają jej piersi i linia bioder pod krótkim chitonem, który ściągała w pasie tasiemką. Wszystko to spowodowało w jego dotąd samotnym i spokojnym sercu taki zamęt, że zachowywał się w stosunku do dziewczyny w szorstki, niemal

obraźliwy sposób. Wydawało mu się, że Antynea potrafi odczytać myśli z jego twarzy, robił więc wszystko, by się nie zdradzić. Nie umiał się wszakże powstrzymać, by na nią nie patrzeć, kiedy zaś pochylała się, aby zerwać garść trawy dla zwierzyny, odsłaniając uda, czuł, jak oblewa się szkarłatem, jak krew uderza mu do głowy i huczy w skroniach. Jednakże w największe zakłopotanie wprawiało go to, że Krytolaos nie musiał się niczego domyślać, że widział każdą jego najskrytszą tajemnicę jak na dłoni... i nie mógł znieść, że traktuje go jak głupiego barana w okresie godowym. W takich chwilach wołał zaszyć się w samotności słuchając skowronków i kosów albo wyruszyć do lasu, by zakładać sidła na lisy. A więc na tym polega stawanie się mężczyzną? Z pewnością, ale także na tym, że słyszy w głowie tajemnicze głosy, że odczuwa niespodziewany lęk, że ma ochotę puścić się pędem, wspiąć na najwyższy szczyt i wydać z siebie okrzyk, a potem zaczekać, aż echo odbije się od odległych ścian, że zbiera mu się na płacz, gdy słońce zachodzi oblewając czerwoną poświatą chmury, tysiące jagniątek o runie w kolorze płomieni, pasących się na błękitnym niebie, później zaś znikających w ciemnościach. Że czuje w piersiach kłaskającego melodyjnie słowika i krzyczącego ochryple krogulca, że pragnie mieć skrzydła, duże białe skrzydła, dzięki którym poleciałby daleko ponad górami i dolinami, lśniącymi od srebrzystozielonych drzewek oliwnych, ponad rzekami, wierzbami i topolami, podczas cichych, przesyconych woniami nocy, w bladym świetle księżyca. To i nie tylko to czuł w sercu kulawy Talos.

Pewnego dnia Talos prowadził owce z gór do domu Peliasa, aby mu pomóc. Zbliżało się właśnie wielkie święto Artemidy Orta, podczas którego odbywała się inicjacja młodych spartiatów, mających się stać wojownikami. Należało wysprzątać i ozdobić dom Kratypoosa, przygotować drewno na ognisko i zarzącić jagnię na ucztę. Wyruszył skoro świt ścieżką wiodącą ku równinie i właśnie wynurzył się z lasu, kiedy słońce dopiero co weszło nad horyzontem. Nagle usłyszał krzyki dobiegające z pobliskiej polany.

— Dalej, Brytos, łap ją! Nie, tamtędy! Nie pozwól jej uciec, fajłapo!

— Hej tam, pomóżcie mi, ta mała dzikuska jest chybka jak zając, a drapie jak kocica.

Domyślając się, co się święci, Talos pędem wyskoczył z lasu i wpadł jak burza na łąkę, gdzie nad brzegiem strumienia pasło się kilka koni. Ich właściciele, młodzi spartiaci, otoczyli Antyneę, która stała teraz pośrodku koła przerażona, w podartych szatach, z potarganymi włosami. Podżegany przez towarzyszy młodzieniec zwany Brytosem zbliżał się do dziewczyny, która cofała się przyciskając do piersi strzępy ubrania.

— Ej, Brytosie, pokaż no, czy potrafisz dosiąść tej klaczki! — krzyczał ordynarnie chłopak o rudawych włosach i piegowanej twarzy.

— Zostawcie ją! — wrzasnął Talos rzucając się w sam środek koła i przysuwając do dziewczyny, która przyłgnęła do jego boku drżąc na całym ciele.

— Coś ty zrobił, Talosie — powiedziała. — Przecież cię zabijają.

— Przyjaciele! — zawołał Brytos, zdoławszy ochłonąć po niespodziewanym wtargnięciu przybysza. — Bogini Artemida okazała się dzisiaj przychylna zsyłając nam nie tylko łanie, ale także tego kozła.

Talos poczerwieniał i ściskając obiema dłońmi drewniany kij, mocno zaparł się nogami.

— O, ale on groźny — szydził inny — ma kij, uważajmy, żeby nam nie zrobił krzywdy, bo nie będziemy mogli wziąć udziału w inicjacji.

— No to który go złapie? — zapytał trzeci.

— Ja! — odkrzyknął ten z rudymi włosami, zachodząc od tyłu Talosa, który z miejsca się odwrócił, aby stawić mu czoło.

— Ej, on jest kulawy! — zawołał trzeci. — Nie warto, Agiasie, to zbyt łatwe!

— No i dobrze — odparł młodzieniec z rudą czupryną podchodząc coraz bliżej Talosa. — Wezmę go gołymi rękami.

Rzuciwszy na ziemię ściskany w prawej dłoni oszczep, wypadł naprzód. Talos zrobił błyskawiczny unik wspierając się na kiju, który nieoczekiwanie wbił w ziemię, po czym kopnął przeciwnika trafiając go sztywną stopą w kark z taką siłą, że tamten

upadł bez zmysłów. W mgnieniu oka przybrał znów postawę obronną trzymając w rękach swój kij.

Wśród młodzieńców nagle zapadło milczenie. Po chwili ten, którego zwali Brytosem i który wyglądał na ich przywódcę, zwrócił się do swych towarzyszy z twarzą posiniałą ze złości.

— Dosyć tego! Pojedynkują się tylko żołnierze. Rozgniećmy tę wesz i chodźmy stąd, już mi się odechciało zabawy.

Rzucili się na Talosa wszyscy naraz, starając się uniknąć ciosów kija, który śmigał w powietrzu z zabójczą precyzją. Dwaj z nich padli na ziemię trafieni jego końcem w splot słoneczny, po czym jęli się skręcać i wymiotować. Pozostali natarli na Talosa tłukąc go drzewcami oszczepów z dziką furią. Helota bronił się zajadle rycząc niczym ranne zwierzę i usiłując wyrwać się napastnikom, którzy zasypywali go gradem kopniaków i ciosów w brzuch i plecy. W końcu przygwoździli go grzbietem do ziemi, jeden z nich zaś wbił mu kolano w żołądek.

— Posuń się — rozkazał swemu towarzyszowi Brytos.

Kiedy tamten wstał zdyszany, Spartanin uniósł oszczep, by zadać ostatni, śmiertelny cios, gdy tymczasem wstrząsany dreszczami Talos wpatrywał się weń zakrwawionymi, mokrymi od łez oczami. Brytos zawahał się przez chwilę, co widząc Antynea, która przez cały czas stała nieruchomo, sparaliżowana z przerażenia, rzuciła się z krzykiem na Talosa zasłaniając go całkowicie swym ciałem. Oszałały z wściekłości Brytos zastygł w bezruchu kurczowo zaciskając szczęki i wpatrując się jak oniemiały w plecy dziewczyny, którymi wstrząsał szloch, po czym powoli puścił oszczep.

— Zabierać tych baranów — powiedział do pozostałych wskazując na swych towarzyszy, którzy leżeli na ziemi bez czucia — i jazda stąd.

Dosiadłszy koni, oddalili się w kierunku Sparty. Brytos zastanawiał się nad spojrzeniem, które kazało mu się zawahać; te oczy już kiedyś się weń wpatrywały, ale nie wiedział ani gdzie, ani kiedy. Pamiętał, nie zdając sobie sprawy dlaczego...

Miał wrażenie, że przebudził się z głębokiego snu. Zdrętwiałe kończyny przeszywał rozdzierający ból. Poczul łagodny, ciepły dotyk — ciało Antynei zdawało się pobudzać do życia

jego ciało wstrząsane dreszczami, oblane lodowatym potem. Otworzywszy oczy, pod którymi widniały sińce, ujrzał przed sobą mokrą od łez twarz dziewczyny pobrudzoną własną krwią. Antynea tuliła go szlochając, głaszcząc drobnymi szorstkimi dłońmi jego pozlepiane włosy.

— Talosie, ty żyjesz... — szepnęła tak, jakby nie wierzyła w to, co mówi.

— Chyba tak — zdołał wykrztusić chłopiec — ale nie wiem, jak długo jeszcze. Ci łotrzy mnie zmasakrowali.

Antynea pobiegła do strumienia i zmoczywszy w chłodnej wodzie kraj chitonu, przykucnęła obok Talosa obmywając mu poobijaną twarz, zakrwawione usta, podpuchnięte oczy.

— Możesz wstać? — zapytała po chwili. — Czy wolisz, żebym poszła po ojca?

— Nie, zostań — odrzekł Talos. — Jestem cały potłuczony, ale zdaje się, że nadal w jednym kawałku. Pomóż mi, o tak. Podaj mi kij.

Chwyciwszy go, Talos wsparł się na nim, otoczył dziewczynę ramieniem i podniósł się na nogi rozprostowując obolałe kończyny. Oboje ruszyli powoli, zatrzymując się co chwila, by odpocząć. Kiedy dotarli do chaty Peliasa, słońce stało już wysoko. Słyszając ujadanie psów, ojciec Antynei wyszedł na próg i wstrząśnięty widokiem, jaki ukazał się jego oczom, wybiegł im na spotkanie.

— Na wszystkich bogów, co się stało? — zapytał z niepokojem. — Co wam zrobili?

— Ojczy, pomóż mi, prędko — odrzekła dziewczyna zapłakana. — Talos obronił mnie przed kilkoma młodymi spartiatami; cudem się uratował.

Ułożyli go na posłaniu i przykryli wełnianą derką. Chłopiec trząsł się konwulsyjnie osłabiony wysiłkiem i wysoką gorączką, która ogarnęła go po otrzymanych razach.

— Proszę was — odezwał się słabym głosem — nie mówcie nic matce ani dziadkowi; umarliby ze zgrzyoty.

— Nie martw się, synu — uspokoił go Pelias. — Poślę kogoś do nich z wiadomością, że zostaniesz u nas kilka dni, żeby pomóc mi w przygotowaniach do święta i w zbieraniu siana. Jak tylko dojdiesz do siebie, będziesz mógł wrócić zmyślając jakąś historyjkę. Powiesz, że wpadłeś w rozpadlinę.

— Tak, dobrze — szepnął Talos zamykając powieki. Pelias przyjrzał mu się błyszczącymi oczyma, po czym popatrzył na Antyneę, w której wzroku nadal czaił się strach.

— Idź się przebrać — polecił. — Z tego, co masz na sobie, niewiele zostało. Potem wróć tu i nie spuszczać go z oka ani na chwilę. Muszę iść teraz do miasta, do naszego pana. Za dwa dni święto, a ja mam jeszcze mnóstwo do zrobienia.

Zniknął zamykając za sobą drzwi i pozostawiając dom zagrożony w ciemnościach.

Wycieńczony wysiłkiem i gorączką Talos zapadł w ciężki sen. Co jakiś czas przewracał się na posłaniu jęcząc cicho. Przy każdym dźwięku, jaki wydawał, Antynea podrywała się z miejsca przysuwając się blisko niego, śledząc w półmroku wyraz jego twarzy, po czym siadała z powrotem na zydelku z rękami na podolku. Kiedy wrócił Pelias, zaczynało zmierzchać.

— Jak on się czuje? — zapytał półgłosem wchodząc.

— Zdaje się, że lepiej; śpi spokojnie i chyba ma mniejszą gorączkę, ale spuchł jeszcze bardziej — odparła dziewczyna.

Pelias uchylił nieco okno, wpuszczając do izby promień zachodzącego słońca. Na widok nabrzmiałej twarzy Talosa, jego pokrytej sińcami klatki piersiowej i podrapanych, zachlapanych krwią ramion twarz wykrzywił mu grymas bólu.

— Przekłęci — powiedział przez zęby zaciskając pięści — przekłęci. I pomyśleć, że to potomkowie najszlachetniejszych rodów w mieście... Brytos, syn Arystarchosa, Agias, syn Antymakosa, Filarchos, syn Leukipposa.

— Skąd znasz ich imiona? — zdziwiła się Antynea.

— Od przyjaciół, którzy służą u ich rodzin. Niektórzy z tych łotrów wrócili w oplakany stanie i prawda wyszła na jaw, chociaż rozpuścili pogłoskę, że to skutek wypadku podczas ćwiczeń wojskowych. Chłopak dał im bobu, mimo że był sam. Dziwne, nigdy bym go o to nie podejrzewał. Jest silny, zgoda, ale jak mu się udało powalić na ziemię trzech młodych wojowników, którzy przez cały dzień nie robią nic innego, tylko zaprawiają się w walce i sztuce władania bronią?

— Nie wiem, ojcze, mnie też to zdumiało. Szkoda, że nie widziałeś, jak wymachiwał tym kijem — odrzekła dziewczyna wskazując dereniowy kostur w kącie pod ścianą. — Manewro-

wał nim z niewiarygodną szybkością i potworną siłą. Gdyby nie rzucili się na niego wszyscy naraz, nie doprowadziliby go do takiego stanu.

Pelias milczał przez chwilę zamyślony, wpatrując się w gładkie dereniowe drewno, po czym chwycił kij obiema dłońmi.

— Ten stary Krytolaos... — szepnął. — Tylko on...

— Co powiedziałaś? — zapytała Antynea.

— Nic, nic, córeczko, mówiłem do siebie. — Odłożywszy kij, usiadł przy posłaniu Talosa. — Ale teraz chłopcu grozi niebezpieczeństwo. W każdej chwili mogą go zabić.

— Nie! — zawołała dziewczyna podrywając się z miejsca.

— Zdajesz sobie sprawę, co zrobił? Nie tylko się zbuntował, ale na dodatek podniósł rękę na spartiatów. Wystarczy o wiele mniej, żeby skazać na śmierć helotę. Na szczęście jeszcze go nie rozpoznali, ale wkrótce się dowiedzą, kim jest. Za-uważyli, że utyka.

Antynea załamała ręce wpatrując się z lękiem w twarz Talosa.

— Musi natychmiast uciekać, trzeba go będzie ukryć — powiedziała.

— Ale gdzie, córeczko? Zbiegły helota nie zdoła ujść daleko, a z drugiej strony kto niby miałby go ukryć? Rodzina, która wzięłaby go do siebie, zostałaby natychmiast stracona, gdyby to wyszło na jaw.

— Więc nie ma żadnej nadziei?

— Uspokój się, córeczko, znajdziemy jakieś rozwiązanie. Na razie jest bezpieczny; nikt nie widział, jak tu wchodziliście, przynajmniej tak mi się zdaje, a poza tym jest isierka nadziei...

— Jaka? — zapytała z niepokojem dziewczyna.

— Powiedziałaś, że przygwoździli Talosa do ziemi i że jeden z nich uniósł oszczep, żeby go przebić, zgadza się?

— Tak, zgadza się.

— Ale tego nie zrobił.

— To prawda, ale ja rzuciłam się na Talosa zasłaniając go własnym ciałem. Spartiaci przecież nie zabijają kobiet...

— Nie sądzę, żeby chodziło tylko o to. Skoro ten chłopak się zawahał, musiał mieć jakiś powód... Powód, którego chwilo-wo nie znamy, ale który z pewnością był wystarczająco ważny, żeby go powstrzymać. W każdym razie gdyby chciał, kazałby swoim towarzyszom, żeby cię zabrali, i zabilby go tak czy inaczej. A zatem nie uczynił tego z własnej woli, a skoro nie zrobił tego wtedy, gdy aż pienił się ze złości, najprawdopodobniej nie zrobi i później, z zimną krwią.

— A co z pozostałymi?

— Z twojego opisu wynika, że to był Brytos, syn szlachetnego Arystarchosa, ostatni potomek Kleomenidów. Pozostali nie zrobią nic bez jego zgody. Na razie mamy więc trochę czasu. W mieście trwają przygotowania do uroczystej inicjacji nowych wojowników, która odbędzie się pojutrze w świątyni Artemidy Ortia. — Pelias podszedł bliżej, by przyjrzeć się twarzy Talosa, i pogłaskał go po głowie. — Biedny chłopiec — szepnął — odważny niczym lew... Nie zasługuje na śmierć, nie ma nawet dwudziestu lat! — Po czym dodał zwracając się do córki: — Ugotuj wieczerzę, to przynajmniej zje cokolwiek, kiedy się obudzi.

Antynea podniosła się z miejsca uświadamiając sobie jednocześnie, że przez cały dzień nie miała nic w ustach, i zabrała się do szykowania wieczerzy dla siebie i obu mężczyzn. Po chwili zawołała ojca, który niechętnie zasiadł do stołu. Położyli się wcześniej spać, zmęczeni owym potwornym dniem.

Talos spędził noc pełną koszmarów. Przez głowę przelatywał mu szereg błyskawicznie następujących po sobie obrazów. Widział palającą gniewem twarz Brytosa, ponury błysk metalowego ostrza, które zawisło nad nim niczym wyrok śmierci, wirujące wokół twarzy pozostałych. W uszach rozbrzmiewał mu coraz natarczywiej ich szyderyczy śmiech. „Nie warto, Agiasie, on jest kulawy! Jest kulawy! Jest kulawy!” powtórzył dziesięć, sto razy jakiś piskliwy głos, coraz głośniejszy, coraz głośniejszy...

Talos obudził się w środku nocy z okrzykiem przerażenia, ze spoconym czołem i sercem, które waliło jak oszalałe. W słabym blasku księżyca ujrzał przed sobą delikatną postać Antynei. Jej włosy, otaczające łagodny owal twarzy niczym zwiewna mgiełka, wydawały się ze srebra, krótki dziecięcy chiton nie sięgał na-

wet kolan. Postawiwszy lampkę oliwną na zydelku, dziewczyna przysiadła na brzegu posłania. Talos nie zdołał jeszcze dojść do siebie — znajdował się w połowie drogi między snem a jawą. Antynea wyciągnęła rękę w milczeniu i jąła powoli ocierać mu pot z czoła rogiem derki.

Talos przyglądał jej się z zamętem w sercu, lecz ta chłodna dłoń, leżąca teraz na jego piersi, zdawała się przywoływać go z koszmaru. Twarz Antynei zaczęła się stopniowo rozplýwać w mroku, jej przepelnione niepokojem i nieskończoną słodyczą oczy pieściły zboląłą duszę i wzburzony umysł Talosa. Powoli jej twarz pochyliła się nad nim, włosy dotknęły piersi niczym ciepła fala, przypominające delikatne kwiaty wargi musnęły jego umęczone bólem i wysuszone pragnieniem usta. Serce przestało walić jak oszalałe, ustało drżenie kończyn, rozwiął się tkwiący w nozdrzach kwaśny odór krwi i w tej samej chwili kulawy Talos poczuł zapach siana, dojrzałego ziarna i polnych kwiatów, w głębi duszy zaś snił o złocistej skórze Antynei, o woni jej piersi... po raz pierwszy.

Kiedy Antynea wychodziła z trudem dźwigając ceber świeżo udojonego mleka, we wsi rozległo się pianie kogutów. Jej ojciec zdążył już wyruszyć do miasta, aby zawieźć na osłe dwa worki pełne nowalijek, które miały ozdobić stół Kratyposa w ten świąteczny dzień. Dziewczyna otworzyła drzwi do domu popychając je plecami, postawiwszy zaś na klepisku ceber, wzięła czarkę i napełniła ją dymiącym mlekiem. Nadszedł czas, by obudzić i nakarmić Talosa, zajrzała więc cicho do izby, w której spał, i natychmiast spostrzegła, że poplamione gdzieś niedługo krwią posłanie jest puste. Antynea o mało nie osunęła się na ziemię, szczęście, że przytrzymała się okna. Pomyślawszy, że nie mógł zająć daleko, czym prędzej wypadła na dwór. W pierwszej chwili pobiegła wzdłuż strumienia w kierunku lasu, nie znalazła wszakże żadnych śladów Talosa, ruszyła więc ku wzgórz, ale szybko porzuciła ten zamysł; chłopiec nie mógł pójść tamtędy — nie miał powodu, by wracać do swoich bez pożegnania. Istniało zatem tylko jedno wyjaśnienie: musiał się udać do Sparty, jedyne miejsce, do którego ani ona, ani jej ojciec nie pozwoliliby mu iść pod żadnym pozorem.

Wróciwszy do domu wyczerpana, usiadła przed drzwiami i rozplakała się nie bacząc na nowo narodzonego cielaczka, który przyglądał jej się dużymi wilgotnymi oczami. Kiedy przygnębienie nieco minęło, Antynea wstała, weszła do domu, chwyciła płaszcz, którego połę naciągnęła sobie aż na głowę, i ruszyła szybkim krokiem do miasta, gdzie na ulicach i placach roily się tłumy.

Nie myliła się — Talos krążył już od jakiegoś czasu na słabych nogach, nasunawszy na oczy połę płaszcz, aby nie rozpoznał go nikt z ciżby, która przelewała się coraz liczniej w kierunku świątyni Artemidy Ortia, gdzie miała się rozpocząć wielka uroczystość ofiary i inicjacji nowych wojowników.

Z pobliskich wsi nadciągnęło sporo periojków wraz z rodzinami; można też było dostrzec niemało helotów. Wielu z nich przybyło tu z pewnością po to, by zanieść swoim panom pierwsze plony własnych upraw, innych zaś przygnęła ciekawość — zapragnęli wziąć udział w obchodach święta i popatrzeć na okrutny rytuał inicjacji. Nagle z głębi placu przed świątynią rozległo się walenie w bębny i dźwięk aulosów. Talos doskonale pamiętał to brzmienie, po raz pierwszy bowiem usłyszał je wtedy, gdy zszedł ze wzgórza na brzeg Eurotasu, by zobaczyć żołnierzy. Kiedy tłum się rozstał, ukazał się orszak: na przedzie szli kapłani w białych szatach, z głowami owiniętymi długimi wełnianymi opaskami, które opadały im aż do ramion, następnie heroldowie, a za nimi służba świątynna. W pewnej odległości od nich podążały oddziały Jednakowych: wojownicy odziani w tuniki i czerwone płaszcze, w lśniących zbrojach, w hełmach z wysokimi grzebieniami z końskiego włosia.

Ukryty za kolumną Talos, widząc, jak maszerują rytmicznie w idealnym szyku, poczuł przebiegający mu po krzyżu dreszcz: przypomniał sobie, jak będąc dzieckiem siedział na skraju zakurzonej drogi, przed nim zaś stanął żołnierz, który wpatrywał się weń oczyma pełnymi bólu. Jednakowi zaczęli zmieniać szyk rozdzielając się kolejno na cztery szeregi i otaczając plac, po czym zatrzymali się, nieruchomi niczym posągi, tarcza przy tarczy, z dłońmi zaciśniętymi na drzewcach długich lśniących włóczni. Kolumnę zamykała gwardia królewska ze szkarłatnymi pióropuszcami, które falowały na wietrze, z ogromnymi

tarczami, na których widniały herby najznamienitszych rodzin w mieście. Na jednej z tarcz Talos dostrzegł smoka o lśniących drewnianych łuskach. Drgnął, na próżno usiłując dojrzeć oczy w hełmie, który zakrywał niemal całkowicie twarz wojownika. Za nim podążali król Kleomenes na czarnym koniu i król Leoty-chidas na bułanym wierzchowcu z Koryntu, obaj w rzeźbionych zbrojach i obszernych błękitnych płaszczach, opadających aż na końskie grzbiety. Na koniec ukazali się paidotrybowie i dowód-cy koszar, a za nimi młodzieńcy, którzy pragnęli zostać irenes, mężczyźni i żołnierze, obrońcy potęgi i honoru miasta.

Zasiadłszy na tronach, obaj królowie dali znak heroldom, by zadęli w trąby, po czym rozpoczęło się składanie ofiar. Ciepła krew zarżniętych zwierząt ofiarnych spłynęła na bruk, po placu zaś rozszedł się kwaśny odór, kiedy ich wnętrzności włożono do ognia na ołtarzu. Nadeszła wielka chwila: rozwarły się wrota świątyni, a w nich pojawiło się pięciu eforów, którzy zajęli miejsca wśród gerontów. Kiedy pierwszy z nich podniósł prawą dłoń, heroldowie jęli wywoływać imiona młodzieńców: Krezylasa, syna Eumenesa; Kleandrydasa, syna Eupitesa; Bry-tosa, syna Arystarchosa...

Talos drgnął; mimo wyczerpania poczuł w ciele dziwną energię. Wówczas zdał sobie sprawę, że przyszedł tu właśnie w tym celu. Ów młodzieniec, którego nigdy wcześniej nie spotkał, o mało go nie zabił i prawdopodobnie nadal mógłby to zrobić, musiał się więc przekonać, czy tak się stanie.

Wypowiedziawszy rytualne zaklęcia, kapłani odsunęli się na bok, słudzy zaś zdjęli młodzieńcom szaty, po czym mocno powiązali ich parami za ręce. Na dźwięk aulosów rozpoczęło się biczowanie, podczas którego gapie nagle zamilkli. Po pierwszych uderzeniach bicza młodzieńcy zeszywnieli straszliwie napinając wszystkie mięśnie, po czym zmęczeni po nadmiernym wysiłku przestali udawać bohaterów kuląc się z bólu po każdym razie.

Talos przepychał się przez tłum zaciskając zęby z bólu, który sprawiały mu szturchańce i kuksańce. W końcu udało mu się dotrzeć do pierwszego rzędu widzów oglądających przerażający rytuał. Jego nieugięty wzrok spoczywał na poranionym ciele Brytosa, który ciągle trzymał się na nogach, chociaż jego dwóm

towarzyszom, wezwanym wraz z nim na próbę, zaczynały się uginać kolana. Nadal rozbrzmiewała osobliwa zimna muzyka aulosów, której towarzyszy! trzask biczów uderzających o gołe plecy. Pierwszy upadł na ziemię Krezylas, natychmiast podtrzymali go wszakże słudzy i wnieśli ze świętego kręgu, potem nastąpiła kolej Kleandrydasa. Chociaż wszyscy przeszli próbę zwycięsko, każdy z nich starał się wytrzymać aż do końca, chcąc pokazać, że jest bardziej odporny na ból niż pozostali. Zostawszy sam, Brytos stał zaciskając zęby, z włosami przylepionymi do czoła, z pierśią mokrą od potu, ze spływającą po nogach krwią. Miał już szklany wzrok, jednak się nie poddawał.

Talos ze wstrętem spuścił oczy, kiedy zaś znów spojrział przed siebie, zobaczył, jak Brytos opada najpierw na kolana, potem na łokcie z głową zwisającą między ramionami. Jego duszę zatrutą pragnieniem zemsty ogarnęła gorzka radość. Słudzy podeszli do Brytosa, aby go podnieść, on jednak ich odepchnął, po czym powoli podniósł głowę spoglądając na tłum przed sobą. Wówczas Talos odrzucił poję płaszcz odsłaniając pobijaną twarz. Mrugnawszy kilka razy, by uwolnić oczy od łez i potu, Brytos rozpoznał go. Wpatrywali się w siebie nawzajem wzrokiem, w którym był gniew, pragnienie zemsty, wyzwanie i... podziw.

Rytuał trwał dopóty, dopóki wszyscy młodzieńcy nie przeszli przez próbę inicjacji. Następnie zaś okrywając plecy czerwonymi płaszczami irenes, każdy świeżo upieczony wojownik otrzymał tarczę, na której widniała ogromna lambda oznaczająca Lacedemon, czyli dawną nazwę Sparty.

„Który z tych młodych mężczyzn będzie kiedyś dzierzył tarczę ze smokiem?” zastanawiał się Talos. Ojcowie irenes kolejno położyli na ziemi broń, po czym opuściwszy szeregi wokół placu i odebrawszy z rąk kapłanów tarczę, każdy z nich wręczył ją własnemu synowi. W pewnej chwili Talos ujrzał więc wojownika ze smokiem kładącego broń, opuszczającego szereg gwardii króla Kleomenesa, odbierającego z rąk kapłanów tarczę z lambda i wręczającego ją Brytosowi. Ogarnęło go ogromne wzburzenie, jakby odległe uczucia z dzieciństwa powróciły mieszając się z nienawiścią do Brytosa, urazą, zranioną dumą, strachem.

— Chcesz dać się zabić za wszelką cenę, głupcze? — szepnął mu do ucha jakiś głos.

Był to Pelias, który powiadomiony przez Antyneę szukał go tak długo, aż znalazł w tłumie oglądających rytuał inicjacji.

— Nie obawiaj się, Peliasie — odrzekł spokojnie Talos. — Już mnie rozpoznano, ale nic się nie stało. Nie wiem dlaczego, lecz nic się nie wydarzyło.

— Ale po co bezsensownie narażać się na śmierć? — zapytał z wyrzutem Pelias.

— Nie zadawaj mi takich pytań, bo nie potrafię na nie odpowiedzieć. Wiem tylko jedno: musiałem zrobić to, co zrobiłem. Tak czy inaczej nie wierzę, aby można było uciec przed przeznaczeniem, lepiej więc wyjść mu naprzeciw.

— Chodźmy stąd, Talosie — poprosiła Antynea biorąc go delikatnie za rękę. — Jesteś jeszcze słaby i zmęczony.

Ośloniwszy głowę, Talos ruszył za Peliasem i Antyneą. Cała trójka opuściła czym prędzej główną drogę skręcając w jedną z wielu uliczek tworzących zwartą i poplątaną sieć starożytnego miasta. Dotarli do placu, na którym wznosiła się kolejna duża świątynia — świątynia Ateny Chalkiojkos.* Okrążywszy masywną budowlę, ruszyli dalej wśród niskich domków pobielonych wapnem, po czym wyszli na drogę do Amyklai, pozostawiając je wkrótce z tyłu, by dotrzeć do gospodarstwa Peliasa.

* Chalkiojkos - „mieszkająca w spiżowym domu” (przyp. tłum.).

KRYPTEJA

Tego dnia w domu czcigodnego Arystarchosa było święto. Zostawszy jednym z irenes, jego syn Brytos spędzał właśnie z rodziną ostatni tydzień przed wstąpieniem do koszar jako członek dwunastej sisytii, której żołnierze, w liczbie piętnastu, zostali wcieleni do trzeciego z czterech lochosów, z jakich składała się wówczas armia spartańska. Przez dziesięć długich lat to ona miała być jego rodziną, tam miał jeść i spać, a do domu wracać tylko przy szczególnych okazjach. Ismena od dawna już przygotowywała się do tej rozłąki, jak bowiem każda spartańska matka doskonale wiedziała, że urodziła syna przede wszystkim dla miasta, a nie dla siebie i męża. Z drugiej zaś strony Brytos zdążył już przejść przez wszystkie stopnie inicjacji i zdarzały się długie okresy, kiedy to mieszkał wraz ze swymi towarzyszami z dala od domu, słuchając rozkazów paidotrybów, którzy poprzez wyjątkowo twarde szkolenie ćwiczyli w nich odporność na zmęczenie, zimno i głód oraz wytrzymałość na ból bez ani jednego jęku. Wytrzymawszy próbę biczowania dłużej niż ktokolwiek inny, Brytos wzbudził podziw tłumu przyglądającego się uroczystościom poświęconym Artemidzie Ortia, wszyscy też byli przekonani, że bez wątpienia zostanie on jednym z najsilniejszych i najdzielniejszych wojowników Sparty. Mimo to Ismenie obca była spokojna duma jej męża; utrata pierwszego syna pozostawiła w jej sercu niezatarty ślad.

Wprawdzie od dzieciństwa wychowywano ją tak, aby potrafiła się bez trudu pogodzić ze stratą syna w imię honoru

i bezpieczeństwa kraju, lecz sama świadomość, że Brytos jest jedynym synem, jaki jej pozostał, napawała ją lękiem, od którego nie umiała się wyzwolić. Zdawała sobie bowiem sprawę, że obdarzony zapalczywym charakterem chłopiec zawsze będzie gnał na pierwszy ogień, tam gdzie najbardziej niebezpiecznie, a ponadto dla Sparty wojna była o wiele bardziej prawdopodobna niż pokój. Przyglądała się, jak pakuje swoje rzeczy przy pomocy mamki i jednego z niewolników. Doszedł do siebie po ciężkiej próbie w ciągu zaledwie sześciu dni i chociaż nie był jeszcze całkiem zdrow, poruszał się z niezłą zwinnością. Sama przyrządziła maść, którą smarowała mu sińce i rany na plecach po uderzeniach bicia. .

W końcu nadeszła ta chwila: Arystarchos miał mu wręczyć podarunek, jaki zwykle się dawać przy takich okazjach. I rzeczywiście, usłyszała właśnie, jak przywołuje syna z zewnętrznego dziedzińca.

— Brytosie, nie chcesz zobaczyć podarunku od ojca?

Młodzieniec natychmiast porzucił swoje zajęcie i pobiegł na dziedziniec.

— Oto mój podarunek — oznajmił Arystarchos.

Na jego znak zza rogu domu wyszedł niewolnik z trudem prowadząc na smyczy wspaniałą okaz lakońskiego molosa. Promieniejący radością Brytos serdecznie uścisnął dłoń ojca.

— Tylko szlachetny Arystarchos mógł ofiarować tak piękny i cenny podarunek — powiedział. — Dziękuję, ojcze, jest naprawdę zachwycający. Chyba nigdy dotąd nie widziałem tak pięknego zwierzęcia.

— Na dodatek jest wytresowany. Już od trzech lat szkoli go w naszym majątku w Tegei najlepszy hodowca w kraju.

— To wielka nieostrożność, ojcze — uśmiechnął się Brytos. — A gdybym nie przeszedł pomyślnie próby?

— Wtedy zatrzymałbym go dla siebie, więc jak widzisz, wcale by się nie zmarnował. Ale wiedz, że byłem pewien, iż syn Arystarchosa będzie najlepszy, i nie pomyliłem się. Król osobiście mi pogratulował twojej znakomitej próby, ale nie musiałeś posuwać się aż tak daleko. Matka bardzo cierpiała na placu; to dumna kobieta, ale jednak kobieta — powiedział Arystarchos spuszczać wzrok.

— Och, ojczē, dobrze wiesz, że wojownik nie może się przejmować takimi rzeczami.

— Tak, synu, tak się powszechnie uważa, ale nie zapominał, że prawdziwy wojownik to prawdziwy mężczyzna, a prawdziwy mężczyzna ma twarde mięśnie, jasny umysł, a także serce. Jeśli brakuje jednej z tych rzeczy, osłaniająca cię zbroja jest tylko pustą skorupą.

Brytos milczał przez chwilę spoglądając na ojca z zaskoczeniem.

— No i co, synu — ciągnął Arystarchos — nie odbierzesz swego podarunku? Patrz — dodał biorąc smycz z rąk niewolnika. — Wabi się Melas; dałem mu takie imię ze względu na kolor sierści. Rzadko się spotyka psy o tak intensywnie czarnym i lśniącym umaszczeniu.

Olbrzymi molos, czarny niczym noc, podszedł do nowego pana i obwąchał mu rękę.

— Widzisz? — powiedział Arystarchos z uśmiechem. — Zdaje się, że już wie, kto jest jego panem. Myślę, że zostaniecie dobrymi przyjaciółmi. Ale teraz idź do matki; z nią też powinieneś spędzić trochę czasu. Jutro znajdziesz się w sasytii, a w ciągu najbliższych dwóch lat nie będziesz miał zbyt wielu okazji, żeby z nią porozmawiać.

Obudzwszy się nazajutrz o świcie, Brytos zjadł skromny posiłek w towarzystwie rodziców, po czym włożył zbroję, pożegnał się z nimi i wyszedł. Przemierzył obszerny prostas pozdrawiając skinieniem głowy wizerunki kleomenidzkich bohaterów, odsunął rygiel i otworzył drzwi wychodzące na dziedziniec zewnętrzny, gdzie czekał już na niego niewolnik helota wraz z pakunkami. W tej samej chwili usłyszał, że ktoś go woła.

— Brytosie!

Matka stała wyprostowana przy palenisku. Młodzieniec zawrócił.

— Czego sobie życzysz, matko?

— Jeśli pozwolisz, chciałabym cię o coś zapytać — odrzekła Ismena. — Pamiętasz dzień próby?

— Oczywiście.

— Po tym jak opadłeś na ziemię, na kolana.

— I co dalej?

— Słudzy chcieli cię podnieść, ale dałeś im znak, żeby się odsunęli. Przez jakiś czas trwałeś w tej pozycji wpatrując się usilnie w kogoś przed tobą...

Brytos zmarszczył brwi.

— Kto to był?

— Helota.

— Helota?

— Helota... kulawy.

Odwrócił się i przemierzywszy prostaś, w którym rozbrzmiewały odgłosy nabijanych ćwiekami podeszew, wyszedł na zewnątrz zostawiając za sobą otwarte drzwi. Ismena zaś stała wpatrując się w popiół. W jej ogromnych oczach lśniły łzy.

Talos martwił się, że jego zbyt długa nieobecność może zaniepokoić rodzinę, starał się więc przyspieszyć powrót mimo nalegania gospodarza, który chętnie zatrzymałby go u siebie na dłużej.

— Muszę iść, Peliasie. Matka w końcu zacznie coś podejrzewać, a dziadek stanie się nieznośny. Ten starzec to chytry lis; będzie mi zadawał tysiące pytań, aż w końcu wpadnę w jego sidła. Wierz mi, lepiej będzie, jeśli sobie pójdę, także dla ciebie. Jeżeli nic mi się nie stanie, niebawem znów się zobaczymy.

— Tak, może rzeczywiście lepiej, jak wrócisz do domu, synu, ale uważaj na siebie i bądź ostrożny. Jesteś pewien, że dobrze się czujesz? Czeka cię długa droga, a ścieżka, która prowadzi w góry, jest bardzo stroma. Chcesz, żebym z tobą poszedł?

— Nie, Peliasie, jeśli mnie odprowadzisz, wyda im się to podejrzane. Mój dziadek Krytolaos...

— Wiem, dziadek Krytolaos jest chytry jak lis. No to do zobaczenia, Talosie. Nigdy nie zapomnę tego, co zrobiłeś dla Antynei. W razie potrzeby możesz na mnie liczyć. Moje drzwi zawsze będą dla ciebie otwarte, gotów jestem także oddać ci wszystko, co posiadam, choć tego niewiele...

— Och, Peliasie — przerwał mu Talos z uśmiechem — nie mów tak! W gruncie rzeczy nie zrobiłem nic ponad to, że dałem sobie sprawić cięgi.

Pożegnawszy Antyneę długim spojrzeniem, ruszył ścieżką wiodącą ku Tajgetos.

— Odprowadzę cię do lasu — powiedziała dziewczyna.

— Nie, lepiej będzie, jeśli zostaniesz. A w ciągu najbliższych dni nie powinnaś się oddalać od domu pod żadnym pozorem. — Poglaskała ją po włosach. — Bądź spokojna, Antyneo, nie lękaj się o mnie; w górach nic mi się nie może stać.

Ruszył w drogę, po chwili zaś zniknął wśród drzewek oliwnych rosnących u stóp Tajgetos.

Talos przyśpieszył kroku ogarnięty niepokojem, którego nie potrafił wytłumaczyć. Nie było go w domu od wielu dni i chociaż Pelias zapewnił go, że jego rodzina została uprzedzona, czuł się nieswojo wiedząc, iż musi skrywać poważną tajemnicę przed Krytolaosem. Poza tym lękał się tego, co może mu się stać, i martwił się, że nie może zapytać o radę ani skorzystać z doświadczenia dziadka, którego uważał za najmądrzejszego człowieka na ziemi. Co czekało go w ciągu najbliższych dni, miesięcy, a nawet lat? Słyszał o ludziach, na których Spartanie wydalі wyrok śmierci, oni zaś żyli długo, a potem nagle dosięgało ich przeznaczenie. Przypomniāł sobie męczyznę z głową osłoniętą połą płaszczā, którego spotkał przy wysokim źródle tamtego dnia, kiedy Krytolaos poddał go próbie z łukiem. Najprawdopodobniej w Sparcie wiedziano także i o tym. W takim razie dlaczego nic się nie stało? Na co czekali? Udał się do miasta, ukazał się na placu, z pewnością został rozpoznany przez tego spartiatę... i nic. W tej samej chwili przypomniał sobie to, co słyssał o strasnej kryptei, tajnej organizacji wojskowej. Mieszkający w górach heloci powiadali, że jej członkowie pilnują wszystkich tych, których uważają za niebezpiecznych, aby usunąć ich bez litości, często niespodziewanie, w mroku nocy albo w gęstym lesie. Ileż to razy słyssał tę budzącą grozę nazwę, którą wypowiedano, gdy w środku lasu albo w chacie znaleziono martwe ciało jakiegoś heloty! Krytolaos wspominał mu kiedyś o pewnym wieśniaku z równiny, poszukiwanym przez krypteję, który dzięki pomocy pasterzy z gór uciekł aż do Mesenii, a którego bezlitosna zemsta Sparty dosięgła cztery lata później w Methone, w portowej tawernie. Nagle las, w którym zawsze czuł się pewnie i bezpiecznie, w którym tyle razy stawał oko w oko z wilkiem czy niedźwiedziem nie czując przy tym lęku, wydał mu się wrogi i pełen niebezpieczeństw. Miał wrażenie, że

ktos nań czyha, że został osaczony. Usiłował odepchnąć te myśli przyspieszając kroku, starał się opanować. Jakże nie chciał być teraz sam — nawet towarzystwo małego, starego Kriosa podniosłoby go na duchu. Antynea. Jakie to dziwne: nie potrafił pojąć, co się z nim dzieje. To było niczym czary, teraz zaś nieustannie widział jej twarz i oczy, śnił o jej szorstkich dłoniach chłopki, o bosych stopach, o złotych włosach. Ale to mu nie wystarczało. Myślał o nieszczęśliwych wieśniakach z równiny, o pasterzach z gór, przykutych do roli, przytłoczonych odpowiedzialnością za rodziny, które były wiecznie narażone na okrucieństwo ze strony panów. Myślał o Peliasie, który musiałby znosić hańbę córki bez słowa skargi, aby nie ściągnąć sobie na głowę jeszcze gorszych nieszczęść. Myślał o własnej walce z młodymi spartiatami, która napawała go dumą. Nie, nie ugnie się. Skoro potrafi zadawać ciosy swoim panom, być może nie urodził się po to, by zostać niewolnikiem. Myślał o wielkim rogowym łuku i o przekłętym mieczu spoczywającym pod ziemią. Czego oczekiwał od niego Krytolaos? Czego chciał? Nadszedł wreszcie czas, aby się tego dowiedzieć — zaraz go zapyta.

Mocując się z tymi wszystkimi myślami Talos dotarł do kresu swej wędrówki i właśnie opuszczał las wkraczając na obszerną polanę wśród gór.

Przystanął, aby popatrzeć na swoją ziemię, na chatę, która widniała w oddali pokryta strzechą, na zagrodę dla owiec. Za chwilę Krios wybiegnie mu na spotkanie szczekając radośnie. Podążając łąką, na podwórzu przed domem dostrzegł grupę ludzi — chyba pasterzy — ale Kriosa nigdzie nie było widać. Co się mogło stać? Kiedy wbiegł na klepisko, pies podszedł do niego merdając ogonem i usiłując go dojrzeć przesłoniętymi kataraktą oczami. Jeden z mężczyzn chwycił go za ramię.

— Talosie — odezwał się — twój dziadek Krytolaos...

Chłopiec poczuł, jak ogarnia go lodowaty chłód.

— Co się stało? — zapytał z lękiem.

— Jest chory.

— To znaczy, że umiera?

Mężczyzna spuścił głowę. Talos otworzył drzwi i wszedł do środka. Minawszy izbę z paleniskiem, odsunął matę, która oddzielała ją od następnej izby, gdzie leżał Krytolaos. Siedzą-

ca na zydelku matka wpatrywała się weń w milczeniu oczyma pełnymi łez. Promień słońca oświetlał skromne postanie, wychudzone dłonie starca, jego pooraną bruzdami twarz i pogodzone oczy, które zdawały się szukać jakichś odległych obrazów. Talos ukląkł obok ściskając jego zimną dłoń. Starzec odwrócił ku niemu twarz.

— Wiedziałem, że przyjdiesz — wyszeptał. — Czekałem na ciebie; nie mogłem zamknąć oczu, dopóki cię nie zobaczyłem.

— Co ty mówisz? — przerwał mu Talos drżącym głosem. — Nie raz już chorowałeś, niedługo staniesz z powrotem na nogi i pójdziemy razem do źródła.

— Nie, Talosie. Dziś w nocy poczułem, jak Tanatos przychodzi na dachu domu; nadszedł mój czas.

Chłopiec pogłaskał go po białych włosach.

— Bzdury, dziadku, wdrapię się na dach i przegonię Tanatosa kijem. Nie pozwolę ci odejść. Jeszcze tyle musisz mnie nauczyć... — Czuję, że coś ściska go za gardło. — Chcesz zostawić to piskłę kosa na pastwę losu, Krytolaosie?

Starzec spojrzał nań zamglonym wzrokiem.

— Krytolaos jest zmęczony — wysapał. — Idzie na spotkanie swoich przodków... Piskłę kosa... — dodał po chwili z nieznacznym uśmiechem. — Nie, teraz widzę przed sobą młodego wilka.

Talos poczuł, jak dłoń starca zaciska się słabo na jego ręce.

— Wiedziałem wszystko — powiedział Krytolaos. — Wiedziałem, że pewnego dnia musi do tego dojść.

— Co wiedziałeś? — zapytał Talos przysuwając się bliżej, by nie uronić ani słowa z ust konającego starca.

— O twojej... walce... na równinie. — Krytolaos wpatrywał się w ciągle wyraźne ślady ciosów na twarzy i ramionach chłopca. — Posłuchaj... Talosie, oni przyjdą, wiesz o tym, przyjdą, musisz być gotów... łuk... królewski łuk nie może wpaść w ich ręce.

— Tak... Łuk króla jest bezpieczny, ale nie mów nic więcej, nie przemęczaj się.

— To na nic, Talosie, dzisiaj jest ostatni dzień Krytolaosa, pamiętasz?

Talos ujrzał oczyma duszy ciemną jaskinię, zbroję lśniącą w blasku pochodni...

— Talosie, mój chłopcze, nie doczekam jutra... Odejdę wraz z ostatnim promieniem słońca... Teraz ty jesteś strażnikiem broni króla Aristodemos... Świętego... i przekłętego miecza.

Talos poczuł przebiegający mu po krzyżu dreszcz, chwycił więc mocniej kościstą dłoń starca z oczyma mokrymi od łez, ze ściśniętym sercem.

— Ten starzec... — ciągnął coraz słabiej Krytolaos — ten starzec to ostatni przywódca tego narodu... Talosie, Talosie... Pewnego dnia twój naród wyzwoli się z pęt, a miasto... umarłe miasto w Mesenii powstanie z ruin... To będzie dzień... ostatniej próby.

Starzec mówił z ogromnym trudem; jego koścista klatka piersiowa unosiła się w przedśmiertnym rżeniu.

— Posłuchaj mnie, Talosie... posłuchaj, tego dnia przyjdzie do ciebie człowiek ślepy na jedno oko. On może zdjąć kłatwę z królewskiego miecza...

Starzec szukał wzrokiem światła słonecznego, wpadającego przez nie domknięte okiennice. Rozlegające się za oknem cykanie świerszczy brzmiało niczym dalekie dźwięki muzyki. Czując, że jego dłonie są lodowate, Talos położył mu głowę na piersi.

— Nie odchodź, Krytolaosie... Nie odchodź — błagał ochryplym głosem. — Jak sobie poradzi kulawy Talos...

— Nie — odrzekł starzec. — Nie, Talos Wilk... Miecz... króla.

Talos poczuł, że serce Krytolaosa przestało bić. Starzec leżał na posłaniu bezwładnie; siwa głowa opadła mu na bok, jasne oczy wpatrywały się w pustkę. Położył mu dłoń na czole zamykając powieki, po czym długo mu się przyglądał stojąc pośrodku izby pogrążonej w głuchej ciszy. W nieruchomym powietrzu umilkło nawet cykanie świerszczy; słychać było tylko jednostajne brzęczenie much, towarzyszek Tanatosa. Wyszedł odsuwając powoli matę i ujrzał swoją matkę przycupniętą w kącie, zalaną łzami.

— Krytolaos nie żyje — zwrócił się do górskich pasterzy. — Oddajcie mu cześć.

Mężczyźni spuścili pociemniałe twarze. Nagle podszedł do niego brodaty olbrzym i kładąc mu rękę na ramieniu rzekł:

— Cześć Krytolaosowi. — Po czym dodał zwracając się do pozostałych: — I cześć Talosowi Wilkowi!

W tej samej chwili chłopiec napotkał wzrok matki: jej szare, teraz już suche oczy pełne były bolesnego zdumienia.

— Musi umrzeć! — zawołał oszalały z wściekłości Agias. — Nie można puścić płazem tego, co zrobił ten bękart. I nie rozumiem, dlaczego z takim uporem go bronisz. Gdyby nie ty, już by było po wszystkim.

— Agias ma rację — wtrącił Filarchos. — Trzeba go usunąć i to szybko. Poza wszystkim innym może się stać niebezpieczny.

Brytos milczał przytłoczony słowami swoich towarzyszy. Nagle wstał.

— Niebezpieczny? — powtórzył kpiąco. — Kulawy helota? Wojownicy Sparty, jesteście pewni, że nie postradaliście zmysłów? Gęgacie jak stado wystraszonych gęsi tylko dlatego, że kulawy pasterz dzielił was parę razy kijem, psując wam przyjemność zabawienia się z jakąś chłopką cuchnącą oborą i krowim łajnem.

— Nie żartuj — przerwał mu zsiniały ze złości Filarchos. — Dobrze wiesz, co mówi nasze prawo. Gdybyśmy pozwolili tym łajdakom się buntować, wkrótce mielibyśmy tutaj powstanie. Heloci stanowią ciągle zagrożenie dla Sparty i doskonale zdajesz sobie z tego sprawę. Nie widziałeś, jak wymachiwał tym kijem? Ktoś musiał go nauczyć techniki wojskowej. Jest w tym wszystkim coś niejasnego.

— Bajki, Filarchosie — odparł natychmiast Brytos. — Wszyscy pasterze potrafią się posługiwać kijem; przecież muszą umieć bronić stada przed wilkami albo wypędzić lisa z kurnika. Ale jeśli to co mówisz, jest prawdą, jeśli ten kaleka został przez kogoś wyszkolony, tym bardziej nie należy go zabijać. Posłuchaj mnie uważnie — dodał kładąc dłoń na ramieniu swego zapalczywego towarzysza — i ty też, Agiasie, i wy, przyjaciele, ruszcie głową, jeśli potraficie. Jeżeli to prawda, że w sposobie, w jaki ten pasterz posługuje się kijem, jest coś podejrzanego, co

o ile dobrze zrozumiałem wasze słowa, świadczy o wyszkoleniu wojskowym, na pewno zabijając go nie rozwiążemy tej zagadki. Jak powszechnie wiadomo, umarli nie mówią, mam rację?

Młodzieńcy umilkli oszołomieni i jak zwykle zdominowani silną osobowością syna Arystarchosa.

— W dzień inicjacji — ciągnął Brytos siedząc wśród towarzyszy — udowodniliśmy, że jesteśmy najsilniejsi wśród młodzieży Sparty. Teraz należymy także do kryptei, a to oznacza, że nasi zwolennicy uważają nas za zdolnych do posługiwania się nie tylko rękami, ale również rozumem. Załatwię tę sprawę, lecz po swojemu. Czy kiedykolwiek widzieliście, żebym zdradzał ze strachu albo cofnął się przed jakimkolwiek przedsięwzięciem? Podczas długich przygotowań do inicjacji widzieliście, jak podejmowałem się zgola innych zadań niż przygwożdżenie do ziemi kulawego heloty uzbrojonego tylko w kij. Z drugiej strony jeśli powiadomimy zwierchników, że zamierzamy zabić tego pasterza, będziemy musieli udzielić im jakichś wyjaśnień, tym bardziej że na pewno służy u któregoś z rodzin w mieście. Czy jeśli rozniesie się wieść, że jakiś kulawy helota dał wam bobu za pomocą kija, przysporzy to chwały wam, spartańskim wilkom?

Młodzieńcy pospuszczali głowy.

— Nie mówiąc już o tym — ciągnął nieubłaganie Brytos — że jeśli go zabijemy, nigdy się nie przekonacie, czy potraficie dorównać temu lichemu pastuchowi walcząc tą samą bronią co on!

— Brytos ma rację — stwierdził jeden z jego towarzyszy, po czym zwracając się do niego zapytał: — Zatem zgoda, ale co w takim razie proponujesz?

— Świetnie, Eurytosie, a teraz pomóż mi przekonać resztę tych zakutych łbów.

Brytos milczał przez chwilę zamyślony.

— Posłuchajcie, przyjaciele — powiedział łagodniejszym tonem — załatwię tę sprawę przy pomocy najwyżej dwóch lub trzech z was. Damy mu do zrozumienia, że nie powinien nawet myśleć o buncie, i raz na zawsze odbierzemy mu ochotę na udawanie bohatera.

— Jak chcesz, Brytosie — odparł Agias wstając. — Według mnie powody, dla których chcesz ocalić życie tego łajdaka,

są więcej niż wystarczające, ale jestem pewien, że istnieje jeszcze jeden, który tylko ty znasz, a którego nie chcesz wyjawić.

Co rzekłszy, zarzucił sobie płaszcz na ramiona i wyszedł trzaskając drzwiami.

— Tak, może jest jakiś inny powód — mruknął do siebie Brytos — ale mylisz się, Agiasie, jeśli myślisz, że go znam.

Od tamtej nocy minęły dwa miesiące, dwa straszne miesiące, podczas których Talos, przytłoczony śmiercią Krytolaosa, niemy ból matki i myślą o trudnym dziedzictwie, jakie mu przypadło w udziale, spędzał całe dni, a niekiedy i noce, pogrążony w głębokiej zadumie. Był pewien, że odziedziczył prawdziwy autorytet — wywnioskował to ze sposobu, w jaki odnosili się do niego górale. Ciągłe poznawał nowych ludzi, wyczuwał wokół siebie coraz gorętszą nadzieję, jakąś osobliwą wiarę. Mężczyźni z Tajgetos rozmawiali z nim teraz, jakby był jednym z nich, dzieląc się z nim własnymi cierpieniami, bezsilną złością, obawami. Czego jednak się po nim spodziewali? Ile tak naprawdę wiedzieli na temat tego, co wyjawił mu Krytolaos? Na domiar utrapień nieustannie myślał o tym, co wydarzyło się na równinie, o walce z młodymi spartiatami, i wcale się nie łudził, że to już koniec. Lękał się o matkę, o Peliasa, o Antyneę, którą spotkał ukradkiem, kiedy odwiedził nocą jej gospodarstwo, położone na drodze do Amyklai. Często tęsknił za tamtymi czasami, gdy jego pasterskie życie toczyło się bez wstrząsów i emocji, kiedy w długie zimowe wieczory słuchał cudownych opowieści dziadka, za czasami, kiedy jego spokojną egzystencję odmierzało powolne i jednostajne następowanie po sobie pór roku. Czasami, które teraz wydawały mu się nieprawdopodobnie odległe.

Pewnego dnia pod wieczór do chaty przyszedł jeden z wieśniaków z równiny, przysłany przez Peliasa. Ostrzegł go, aby uważał, ponieważ widział jakieś dziwne poruszenie na skraju lasu, a czekała ich bezkسیężycowa noc. Talos podziękował, nie przejął się tym jednak zbyt, wiedział bowiem, że Pelias często zamartwia się na zapas. Mógł wpaść w panikę na widok oddziału wojska albo niewinnych ćwiczeń grupki młodzieży. Na pewno się mylił.

Zjawili się na polanie we czterech, w środku nocy, otule- ni w ciemne płaszcze, uzbrojeni jedynie w oszczepy i sztylety, w korynckich hełmach na głowach.

Talosa obudziło wściekłe ujadanie Kriosa; kiedy rzucił się, by otworzyć okno, usłyszał rozpaczliwy skowyt, a następ- nie rżenie w agonii. W słabych promieniach księżyca, które przebiły się na chwilę przez gęstą warstwę chmur, dostrzegł przed chatą jakieś cienie. Przy zagrodzie olbrzymi molos roz- szarpywał właśnie martwe ciało małego Kriosa. Wbiegłszy do izby z paleniskiem, ujrzał drżącą ze strachu matkę z włosami w nieładzie, usiłującą zapalić lampkę oliwną. W tej samej chwili pchnięte kopniakiem drzwi otworzyły się, do chaty zaś wpadły cztery zamaskowane postacie przykładając mu do piersi oszcze- py. Talos poczuł, że jest zgubiony.

— Nie róbcie jej krzywdy — powiedział wskazując matkę — nie będę stawiał oporu.

Wywlekli go na dwór wydzierając z rąk kobiety, która ucze- piła się go z płaczem. Podczas gdy dwaj z nich trzymali go za ręce, trzeci walił drzewcem oszczepu w kolana, piersi, podbrzu- sze. Czwarty zaś otworzył zagrodę, po której biegały strwożone i beczące owce.

— Patrz! — zawołał stłumionym przez metalowy hełm głosem. Po czym zwrócił się do czekającego w pobliżu psa: — Bierz, Melas!

Czarny potwór wpadł do owczarni jak furia, siejąc zniszcze- nie wśród przerażonych zwierząt, przegryzając baranom kostki, miażdżąc jagnięta straszliwymi szczękami. Kiedy zagroda była usiana trupami nieszczęsnych owiec, tajemnicza postać przy- wołała ociekającą krwią bestię.

— Do nogi, Melas! Wystarczy, idziemy!

Na jego znak jeden z towarzyszy uderzył Talosa drzewcem oszczepu w splot słoneczny z taką siłą, że chłopiec zgiął się wpół skowycząc z bólu.

Krzyki matki nie pozwoliły mu zemdleć jeszcze przez kilka chwil. Na koniec usłyszał głos jednego z napastników, który postawił mu stopę na piersi.

— Miejmy nadzieję, że to wystarczy, o ile w ogóle przeży- je. Chodźmy, Brytosie.

Ujrzał przed sobą lakońskiego molosa, poczuł jego gorący oddech, po czym wszystko przesłoniła czerwona mgła, umysł zaś pograżył się powoli w lodowatej ciszy.

Obudził go rozdzierający ból w brzuchu, otworzył więc oczy w ciemnościach nocy. Poczuł, że podnoszą go czyjeś silne ramiona i kładą na posłaniu. W słabym świetle lampki oliwnej dostrzegł nad sobą szeroką twarz okoloną brodą: był to ów wielki jak dąb pasterz, który pozdrowił go dwa miesiące wcześniej, kiedy wyszedł z izby Krytolaosa. Talos usiłował coś powiedzieć, z jego ust wydobył się wszakże tylko jęk.

— Mam na imię Karaś — oznajmił brodaty olbrzym. — Niestety przyszedłem za późno, ale to się więcej nie powtórzy. Od dzisiaj będę cię ochraniał. Nic nie może ci się stać. — Odstąpił opuchnięty i obolały brzuch Talosa. — O mały włos przebiłby cię jak bukłak... Przekłete wściekłe psy, ale kiedyś ich godzina wybije...

Talos spojrział na matkę, która siedziała skulona w kącie, z dłońmi na podolku, z czerwonymi od łez oczami.

— Zamknęli ją w środku — mruknął Karaś — żeby im się nie plątała pod nogami. Kiedy cię tu przyniosłem, myślała, że nie żyjesz. Teraz już dochodzi do siebie. — Kolos zaciskał twarde pięści, jakby szukał celu, na którym mógłby się wyładować, trzęsąc się z gniewu i zgrzytając bielusieńkimi zębami, które przypominały wilcze kły. — Przygotuj coś, co pomoże mu zasnąć — zwrócił się do kobiety. — To wszystko, czego mu teraz potrzeba... Wyzdrowieje, nie bój się.

Nazajutrz Talosa obudziły promienie słońca, zagładające do izby przez uchylone okno. Po chwili weszła matka niosąc parującą napój w drewnianej czarce.

— Pij, synku — powiedziała — zanim znów poczujesz ból w brzuchu.

Przyglądała się z czułością, jak pociąga łyk za łykiem.

— Gdzie Karaś? — zapytał Talos ocierając usta.

— Zaraz przyjdzie — odparła, po czym spuszczać wilgotne oczy dodała: — Jest w zagrodzie, zbiera trupy rozszarpanych owiec.

W tej samej chwili zjawił się Karaś przewiązany w pasie powalany krwią fartuchem, trzymając w dłoni nóż rzeźnicki.

— Obdarłem ze skóry zabite owce... Jest ich grubo ponad dziesięć, reszta wkrótce padnie z powodu ran, ale nie martw się, roześlę wici wśród pasterzy i niedługo będziesz miał nowe stado. Nie możecie cierpieć głodu wynagradzając straty waszemu panu.

— Ale ja nie chcę — sprzeciwił się Talos. — Inni też często muszą walczyć z biedą i głodem.

— To prawda, Talosie, ale tym razem na ciebie spadło większe nieszczęście niż na innych. Trzeba sobie pomagać, takie jest nasze prawo. Nie wiedziałeś o tym? Ale lepiej mi powiedz, w jaki sposób pozabijali wszystkie owce? Wiele z nich jest rozszarpanych na strzępy.

— To pies, ogromna bestia z wielkimi szczękami, czarna jak noc — odparł Talos.

— Lakoński molos, przerażający potwór, podobno trzy takie psy potrafią powalić lwa.

Talos poczuł przebiegający mu po plecach dreszcz; w tej samej chwili w uszach zabrzmiał mu rozpaczliwy skowyt Kriosa.

— Mój pies nie żyje — powiedział wpatrując się w gościa pytającym wzrokiem — prawda?

— Tak — odrzekł pasterz. — Miał przegryzione gardło.

Mały Krios, towarzysz dziecięcych zabaw, nigdy już nie odprowadzi go na pastwisko ani też nie wybiegnie mu wieczorem na spotkanie radośnie merdając ogonem. Poczuł, że coś ściska go za gardło.

— Zakop go obok Krytolaosa, proszę cię — powiedział zwracając się do Karasa i ukrywając twarz w dłoniach.

VI

PERIALLA

Przez wszystkie dni, podczas których pozostawał w chacie, aby nabrać sił po otrzymanych razach, Talos mógł gruntownie przemyśleć swoje położenie. Jego życie uległo całkowitej przemianie zaledwie w ciągu kilku miesięcy. Po śmierci Krytolaosa odziedziczył po nim niewątpliwie autorytet moralny, jakim starzec cieszył się wśród mieszkańców Tajgetos — być może zresztą nie tylko Tajgetos, na co wskazywały słowa Karasa. Na temat nowego przyjaciela, który nie odstępował go ani na krok, wiedział skądinąd tylko tyle, że przybył tu z Mesenii wraz ze stadem i że zamieszkał w chacie w pobliżu wysokiego źródła.

Długo zastanawiał się nad napadem zorganizowanym na jego rodzinę przez krypteję. Był przekonany, że wzięli w nim udział ci sami mężczyźni, z którymi walczył na równinie w obronie Antynei. Ponadto miał niemal pewność, że słyszał, jak z ust jednego z napastników pada imię Brytos. Młodzieniec ten był jego najzacieklejszym wrogiem, nie miał co do tego wątpliwości, najwyraźniej jednak nie uważał, by Talos był aż tak niebezpieczny, by go zabić, inaczej mógłby to zrobić tysiąc razy, nawet jeśli Karaś twierdził, że jest inaczej.

Usiłował rozwiązać zamęt w głowie, spowodowany natłokiem wrażeń i sprzecznych uczuć. Istniało coś, co powstrzymało rękę Brytosa tam, na równinie, co nie pozwoliło go uśmiercić ani jego towarzyszom, ani owej krwiożerczej bestii, którą ze sobą zabrał. Chociaż jednak głęboko się zastanawiał, nie potrafił odgadnąć co. W pierwszej chwili przyszło mu do głowy, że

może to instynktowny podziw, jakim spartiaci darzą każdego, kto okaże męstwo, nadal wszakże nie umiał wyjaśnić, dlaczego zbuntowanemu helocie, który ośmielił się bronić, a nawet zaatakować, darowano życie. Jakaś siła ciągnęła go ku miastu spartiatów, ta sama, która popchnęła go na równinę, kiedy był małym chłopcem; od czasu do czasu odżywał w jego pamięci obraz wojownika ze smokiem na tarczy, o którym wiedział teraz na pewno, że jest ojcem jego śmiertelnego wroga. Wiedział również, że kocha Antyneę; miłość ta rozgrzewała mu serce, kiedy czuł się samotny i przygnębiony. Żywił nadzieję, że dziewczyna go odwiedzi, chociaż zdawał sobie sprawę, że mogłoby to być dla niej niebezpieczne. Zaczęło mu się wszakże rozjaśniać w głowie: nie mógł uciec zarówno dlatego, że miał zobowiązania w stosunku do swego narodu, jak i dlatego, że złożył obietnicę Krytolaosowi, kiedy ten leżał na łożu śmierci. Ponadto pragnął być blisko Antynei i zdawał sobie sprawę, że tysiąc razy lepiej ryzykować życie zostając, niż uciec gdzieś daleko ścigany i osaczony niczym dzikie zwierzę, nie mając nikogo, z kim mógłby porozmawiać, na kim mógłby się wesprzeć, z kim mógłby dzielić swój lęk.

Antynea zjawiała się pewnego poranka wchodząc cicho do izby.

— Talosie, mój biedny Talosie — powiedziała podbiegając doń i tuląc go mocno.

Chłopiec poczuł, jak fala gorąca uderza mu do głowy, serce zaś wali niczym młotem. Przytulił ją do siebie w długim uścisku, po czym nieszczercze zganil dziewczynę odsuwając się od niej.

— Nie powinnaś była przychodzić. Przecież wiesz, że w lesie jest niebezpiecznie.

— Och, nie bój się, nikt już nie zwraca na mnie uwagi, a poza tym ojciec mnie odprowadził. Kiedy się dowiedzieliśmy, co ci się przydarzyło, postanowiliśmy tu przyjść, żeby ci pomóc. Zostanę tu z wami i sama będę wyprowadzała stado, dopóki całkiem nie wyzdrowiejesz. Ojciec mnie teraz nie potrzebuje. A za miesiąc, kiedy odzyskasz siły, pomożesz nam przy żniwach, dobrze?

— No pewnie — odparł Talos zakłopotany i jednocześnie wzruszony — pewnie, że pomogę... — Milczał przez chwi-

łę, jakby szukał odpowiednich słów. — Antyneo... — dodał — będę czekał z niecierpliwością na żniwa... żeby znów być z tobą. — Przygłdał jej się ogarnięty głębokim wzruszeniem na widok radości, jaką dostrzegł w jej oczach. — Antyneo... — rzekł chwytając ją za rękę — Antyneo, dlaczego nie jesteśmy wolni? Dlaczego nie mogę myśleć o tobie nie odczuwając lęku o to, co z nami będzie?

Dziewczyna położyła mu dłoń na ustach.

— Nie mów tak, Talosie, nie jesteś dla mnie niewolnikiem ani ja nie jestem niewolnicą dla ciebie... Prawda? Dla mnie jesteś wielkim wojownikiem, najmężniejszym, najszlachetniejszym człowiekiem na świecie. Nie jesteś niewolnikiem, Talosie.

— Wiem, co chcesz powiedzieć, Antyneo, ale wiem również, czym jest strach, który mnie ogarnia, czym są koszmary, które budzą mnie w środku nocy. Mój los został przesądzony, ale nie umiem przewidzieć, co się wydarzy, ponieważ spoczywa on w cudzych rękach. I jeśli zwiążę swoje życie z twoim, nie wiem, co się z tobą stanie... Teraz rozumiesz, co chcę powiedzieć?

— Rozumiem, Talosie — odrzekła dziewczyna spuszcza-
jąc wzrok.

— Właśnie z tego powodu wołałbym czasem, żebyśmy się nigdy nie spotkali.

Antynea spojrzała mu w twarz błyszczącym wzrokiem.

— Talosie, jestem tylko córką Peliasa, prostego chłopca, i dobrze wiem, że wiele osób widzi w tobie tego, którego wybrał Krytolaos.

Talos usiadł na posłaniu.

— Wybrał... tak, Antyneo, Krytolaos mnie wybrał, nauczył mnie wszystkiego, co umiał, zostawiając niejasną tajemnicę i trudną spuściznę. Ale ja nie wiem dlaczego. Może nadejdzie dzień...

— Tak, Talosie, nadejdzie. Nie należy kusić losu. Jeżeli bogowie mają wobec ciebie i naszego narodu jakiś zamiar, dowiesz się o tym, kiedy nadejdzie czas. Teraz musimy po prostu żyć nie pytając o nic więcej.

Antynea pochyliła się nad nim powoli, pogłaskała go po czole i ucałowała delikatnie, po czym wsparłszy jasną główkę

na jego piersi, zastygła w bezruchu wsłuchując się w bicie jego serca, spokojne teraz i mocne niczym uderzenia bębnowo-
wych.

Minęło lato, minęła jesień i o dziwo nic się nie wydarzyło. Talos wrócił do swych codziennych zajęć, ale nie tylko. Za każdym bowiem razem gdy szedł do wysokiego źródła, zabierał ze sobą ukryty pod płaszczem łuk. Powrócił do ćwiczeń w lasach i na wolnych od ciekawskich spojrzeń polanach, teraz już wszakże pod okiem swego tajemniczego przyjaciela Karasa. Chodzili także razem na polowania; celne strzały Talosa powalały na ziemię jelenie i dziki, które następnie po kryjomu odzierali ze skóry i krajali na kawałki w chacie Karasa. Biada im, gdyby ktoś się dowiedział, że taka broń znajduje się w rękach heloty. Talos wyczuwał, że jego towarzysz musiał mieć coś wspólnego z Krytolaosem; z jego słów wynikało, że z pewnością sporo wie, nawet jeśli nigdy nie wypowiadał się jasno. Pod jego okiem chłopiec nauczył się jeszcze lepiej władać kijem; wdając się z nim w wyczerpujące pojedynki, poznał sztukę walki i niejednokrotnie wracał do domu posiniaczony, z kośćmi potłuczonymi przez jego muskularne ramiona. Antynei i matce, które pytały z niepokojem o przyczynę sińców i stłuczeń, wyjaśniał z uśmiechem, że to tylko zabawa, pozwalająca zabić czas w długie popołudnia spędzane wysoko, na pastwiskach. Wspomnienie strasznej przygody minionego roku przybladło, tak jakby wydarzyła się bardzo dawno; Talos zaczął się oswajać z myślą, że tak będzie wyglądało jego życie: u boku matki, która kochała go nieśmiałą, pokorną miłością, Karasa, którego potężna sylwetka przynosiła poczucie bezpieczeństwa i dodawała otuchy, oraz Antynei, której miłość go rozpaliała.

Antynea zaś kochała go tak bardzo, że niekiedy z jej powodu zapominał o całym świecie. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej Talos był dla niej jedynie kulawym chłopcem, który sprowadzał z gór swoje stado, gburowatym młokosem, któremu chętnie odpłacała za drobne złośliwości. A teraz świata poza nim nie widziała. Na widok najdrobniejszej zmarszczki na jego czole ogarniał ją smutek, kiedy zaś się uśmiechał, jej twarz i dusza natychmiast się rozjaśniały. Wspominała z niewysłowioną słodczą chwilę ich pierwszej czułości: jaka była delikatna,

jak się starała, aby nie sprawić mu bólu; wspominała nieznaną, cudowną siłę, która kierowała jej ciałem, falę ognia, która rozpalila jej łono i serce, dłonie Talosa na jej biodrach. Pomyślała, że posiada coś, co jest najpiękniejsze na świecie, i była pewna, że to co właśnie przeżywa, nigdy się nie skończy. Kiedy przebywała z ojcem, czekała z niepokojem, aż Talos ją odwiedzi, przed świtem zaś leżąc w ciemnościach na posłaniu wyobrażała sobie, jak sznurowuje sandały, chwyta kij i wychodzi w blasku gwiazd, następnie otwiera zagrodę i wypuszcza stado... potem oczyma duszy widziała, jak maszeruje po stoku, zagłębia się w las i idzie w brzasku dnia z włosami lśniącymi od rosy, za nim zaś podąża ogromny baran z kręconymi rogami, jak przybliżyła się równiną wśród drzew oliwnych niczym jakiś młody bóg, a kiedy wyszedłszy na podwórze, myślała przy studni, spoglądała przed siebie pewna, że za chwilę usłyszy beczenie owiec i pojawi się uśmiechnięty Talos z oczyma przepelnionymi dobrocią i miłością. Wówczas wybiegała mu boso naprzeciw wołając na całe gardło, uwieszała się ukochanemu na szyi przytulając mocno, śmiejąc się, mierzwiąc mu włosy.

Antynea wiedziała, że w odpowiedniej chwili młody mężczyzna wybiera sobie towarzyszkę życia i że Talos nie chce innej kobiety; w gruncie rzeczy nie dbała ani o jego lęki, ani o zmartwienia. Kiedyś nadejdzie czas, że będzie mogła spać obok niego co noc, gotować mu wieczerzę i nalewać wody do mycia, kiedy wróci z pastwiska, i tkać mu ubrania w zimowe wieczory przy blasku ognia, kiedy zaś zbudzi się nagle w nocy ze złego snu, obetrze mu pot z czoła i będzie go gładzić po włosach tak długo, aż z powrotem zaśnie.

Na takich myślach spędziła lato i jesień, pracując wraz z Talosem w polu i towarzysząc mu na pastwisko, dopóki Boreasz nie porzucił liści z drzew. Podczas gdy przyroda podlegała swym odwiecznym prawom, Antynea zastanawiała się, co stanie się z życiem mężczyzny, którego kocha. Bogowie mieli wszakże własne zamysły.

Pewnego dnia pod koniec zimy, kiedy Talos siedział przed chatą spoglądając, jak słońce chyli się ku zachodowi za nagim lasem, ujrzał swoje przeznaczenie na ścieżce przecinającej polanę: była to dziwna stara kobieta, która szła uginając się pod

ciężarem łachmanów, wsparta na długim kosturze. Splecione w warkocz i upięte w kok siwe włosy otoczone były białą wełnianą opaską, z której zwisały metalowe kółka. Naraz kobieta zauważyła jego obecność, zboczyła ze ścieżki i podeszła bliżej. Talos przyglądał się jej z pewną nieufnością, niemal z lękiem; miała kościstą i pomarszczoną twarz, lecz zdecydowany, prawie szybki krok zdradzał drzemiącą w jej ciele nieoczekiwaną energię.

Talos poczuł dreszcz. Nie mógł się bowiem opędzić od myśli o jednej z wielu baśni, które Krytolaos opowiadał mu, kiedy był dzieckiem, chcąc, aby położył się spać bez protestów i płaczu, jak to się niekiedy zdarzało: o harpii Kelenos, która krąży nocą pod postacią staruchy i porywa dzieci do swego zgniłego gniazda gdzieś daleko na wyspie. „Bzdury”, pomyślał, podczas gdy kobieta zbliżała się coraz bardziej, nie potrafił wszakże pojąć, jak taka staruszka może się błąkać sama po górach, na dodek tuż przed zmrokiem.

Kobieta przystanąła spoglądając nań głęboko osadzonymi dużymi szarymi oczyma, które lśniły w wieczornym świetle.

— Pasterzu — ozwała się ochrypłym głosem ■ — na tej ziemi mieszka człowiek imieniem Karaś, a ja muszę się z nim natychmiast zobaczyć. Możesz mi wskazać, gdzie go znajdę?

Talos drgnął; ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewał, było to, że owo dziwaczne stworzenie zada mu takie właśnie pytanie.

— Skąd znasz jego imię? — zdumiał się.

— Nie pytaj mnie o nic — odrzekła stanowczo kobieta — ale odpowiedz na moje pytanie, jeśli potrafisz.

Talos wskazał ścieżkę, z której zboczyła.

— Wróc na tę drogę — odparł — i idź w kierunku gór, a kiedy dotrzesz do rozwidlenia, skręć w lewo, do lasu, i idź tak długo, aż znajdziesz się na polanie. Tam zobaczysz źródło, a obok niego chatę: zapukaj w drzwi trzy razy, a Karaś ci otworzy. Ale czy jesteś pewna — dodał — że chcesz tam iść o tej porze? Ściemnia się, a w lesie nocą jest niebezpiecznie. Wyglodniałe wilki często napadają na nasze stada.

— Nie boję się wilków — oznajmiła starucha z osobliwym uśmiechem. Po czym wpatrując się weń zimnym wzrokiem

ciągnęła: — Ty też się nie boisz. Czyż sam nie jesteś młodym wilkiem?

To rzekłszy, odwróciła się i ruszyła bez słowa ścieżką. Talos ciągle słyszał w ciemności grzechotanie sistrum zawieszono na długim kosturze, na którym wspierała się starucha. Wszedł do chaty, by ogrzać się przy palenisku, lecz dreszcze, jakie czuł na plecach, nie były spowodowane wyłącznie chłodem.

— Kto tam był z tobą? — zapytała matka niosąc mu miskę zupy.

— Jakaś starucha, której nigdy tu nie widziałem. Pytała o Karasa.

— O Karasa? A gdzie teraz jest?

— Poszła do jego chaty u wysokiego źródła.

— Nie powinienes był wskazywać jej drogi, może Karas nie chce, żeby odwiedzali go obcy.

— Och, matko, co złego może mu zrobić biedna starucha? Jest dziwna, to prawda, ale wygląda raczej na szaloną niż niebezpieczną. O tej porze sama w lesie...

Zabrał się do jedzenia w milczeniu, bijąc się z myślami. Ciągłe rozbrzmiewało mu w uszach to dziwne zdanie: „Czyż sam nie jesteś młodym wilkiem?” Tak właśnie nazwał go Krytolaos tuż przed śmiercią i tak też pozdrowiał Karas. Skończywszy w pośpiechu zupę, chwycił płaszcz i ruszył do drzwi.

— Dokąd idziesz? — zapytała z niepokojem matka. — Już ciemno i nawet księżyc nie świeci. Sam powiedziałeś, że nie ma powodu, by martwić się o Karasa.

— Nie martwię się o niego. Tę biedaczkę mogą rozszarpać wilki.

— Do tej pory na pewno dotarła na miejsce, a zresztą gdyby ją zaatakowały, i tak nie mógłbyś już nic zrobić.

— Wobec tego chcę się dowiedzieć, kim ona jest, i to natychmiast. Nie obawiaj się i nie zamartwiaj, jeśli nie wrócę; jestem uzbrojony i mogę się bronić. Zresztą zaraz tam będę. Połóż się spać, bo jesteś zmęczona.

Wyszedł znikając w ciemnościach. Matka stała na progu nasłuchując odgłosów jego kroków, dopóki nie rozplynęły się w nocnej ciszy.

W drzwiach ukazała się potężna sylwetka Karasa, z tyłu zaś widać było wnętrze chaty oświetlone czerwonym blaskiem płomieni z paleniska. Olbrzym wytrzeszczył oczy, jakby nie mógł uwierzyć w to, co widzi.

— Perialla! — zawołał. — Ty tutaj?

— Wpuść mnie, prędko — powiedziała kobieta. — Jestem zdrętwiała z zimna.

Karaś odsunął się przepuszczając starszkę, która opadła na zydelek i wyciągnęła ręce do ognia. Olbrzym usiadł obok niej.

— Jesteś głodna? — zagaił.

— Owszem, jestem głodna; wędruję od świtu i zjadłam zaledwie kromkę chleba i kawałek sera. Masz może trochę wina? — zapytała. — Czuję suchość w ustach.

Wyciągnąwszy ze skrzyni gąsior, Karaś nalał czerwonego płynu do drewnianej czarki.

Odczekał, aż upije parę łyków, po czym upewnił się, czy drzwi są dobrze zamknięte, i usiadł z powrotem obok niej.

— Powiesz mi wreszcie, co się stało? Nie mogę pojąć, skąd się tu wzięłaś i jak zdołałaś mnie znaleźć — oznajmił wpatrując się w nią podejrzliwie.

— Jak cię znalazłam? Och, Karasie — roześmiała się — nie możesz się ukryć przed Perialla, wyrocznią, głosem boga z Delf!

Karaś spuścił wzrok.

— Nie — ciągnęła kobieta — nie obawiaj się, nikt za mną nie szedł, ale...

— Ale?

— Ale zdaje się, że będziesz miał gościa.

Karaś drgnął sięgając natychmiast po ciężką maczugę, wiszącą za nim na ścianie.

— Uspokój się, nic nam nie grozi — powiedziała kobieta. — Ale jeśli się nie mylę, pewien młody wilk ruszył moim śladem.

— Co przez to rozumiesz?

— Och, nie chodzi o zwierzę, tylko o pewnego młodego pastusza, którego zapytałam, gdzie mieszkasz. — Perialla zmarszczyła siwe brwi, jakby usiłowała coś sobie przypomnieć. — Dobrze mu się przyjrzałam — dodała, wolno cedząc słowa. — Ma

serce wilka... Właśnie dlatego nie boi się chodzić nocą po lesie. Wyczytałam w twoich oczach podejrzliwość... Przyjdzie.

Karaś spojrział na nią posępnym wzrokiem.

— Wiesz, kim on jest?

— Nie — odrzekła kobieta. — Ale nie jest pasterzem.

Karaś dołał jej wina.

— Dlaczego opuściłaś świątynię?

— Musiałam — westchnęła Perialla. — Pozwoliłam, żeby z moich ust popłynęły kłamstwa, i zaprzedałam własną duszę... chociaż za wysoką cenę.

Opróżniwszy czarkę jednym haustem, wybuchnęła sprośnym śmiechem.

— Wiesz, dlaczego tam, w mieście Spartan, Leotychidas zasiada na tronie należącym do Demaratos, który od lat żyje na wygnaniu?

Karaś nic nie rozumiał. Kobieta chwyciła go obiema dłońmi za włosy potrząsając jego głową.

— Więc ci powiem — ciągnęła — chociaż masz tępy umysł. Boja, Perialla, delficka Pytia, głos Febusa, go sprzedawałam.

Znów zaniosła się histerycznym śmiechem.

— Wiem, że został zdetronizowany przed zwycięstwem Ateńczyków pod Maratonem, ponieważ wyszło na jaw, że nie jest synem swojego ojca.

— Głupcze — syknęła kobieta — to ja uczyniłam z niego bękart, za namową Kleomenesa, który go nienawidził, w zamian za złoto Kobona.

Karaś otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

— Tyle złota, ile nigdy w życiu nie zobaczysz... i mógłbyś też trochę dostać — dodała potrząsając głową. — Nigdy nie zapomniałam, że pasterz Karaś przygarnął mnie wycieńczoną i wygłodniałą, gdy uciekałam od tego, kto uczynił mnie niewolnicą.

— Nie powinnaś była tego robić — szepnął Karaś zmieszany.

— A jednak zrobiłam i wyglądało na to, że nic się nie wyda... Od tamtej pory upłynęły prawie cztery lata...

— Kobon — mruknął do siebie Karaś. — Pamiętam go... czy to nie świątynny pisarz?

— Owszem — przytaknęła Perialla — widzę, że pamięć cię nie zawodzi. Ateńczycy mu zapłacili, jestem prawie pewna. Nigdy nie wybaczyli królowi Demaratosowi, że sprzeciwił się Kleomenesowi, kiedy ten chciał ukarać Eginetów za to, że podali się Persom podczas bitwy pod Maratonem.

— A więc jeśli dobrze rozumiałem, Ateńczycy i Kleomenes doszli do porozumienia, żeby zniszczyć Demaratosą!

Starucha spojrzała nań z dziwnym grymasem.

— Możliwe, Karasie, ale nie sądzę, żeby teraz to miało dla nas większe znaczenie. Zostałam osądzona przez amfiklionię i przeklęta... na zawsze.

Kiedy podniosła głowę, zadźwięczały kółka na jej opasce.

— Wypędzili mnie... tak, ale nie odważyli się zabić. — Jej oczy lśniły w słabnącym blasku płomieni. — Przestraszyli się... Perialli.

— Możesz tu zostać, jeśli chcesz — powiedział Karaś. — Mam stado...

— Pst! — syknęła kobieta nadstawiając ucha. — Ktoś jest na dworze.

Karaś porwał maczugę i wypadł za drzwi.

— Stój, Karasie, to ja!

Był to Talos, który właśnie zamierzał wejść do chaty.

— Prędko, chodźmy za tym mężczyzną — powiedział chwytając trzymające maczugę ramię i wskazując na zakapturzoną postać, która biegła przez polanę.

Puścili się za nim pędem; Karaś już miał go złapać, lecz nieznajomy jednym susem znalazł się przy gęstych chaszczach i zgubili jego ślad. Talos nadbiegł po chwili zdyszany.

— Przeklęta noga, złapałbym go, ale się potknąłem. W tej samej chwili wyszedłeś ty i o mało nie rozwaliłeś mi czaszki tym drzewem, które trzymasz w dłoni.

— Wybacz mi, Tałosie, ale w takich ciemnościach... Kim był ten mężczyzna?

— Nie mam pojęcia, myślę, że to Spartanin. Właśnie szedłem do ciebie, bo jakaś dziwna starucha...

— Wiem — przerwał mu Karaś.

— Widziałem, jak wynurzył się z lasu na środku drogi, więc poszedłem za nim starając się, żeby mnie nie zauważył.

Niestety musiałem się trzymać od niego w sporej odległości, bo na ścieżce jest pełno suchych liści i gałęzi, które robią dużo hałasu. Mężczyzna doszedł aż tutaj, a potem zaczął podsłuchiwać pod drzwiami. Wtedy zbliżyłem się powoli i skoczyłem na niego, ale w ciemnościach potknąłem się o wystający korzeń, a on wyrwał mi się, kiedy upadłem na ziemię, i uciekł. Nie rozumiem, dlaczego twój pies go nie zaatakował.

— Ten kundel co noc gdzieś znika; zachciało mu się złotych. Pewnie krąży wokoło jakiejś zagrody i szczeka na sukę, która ma ruję.

Kiedy weszli do chaty przez ciągle rozwarte drzwi, Talos przystanął na chwilę w progu, zaskoczony widokiem siedzącej przy ogniu staruchy, która rozmawiała z nim wcześniej przed domem.

— Młody wilk — powiedziała nie odwracając się kobieta. — Wiedziałam, że przyjdzie.

— Tak, ale przed nim przypełzył tu też spartański wąż, który nas szpiegował.

— Coś zauważyłam — odrzekła — ale ostatnio mam zamglony umysł i nie widzę jasno.

— Podejdź bliżej, Talosie — przemówił Karaś do młodzieńca, który ciągle tkwił przy drzwiach, niemal wystraszony. — Ta kobieta nie jest twoim wrogiem. Może zdziałać wiele dobra i wiele zła w zależności od tego, ku czemu skłania się jej serce, ale nie masz się czego obawiać. Pewnego dnia dowiesz się, kim naprawdę jest. Na razie zostanie ze mną, bo nie ma się gdzie podziać, a poza tym została ciężko dotknięta przez los.

— Chodź bliżej — powtórzyła kobieta nadal się nie odwracając.

Talos usiadł po drugiej stronie paleniska na rozłożonej na ziemi macie. Twarz staruchy, ledwie oświetlona blaskiem żaru, wyglądała niczym oblicze ducha; jej szare oczy spoglądały nań zza szparek powiek.

— Jest w nim coś przerażającego — oznajmiła zniecka, zwracając się do Karasa — ale nie potrafię zrozumieć co.

Talos drgnął; nie mógł pojąć, dlaczego kobieta przemawia w ten sposób. Kim była? Nigdy nie widział nikogo podobnego. Starucha zaś zamknęła oczy, po czym wyjęła coś z sakwy

i rzuciła do żaru, a wówczas cała izba wypełniła się gęstym, wonnym dymem.

— Periallo, nie! — krzyknął Karaś.

Kobieta nawet nań nie spojrzała, lecz pochyliła się nad paleniskiem, wdychając głęboko unoszące się nad nim opary. Jej rysy stężały.

Chwyciwszy leżący obok kostur, jęła nim potrząsać rytmicznie, pobudzając do gry sistrum. Talos poczuł się odurzony, jakby mocne wino uderzyło mu do głowy. Periała dyszała wstrząsana dreszczem, jej kończyny zeszywniały, czoło zaś pokryło się potem. Nagle jęknęła przeciągle, jakby metalowe ostrze zagłębiło się w jej piersi.

— Wszechmocni bogowie! — zawołała. — Wszechmocni bogowie, pozwólcie Perialli zobaczyć.

Wyczerpana, zwiesiła głowę... łkając. Po czym zniecka zerwała się na równe nogi i wspierając na kosturze, otworzyła oczy... Były nieruchome, zamglone, wpatrzone w jeden punkt. Daleko w lesie rozległo się wycie. Kobieta drgnęła.

— Twój znak... o, władco wilków, Febusie, Periała cię słyszy... Periała widzi...

Znów jęła potrząsać sistrum mrużąc jakąś osobliwą pies'ń. Obaj mężczyźni przyglądali się jej w milczeniu oczarowani, niezdolni do najdrobniejszego ruchu.

W nieskładnej pies'ni, niczym czubki drzew we mgłę, poczęły się nagle pojawiać słowa, które połączyły się w zdania:

*Smok i wilk zrazu z zażartą
nienawiścią rozszarpują się nawzajem,
potem, kiedy lew Sparty
pada przebity przerażającą strzałą,
którą wypuścił długogrzywy Med,
chwytą za miecz ten, który zadrzał ze strachu,
zakrzywiony łuk dzierży strażnik
stad, pędząc ku nieśmiertelnej chwale...*

Periała umilkła na chwilę zamykając oczy, po czym znów jęła potrząsać sistrum tkwiącym na trzymanym w dłoni kosturze. Z jej ust ponownie popłynęła dziwna, jednostajna pieśń,

z początku łagodna i cicha, z czasem jednak coraz twardsza, niemal piskliwa. Wyrocznia zdawała się szukać czegoś w swoim głosie; mrugała oczami, przecierając czoło, które marszczyła jakby w parkosyzmach bólu, ani chybi w jej głowie kłębiły się straszne myśli. Niespodziewanie jej wbity w pustkę wzrok spoczął na twarzy Talosa.

Nagle w potoku dźwięków dało się wyróżnić wyraźnie słowa:

*Blask chwały gaśnie niczym zachodzące słońce.
Do narodu z brzchu plecami się odwraca
Kiedy Ziemiotrząsa wprawia w drżenie Pelopsa ziemię,
Głuchy jest na zew krwi
Kiedy w mieście umarłych
Woła go potężny głos serca...*

Po czym wyczerpana upadła na ziemię ze zduszonym jękiem.

Tak oto przeznaczenie jęło się wypełniać począwszy od tamtego dnia. Perialla zniknęła równie nagle, jak się pojawiła, górscy pasterze zaś długo jeszcze snuli opowieści na temat tułającej się wyroczni. Kiedy spiszek, który uknuł król Kleomenes, aby przegnać Demaratosa, wyszedł na jaw, został on pozbawiony tronu. Pewnego dnia oddalił się otulony płaszczem, na swym czarnym koniu pełnej krwi. Niektórzy przyjaciele stanęli po jego stronie, a wśród nich Kratypoos, pan Talosa i Peliasa. Stary wieśniak zmuszony był więc opuścić swe gospodarstwo i podążyć za nim wraz z córką na dalekie ziemie. Owego letniego wieczoru Talos stał na klepisku spoglądając na Antyneę, która oddalała się wraz z ojcem na osiołku. I dopóty machał jej na pożegnanie obiema rękami, dopóki jej obraz nie zniknął za mgłą gorących łez. Poczuł, jak jego serce zamyka się niczym zraniony jezozwierz: żadna inna kobieta nigdy nie wyda mu się piękna ani nie rozpali w nim żądz. Wrócił w góry, podczas gdy w mieście świętowano wstąpienie na tron nowego króla Leonidasa, syna Anaksandridasa, z rodu Heraklidów.

VII

WIELKI KRÓL

Demaratos przycupnął przed Apadana, wpatrując się posepnym wzrokiem w pomalowane drzwi, których strzegło dwóch olbrzymich żołnierzy z Gwardii Nies'miertelnych. Za drzwiami mieściła się sala tronowa, w której Wielki Król Kserkses, syn Dariusza Wielkiego, miał go za chwilę przyjąć. Nagle spostrzegł wychodzącego przez nie kartagińskiego ambasadora, otulonego zachwycającym płaszczem w kolorze purpury ze złotymi frędzlami, za nim zaś podążali dwaj dostojnicy w wysadzanych drogocennymi kamieniami mitrach. Żywo rozmawiali w swym niezrozumiałym języku i mieli zadowolone miny. Przyjrawszy się z gorzkim uśmiechem swoim zniszczonym sandałom, poprawił miecz u pasa, wygładził na ramionach płaszcz z szarej wełny układając jak się dało najlepiej jego fałdy i wstał trzymając pod pachą ozdobiony grzebieniami hełm, jedyne insygnium, jakie pozostało mu po dawnej królewskości, był już bowiem właściwy moment. Kiedy drzwi się rozwarły, wyszli mu na spotkanie odpowiedzialny za sypialnię władcy eunuch i tłumacz, Grek z Halikarnasu.

— Demaratosie, Wielki Król cię oczekuje — oznajmił ten pierwszy.

Spartanin ruszył za nim przechodząc przez drzwi, które otwierały właśnie strażę. Znalazłszy się w sali, oniemiał na widok wspaniałych marmurów, polichromii, złota i kamieni szlachetnych oraz kobierców. Nigdy nie przypuszczał, że na świe-

cie może istnieć tyle bogactwa skupionego w jednym miejscu. W głębi sali pod ogromnym baldachimem siedział Kserkses z długą ufryzowaną brodą, w złotej mitrze na głowie, w prawej dłoni dzierżąc berło z kości słoniowej wysadzone szlachetnymi kambniami. Stojący za nim dwaj słudzy poruszali powoli wachlarzami ze strusich piór. Nagle wyciągnięty u stóp schodów gepard, który lizał obojętnie własne futro, podniósł mały łeb, by przyrzeć się wchodzącemu orszakowi. Mężczyźni przystanęli u stóp schodów; grecki tłumacz i eunuch upadli na twarz, tymczasem Demaratos powitał władcę jedynie skinieniem głowy.

Król spiorunował go wściekłym wzrokiem, eunuch zaś, ciągle z twarzą przy ziemi, warknął coś do greckiego tłumacza, który przekrzywiwszy do góry głowę, szepnął wzburzony:

— Musisz paść na twarz, nuże, uklęknij i dotknij czołem podłogi.

Tymczasem Demaratos, niewzruszony, spoglądał na Wielkiego Króla twardym wzrokiem.

— Nie rób głupstw — jęknął tłumacz, podczas gdy eunuch wyszczekiwał po persku stanowcze rozkazy.

Demaratos wpatrywał się w nich przez chwilę z szyderczym uśmiechem, po czym zwrócił się do władcy, który choć najwyraźniej ogarnięty gniewem, tkwił nieruchomo niczym posąg, odziany w uroczyste, ciężkie szaty królewskie.

— Jestem Demaratos, syn Aristona, król Spartan—oświadczył. — Przybywam otoczony twoją łaskawością, ponieważ zmusza mnie do tego potrzeba i nieszczęście, lecz to nie powód, abym padał ci do stóp. Taki jest zresztą zwyczaj wszystkich Spartan, ludzi wolnych, aby nie padać na twarz przed żadnym człowiekiem. — Umilkł, wpatrując się niewzruszony w Króla Królów.

Grecki tłumacz, na znak dany przez mistrza ceremonii, który stał wyprężony u stóp schodów, podniósł się wraz z odpowiedzialnym za królewską sypialnię eunuchem i zaczął tłumaczyć drżącym głosem. Po raz pierwszy w swej długiej karierze pokornego i akuratnego sługi zdarzyło mu się przetłumaczyć odmowę skierowaną do jego pana.

Nastąpiła długa chwila zakłopotania. Nawet wachlarze ze strusich piór przerwały na moment swój powolny, jednostajny

ruck Kserkses i Demaratos mierzyli się wzrokiem przez kilka niekończących się chwil, podczas których biedny eunuch, bładny niczym płótno, poczuł, jak wnętrzności przewracają mu się w grubym, obwisłym brzuchu.

Wówczas przemówił Król Królów.

— Demaratosie, z pewnością nikomu nie pozwolono by okazać wyższości wobec naszego majestatu tak, jak ty to zrobiłeś, naszą wolą jest wszakże dać ci do zrozumienia, że uważamy cię za króla Spartan, jako króla zaś równego nam. Że jesteś królem, wnosimy stąd, iż nie ugiąłeś karku nawet w nieszczęściu.

Kiedy tłumacz przełożył te słowa, obaj z eunuchem odechnęli z ulgą, prawie nie wierząc własnym ussom. Demaratos skinął głową na znak podziękowania, Wielki Król zaś mówił dalej:

— Powiedz, Demaratosie, kim są owi Spartanie, jako że nie znamy tego imienia.

Demaratos drgnął, wydawało mu się bowiem niemożliwe, by perski monarcha nic nie wiedział na temat najpotężniejszego narodu Hellady, po czym rzekł:

— Panie, Spartanie są najsilniejsi i najmężniejsi wśród Greków; nikt nie dorównuje im w walce i nikt nie zdoła ich pobić. Nie mają nad sobą władcy poza prawem, wobec którego wszyscy są równi, nawet królowie.

Kserkses uniósł nieznacznie prawą brew, eunuch zaś, zanim jeszcze zdążył usłyszeć przekład, zorientował się, że słowa cudzoziemca wprawiły w osłupienie króla, który znał grekę dość dobrze, chociaż korzystał z pomocy tłumacza z powodu etykiety, a także po to, by mieć pewność, że dobrze zrozumiał. Na znak Kserksesa mistrz ceremonii przyniósł zydel z purpurową poduszką dla Demaratososa. Po chwili władca znów przemówił.

— Słyszeliśmy o owych Spartanach jedynie z twoich ust i chcielibyśmy ci wierzyć, mimo że wydaje nam się to nieprawdopodobne. Znamy natomiast Ateńczyków: to najokrutniej si ludzie na ziemi, na dodatek ośmielili się przyjść z pomocą naszym poddanym Jonom, którzy wszczęli bunt. Postanowiliśmy ich ukarać tak dotkliwie, aby ich klęska stanowiła przykład dla innych i aby nikt więcej nie odważył się sprzeciwić naszej potę-

dze. Wszyscy Grecy z kontynentu i z wysp muszą uznać naszą władzę, aby nikt nigdy nie pomyślał więcej o buncie. Jako że znasz te narody o wiele lepiej niż ktokolwiek inny, możesz się okazać dla nas bardzo pomocny. Taki właśnie jest nasz zamysł i naszym życzeniem jest, byś o nim wiedział.

Król zamilkł czekając, aż tłumacz przełoży jego słowa, następnie mistrz ceremonii dał znak eunuchowi, aby wyprowadził Demaratosą. Audiencja dobiegła końca, Spartanin pożegnał więc monarchę skinieniem głowy, po czym odwróciwszy się ruszył do drzwi, za nim zaś obaj dostojnicy. W korytarzach rozległy się kroki podkutych sandałów króla Sparty.

W ciągu następnych lat gońcy Wielkiego Króla przemierzali galopem prowincje bezkresnego imperium, niosąc rozkazy zaciężne. Radzowie z dalekich Indii, satrapowie z Baktrii, Sogdiany, Arachozji, Medii, Arabii, Lidii, Kapadocji i Egiptu jęli gromadzić wojska. W portach Jonii i Fenicji zaczęto budować setki okrętów, w Libanie i w górach Taurus wycięto całe lasy, aby dostarczyć odpowiedniej ilości drewna, podczas gdy strażnicy Kserksesa obmyślali wielki plan podboju Europy. Królowie Tracji i Macedonii, których kraje leżały po drodze, zostali zmuszeni do ugięcia się i posłuchu. Architekci jońscy zaprojektowali olbrzymi most pontonowy, po którym niezliczona armia mogłaby się przedostać przez cieśninę Hellespontu, a także kanał na przesmyku łączącym Akte z Półwyspem Chalkidyjskim, aby flota nie musiała okrążyć najeżonego skałami przylądka Athos. Cała Azja przygotowywała się do zalania Grecji lawą piechoty i jazdy, aby uczynić z niej kolejną prowincję, posłuszną i podległą wobec władcy z dynastii Suzy, albo zamienić ją w pustynię pełną dymiących zgliszczy.

Pierwsze wieści na temat owych przygotowań jęły przypływać do Grecji współ ze statkami, które zawitały wraz z wiosną do portów w Atenach, Eginie, Gytejonie, nie od razu wszak dano im wiarę. Ponadto w Sparcie nastąpiły dramatyczne wydarzenia, które na długi czas zajęły umysły zarówno rządzących, jak i obywateli. Otóż rozeszły się pogłoski, iż król Kleomenes, oburzony tym, że pozbawiono go tronu i wygnano z miasta, szuka sprzymierzeńców w Arkadii i Mesenii i że rozważa wręcz możli-

wość uderzenia na własną ojczyznę. Przerażeni eforowie postanowili go wezwać, aby móc go lepiej kontrolować, proponując mu nawet przywrócenie godności królewskiej. Kiedy powrócił pewnego letniego popołudnia pokryty kurzem, postarzały, noszący oznaki skrywanego gniewu, przywitali go Arystarchos i jego syn Brytos wraz z grupką przyjaciół. Zsiadłszy z konia, stary król zdjął ozdobiony grzebieniami hełm i rozjeździł się dookoła licząc niewielu wiernych, jacy mu pozostali; najwyraźniej zdał sobie sprawę, że to już koniec — stary lew wpadł w pułapkę, ale był już zbyt zmęczony, żeby dalej walczyć. Us'cisnął dłoń Arystarchosa, który pocałował go w zaróżniony policzek.

— Wszyscy radujemy się z twego powrotu, królu, ofiarowując ci siłę naszych ramion i wierność serc.

— Wielkie jest two męstwo, Arystarchosie — szepnął król spuszczać wzrok — miałeś bowiem odwagę okazać przyjaźń temu, na kogo spadło nieszczęście, ale uważaj na siebie i na swoją rodzinę. Nastąpiły czasy oszustów i niegodziwców. Wygląda na to, że odwaga i męstwo zniknęły z tego miasta.

Ruszył drogą *wiodącą do* jego siedziby, która stała opuszczona od wielu lat. Kiedy przechodził, ludzie zamykali drzwi i chowali się w domach. Na miejscu czekali już na niego eforowie. Najstarszy z nich, skłoniwszy się nieznacznie, wręczył mu berło mówiąc:

— Bądź pozdrowiony, o Kleomenesie, synu Analcsandridasa, oddajemy ci berło, które należało do twego ojca.

Król ledwie skinął głową, po czym wszedł do domu. Zdjął zakurzoną chlamidę, rzucił na zydelek i usiadł kładąc dłonie na kolanach. Nie odwrócił się nawet słysząc czyjeś kroki za plecami. Spodziewał się, że za chwilę ktoś wbije mu sztylet między łopatki, zamiast tego jednak usłyszał znajomy głos.

— Składam hołd królowi i witam mojego brata.

— To ty, Leonidasie?

— Tak, ja. Czyżby dziwił cię mój widok?

— Nie, ale wolałbym cię zobaczyć wcześniej, za dnia, razem z przyjaciółmi, którzy powitali mnie po przyjeździe. To z twoich rąk chciałbym otrzymać berło naszych przodków, a nie z rąk tego jadowitego węża, który czeka na dworze.

— Nie powinienes by: wracać. Wszyscy wiedzą, że nakłoniłeś Pytię delficką do wygłoszenia przepowiedni na niekorzyść Demaratosa. Eforowie wezwali cię wyłącznie ze strachu, chyba że...

— Wiem, chyba że to pułapka, aby usunąć mnie raz na zawsze. Zdałem sobie z tego sprawę zaraz po przybyciu. Prawie nikt na mnie nie czekał z wyjątkiem Arystarchosa, jego syna Brytosa i paru przyjaciół... Nawet ty niechętnie mnie witasz, ale mogę to zrozumieć; w końcu byłeś już królem, a mój powrót oznacza...

— Niczego nie oznacza — przerwał mu Leonidas. — Nigdy nie myślałem o sukcesji, bo i tak uprzedziłby mnie mój nieszczęsny brat Dorieus, który spoczywa teraz w dalekiej sycylijskiej ziemi, pogrzebany wśród barbarzyńskich narodów. Kiedy odszedłeś, pogrążyłem się w smutku i nie miałem odwagi z tobą rozmawiać, bałem się bowiem, że w twoim umyśle rodzi się to, co właśnie teraz zdaję się dostrzegać...

Kleomenes słuchał zamyślony, jednocześnie kreśląc w popiele jakieś znaki. Potem podniósł głowę wpatrując się w mroku w twarz Leonidasasa, okoloną krótką brodą w kolorze miedzi.

— Jestem ci wdzięczny za twe słowa, Leonidasie. Przeżywam teraz chwile największej goryczy i czarno widzę własną przyszłość. W takich właśnie chwilach słowa przyjaciela stanowią jedyną pociechę w nieszczęściu. Posłuchaj mnie jednak, posłuchaj uważnie: nadszedł koniec Kleomenesa, teraz to wiem, nawet jeśli żywiłem jeszcze jakąś nadzieję, zanim tu przyjechałem. Coś się dla mnie szykuje i być może jest to słuszne, czyż nie ośmieliłem się bowiem sprofanować świątyni i obrazić boga Delf? Jeżeli ciąży nade mną klątwa, nie będę próbował uciec przed fatum. Ale ty nie powinienes mnie więcej widzieć. Wkrótce berło naszego ojca Anaksandridasa znajdzie się na powrót w twoich rękach, które nie powinny już ścisnąć mojej dłoni, dłoni wygnanego przez bogów świętokradcy.

Leonidas usiłował mu przerwać.

— Nie, posłuchaj — ciągnął Kleomenes — ty i Arystarchos musicie zrobić tak, jak mówię. Przekaż mu, że nie zapomnę o jego przyjaźni i odwadze, ale musi pamiętać, że ma syna, mężnego wojownika godnego chwały swego ojca. Nie chcę, żeby

na jego przyszłości kładła się cieniem okazana przezeń pomoc i przyjaźń. Od tej pory Kleomenes musi sam wyjść na spotkanie z przeznaczeniem. Nie ma dla mnie innej drogi. — Wstał. — Żegnaj, Leonidasie. Pamiętaj, że gotów byłem poświęcić samego siebie dla dobra własnego miasta i wszystkich Greków. Dlatego właśnie nie zawahałem się poprosić o kłamstwo, by usunąć z drogi Demaratosą. On bowiem bronił przyjaciół Persów, barbarzyńców, teraz zaś, wiem to na pewno, jest blisko Wielkiego Króla. W tej chwili wszakże to wszystko nie ma już znaczenia. Zostało zapisane, że Kleomenes musi umrzeć w hańbie.

Leonidas spojrział w zmęczone oczy starego wojownika. Co się stało z tym przerażającym niszczycielem o zimnym i przenikliwym umyśle, zdolnym snuć zuchwałe plany bitew i wprowadzać je w czyn z dnia na dzień? Na widok tego mężczyzny, którego jego ojciec spłodził z inną kobietą i którego zawsze podziwiał, nawet jeśli nie miłował jak brata, ogarnęła go głęboka litość.

— Może masz rację — powiedział. — Niewielu ludziom starczyło hartu ducha, żeby stawić czoło bogom, i właśnie ty jesteś jednym z nich, Kleomenesie. Zrobię tak, jak mówisz, by na ciele Sparty nie otwarły się kolejne rany. Miasto czekają trudne chwile. Żegnaj, nasz królu, wiem, że nie uczynisz nic, co mogłoby splamić honor wojownika. W twoich żyłach płynie krew Heraklesa.

Stanął na chwilę w progu, w oślepiającym świetle zachodzącego słońca, po czym zniknął na pustej drodze.

Koniec Kleomenesa był potworny.

Powiadano, że zaczął pić czyste, nie rozcieńczone wino na modłę barbarzyńców z Północy i że postradał zmysły. Powiadano, że znenawidził wszystkich i że walił berłem każdego, kogo spotkał na drodze. Wówczas eforowie oświadczyli, że nie sposób tolerować dłużej podobną hańbę, kazali go więc przywiązać do pnia na agorze. Tam właśnie król klęcząc, skuty łańcuchami, w poszarpanych szatach, zarośnięty, wystawiony na pośmiewisko wrogów, spoglądał na przechodniów tępym wzrokiem, błagając o śmierć. Pewnego dnia tuż przed świtem udało mu się zaskoczyć helotę, którego postawiono przy nim na straży, aby jeszcze bardziej go poniżyć, a którego ogłu-

szył łańcuchami, kiedy tamten zasnął. Zabrawszy mu sztylet, poranił sobie strasznie nogi, uda i biodra. Jedni powiadali, że w porannej ciszy rozlegały się jego przerażające wrzaski, inni znów twierdzili, że w okolicznych domach dał się słyszeć długi, szaleńczy, mrozący krew w żyłach śmiech, otworzywszy zaś oczy, helota ujrzał leżącego w kałuży krwi króla, który wpatrywał się weń płonąłym wzrokiem, z twarzą wykrzywioną potwornym grymasem bólu. Po chwili król wyciągnął przed siebie sztylet i przebił sobie brzuch.

Tak oto umarł Kleomenes, syn Anaksandridasa, rzucając w twarz swojemu miastu własną krew i poszarpane ciało.

Dowiedziawszy się o powrocie Kleomenesa, Talos miał nadzieję, że wkrótce zobaczy Antyneę, szybko jednak pozbył się złudzeń. Usłyszał bowiem, że Kratyppos, nie mając odwagi od razu wrócić do Sparty, udał się do swej posiadłości w Mesenii, zabierając ze sobą Peliasa i jego córkę. Chociaż bardzo się starał, nie dowiedział się niczego więcej; tylko raz kilku meseńskich pasterzy powiedziało mu, że stary Pelias uprawia w pocie czoła nędzne poletko, dziewczyna zaś pomaga mu jak tylko może. Prosiła, by przekazać Talosowi, że nie zapomniła o nim i że jej serce nigdy nie będzie należało do innego. Wszystkie te wieści powtórzył mu Karaś, który usłyszał je od pasterzy. Powiedział mu także, aby nie rozpaczał — być może pewnego dnia oboje wrócą na dawne gospodarstwo. Talos wolał się wszakże nie łudzić, by się więcej nie zadręczać.

Podczas nieobecności Kratypposa nadal co roku oddawał zbiory swemu panu, a kiedy mógł, chodził wraz z Karasem na polowania, opiekował się matką. Burzliwe wydarzenia z okresu pierwszej młodości stawały się coraz bardziej odległe, z każdym zaś dniem wzrastała jego zażyłość z pozostałymi góralami. Tajemnica, której był jedynym strażnikiem, spoczywała głęboko na dnie jego serca, jakby o niej zapomniął, niczym jakiś porzucony przedmiot leżący w opuszczonej szopie.

Pogłoski na temat przygotowań Wielkiego Króla w Azji zaczęły docierać nawet tutaj, gdzie toczyło się jego jednostajne życie. Początkowo wzbudziły wśród ludzi ciekawość, później zaś obawy. Wszyscy zadawali sobie pytanie, czy wojna ogar-

nie także te strony i czy król Persów rzeczywiście nadejdzie tu ze swym wojskiem aż zza morza. Plotki te budziły przerażenie kobiet, które myślały o tym, że pewnego dnia ich mężczyźni będą musieli wyruszyć wraz z wojownikami, zostawiając domy, pracę w polu i stada, aby znosić zmęczenie, głód, pragnienie, straszliwe niewygody, i to bez żadnej nadziei, żadnej nagrody. Dla tych ludzi, i tak już zmuszonych do wykonywania uciążliwych codziennych obowiązków, wojna była prawdziwym koszmarem. Ostatnia wojna, jaką król Kleomenes prowadził z Argiwami, kosztowała ich немало trudu i wiele istnień ludzkich, ale przynajmniej toczyła się niedaleko od ich domów. Jeżeli Wielki Król naprawdę dotarłby do Grecji, nikt nie potrafiłby przewidzieć, gdzie nastąpi starcie i jak długo potrwać zmagania. Niewielką wagę przywiązywali do tego, kto zwycięży, bo to i tak niczego by nie zmieniło w życiu nieszczęsnych helotów, którym nowi panowie z pewnością nie zdjęliby z pleców ciężkiego brzemienia, jakie musieli dźwigać.

Minęły trzy lata, aż pewnego dnia rozeszła się wieść, że nieprawdopodobnie liczna armia króla zaczęła się zbierać w pobliżu Sardes, aby wyruszyć w kierunku Hellespontu. Do Sparty przybywali posłańcy ze wszystkich zakątków Grecji, po czym we wszystkie strony wyruszali następni. Panowały zamieszanie i wzmożona czujność, które poprzedzają każdą wojnę. Królowie Leonidas i Leotychidas wyjechali wraz ze swą pewnego jesiennego poranka, kierując się ku Koryntowi. Na przesmyku, przy świątyni Posejdon, mieli się spotkać z przedstawicielami licznych miast, aby obmyślić wspólny plan obrony. Obaj władcy doskonale wiedzieli, jaką opinię mają na ten temat eforowie, geronci i Zgromadzenie Wojowników: trzeba zorganizować linię obrony dokładnie w przesmyku, aby zagrozić wojskom nieprzyjacielskim przejście do Peloponezu, chociaż zdawali sobie sprawę, że Ateńczycy, Platejczycy i Fokijczycy będą zabiegać o to, by armie sprzymierzone walczyły w Termopilach, czyli aby bronić również Grecji środkowej.

W ogromnej auli Rady Korynckiej zasiadali przedstawiciele wszystkich trzydziestu jeden państw greckich, które postanowiły dać odpór Wielkiemu Królowi. Kiedy weszli królowie Sparty, obie strażę wyprostowały się prezentując broń. Król Leonidas

i król Leotychidas zajęli miejsca na przeznaczonych dla nich krzesłach. Sala była już wypełniona po brzegi; pierwszy głos zabrał przedstawiciel Koryntu, otwierając obrady. Przeczytał traktat, który wszyscy mieli podpisać. Głosił on, że przez cały okres wojny z barbarzyńcami musi panować całkowita zgoda, zapowiadał wezwanie wszystkich banitów politycznych i utworzenie wojsk sprzymierzonych, nad którymi dowództwo powierza się Sparcie. Królowie Leonidas i Leotychidas poprowadzą wojska lądowe, nauarcha Eurybiades zaś będzie dowodził flotą, dla której przytłaczającą większość okrętów dostarczyły Ateny. Ponadto koryncki urzędnik sądowy obwieścił, że do przymierza dołączyli się także Korkirejczycy, którzy mają również przysłać swoją flotę. Natomiast Syrakuzy odmówiły, tyran Gelon zażądałby bowiem dla siebie dowództwa nad okrętami, na co w żadnym wypadku nie można się było zgodzić.

Wysłano już zwiadowców do Azji, do Sardes, aby zasięgnęli języka o armii królewskiej, której potęgą stanowiła temat licznych dyskusji. Niektórzy uważali wręcz, że wieści, jakie do tej pory napływały, są wyssane z palca. Jak dotąd wszystko szło dobrze; rzecz jasna nie panował nastrój euforii, było wszakże oczywiste, że delegatów łączy wspólne dążenie do stawienia oporu. Trudności pojawiły się dopiero wówczas, gdy należało podjąć konkretne decyzje. Król Leotychidas był niewzruszony: główna linia obrony powinna przebiegać przez przesmyk, gdzie od dawna już zaczęto budowę potrójnych murów obronnych. Kiedy pozostała część Grecji również będzie musiała się poddać, wyzwolenie zawsze będzie mogło nadejść z Peloponezu. Opierał swe argumenty przede wszystkim na tym, iż na północy przesmyku nie istniały równie łatwe do obrony pozycje.

Nie była to prawda, czego dowiódł natychmiast Temistokles, syn Neoklesa. Ów delegat ateński, który wstał, aby zabrać głos, bez wątpienia różnił się od pozostałych. Wyrażał się zwięźle, jego słowa były oschłe, niekiedy uszczypliwe, umysł miał jasny i przenikliwy, używał przytłaczających argumentów. Król Leonidas słuchał go z ogromną uwagą, starając się nie uronić ani słowa; zaczynał sobie zdawać sprawę, że Grecy potrzebują w jednakowym stopniu ateńskiego geniuszu co spartańskiej siły.

— Dlatego też, panowie, linia obrony musi przebiegać przez Termopile — oświadczył pod koniec Temistokles, syn Neoklesa. — Wbrew temu, co usłyszałem dzisiaj na tej sali, przejście nie prowadzi przez bramę Attyki, lecz przez bramę całej Grecji. Broniąc Termopil obronimy także Peloponez. Nie mówiąc o tym — dodał po chwili — że gdyby Ateny zostały zburzone przez barbarzyńców albo zmuszone do poddania się — Leonidas poprawił się na krześle spoglądając porozumiewawczo na swego sąsiada — kto obroniłby wasze wybrzeża przed najazdem perskim? Do czego służą umocnienia, wznoszone w pośpiechu wzdłuż przesmyku, skoro nie ma floty, która by ich strzegła? Wróg może postawić swoje wojska w jakiegokolwiek części Lakonii, Argolidy czy Mesenii albo wręcz porozmieszczać oddziały w wielu miejscach jednocześnie i zmusić was do rozproszenia swych żołnierzy, a następnie przeprowadzić masowany atak. Nawet Spartanie, słynący przecież z męstwa — ciągnął zapalczywie mówca zwracając się bezpośrednio do obydwu lacedemońskich królów siedzących wprost naprzeciw niego — nie mogliby liczyć na odparcie najazdu całej Azji bez pomocy floty.

Królowie Sparty nie zdołali się zatem uchylić przed obietnicą wysłania wojsk do Termopil, chociaż nie byli w stanie zapewnić interwencji całej armii peloponeskiej. Wiedzieli bowiem doskonale, że eforowie i geruzja nigdy nie zgodzą się na wysłanie wszystkich wojowników spartańskich poza Peloponez. Kiedy każdy z mówców zabrał głos, rozwarły się drzwi wielkiej auli, przez które weszli kapłani, by odprawić uroczystość przyrzeczenia. Sprzymierzeńcy przysięgli na boga Delf, że dopóki ostatni barbarzyńca będzie deptał grecką ziemię, dopóty nie zaprzestaną walki i ukarzą wszystkich, nawet Greków, którzy udzielą pomocy Persom zdradzając własną ojczyznę. Pod wieczór przedstawiciele rozjechali się do domów. Królowie Leonidas i Leotychidas zostali na noc w Koryncie, musieli bowiem uzgodnić z urzędnikami miejskimi sprawy taktyki wojennej, zaciągu i przygotowania okrętów, które miały stanąć do boju wraz ze sprzymierzoną flotą. Po skromnej wieczerzy król Leonidas udał się na spoczynek do domu oddanego do jego dyspozycji przez władze miasta. W tej samej chwili straż pilnująca wejścia

powiadomiła go, że ktoś chce z nim mówić. Był to Temistokles, ateński nauarcha.

— Wejdz — powiedział monarcha zapraszając go do środka. — Witaj w tym domu.

Ateńczyk usiadł poprawiając sobie białe pallium na ramionach.

— Jaki jest powód twojej wizyty?

— Królu, przybywam, aby powiadomić cię o pewnych wydarzeniach wielkiej wagi, które mogą bardzo poważnie zaszkodzić naszej sprawie.

Król spojrzął nań z niepokojem.

— O czym mówisz?

— Wiem na pewno, że narody ze środkowej i północnej Grecji zamierzają się podporządkować Wielkiemu Królowi albo przynajmniej wejść z nim w układy. To nie wszystko: wyrocznia delficka jest po jego stronie. Wiesz, jaką odpowiedź otrzymali wysłannicy mojego miasta, którzy udali się do niej po radę?

— Słyszałem, że była to bez wątpienia przygnębiająca przepowiednia, ale nie znam dokładnie jej treści.

— Przygnębiająca to bardzo skromne określenie — stwierdził Ateńczyk. — Wyrocznia przepowiedziała straszliwe nieszczęścia, jakie spadną na miasto, zniszczenia i żałobę bez końca, jeżeli Ateńczycy ośmielą się sprzeciwić Medom. Wysłannicy byli tak mocno przygnębieni, że bali się wracać do miasta. Postanowili więc udawać błagalników i poprosić o inną odpowiedź. Właśnie wówczas wyrocznia, zapewne nawet o tym nie wiedząc, podsunęła mi sposób ocalenia miasta przed utratą ducha i wybuchem paniki. Słowa, jakie Pytia wypowiedziała później, nie były mniej straszne od poprzednich, wynikało z nich jednak, że miasto zdoła się obronić, jeśli otoczy się drewnianym wałem. To wierutna bzdura bez znaczenia, którą ja odczytałem w ten sposób, że jedynym ratunkiem byłyby dla nas wielka flota okrętów wojennych.

Leonidas spojrzął na niego zdziwiony.

— Jesteś bardziej przebiegły niż Odys — przyznał — ale twoje słowa brzmią nad wyraz poważnie. Naprawdę sądzisz, że wyrocznia kłamie?

Temistokles milczał zakłopotany, uznał bowiem, że przypomnienie o tym, jak to król Kleomenes nakłonił Pytię Perialłę, by stwierdziła, że Demaratos pochodzi z nieprawego łoża, byłoby zbyt dużym zuchwalstwem. Gdy król Leonidas spuścił głowę zawstydzony, zrozumiał, że nie musi tego robić.

— Jestem tego całkiem pewien — odrzekł wówczas ateński nauarcha. — Z drugiej strony narody Północy sprawują kontrolę nad Amfiktonią Delficką, poprzez absolutną większość głosów. Jedynym sposobem, aby przeciwstawić się tej polityce, jest uświadomienie naszym sprzymierzeńcom, że nie mamy nic przeciwko świątyni, i położenie nacisku na tę część przysięgi, która mówi, iż zdrajcy zostaną ukarani i zmuszeni do zapłacenia dziesięciny świątyni Apollina. Biada nam, gdyby uznano nas za wrogich bogu albo lekceważących przepowiednie. Szczęśliwie do tej pory udało mi się ominąć tę przeszkodę, nie było to wszakże łatwe. Trzeba jednak porachować się z Tesalami, Beotami, Perrajbami, Enienami, nie mówiąc o Macedończykach. Król Amintas jest naszym przyjacielem, ale stoi na niepewnej pozycji. Nie mógłby się utrzymać ani jednego dnia. Wielki Król może skupić swoje wojska w środkowej Grecji i stamtąd bez kłopotów na nas najechać, wspomagany przez poddanych bądź sprzyjających mu zdrajców. Już tylko z tego powodu należy przekonać wasz rząd, by kierował wszystkie siły do Termopil.

Wysłuchawszy z uwagą swego gościa, król Sparty powiedział:

— Zgadzam się z tobą, Temistoklesie. Możesz być pewien, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by przekonać eforów i geruzję, ale jak wiesz, moja władza ma określone granice. Zapewniam cię jednak, że tak czy inaczej będę w Termopilach.

— To już wiele — odrzekł Temistokles. — Ja zaś powrócę do mojego miasta szczęśliwy wiedząc, że król Leonidas to nie tylko mężny wojownik, ale również człowiek mądry i szlachetny. Twoja obietnica znaczy dla mnie tak wiele, że czuję się w obowiązku odwdziżyć wręczając ci zgodnie ze zwyczajem dary. Wiedz zatem, że kiedy król Leonidas uda się do Termopil, nie zabraknie tam okrętu Temistoklesa, który będzie go strzegł od morza, i że gotów on raczej poświęcić życie, niż zhańbić się

niedotrzymaniem obietnicy. A teraz — dodał po chwili wstając — wszyscy musimy odpocząć. Niech noc ci sprzyja, królu Leonidasie.

— Niechaj i tobie sprzyja, ateński gos'ciu — odparł monarcha także wstając, by odprowadzić Temistoklesa do drzwi.

W tej samej chwili rozległ się tętent galopującego po bruku konia, wkrótce potem dało się słyszeć rżenie, a następnie wzburzone głosy pod drzwiami. Ktoś w nie zapukał, po czym do komnaty wszedł strażnik.

— Królu, posłaniec ma dla ciebie pilną wiadomość.

— Wprowadzić — polecił władca.

Do komnaty wkroczył jakiś mężczyzna pokryty kurzem i wycieńczony, wręczył Leonidasowi zwój pergaminu, zasalutował i wyszedł. Król rozwinął zwój i czym prędzej przeczytał wiadomość. Temistokles zauważył, że pobladł.

— Coś poważnego? — zapytał.

— Geruzja zapytała wyrocznie w sprawie wojny, którą zamierzają prowadzić, i właśnie nadeszła odpowiedź.

Przeczytał powoli:

*Mieszkańcy Sparty o szerokich drogach,
albo potężna słynna twierdza przez ludzi Perseusza
zostanie zniszczona, albo jeśli to się nie stanie,
po królu z rodu Heraklidów
Izy ronić będziecie.*

Temistokles chwycił króla za ramię.

— Nie słuchaj tego, Leonidasie, wyrocznia stoi teraz otwarcie po stronie Persów, nie możesz więc traktować tych słów poważnie.

Leonidas spojrział nań w zamyśleniu.

— Być może to co mówisz, jest prawdą, gos'ciu ateński, ale niekiedy bóg potrafi włożyć własne słowa nawet w usta niegodziwców. — Otworzył drzwi prowadzące na ulicę. — Z początkiem wiosny będę w Termopilach — oświadczył stanowczo.

Ateńczyk skinął potakująco głową, po czym uściskawszy mu dłoń, wyszedł otulony białym płaszczem. Na dworze wiatr podrywał do góry zeschnięte liście platanów.

VIII

SPARTAŃSKI LEW

Tymczasem na dalekich brzegach Hellespontu pod okiem architektów Wielkiego Króla tysiące mężczyzn pracowało gorączkowo nad budową wielkiego mostu. Olbrzymie przedsięwzięcie koniecznie musiało zostać zakończone, nim zacznie się zła pogoda. Dwie liny o długości dwudziestu stadiów, jedna wykonana z lnu przez Fenicjan, druga zaś z papirusu przez Egipcjan, zaczepione u wybrzeża Azji, zostały przeciągnięte każda przez dwa okręty wojenne aż na stronę europejską. Tam z kolei przełożono je przez ogromne drewniane kołowroty i naciągnięto. Aby umieścić je nad wodą na odpowiedniej wysokości, użyto sześćdziesięciu par wołów i dwudziestu par koni. Następnie między linami umieszczono okręty, które miały podtrzymywać most składający się z warstwy faszyny pokrytej ubitą ziemią. Na koniec królewscy architekci przyjrzeni się z zadowoleniem nieprawdopodobnemu dziełu, ich radość wszakże trwała krótko. Otóż gdy nastąpiła zmiana pogody, wiejący z potworną siłą Boreasz zalał most wysoką, silną falą, a wówczas pojęli, jak wielki popełnili błąd. Ponieważ most biegł prostopadle do kierunku wiatru i prądu, lina z lnu, cięższa od tej z papirusu, nasiąknąwszy deszczem, poważnie przechyliła całą budowlę, wyrwijając podtrzymujące ją kotwice, i w krótkim czasie bałwany zburzyły wspaniałe dzieło. Wielki Król, który wpadł we wściekłość, rozkazał wysmagać morze różgami, chłoszczący zaś mieli wypowiedzieć następujące słowa: „Gorzka wodo, nasz pan wymierza ci tę karę, boś go skrzywdziła, nie doznawszy od niego żad-

nej krzywdy. I król Kserkses przejdzie cię, czy chcesz, czy nie chcesz. Tobie zaś słusznie żaden człowiek nie składa ofiar, boś" jest zamuloną i słoną rzeką."*

Architektów pojmano i ścięto im głowy, aby ci, którzy mieli ich zastąpić, postępowali już rozważniej. I tak też się stało. Wiosną most odbudowano, przeciągając po cztery cumy z papirusu i lnu na przemian, aby dokładnie wyważyć ciężar. Zmieniono też położenie kotwic w ten sposób, że most stanął równoległe do prądu, liny zaś były stale naciągnięte. Następnie zmieniono długość cięgien utrzymujących kotwice w morzu w zależności od siły wiatrów wiejących z północy, wiosną zaś z zachodu.

Między linami zacumowano trzysta sześćdziesiąt trier i pentekonter, a na nich wsparto odpowiednio pocięte pnie drzew, które miały podtrzymywać warstwę ubitej ziemi. Po bokach zaś ułożono bariery ze słomianych i wiklinowych mat, aby konie nie przestraszyły się widoku morskich fal.

Kiedy na niebie nad Troadą i Bitynią ukazały się pierwsze bociany, wszystko było gotowe. I wtedy rozpoczął się nieskończony pochód armii Kserksesa. Przeszli Medowie, Kissjowie, Hyrkaniowie, następnie Asyryjczycy w hełmach w kształcie stożków, z ciężkimi żelaznymi maczugami; przejechali Scytowie na małych włóchatych koniach stepowych, Baktryjczycy o twarzach spalonych słońcem z Paropamisos oraz Indowie z trzciniowymi włóczniami i tatuażami na skórze. Przeszli Partowie i Chorasmiowie w długich butach, Kaspiowie w ciężkich płaszczach z kozłej skóry, Sogdianowie z południowej pustyni, pomarszczeni Etiopczycy odziani w leopardzie i wilcze skóry i dzierżący długie dzidy, otuleni w szerokie płaszcze Arabowie na wielbłądach, a także Libijczycy, Kapadokowie, Frygijczycy, Myzycjczycy, Trakowie, Mossynoijkowie, Egipcjanie, Paflagończycy, Kolchowie. Maszerowali przez całe dni, aż wreszcie na końcu przedelfowali Nieśmiertelni, gwardia Kserksesa. Było ich dziesięć tysięcy. Wszyscy odziani w długie suknie z frędzlami, ze złotymi i srebrnymi bransoletami, z długimi łukami i wspaniałymi kołczanami przewieszonymi przez plecy. Był to sam kwiat królewskiej armii — wysocy, mężczyźni i całkowicie oddani swemu panu. Wielki Król spoglądał, jak maszerują, siedząc

* Herodot, *Dzieje*, przeł. Seweryn Hammer.

na hebanowym tronie i sam nie do końca zdając sobie sprawę, ileż to narodów żyje w jego nieskończonym imperium.

Po europejskiej stronie zaś tłum pasterzy i wiesniaków zamieszkujących pobliskie wsie zgromadził się na brzegu, by podziwiać owo niewiarygodne widowisko. Jednocześnie z jońskich i fenickich portów napływały gromady okrętów, które miały utworzyć olbrzymią flotę, wspierającą i zaopatrującą wojsko podczas długiego marszu lądem.

Ludność nabrzeża przyglądała się płynącym okrętom z Tyros, Sydonu, Byblos, Aradu, Joppe, Askalonu, długim statkom o zakrzywionych dziobach z Halikarnasu, Knidos, Smyrny, Samos, Chios, Cypru, Fokidy, które sunęły majestatycznie z rozpostartymi żaglami; sztandary i godła nauarchów łopotały na masztach.

Wkrótce też do kwatery głównej królów Leonidasa i Leotychidasa dotarły pierwsze wieści. Obaj monarchowie postawili natychmiast w stan pogotowia armię peloponeską i jeśli gromadzić wojska w pobliżu Przesmyku Korynckiego. Jednocześnie z portów w Pireusie, Eginie czy w samym Koryncie zaczęły napływać okręty wojenne, które miały zagrozić drogę flocie Wielkiego Króla.

Z kasztelu na rufie swego okrętu nauarcha Temistokles przyglądał się, jak jego świeżo zbudowana flota podnosi kotwice wśród nawoływań, wykrzykiwanych rozkazów, uderzeń bębnow, które wybijały rytm marynarzom siedzącym pod pokładem przy długich wiosłach. Po kolei wyszły z portu wspaniałe triery, prawdziwe cacka ateńskiej sztuki skutniczej. Niskie, aby nie stanowić łatwego celu dla balist i katapult wroga, długie i szybkie, aby w najwyższym stopniu wykorzystać siłę wiatru i wiosła, z umieszczonym nieco poniżej linii wodnej taranem w kształcie ostrego dzioba, przymocowanym do kilu sworzniami, aby móc rozpruć poszycie kadłuba przeciwnika nie uszkodzając przy tym własnego. Jego skutnicy wymyślili i zbudowali znakomite maszyny, które niełatwo pokonać lub zniszczyć.

Przez całe lato i jesień, dopóki pogoda pozwoliła, załogi okrętów oddawały się najzuchwalszym i najniebezpieczniejszym ćwiczeniom, wiosłarze mieli pozdzieraną skórę na dło-

niach i obolałe plecy od wiosłowania, teraz wszakże tysiące rąk poruszało się w idealnej harmonii, wykonując posłusznie rozkazy dowódców. W Sparcie zebrali się eforowie, geruzja i obydwaj królowie, aby zdecydować, co dalej. Wszyscy byli zdania, że nie należy wysyłać wojsk spartańskich poza Peloponez. Do Termopil miała się udać armia peloponeska — Leonidasowi pozwolono zabrać ze sobą jedynie trzystu spartiatów. I chociaż monarcha walczył jak lew, nie przydzielono mu więcej ani jednego żołnierza, tym bardziej że nie poparł go drugi król, który skłaniał się w swych opiniach raczej ku eforom i geruzji. To oni właśnie wybrali kolejno wszystkich trzystu, którzy mieli mu towarzyszyć do Termopil. Znaleźli się wśród nich niemal wszyscy członkowie dwunastej systii trzeciego lochosu, wcieleni od tej chwili do gwardii królewskiej. Agias, Brytos, Kleandrydas, Kresylas i inni towarzysze z radością przyjęli wezwanie, które umożliwiło im pierwszym bezpośrednią walkę z wrogiem. Żadnemu nawet przez myśl nie przeszło, że w starciu z tak ogromnym wojskiem jak armia Wielkiego Króla nie będą mieli zbyt wielkich szans na przeżycie.

Arystarchos ze względu na swoje męstwo i doświadczenie został mianowany królewskim strategiem, dzięki czemu ojciec i syn znaleźli się w jednym oddziale, wyruszającym właśnie na północ.

Kiedy wieść o natychmiastowym zaciągu dotarła również w góry, wszyscy zdali sobie sprawę, że wojna naprawdę się zaczęła. Należało przygotować się do wymarszu. Pewnego dnia w Tajetos zjawił się herold i obwieścił zaciąg wszystkich helotów zdolnych do służby. Talos musiał więc również pożegnać się z matką i zejść na równinę wraz z innymi kompanami.

W mieście zaś mieli zostać wybrani kolejno przez spartiatów jako ich osobiści służący i tragarze. Talos był przekonany, że nie będzie musiał wyruszać, że odrzucą go z powodu kalectwa — przecież żaden wojownik nie zechce kulawego heloty.

Zaprowadzono ich na plac przed świątynią Ateny Chalkiojkos i ustawiono w trzech rzędach. Stojący naprzeciw nich wojownicy opuszczali szeregi według starszeństwa, przechodzili wzdłuż rzędów i wybierali sobie helotów do osobistych posług i noszenia tarczy. Na koniec nadeszła kolej na najmłodszych

żołnierzy. Talos zeszywniał na widok Brytosa, który opuścił właśnie swój szereg i przemierzał plac. Tak długo krążył między rzędami, aż stanął tuż przed nim, rozpoznawszy go zaś, spojrział nań z szyderczą miną, która zmroziła mu krew w żyłach, po czym zwracając się do oficera rekrutującego rzekł głośno:

— Chcę jego.

— Ależ, Brytosie — zaprotestował oficer podchodząc bliżej. — Jesteś pewien? Nie widzisz, że utyka? Lepiej żeby wzięli go do taboru, gdzie bardziej się przyda. Przyboczny musi być całkowicie zdrowy.

— Nie martw się — odparł Brytos. — Ten jest idealnie zdrowy, dobrze go znam.

Tak oto Talos, przeżywszy wiele lat jeśli nawet nie w szczęściu, to przynajmniej w spokoju, znów znalazł się w centrum wydarzeń. Zmierzając do obozu zbudowanego w pobliżu miasta, rozmyślał z rozdzierającym smutkiem o Antynei, której tak dawno nie widział i pewnie więcej nie zobaczy, o matce, która miała nadzieję, że wróci do chaty w Tajgetos, o dziadku Krytolaosie, który spoczywał w zasypnym dębowymi liśćmi grobie na skraju lasu, o biednym Kriosie. To był koniec.

Teraz, oderwany od domu, od własnego narodu, od matki, znalazł się całkiem sam, mogąc się stać łatwym łupem dla wroga. Starał się być silny i nie poddawać się. Najważniejsze to nie dać się zabić, jeżeli zaś to co słyszał, było prawdą, jego nowy pan z pewnością miał tu coś do powiedzenia. Wreszcie nadeszła pora wymarszu, chociaż nie wydarzyło się nic szczególnego. Widział Brytosa zaledwie kilka razy, gdy zgłosił się do sysytii po jego ekwipunek, on sam zaś przyszedł do obozu, aby wydać mu dyspozycje w sprawie podróży. Talos zajęty był właśnie przymocowywaniem nowych rzemieni wewnątrz tarczy. Wszedłszy do środka, Brytos zdjął pancerz, oparł go o ścianę, po czym usiadł na zydelku.

— Wszystko gotowe? — zapytał nawet na niego nie patrząc.

— Tak, panie, wszystko gotowe; wymienilem rzemienie w tarczy, bo się przetarły. Broń musi dobrze przylegać do ramienia.

Brytos przyjrzał mu się badawczo.

— Jak na pasterza, który nigdy nie wyściubił nosa z gór, sporo wiesz — zauważył.

— Nasza starszyzna nauczyła mnie wszystkiego, co trzeba wiedzieć, aby wykonywać tę pracę.

— Wasza starszyzna musiała cię nauczyć także innych rzeczy — powiedział Brytos nadal nie spuszczać z niego oka. — I dobrze wiesz, co mam na myśli. Ja nie zapomniałem, chociaż minęło wiele lat, i sędzę, że ty też nie.

— Nie, panie — odparł Talos sucho, nie odrywając się od swego zajęcia — nie zapomniałem.

— Ale zmańdrałeś. Nauczka, jaką dostałeś, wybiła ci z głowy niektóre pomysły, a przynajmniej takie sprawiasz wrażenie. Chociaż wcale nie jestem o tym do końca przekonany — ciągnął rozwiązując nagolenice. — Masz w sobie coś, co nie daje mi spokoju, kiedy więc zobaczyłem cię na placu razem z pozostałymi helotami, postanowiłem sprawdzić, co to takiego.

— Nie ma tu nic do sprawdzania, panie — szepnął Talos nie odrywając się od pracy. — Jestem tylko biednym pasterzem.

— Przekonamy się — odparł lodowato Brytos. — W ciągu ostatnich lat w tych górach działy się dziwne rzeczy. Zaledwie miesiąc temu znaleziono jelenia, który przyszedł aż nad Eurotas, żeby tam dokonać żywota, ugodzony strzałą dziwnego typu, jakiego nigdy nie używaliśmy. Mam wrażenie, że możesz coś wiedzieć na ten temat.

— Mylisz się, panie, nit nie wiem. Zawsze zajmowałem się tylko moim stadem.

— Jak masz na imię?

— Talos.

— A wiesz, kim ja jestem?

— Jesteś Brytos, syn Arystarchosa z rodu Kleomenidów.

Brytos wstał i jał się przechadzać po namiocie, po czym nagle się zatrzymał odwracając się doń plecami.

— A co się stało z tą twoją piękną... no, tą wieśniaczką?

— Rodzina Peliasa udała się za czcigodnym Kratyppossem do Tegei, a potem chyba do Mesenii.

Talos również wstał, kiedy więc Brytos się odwrócił, znalazł się z nim twarzą w twarz. Helota miał zaciśnięte szczęki i wpatrywał się weń uparcie.

— Wracaj do pracy, pasterzu, zostało jeszcze dużo do zrobienia, jutro wyruszamy.

Narzuciwszy na ramiona krótką wojskową chlamidę, wyszedł.

Nazajutrz wojsko ustawiło się w idealnym szyku: na przodzie trzystu spartiatów w oddziałach składających się z czterech kolumn, z których każda liczyła po osmiu ludzi, za nimi poloponescy sprzymierzeńcy, na końcu zaś heloci wraz z załadowanymi wozami.

Było jeszcze ciemno, kiedy nadjechał król otoczony swą oficerów, za nim zaś zjawił się orszak matek nowych wojowników. Miały one odprawić pradawną uroczystość powierzenia tarczy. W białych szatach, z osłoniętymi głowami, ustawiły się naprzeciw hoplitów. Na dźwięk trąby młodzieńcy wystąpili z szeregów zatrzymując się o dwa kroki dalej, po drugim dźwięku zaś położyli na ziemi tarcze z czerwoną lambdą, które otrzymali od swych ojców w dniu inicjacji. Na znak dany przez króla pierwsza z kobiet podeszła do swojego syna, podniosła tarczę i wsunęła mu ją na ramię wygłaszając stanowczym tonem tradycyjną formułę:

Wrócisz z tarczą albo na tarczy.

A to oznaczało: „Zwyciężysz i wrócisz z tarczą albo zginiesz i zostaniesz na niej przyniesiony”. Wreszcie nadeszła kolej Ismeny. Miasto uczyniło jej ogromny zaszczyt łamiąc zwyczajową zasadę, aby nigdy nie wysyłać na pole bitwy wszystkich mężczyzn z tego samego rodu, w przeciwnym bowiem razie ród ten mógłby wygasnąć, i zabrało jej syna oraz męża. Ismena uklękła chwytając tarczę i stanęła naprzeciw Brytosa. W samym blasku świtu ciemny profil chłopca wydawał się ostrzejszy, Ismena zaś doznała przez chwilę wrażenia, że widzi w jego rysach twarze kleomenidzkich bohaterów wyrzeźbione w cyprysie. Poczula, jak krew zastyga jej w żyłach, a kiedy wygłaszała formułę, drżał jej głos. Gdy ostatnia kobieta wracała na swoje miejsce, znad wzgórz wyrzało słońce. Na oczach spartańskich matek ciemna i nieruchoma masa wojowników zalśniła ponurym blaskiem. Spoglądały one na swych synów suchymi oczami, zdawały so-

bie bowiem sprawę, że urodzili się śmiertelni i że ani ból, ani płacz nigdy nie były im obce.

Włożywszy na głowę hełm z trzema grzebieniami, król dał znak do wymarszu. Warczenie bębnow i dźwięk aulosów wkrótce ucichły oddalając się drogą na północ.

Jakieś dwa tygodnie od wymarszu Leonidas zajął pozycję przy wąwozie termopilskim i natychmiast wydał rozkaz, by odbudowano stary mur, który niegdyś zamykał przesmyk. Następnie wysłał grupę siedmiuset hoplitów fokijskich, by strzegli przejścia Anopaja, które mogłoby pozwolić wrogom na okrążenie go, na koniec zaś wyznaczył warty i zadbał o zaopatrzenie.

Dowiedziawszy się, że flota perska opłynęła Chalkidykę i zmierza na południe, Temistokles ustawił się na przylądku Artemizjon, aby osłonić Leonidasę od strony morza. Nocą z rufy swego statku dawał znaki pochodnią i zwierciadłem, aby przekazywać Leonidasowi na bieżąco wieści o tym, co się dzieje.

Wreszcie w dniu, w którym król przeprowadzał inspekcję fortyfikacji, nadjechał co koń wyskoczy jeden z żołnierzy zazwyczaj patrolujących przejście. Ześliznąwszy się na ziemię, zasapany mężczyzna przystąpił do zdania raportu.

— Królu — powiedział dysząc — nadchodzą. Są ich setki tysięcy, rzeki wysychają po ich przejściu, ich ogniska rozświetlają nocą całe niebo. Nikt nigdy nie widział tak potężnego wojska.

Król wydał natychmiast parę ostrych rozkazów. Oddziały w rynsztunku bojowym zajęły pozycje za murem, podczas gdy kilku spartiatów ociągało się jeszcze z przodu, by mieć na wszystko oko. Skracali sobie oczekiwanie ćwiczeniami gimnastycznymi, by rozgrzać mięśnie przed bitwą.

W pewnej chwili na szczycie wzgórza ukazał się perski jeździec. Można go było rozpoznać bez trudu po szerokich haftowanych nogawicach i hełmie w kształcie stożka. Młodzi spartiaci ledwie nań spojrzeli i zaraz wrócili do ćwiczeń, jakby nic się nie stało. Pers przyglądał im się przez moment, po czym pogałopował w dół zbocza.

— Niedługo tu będą — oznajmił Arystarchos zwracając się do Leonidasę.

— Też tak sędzę — przytaknął król. — Nie mają powodu, żeby się ociągać.

Tymczasem po upływie około godziny na drodze pojawił się oddział jeźdźców ze sztandarem.

— Są nieuzbrojeni — zauważył Arystarchos. — To chyba posłowie.

Nie mylił się. Zwolniwszy kroku, jeźdźcy zbliżyli się powoli do muru. Tłumacz znający grekę wystąpił naprzód.

— Jesteśmy posłami Kserksesa, Króla Królów, pana czterech stron świata. Chcemy rozmawiać z waszym wodzem.

Wówczas zza muru wyłonił się Arystarchos, który odezwał się w te słowa:

— Naszym wodzem jest Leonidas, syn Anaksandridasa, król Spartan.

Po czym odsunął się na bok, robiąc miejsce dla władcy, który wyszedł z ukrycia. Na jego hełmie wiatr od morza rozwiewał trzy czerwone grzebienie z końskiego włosia.

Posel perski, otulony płaszczem z błękitnego batystu, miał u pasa zakrzywiony miecz Nieśmiertelnych ze złotą, misternie cyzelowaną gardą. Wygłosiwszy długą przemowę pełną godności, skinął głową na znak, że skończył. Tłumacz zaś przełożył jego słowa z charakterystyczną dla Jonów, nieco śpiewną wymową.

— Król Królów Kserkses, pan czterech stron świata, nasz władca, każe ci przekazać co następuje: „Opuscicie ten wąwóz, mężowie greccy, aby nie wzbudzać naszego gniewu nadaremnie; wszystkie bowiem ludy i narody poddały się już na sam widok naszych żołnierzy, których jest więcej niż ziaren piasku na plaży. Pragniemy okazać wam wspaniałomyślność: jesteście gotowi darować wam życie, jeśli się poddacie i złożycie broń” — przerwał na chwilę. — Jaką mam zatem zanieść odpowiedź?

Król Leonidas, który przez cały czas stał bez ruchu patrząc Persowi prosto w oczy i nie racząc zaszczyścić tłumacza nawet jednym spojrzeniem, odparł swym twardym dialektem lakońskim:

— Niech przyjdzie i sam ją weźmie.

Tłumacz się zdumiał, po czym zwracając się do posła przełożył odpowiedź. Pers spojrział w osłupieniu na stojącego przed

nim mężczyznę, a po chwili rozdrażniony dał znak swojej świecie, zawrócił konia i oddalił się w tumanach kurzu.

Wkrótce też, leżąc twarzą do ziemi, przekazał odpowiedź swemu monarsze. Znajdujący się akurat w królewskim namiocie Demaratos podszedł do tronu mówiąc:

— Uprzedzałem cię, że nawet jeśli wszyscy inni się poddadzą, Spartanie będą walczyć.

Zsinaly ze złości Wielki Król zwołał czym prędzej swych doradców i rozkazał im ruszyć do ataku — chciał, by schwytali ich żywcem i przyprowadzili w łańcuchach przed jego oblicze. W obozie natychmiast rozbrzmiały wyszczekiwane rozkazy, trąby zagrały sygnał do wymarszu, po czym bezkresna horda wyruszyła w kierunku wąwozu termopilskiego.

Król Leonidas poprowadził swe oddziały za mury i sam stanął na pierwszej linii, na prawym skrzydle, podczas gdy Arystarchos zajął pozycję na lewym. W pewnej chwili rozległo się posępne warczenie bębnow przemieszane z rzeniem koni i łomotem żelaznych obręczy wozów bojowych. Po czym na końcu drogi ukazała się gigantyczna armia.

Ustawieni po prawej stronie spartańscy wojownicy zwarli szyki tworząc ścianę z tarcz nie do pokonania, najeżoną lśniącymi włóczniami. Persowie rzucili się niespodziewanie do ataku z przerażającym rykiem spadając na pierwszą linię Greków.

Rozpętała się zażarta bitwa. Stłoczeni na niewielkiej przestrzeni Persowie, nawykli do prowadzenia wojny w ruchu, głównie za pomocą lekkiej broni i jazdy, padali całymi setkami jak muchy pod ciosami ciężkich włócznie hoplitów, całkowicie osłoniętych zbrojami z brązu. Walka zamieniła się w dziką rzeź, podczas której Grecy, odrzuciwszy nieprzydatne teraz włócznie, dobyli mieczy.

W gęstych tumanach kurzu można było dostrzec czerwone grzebienie na hełmie Leonidasa, który posuwał się naprzód bez chwili wytchnienia, ciągnąc za sobą swych żołnierzy. Jego trzyosobowy oddział torował sobie drogę wśród wrogów, depcząc po stosach trupów, brodząc w kałużach krwi.

Wódz perski, widząc, że środkowi jego armii zagraża okrążenie ze strony nieprzyjaciela, dał rozkaz odwrotu. Wśród wrzasku rannych i rżenia oszalałych ze strachu koni ogromna masa

wojska jęła się cofać powoli, by nie zepsuć za bardzo szyków. W tej samej chwili Leonidas również wydał rozkaz do odwrotu, jego żołnierze więc, przewiesiwszy tarcze przez plecy, czym prędzej uciekli w stronę muru.

Widząc to wódz perski pomyślał, że przerażeni wrogowie zamierzają się ukryć za murem, i ponownie kazał grać sygnał do natarcia. Odzyskawszy wolę walki, jego ludzie rzucili się naprzód krzycząc i burząc szyki. Właśnie na to czekał Leonidas: gdy jego wojownicy dotarli do muru, wykonali błyskawiczny zwrot stając naprzeciw wroga w zwartym szeregu. Persowie zaś, którzy nadbiegli w bezładnych grupach, zostali rozniesieni w pył. Po czym przerażeni jęli się wycofywać, lecz stojący za ich plecami oficerowie popychali ich do przodu chłосzcząc i wykrzykując rozkazy w tysiącu różnych języków. Powstał niebywały zamęt, a wśród owego piekła, wśród wrzasków, kurzu i krwi, wiedziona przez Leonidasa zbita masa ludzi parła nieubłaganie naprzód, przewracając wszystko, co spotkała na swej drodze. Kiedy wreszcie trąby zagrały sygnał odwrotu, żołnierze Wielkiego Króla, poranieni i wycieńczeni, poddali się.

Odwróciwszy się ku swemu wojsku, król Leonidas zdjął pobijany i zakrwawiony hełm i wydał okrzyk zwycięstwa, który zlał się w jedno z wrzaskami jego ludzi, rozbrzmiewając echem wśród skalistych wąwozów ojtajskich.

Talos obserwował zza muru całą scenę, podczas gdy jego towarzysze ciągle biegali tam i z powrotem odnosząc wyszczerbione miecze, połamane włócznie i wymieniając je na nowe. Zauważywszy, że linia walki przesuwają się ku ścianie, rzucił się naprzód, wychylił z przedpiersia, bliski chwycenia pierwszej lepszej broni, jaką miał pod ręką, i wmiśzania się w tłum.

Nigdy nawet nie przypuszczał, że może ulec podobnemu impulsowi. Wiele razy czuł, jak krew gotuje mu się w żyłach, jak zalewa go pragnienie, by rzucić się w wir walki, jak ogarnia go jakiś niewytłumaczalny zapał do owego rozpaczliwego oporu i nadludzkiego męstwa, które dostrzegał wśród tych wspaniałych zwartych szeregów, podążających za falującymi grzebieniami króla Leonidasa. Wówczas wzbierała w nim złość, że nie dzieli z innymi owego cudownego żaru, potężnego płomienia,

który rozpałał wojowników broniących wolności tak wielu narodów. Widział, jak żołnierze Sparty, Trachis, Tegei wracają za mur złani potem, poplamieni krwią, zakurzeni, ranni, kulejący, widział piechurów z Mantinei Orchomenos z brodami szarymi od pyłu, z połamanymi włóczniami, z powgniatanymi tarczami. Widział Brytosa w przepięknej spiszowej zbroi ozdabianej miedzią i jego ojca Arystarchosa w hełmie zakrywającym twarz, z ogromną tarczą ze smokiem wgniecioną i poplamioną krwią, i zapragnął być jednym z nich.

Nagle nadbiegł wzburzony oficer z rozkazem, by natychmiast przygotować jadło i wodę, aby żołnierze mogli się umyć i najes'ć. Rannych zaniesiono do namiotu, gdzie ich opatrzono. Pozostali heloci wyszli poza mur, aby pozbierać zabitych i przygotować ich do pośpiesznego pochówku.

Niez mordowany król Leonidas krzątał się po polu bitwy wydając rozkazy i wyznaczając warty na murze. Kiedy przysiadł na chwilę, by odpocząć, nie zdjawszy nawet zbroi, nadszedł posłaniec z listem. Okazało się, że flocie udało się odeprzeć wroga. Temistokles dotrzymał słowa i strzegł od strony morza małej armii broniącej wąwozu. Natomiast od strony przejścia Anopaja, gdzie Fokijczycy pilnowali jedynej drogi lądowej prowadzącej na tyły wojska greckiego, nie nadchodziły żadne wieści. Król wysłał więc do Sparty list prosząc o wsparcie i podkreślając, że przejścia da się bronić wyłącznie wtedy, gdy nadejdą posiłki. Nie wiedział, że jego los już został przesądzony i że geruzja i eforowie za żadne skarby nie odesłaliby żołnierzy z Przesmyku Korynckiego.

Kserkses nie wierzył własnym oczom widząc, w jakim stanie wracają jego wojska. Zdał sobie sprawę, że jego armia nie miała żadnych szans, by wykazać własną przytłaczającą potęgę w tym ciasnym korytarzu, którego garstka ludzi gotowych na wszystko broniła z takim męstwem. Demaratos miał rację: niedocenywanie Greków, a w szczególności Spartan, okazało się dużym błędem. Wydał zatem rozkaz, by do ataku ruszyła najlepsza część wojska — Nieśmiertelni. Wśród jęków i lamentów rozległo się warczenie bębnow, po czym dziesięć tysięcy znakomicie uzbrojonych żołnierzy perskich uformowało szyki, by raz na zawsze zdławić zaciekle opór obrońców. W obozie greckim

natychmiast rozeszła się wieść, przekazana przez pilnującego wylotu wężu strażnika:

— Królu, zbliża się kolejny atak, ale ci żołnierze są inni: maszerują w milczeniu, zwarci, wyglądają na zdyscyplinowane i groźne wojsko.

Leonidas zawahał się przez chwilę: jak miał wymagać od skrajnie wyczerpanych żołnierzy, by chwycili za broń, którą dopiero co odłożyli? Ile świeżych oddziałów mógł jeszcze wystawić Wielki Król przeciw jego wycieńczonym ludziom? Kiedy kazał grać sygnał ataku, jego wojsko stanęło w szyku przed murem. Ci, którzy walczyli dotąd na pierwszej linii, teraz przeszli do trzeciej, natomiast ci z tylnej straży znaleźli się na linii ognia. Persowie posuwali się naprzód rytmicznym krokiem, w zwartych szeregach.

— Uformowali falangi — rzekł Leonidas do Arystarchosa — ale ich włócznie są krótsze od naszych. Daj rozkaz, żeby żołnierze stanęli w szyku zamkniętym, niech wystają tylko włócznie.

Na okrzyk Arystarchosa wojsko zwarło szyki z metalicznym szczękiem; ze spiżowej ściany utworzonej przez tarcze wystawały jedynie jesionowe włócznie, przypominające plot nie do przebicia. Gdy król dał znak, heloci zadęli w aulosy i uderzyli w bębny. Falanga ruszyła powoli do przodu wzniesając tumany kurzu. Pokonawszy odcinek pola, na którym pełno było jeszcze trupów, wojownicy wyszli na otwartą przestrzeń. Po czym zaatakowali na rozkaz króla, który ciągle znajdował się na prawym skrzydle. Obydwie armie zwarły się z przerażającym szczękiem, falując przez chwilę, jako że żadna z nich nie była w stanie zepchnąć drugiej. Momentami dał się słyszeć świrdujący, niemal rozpaczliwy dźwięk aulosów i warczenie bębnow, aż nagle król Leonidas ruszył z wrzaskiem do ataku ciągnąc za sobą trzystu irenes. Przebiwszy mieczem oficera perskiego, którego miał przed sobą, przeciął na pół następnego, który zagrażał mu drogę, po czym parł do przodu niczym furia, podczas gdy Arystarchos osłaniał go z boku swą olbrzymią tarczą.

Kserkses, który kazał postawić swój tron na pobliskim pagórku, aby podziwiać zwycięstwo własnej armii, nagle zerwał

się na równe nogi, przeczuwając, co zaraz nastąpi. Otóż dostrzegłszy go, król Leonidas usiłował przebić się przez szeregi Persów, aby go dopaść. Zbladł, Leonidas bowiem z przerażającą miną, w hełmie z trzema szkarłatnymi grzebieniami przedzierał się coraz dalej przez jego wojsko, które jęło się rozstępować z lękiem. Jeszcze trochę, a w szeregach żołnierzy powstałby korytarz, przez który wpadłaby cała grecka armia, aby zabić Wielkiego Króla i wyciąć w pień hordę najeźdźców.

Strwożony Kserkses dał rozkaz odwrotu, toteż dziesiątkowani Nieśmiertelni zawrócili czym prędzej ku wzgórz, zwiirając szyki, po czym jęli się cofać powoli, aby odwrót nie przekształcił się w ucieczkę.

W ciągu następných pięciu dni wróg nie dał znaku życia, w Leonidasie zaś zakiełkowała nadzieja, że otrzyma posiłki. Pewnej bezksiężycowej nocy jego strażnicy dostrzegli światło mrugające na powierzchni morza, wkrótce potem do brzegu przybiła jakaś łódź. Mężczyzna, który z niej wysiadł, zażądał natychmiastowej rozmowy z królem. Leonidas siedział właśnie w swoim namiocie rozprawiając o czymś z Arystarchosem. Posłaniec wszedł kłaniając się nisko.

— O, królu, muszę ci wyjawić coś, co jest przeznaczone wyłącznie dla twoich uszu — oznajmił.

— Mów śmiało — odparł władca. — Ten człowiek to najdzielniejszy wojownik w całej Sparcie, na dodatek całkowicie mi oddany.

— Mój wódz, Temistokles — zaczął posłaniec — przesyła ci pozdrowienia i pragnie cię zapewnić, że nigdy nie złamał danego słowa. Jednakże teraz istnieje zagrożenie, że flota zostanie otoczona, dlatego bezwzględnie musi się wycofać. Na dodatek dowiedział się, że nie otrzymacie ze Sparty żadnego wsparcia, eforowie i geruzja nie chcą bowiem wycofać wojsk z przesmyku. Wielkie było twoje męstwo, śmierć twa zaś nie przyniesie Grekom żadnego pożytku, zbierz więc wojsko na brzegu, a jeszcze dziś w nocy jego okręty przyplłyną po nie i zaborą do Przesmyku Korynckiego.

Król Leonidas zbladł jak płótno, nabrał bowiem pewności, że został całkowicie opuszczony. Mimo to odpowiedział spokojnie, nie zdradzając targających nim uczuć.

— Przekaż twemu wodzowi co następuje: „Król Leonidas s'le pozdrowienia, twoje słowa są dla nas ogromną pociechą, jako że słowo przyjaciela zawsze jest cenne, zwłaszcza w chwilach ostatecznych, ale nie skorzystamy z tego zaproszenia. Nie wolno nam bowiem łamać otrzymanych rozkazów. Będziemy zatem walczyć, dopóki starczy nam sił, a potem polegniemy z honorem, jak przystało na wojowników.” A teraz idź i niech bogowie mają cię w opiece.

Pokłoniwszy się, posłaniec pomknął w ciemnościach do swej łodzi, zmieszany na widok owego nadludzkiego uporu. Wkrótce potem wsiadł na pokład triery swego wodza, który czuwał przy świetle lampki oliwnej w kasztelu na rufie, i przekazał mu odpowiedź.

— Uparty Spartanin! — zawołał Temistokles uderzając pięścią w burtę, gdy usłyszał wiadomość. — Pozwoli się zarrnąć jak byk na ołtarzu. Nie chce zrozumieć, że poświęcili go po to, by móc nam rzucić w twarz swoją krew, kiedy trzeba będzie bronić Przesmyku Korynckiego za pomocą floty.

Odprawił posłańca, po czym jął się przechadzać nerwowo po wąskiej przestrzeni kasztelu. Następnie wyszedł na pokład i spojrzał na ład. Z prawej strony dostrzegł tysiące migających płomieni perskiego obozowiska, z lewej zaś niemal zupełnie wygasłe ogniska małego wojska greckiego, które zostało już skazane na śmierć.

— Nie możemy dłużej czekać — powiedział jakby do siebie, przygryzając wargę. — Dajcie rozkaz wypłynięcia — polecił oficerowi, który właśnie przyszedł.

Na obu burtach nasmarowane łojem wiosła zanurzyły się w wodzie, po czym olbrzymia triera pomknęła lekko po cieśninie Euripos. Zaczęło świtać.

Przed udaniem się na spoczynek król Leonidas wydał dyspozycje na następny dzień, a także kazał przewieźć do pobliskiej wioski Alpenoj młodego Kresilasa, który zachorował na oczy. Odprawiwszy Arystarchosa, rzucił się na posłanie, by trochę odpocząć. Po kilku godzinach obudził go gwałtownie strażnik.

— Panie, jesteśmy zgubieni! Właśnie dostaliśmy wiadomość, że zdrajca przeprowadził wojska perskie przez przejście

Anopaja. Strzegący go Fokijczycy wycofali się na szczyt wzgórza, żeby się lepiej bronić, ale wrogowie nawet ich nie dotknęli, tylko popędzili s'cieżką z drugiej strony góry. Będą tutaj, kiedy słońce znajdzie się wysoko na niebie.

Leonidas wypadł z namiotu bez zbroi, zarzuciwszy sobie tylko na ramiona chlamidę, po czym zwołał swe oddziały.

— Żołnierze Grecji! — powiedział. — Wielkie i godne pochwały było wasze męstwo, niczym ono wszakże wobec zdrady. Ktoś wskazał wrogom przejs'cie Anopaja, dlatego też wkrótce zostaniemy okrążeni. Nie trzeba, aby tysiące walecznych wojowników zginęły na próżno. Wasze włócznie mogą jeszcze bowiem ugodzić barbarzyńców w bitwach, które stoczycie bez wątpienia w każdym zakątku Grecji. Niechże więc nasi sprzymierzeńcy wycofają się i wrócą do swoich miast, nakłaniając wszystkich, aby znaleźli w sobie odwagę i nie ulegali wrogom. Spartiaci pozostaną tutaj czuwając nad ich odwrotem. Nie obawiajcie się, że okażecie się tchórzliwi; zdążyliście już udowodnić swoje męstwo i nikt nie może was posądzić o strach. Musicie być zresztą posłuszni rozkazom waszego wodza. A teraz idźcie, zostało wam bowiem niewiele czasu.

Po słowach króla zaległa przytłaczająca cisza, po czym żołnierze powoli, grupami opuścili zgromadzenie, aby przygotować się do wymarszu. Król Leonidas zaś wrócił do swego namiotu i opadł na krzesło wyczerpany. Po chwili wszedł Arystarchos.

— Królu — powiedział stanowczo — będziemy walczyć u twego boku do ostatniego żołnierza. Nasi wojownicy nie lekają się śmierci.

— Dziękuję ci — odrzekł monarcha. — Nigdy nie wątpiłem w twoją odwagę ani w męstwo naszych wojowników, ale teraz odejdz, pora się przygotować na ostateczność.

Powiedziawszy to, wy dobył ze skrzyni zwój pergaminu, na jakim zwykł pisać wiadomości, po czym wezwał strażnika i wydał mu jakiś rozkaz. Po chwili w namiocie stawili się Brytos i jego przyjaciel Agias, obaj w zbrojach. Wyprężyli się w wojskowym salucie, na znak Leonidasa zaś usiedli.

— Wąwóz jest stracony — przemówił król — zostało nam więc niewiele życia. Moją wolą jest, aby geruzja, eforowie i król Leotychidas otrzymali tę wiadomość — wskazał na leżą-

cy na stole zwój pergaminu. — To list wielkiej wagi, mogę go zatem przekazać jedynie tak walecznym wojownikom jak wy, którzy jesteście również ludźmi sprytnymi i zręcznymi, umięcymi uniknąć pułapek długiej drogi stąd do Sparty. Należeliście do kryptei i nadajecie się do tej misji. Pamiętajcie: wiadomość musi trafić wprost do rąk eforów i w obecności króla Leotychidasa.

Brytos zbladł jak płótno.

— Ależ, panie — zaprotestował — jak możesz żądać, byśmy opuścili cię w takiej chwili? Pozwól, że to powiem, ale czy Sparta i tak nie dowie się o klęsce Termopil, gdy tylko nasi wojownicy powrócą do domów? Poszliśmy za tobą, by nigdy cię nie opuścić — odczekał chwilę oniemiały — albo może... może mój ojciec Arystarchos, zaślepiony miłością do mnie...

Król Leonidas zerwał się na równe nogi, poczerwieniały na twarzy.

— Jak śmiesz — krzyknął — jak śmiesz plamić w ten sposób honor twego ojca? On nawet nie wie, że cię wezwałem; nic mu nie mówiłem, byłem bowiem pewien, że by się temu sprzeciwił. Dość tego! Dostaliście wyraźny rozkaz od waszego króla i musicie go wykonać.

Usiadł naciągając nerwowo himation na kolana.

— Królu — nalegał Brytos znajdując w sobie jeszcze dość sił, by to powiedzieć — jeśli istnieje choć jedna szansa, że zmienisz zdanie, zaklinam cię, wyślij kogoś innego z Agiasem. Mój ojciec zginie jak wy wszyscy, chciałbym zatem być przy nim, gdy nadejdzie koniec.

Monarcha, któremu gniew zdążył minąć, zbliżył się do młodzieńca i położył mu dłoń na ramieniu.

— Naprawdę sądzisz, że twój król o tym wszystkim nie pomyślał? Brytosie, nasza ojczyzna może przetrwać tylko wtedy, gdy jej synowie będą spełniać swoje obowiązki, nie przedkładając własnych interesów nad interes ogółu. Naszym obowiązkiem jest pozostać i zginąć, jeśli taka będzie wola bogów, waszym zaś uratować się, aby przekazać tę wiadomość. Weź ze sobą swojego helotę. Nie kto inny, jak właśnie twój ojciec zwrócił mi uwagę, że jest bardzo zwinny i silny mimo kalectwa. Przyda ci się w podróży. Ruszajcie jak najprędzej, bo czas nagli.

Obaj młodzieńcy skłonili się królowi i wyszli z namiotu. Wkrótce potem, gdy Talos przyprowadził muła i dwa konie, byli gotowi do drogi. Domyśliwszy się, co się święci, Arystarchos pobiegł do centralnego punktu obozowiska, gdzie ustawiały się w szyku oddziały spartańskie, do których dołączyli wszyscy Tepsiczycy chcący pozostać.

— Król chce, żebyśmy zawieźli list do Sparty — powiedział Brytos. — Nie zdołałem nic zrobić, żeby go od tego odwieść. Opuszczam cię ze złamanym sercem, ojczu.

Arystarchos popatrzył nań błyszczącymi oczyma.

— Skoro król dał ci taki rozkaz, to znaczy, że tak musi być. Nie martw się o mnie, synu, przecież każdy wojownik pragnie takiej śmierci. — W jego głosie słychać było lekkie drżenie. — Powiedz matce, że serce Arystarchosa biło dla niej z niezmienną siłą aż do ostatniej chwili.

Spojrzał na Talosa, który czekał z boku siedząc na swym mule, z dojmującym bólem i rozpaczą tak jak tamtego dnia na równinie, po czym podniósł ozdobiony grzebieniami hełm i oddalił się, by zająć miejsce w szeregu.

Słońce stało już wysoko na niebie, kiedy król Leonidas wyszedł z namiotu, upiął sobie długie włosy barwy miedzi w węzeł na czubku głowy, włożył hełm, odebrał z rąk heloty włócznie i tarczę, po czym zajął pozycję na pierwszej linii prawego skrzydła. Arystarchos zdążył już wydać rozkazy. Wojsko miało się natychmiast rzucić do ataku, by spowodować jak największe straty u wroga.

Wkrótce u wylotu wąwozu pojawili się Persowie. Na znak króla Leonidasa rozbrzmiały aulosy. Jednostajna, natarczywa muzyka zalała całą dolinę, w której słychać było jedynie echo ciężkich kroków armii perskiej. Kiedy król Leonidas podniósł włócznie, mały oddział ruszył na ostatnią bitwę. Znalazłszy się tuż naprzeciw wroga, wojownicy opuścili włócznie i pognali do ataku. Król, niczym jakiś oszalały żywiol, zabijał każdego, kto stanął mu na drodze. Za każdym zaś razem gdy Persowie usiłowali zadać mu cios, u jego boku wyrastała niczym skała tarcza ze smokiem, za którą sunął naprzód Arystarchos siejąc spustoszenie wokół siebie. Kiedy tylko nieprzyjaciel usiłował ich okrążyć, Grecy rzucali się biegiem do tyłu, ku zwężeniu,

po czym robiąc niespodziewany zwrot nacierali z powrotem z dziką furią, jakby w ich ciałach drzemały niespożyte pokłady energii. Siedzący na tronie Kserkses przyglądał się temu z pobladłą twarzą, podczas gdy Demaratos zaciskał szczęki wbijając wzrok w ziemię.

Owa niewiarygodna karuzela powtórzyła się kilka razy, uniemożliwiając Persom zdobycie kontroli nad szybkimi, gwałtownymi ruchami małej armii, w pewnej chwili wszakże Spartanie zaczęli opadać z sił, aż w końcu stopniowo ulegli, niemal wchłonięci przez nacierającą horde. Nagle Arystarchos został ugodzony strzałą w prawe ramię i wypuścił miecz z dłoni. Jego miejsce zajął natychmiast inny wojownik, ta krótka chwila wystarczyła jednak, by zakrzywiony miecz perski zagłębił się w odsłonięty bok Leonidasa. Twarz króla wykrzywiła się w masce bólu, jego ramię nie przestało wszakże się spustoszenia, dopóki starczyło mu sił. Kiedy Wyczerpany, zalany krwią monarcha osunął się na ziemię, natychmiast opadła go zgraja wrogów pragnących go dobić i zagrabić jego ciało. W tym samym jednak momencie Arystarchos, wyjąwszy strzałę z ramienia, chwycił tarczę w dwie ręce i puszczał się pędem w sam środek chmury nieprzyjaciół przewracając ich i uwalniając ciało Leonidasa. Natychmiast przybyli mu z odsieczą towarzysze, którzy otoczyli murem króla, broniąc go zaciekle. Tymczasem za plecami spartańskich wojowników rozległ się dziki ryk: to wojsko perskie schodziło właśnie ścieżką Anopaja.

Na rozkaz Arystarchosa wszyscy zaczęli się wspinać na położony po lewej stronie wąwozu pagórek, gdzie ustawili się w szyku, by po raz ostatni odeprzeć atak. Persowie natarli ze wszech stron, znajdujący się zaś u kresu sił Spartanie walczyli z dziką zaciętością za pomocą mieczy, paznokci albo i zębów, jeśli kto nie miał broni, dopóki dowódcy Wielkiego Króla, nie chcąc niepotrzebnie tracić więcej żołnierzy, nie wezwali piechoty i nie kazali wystąpić naprzód łucznikom. Wyczerpani, podziurawieni jak sito wojownicy spartańscy podnieśli w górę tarcze, by osłonić dogorywającego króla, po czym padli kolejno jeden po drugim na przesiąkniętą ich krwią ziemię.

TEN-KTÓRY-ZADRŻAŁ-ZE-STRACHU

Brytos i Agias jechali bez przerwy nocą i dniem, robiąc jedynie krótkie postoje na sen bądź jedzenie i to najczęściej na zmianę. Siedzący na mule Talos podążał jakieś trzydzieści kroków za nimi. Wszędzie napotykali ślady paniki; przerażeni mieszkańcy środkowej Grecji opuszczali swe domostwa, by schronić się w górach wraz z dobytkiem. Ten, kto nie mógł się ruszyć, zostawał spodziewając się najgorszego. Pierwszego dnia minęli Orchomenos i Koroneę, pod wieczór zaś zawitali do Tespii. Straciwszy pod Termopilami siedmiuset wojowników, to niewielkie miasto rozbrzmiewało płaczem kobiet i dzieci, do których dotarła już wieść o tragicznym końcu mężów i ojców. Zagubieni starcy błakali się po zakurzonych drogach, jakby ogłuszeni przerażającym nieszczęściem. Inni zaś, siedząc na progach świątyń, modlili się o śmierć. U bram miasta wyszedł jeźdźcom na spotkanie zgięty wpół, niemal ślepy starzec. Był zarośnięty i miał brudne, potargane włosy.

— Kim jesteście? — zapytał drżącym głosem spoglądając na Brytosa oczami czerwonymi od płaczu.

— Jesteśmy Fokijczykami — odrzekł natychmiast Brytos. — Wracamy z przejścia Anopaja. A tyś co za jeden, starcze? Czego od nas chcesz?

— Mam na imię Diadromos, jestem ojcem Demofilosa, dowódcy naszych żołnierzy, którzy służyli pod rozkazami Leonidasasa. Błagam, powiedzcie, czy to prawda, że nikt nie ocalał, że wszyscy zginęli?

— Niestety, to co mówisz, jest prawdą — odparł Brytos.
— Nie chcieli się poddać... Zginęli jak bohaterowie.

— Ale wy... — ciągnął starzec z drżeniem w głosie — wy nie jesteście Fokijczykami, znam waszą mowę... Jesteście La-kończykami, Spartanami...

Brytosa przebiegł dreszcz.

— Jesteście Spartanami — powtórzył starzec. — Skąd się tu wzięliście? Uciekliście, zostawiliście swoich towarzyszy...

Dawszy znak Agiasowi i Talosowi, Brytos popędził konia niemal pustymi ulicami miasta. Starzec zaś upadł na kolana łkając

— Zostawiliście ich... — jęczał — zostawiliście...

Jechali powoli, bez słowa, w ciemnościach rozpraszanych jedynie przez sierp księżyca, który wzeszedł właśnie nad drzewami oliwnymi. Agias spoglądał na przyjaciela, który siedział na koniu milczący, z głową schowaną w ramionach. W pewnej chwili nie mógł już dłużej znieść tej udręki.

— Dość tego! — wybuchnął. — Dość tego, Brytosie. Zdanie, które nam przydzielono, jest niewdzięczne, ale ktoś musiał się go podjąć. Spełniamy o wiele trudniejszy obowiązek niż nasi towarzysze, którzy polegli w chwale u boku króla Leonidas. Będą ich opiewać poeci, podczas gdy nasze imiona pójdą w zapomnienie, o ile nie spadnie na nie hańba. Ale czy mogliśmy odmówić?

— Słyszałeś, co powiedział ten starzec? — odparł Brytos twardo. — Słyszałeś, Agiasie? Oplakiwał syna, który poległ wraz z naszymi towarzyszami, i wziął nas za tchórzy, którzy uciekli ze strachu... A teraz musimy kłamać i ukrywać się właśnie jak tchórze...

— Posłuchaj — nie dawał za wygraną Agias — ten list musi być wyjątkowo ważny i musi zawierać coś więcej niż zwykłą wiadomość o porażce. Skoro król Leonidas przydzielił nam tak wstrętne zadanie, to znaczy, że miał do przekazania Sparcie, a w szczególności eforom i królowi Leotychidasowi, coś naprawdę przerażającego. Nie da się tego inaczej wytłumaczyć. Jak słusznie stwierdziłeś, nasi peloponescy sojusznicy z pewnością powiadomiliby ich o klęsce pod Termopilami jeszcze przed nami.

— Masz rację — przyznał Brytos — to prawda. Sprzymierzeńcy z Tegei mogą dotrzeć do Sparty szybciej niż my, bo mają nad nami pewną przewagę. Dlaczego więc król Leonidas kazał nam się okryć hańbą?

Długo jechali w milczeniu. W pewnej chwili, wspiąwszy się na jakieś" wzgórze, ujrzeni w dole połyskujące wody Zatoki Korynckiej, postanowili więc przystanąć, by się posilić i trochę odpocząć. W istocie byli bowiem bardzo głodni i wycieńczeni z powodu nadludzkich wysiłków, które musieli ostatnio znosić. Ponadto obaj gorączkowali z powodu ran odniesionych w bitwach.

Talos spętał konie i muła, rozniecił ognisko w załomie skalnym, po czym ugotował trochę jęczmiennej polewki.

Nie potrafił się cieszyć na myśl, że wkrótce zobaczy matkę i swoich znajomych; czuł w sercu ołowiany ciężar. Skuliwszy się w kącie, niechętnie jadł posiłek. Później usiadł na górującej nad morzem skale. Promienie księżyca oświetlały srebrnym blaskiem taflę wody, liście drzew oliwnych i migdałowców falowały poruszane lekką bryzą, która niosła ze sobą zapach mięty. Talos odwrócił się, by popatrzeć na siedzące nieopodal przy ognisku postaci; nie odczuwał już ani nienawiści, ani urazy. Widział jak we śnie dopiero co opuszczone pole bitwy, poległych żołnierzy, którzy nie będą mieli pochówku ani nad którymi nie będą płakać kobiety. Niemal wyczuwał obecność ich cieni unoszących się nad małym obozowiskiem. Pomyślał o wojowniku ze smokiem, o jego powgniatanej, powalanej krwią i kurzem tarczy, leżącej wśród stosów trupów, o tragedii, jaką miały wkrótce przeżyć całe narody. W uszach rozbrzmiewały mu rozpaczliwe krzyki tespiskich kobiet, nie dawały spokoju zaczerwienione, pełne łez oczy tamtego starca.

Serce wezbrało mu żalem i gniewem, okrutny los oderwał go bowiem siłą od jego ludu i od tych, których kochał, nie pozwalając mu zarazem stanowić części innego narodu, którego nienawidził i który jednocześnie głęboko podziwiał, zrazu nieświadomie, jak wówczas, gdy jako dziecko ujrzał na równinie wojowników, potem zaś, w wieku chłopięcym, przyglądając się, jak młodzi spartiaci znoszą bez jęku biczowanie przed świątynią Artemidy Ortia, czy wreszcie obserwując nieprawdopodob-

ne męstwo i niezwykłą siłę ducha, jakimi wykazało się trzystu żołnierzy pod Termopilami.

Z zadumy wyrwał go odgłos kroków. Obejrawszy się, dostrzegł połyskujący w promieniach księżyca pancerz Brytosa. Obaj długo milczeli — spartański wojownik sztywno wyprostowany, nieruchomy niczym posąg, helota zaś siedząc na kamieniu. Pierwszy przemówił Brytos.

— Niezbadane są wyroki losu — powiedział martwym głosem. — Ileż to razy patrząc na twój lud dochodziłem do wniosku, że lepiej już umrzeć, niż wieść taki podły, jednostajny żywot pozbawiony uczuć.

Talos poderwał się na nogi.

— A jednak teraz ci zazdroszczę, heloto — ciągnął Brytos. — Wrócisz w te swoje góry, ocaliwszy życie, jedyne, co się dla ciebie liczy, tymczasem ja... wracam do miasta, które jest gotowe mnie osądzić, zostawiam zwłoki ojca nie pogrzebane, na pastwę psów i barbarzyńców. Zostawiam zmasakrowane, rozszarpane ciała przyjaciół narażone na szyderstwa i okaleczenia. Przedemną jest tylko ciemność, być może hańba, pogarda...

Umilkł przepełniony złością, rozpaczą i wstydem. Agias spał otulony podartym himationem, on zaś przeżywał tak nieznośne męki, że zdecydował się otworzyć przed niewolnikiem. Talos wpatrywał się weń smutnym wzrokiem.

— Naprawdę jesteś przekonany, że życie to jedyne, co się dla mnie liczy?... A cóż ty wiesz o życiu moim albo mojego ludu?... Wiesz, co to znaczy wykonywać rozkazy w milczeniu, dzień po dniu znosić jarzmo jak zwierzę, bez żadnej nadziei, że będzie lepiej? To nie bogowie uczynili z nas niewolników, lecz ludzie, ludzie tacy jak ty... i ja. Jutro, a może nawet w tej chwili całe narody, szczęśliwe i wolne, mogą się stać niewolnikami za sprawą niepowstrzymanej siły najeźdźców. Ludzie szlachetni, dumni, odważni, tacy jak twój ojciec albo tacy jak ty. Oczywiście ten, kto się rodzi w łańcuchach, nie wie, co to wolność, ale nawet on zdaje sobie sprawę, co to jest odwaga. Odwaga, której ty nawet nie potrafisz sobie wyobrazić. Odwaga, by codziennie dźwigać coraz większy ciężar nie zginając karku, odwaga, by nadal żyć dla siebie, dla tych, którzy cię kochają.

Brytos ujrzał oczyma duszy młodego pasterza, który walczy wyłącznie za pomocą kija z kilkoma uzbrojonymi napastnikami, a po chwili jasnowłosą dziewczynę, która osłania go własnym ciałem niczym tarczą.

— Teraz ty też przekonasz się, czy jesteś człowiekiem czy niewolnikiem — ciągnął bezlitośnie Talos. — Jeśli możesz, żyj zgodnie z nakazami, przetrwaj to, co nazywasz hańbą. Nawet osioł potrafi znieść chłostę bez jęku.

Brytos poczuł, że oblewa się szkarłatem.

— Nawet zwierzęta potrafią bóść — mówił helota — i zadawać sobie samym śmiertelne rany...

— Dosyć! — krzyknął Brytos kładąc dłoń na rękojeści miecza. — Nie igraj z moim gniewem.

— Ale tylko człowiek jest zdolny do przeżycia, do uciszenia krzyku serca, do stłumienia żalu, buntu, złości, do dźwignia odrażającego ciężaru hańby. Jesteś cały osłonięty brązem, Brytosie, ale skóra okrywająca twoje kości potrafi drzeć jedynie tak jak skóra na bębnie wzywającym do bitwy. Czy płakałeś kiedykolwiek, Brytosie? Czy miałaś kiedyś oczy pełne łez? Pozbawiono cię chwały i jesteś teraz niczym waza napełniona piaskiem. — Dotknął palcem jego piersi. — Co jest pod tym pancerzem, Brytosie? Co tam jest? — Umilkł przygryzając wargę i tak mocno zaciskając pięści, że aż wbił sobie paznokcie w ciało. Po chwili zaś dodał lodowatym tonem: — A teraz obnaż miecz, wojowniku, i sam się przekonaj, jak bardzo niewolnik dba o własne życie.

Brytos spuścił głowę nic nie mówiąc.

O północy tarczę księżycy przesłoniła chmura, która nadeszła wraz z zachodem słońca znad wzgórz Helikonu, ich mały obóz spowity więc nagle ciemności, gasząc refleksy na powierzchni morza i sprawiając, że na moment ucichło nawet cykanie świerszczy w trawie; jedynie żar z ogniska roztałcał bladą poświatę. Pełniącego właśnie wartę Agiasa w tej samej chwili zmorzył sen. Wówczas nie wiadomo skąd wynurzył się jakiś cień i przemknął ukradkiem między rzadkimi zaroślami — tak cicho się poruszał, że pewnie był to jeden z duchów, które ziemia skrywa w swym łonie i które błakają się nocą szukając

przedwcześnie utraconego życia... Cień stanął obok Brytosa, za plecami Agiasa, groźny niczym jakaś przerażająca zjawia. Po czym nagle przykucnął, jakby czegoś szukał; po chwili wstał i odszedł... albo zniknął. Talos był przekonany, że właśnie to mu się przyśniło... Rzecz jasna, kiedy księżyc znów zaczął świecić, wszyscy trzej młodzieńcy byli pogrążeni we śnie. Jedyne Agias obudził się czując dreszcz, gdy wilgotna bryza powiała od morza.

Tuż przed świtem ruszyli w dalszą drogę zatrzymując się tylko na chwilę, by napić zwierzęta w strumyku. Dotarli do morza, gdy niebo dopiero zaczęło się przejaśniać. Kiedy zaś słońce stało już wysoko, znaleźli się przy przesmyku. Spoceni, pokryci kurzem, rozbili obóz w opuszczonym domu, by zjeść garść oliwek, które Talos wydobył z sakwy, i kawałek suchego chleba.

Wkrótce stanęli u stóp muru, który oddziały peloponeskie zbudowały po to, by zagrozić przejście na południe. Z bastionu wychylił się spartański oficer.

— Coście za jedni? — zawołał. — Czego chcecie?

— Jestem Brytos, syn Arystarchosa, Spartanin — padła odpowiedź. — Przybywamy z Termopil.

Rozległy się głośnie rozkazy, po czym otwarły się drzwiczki u stóp muru.

— Wejdźcie, prędko — polecił oficer wpuszczając ich do środka. — Ale powiedzcie — dodał natychmiast — w jaki sposób udało się wam uratować? Kilka godzin temu przyszły tu wojska sprzymierzone; żołnierze mówili, że nikt nie ocalał.

— Rzeczywiście — przyznał Brytos łamiącym się głosem — zostali, by umożliwić im odwrót. Jesteśmy tu dlatego, że król Leonidas powierzył nam list do eforów; mamy rozkaz oddać im go do rąk własnych.

— A co z królem? — zapytał oficer.

— Teraz już nie żyje — odparł Agias. — Nikt nie zdołał się uratować; pewnie wiecie, że ktoś pokazał wrogom drogę przez Anopaję, my zaś zdążyliśmy wyruszyć, zanim zniknęli nas w pułapce. Ale teraz pozwólcie nam przejść, musimy doprowadzić naszą misję do końca.

Wokół nich zebrał się tłumek żołnierzy.

- Co to za jedni? — rzucił ktoś.
- To nasi, wracają z Termopil.
- Z Termopil? Przecież powiedzieli, że nikt nie ocalał!
- Tym się udało.
- Zdaje się, że mają wiadomość od króla Leonidasa.

Brytos spał konia przeciskając się przez tłum żołnierzy, którzy rozstąpili się na boki, by zrobić mu przejście. Przemierzywszy oszańcowany obóz, zeszedli po zboczach na równinę Argolidy. Zostawili w tyle niewierne Argos, które być może zdążyło się już skumać z Persami, po czym skierowali się ku Mantinei, dokąd dotarli pod wieczór. Nazajutrz znaleźli się u bram Sparty. Miasto bielilo się w promieniach ostrego słońca; na jednej z kolumn wisiął nieruchomo kir.

Przejechali przez miasto w chwili, gdy kłębił się tam największy tłum; ludzie rozstąpili się na ich widok, przyglądając się im jednocześnie z ciekawością i nieufnością. Pokryte pianą wierzchowce z trudem ciągnęły kopytami po zakurzonej drodze, z oklapłymi uszami, spuściwszy ogony, dźwigały na grzbietach wojowników w powgniatanych zbrojach, w poszarpanych i brudnych szatach, z ciałami pokrytymi sińcami i ropiejącymi ranami, z kołyszącymi się mokrymi od potu głowami. Dotarłszy na ogromny plac przed świątynią Ateny Chalkiojkos, weszli do gmachu, w którym geruzja wraz z eforami obradowała właśnie nad tym, co się wydarzyło. Pewien tegejski goniec zdążył już przywieźć wiadomość o klęsce pod Termopilami.

Brytos i Agias zostali wprowadzeni do sali obrad przez straż; kiedy weszli, powitał ich szmer zdumienia. Wychudzeni, odziani w łachmany, brudni, z czerwonymi, podkrążonymi oczyma w czarnych oczodołach byli prawie nie do poznania. Wyglądali jak duchy z piekieł.

— Czcigodni ojcowie — przemówił Brytos — nasz opór został zduszony w zarodku z powodu zdrady. Jako że ktoś wskazał wrogowi przejście Anopaja, król Leonidas odesłał wojska sprzymierzone, nie chcąc ich niepotrzebnie narażać, sam zaś został z naszymi żołnierzami, żeby osłaniać ich odwrót. Ocaleliśmy jako jedyni, król rozkazał nam bowiem dostarczyć tę oto wiadomość. — Podał pergaminowy zwój straży, która przekazała go w ręce najstarszego efora. — Rozkazał, aby ją

natychmiast przeczytano w obecności gerontów, eforów i króla Leotychidasa.

Efor odrzekł nie rozwijając zwoju:

— Słyszeliśmy o ogromnym męstwie naszych żołnierzy pod Termopilami. Przelali oni krew za wolność wszystkich Hellenów, miasto zaś złoży im hołd odprawiając uroczyste obrzędy pogrzebowe. Składa także hołd wam za to, że walczyliście do ostatka sił i okazaliście posłuszeństwo rozkazom waszego króla. Wiadomość ta zostanie odczytana, gdy tylko powróci król Leotychidas, którego wezwano już do stawienia się na niniejszym zgromadzeniu. A teraz możecie odejść, macie pozwolenie, by udać się do domów nie stając przed obliczem sysytii.

— Nasza sysytia już nie istnieje — powiedział Brytos głuchym głosem, po czym obaj wojownicy wyszli wspierając się jeden na drugim na dziedziniec skąpany w promieniach palącego, bezlitosnego słońca. Obaj zamknęli powieki, by osłonić obolałe oczy, Brytos zaś przyłożył ręce do skroni, czując się tak, jakby za chwilę miało je coś rozsądzić. Ledwie źrenice przywykły do ostrego światła, ujrzał przed sobą plac, na którym roilo się od wpatrujących się w nich ludzi. Stojący z boku Talos z trudem przytrzymał za uździenice rozdrażnione konie, które opędzały się od gzów.

— Wracają z piekiel — stwierdził jakiś chłopiec otwierając szeroko oczy, na pół widoczny zza nóg swego ojca.

Brytos i Agias zeszli po schodach Domu Rady chwiejnym krokiem, tłum zaś rozstąpił się, by zrobić im przejście.

— To syn Arystarchosa — powiedział ktoś wychylając się do przodu, aby spojrzeć mu w twarz.

Na to jakaś kobieta zawołała:

— Dlaczego oni ocaleli? Dlaczego tylko oni?

Szmer na placu narastał; tłum sprawiał wrażenie, jakby chciał osaczyć obu nieszczęśników. W tej samej chwili jednak wszystkie głowy odwróciły się w stronę drzwi do Sali Rady, skąd wyszedł właśnie jeden z gerontów. Kiedy dał znak, że chce przemówić, tłum zamilkł.

— Spartanie — powiedział starzec. — Ci dwaj wojownicy, którzy przechodzą teraz wśród was, to mężni żołnierze. Przy-

wieźli wiadomość od króla Leonidasa, z którego woli opuścili Termopile.

Wtedy tłum znów się rozstał, obaj wojownicy zaś powlekli się na koniec placu, przed świątynią Ateny Chalkiojkos. Obok pnia, który był świadkiem męki króla Kleomenesa, stała sztywno wyprostowana, śmiertelnie blada Ismena.

— Matko... — wychrypiał Brytos. Tarcza wysliznęła mu się z rąk i upadła na bruk. — Matko... powiedziałaś... albo z tarczą... albo na tarczy... — Osunął się na kolana, podczas gdy z tyłu, za nim, Agias chwiał się na nogach niczym zawieszona na haczyku kukła.

Brytos podniósł wzrok na matkę oblizując spierzchnięte wargi.

— Matko... on cię kochał aż do ostatniej chwili.

Ismena uklękła obok niego.

— Matko, nie chciałem go opuszczać... nie chciałem go opuszczać! — krzyknął zduszonym głosem, po czym ukrył twarz w dłoniach i zaniósł się szlochem.

Jeden z eforów dał znak strażnikowi, aby wyszedł z sali zamykając za sobą żelazne drzwi, sam zaś wysunął się na środek.

— Panowie — powiedział — król Leonidas i nasi wojownicy zginęli śmiercią bohaterów, w obronie Grecji. Teraz Ateńczycy nie będą już mogli odmówić przekazania swojej floty pod rozkazy naszego dowódcy Eurybiadesa, aby bronić Peloponezu. W tej chwili naszym zadaniem jest umocnienie przesmyku. Tymczasem oddamy honory poległym i postaramy się, o ile będzie to możliwe, odzyskać ich ciała, aby nie musiały leżeć nie pogrzebane. Pomogą nam w tym fokijscy sprzymierzeńcy. Następnie trzeba mianować regenta, jako że syn Leonidasa, mały Plejstarchos, jest jeszcze za młody, by wstąpić na tron. Geruzja zaproponowała już Kleombrotosa, brata zmarłego króla, który z pewnością zgodzi się objąć ów trudny urząd w tak niebezpiecznych czasach. Zasięgnęliśmy także języka na temat człowieka, który przeprowadził wojska Wielkiego Króla przez przejście Anopaja, skazując nasze oddziały w Termopilach na śmierć.

Wówczas z jednego z senatorskich krzesel podniósł się starzec z siwą brodą.

— Król Leonidas i tak by zginął, doskonale bowiem wiemy, że jego los został przesądzony w chwili, gdy niniejsze zgromadzenie postanowiło nie wycofywać ani jednego żołnierza broniącego przesmyku.

Jego przedmówca pobrał na twarzy.

— Albo może — ciągnął niewzruszony starzec — szlachetna geruzjo i eforowie, zamierzamy ukrywać prawdziwy powód, dla którego król Leonidas został wysłany na śmierć do Termopil? Ktoś, czcigodni ojcowie, stwierdził, że to najniższa cena, jaką należy zapłacić, by zmusić Ateńczyków, żeby wysłali swoją flotę do obrony przesmyku, i nikt się temu nie sprzeciwił, nawet ja, ale proszę was o uczczenie pamięci tych walecznych mężów, których poświęciliśmy dobrowolnie i z pełną świadomością, ale którym nie mamy prawa uragać własnym zakłamaniem. Zdrajca z pewnością doprowadził wojska Wielkiego Króla do naszych wojowników, ale gdyby tak się nie stało, czcigodni ojcowie, i tak nic by się nie zmieniło poza tym, że agonia króla Leonidas i jego żołnierzy trwałaby dłużej.

Starzec usiadł z powrotem naciągając na głowę połę himationu i pograżając się w pogardliwym milczeniu. Po długiej, pełnej zakłopotania ciszy efor ponownie zabrał głos.

— Szlachetny Archelaos bez wątpienia dał się ponieść chwilowemu wzruszeniu. Wszyscy jednak wiemy, że mamy obowiązek ukarać zdrajcę, którym okazał się Efialtes z Malis, syn Euridemosa. Od tej chwili nie zazna spokoju, dopóki nie zapłaci za swą nikczemność. A teraz — ciągnął mówca — nadszedł czas, aby odczytać wiadomość, którą król Leonidas pragnął nam przekazać przed śmiercią.

Zerwawszy pieczęć zamykającą zwój, rozwinął go powoli, podczas gdy w sali zaległa całkowita cisza.

— Jest pusty... — szepnął pobrałdy. — Nic tu nie napisano...

Brytos i Agias mieli nadzieję, że gdy tylko zostanie ogłoszony powód, dla którego zdołali powrócić do ojczyzny cali i zdrowi, miasto przyjmie ich z otwartymi ramionami, jednakże podejrzewania wobec nich tylko się wzmożły. W zgromadzeniu miejsca obok nich zawsze stały puste; dawni przyjaciele prze-

stali się do nich Odzywać. Agias wychodził już tylko w nocy, aby nikogo nie spotkać, przez całe dni zaś leżał na postaniu wpatrując się nieruchomym wzrokiem w belki na suficie. Wychodził po zmroku, po czym długo krążył po ciemnych, pustych ulicach. Z każdym dniem coTaz bardziej tracił rozum. Na nic zdała się miłość rodziców, którzy ani przez chwilę nie przestali w niego wierzyć. Odrzucony przez miasto, któremu zawsze służył z oddaniem, nie mogąc udźwignąć brzemienia hańby, stracił wszelką chęć do życia.

Pewnej nocy wrócił odurzony winem i w gorączce. Wiał gorący, duszący wiatr; na cichych ulicach pogrążonego we śnie miasta unosiły się tumany kurzu. Kiedy Agias otworzył drzwi, silny powiew wichru zgasił ogień płonący pod posągami bogów. Przerażony tym złym znakiem, cofnął się na ulicę, po czym wiedziony dziwnym impulsem ruszył do domu starego przyjaciela, który mieszkał niedaleko, żeby poprosić go o ogień, nie chciał bowiem, aby rodzice po obudzeniu zastali wygasłe palenisko. Zastukał kilka razy do drzwi, na co rozszczękał się uwiązany na łańcuchu pies. Przyjaciel wyszedł otulając się płaszczem.

— Agias... — powiedział. — Co tu robisz o tej porze, czego chcesz?...

— Właśnie wróciłem do domu — odrzekł Agias zmieszany — ale wiatr zgasił u mnie płomień. Proszę cię, pozwól mi zapalić od ciebie pochodnię.

Przyjaciel spojrzał nań ze współczuciem i pogardą.

— Nie, Agiasie, przykro mi, ale nie dam ci ognia... Mój brat też zginął w Termopilach... Pamiętasz?

Zamknął drzwi, tymczasem wiatr się nasilił niosąc daleko natarczywe ujadanie psa. Agias cofnął się chwiejnym krokiem, po czym wsparty o ogrodzenie szlochał długo, rozpaczliwie. Nazajutrz rano znaleziono go powieszzonego na belce u sufitu, w podartym czerwonym hiniationie.

Wieść o przerażającej śmierci Agiasa wkrótce obiegła miasto trafiając również do domu Brytosa. Przyniosła ją matka.

— Brytosie — powiedziała podchodząc do niego, podczas gdy karmił swego molosa. — Brytosie, to straszne, Agias... nie żyje.

— Nie żyje? — powtórzył chłopak odwracając się gwałtownie.

— Tak, synu, powiesił się dzisiaj w nocy w swoim domu.

Brytos stał przez chwilę jak rażony gromem, nie mogąc opanować drżenia, po czym opuścił dziedziniec i udał się do domu przyjaciela. Przed drzwiami zastał niewielką grupkę odzianych na czarno kobiet, które cicho płakały. Wszedł do pogrążonej w mroku izby: pośrodku na marach spoczywały zwłoki jego przyjaciela w zbroi i z bronią, które rodzice musieli wyczyścić, aby przywrócić im choć część dawnego blasku. Matka siedziała z osłoniętą głową u boku zmarłego, w jej oczach zaś nie było łez. Ojciec, który wyszedł mu na spotkanie, objął go mocno.

— Brytosie — powiedział ochrypłym głosem. — Brytosie, nie będzie pogrzebu dla twojego przyjaciela, nie odprowadzą go też jego towarzysze broni. Dowódca waszego lochosu oświadczył, że nie żegna się z honorami tych, którzy zdrzeli ze strachu.

— Tych, którzy zdrzeli ze strachu... — szepnął Brytos martwym głosem. — Tych, którzy zdrzeli ze strachu. — Uściśnął mocno pogrążonego w bólu starca. — Agias będzie miał swój orszak żałobny — oznajmił twardo — jak przystało na Jednakowego.

Wrócił do domu, podczas gdy czterech helotów przygotowywało właśnie skromną lektykę, która miała zanieść zwłoki na miejsce spalenia, gdzie czekał już stos pędów winorośli. Na oczach zdumionej matki wyjął paradną zbroję Kleomenidów, tę samą, którą jego ojciec wkładał podczas rozmaitych uroczystości, kiedy pojawiał się przed świątynią Ateny Chalkiojkos u boku króla Kleomenesa. Umywszy się starannie, rozczesał, uperfumował i ułożył długie kruczoczarne włosy. Następnie przymocował do nóg rzeźbione nagolenice, włożył pancerz z brązu ozdobiony miedzią i cyną, zacisnął wyprawiony nad ogniem skórzany pas, do którego uwiesił ciężki miecz z rękojeścią z kości słoniowej, przyczepił do ramion długi czarny płaszcz spinając go klamrą, która miała osadzoną pośrodku kropkę bursztynu, na koniec zaś powiesił sobie na ramieniu tarczę i chwycił włócznię.

— Synu, dlaczego to robisz? Dokąd chcesz pójść? — zaniepokoiła się Ismena.

— Dowódca naszego lochosu nie zgodził się na eskortę na pogrzebie Agiasa... Powiedział, że nie żegna się z honorami tych, którzy zdrżeli ze strachu. Wobec tego taki tchórz powinien zostać odprowadzony przez innego tchórza na miejsce spoczynku... Ja będę gwardią honorową Agiasa.

Włożywszy hełm z trzema czarnymi grzebieniami z końskiego włosia, udał się do domu Agiasa budząc zdumienie i podziw przechodniów. Czuwał nad zwłokami przyjaciela przez całą noc, na stojąco, podobny do posągu boga wojny.

Tuż przed świtem, gdy miasto było jeszcze opustoszałe, cichą ulicą ruszył skromny orszak: na przedzie czterej heloci niosący lektykę, za nimi rodzice z osłoniętymi głowami, na końcu zaś niewielka grupka najbliższych. Pochód zamykał Brytos we wspaniałej paradnej zbroi, która połyskiwała w bladym blasku wschodzącego słońca. Przeszli przez środek miasta; przed świątynią Ateny Chalkiojkos wsparte na trójnogach paleniska ledwie się dymiły, ogień zdążył w nich bowiem zgasnąć. Następnie skierowali się ku bramie południowej; w panującej wokół ciszy słychać było jedynie pianie koguta, które natychmiast umilkło w nieruchomym powietrzu. Kiedy podążali ku wsi drogą wiodącą do Amyklai, Brytos spostrzegł jakąś postać otuloną zniszczonym szarym płaszczem. Był to Talos. Dał mu znak, by się zbliżył.

— Tylko ciebie brakowało — powiedział szorstko — na pogrzebie Tego-który-zadrżał-ze-strachu.

Talos włączył się do orszaku, który podążał zakurzoną ścieżką. Szedł przez jakiś czas wpatrując się w lektykę, w której zmarły kołysał się z powodu nierównego kroku helotów, po czym nagle wyjął z sakwy trzcinowy aulos i zaczął grać. Słyszając te ostre, świdrujące dźwięki kroczący wolno w żalobnym marszu Brytos poczuł dreszcz: był to hymn wojenny z Termopil.

Gdy dotarli na miejsce, ciało zostało złożone na stosie, płomienie zaś szybko strawiły wychudłe od postu i szaleństwa członki.

Tak właśnie wyglądała uroczystość ku czci Agiasa, syna Antymachosa, Jednakowego z dwunastej sysytii trzeciego lochosu, Spartanina.

SAMOTNY HOPLITA

Wydarzenia towarzyszące śmierci Agiasa okazały się dla Brytosa kroplą, która przepełniła czarę goryczy. Zamknął się w sobie nie rozmawiając z nikim i rezygnując nawet z jedzenia. Pewnej bezksiężycowej nocy wyszedł z domu, zdecydowany odebrać sobie życie. Pragnął oszczędzić matce potwornego widoku, który rodzice Agiasa byli zmuszeni oglądać, dlatego też postanowił udać się do Tajgetos. Odczekawszy, aż zapadnie ciemna noc i wszyscy zasną, przeszedł boso przez prostaś i opuścił dom. Kiedy Melas podbiegł doń szczerkając, uciszył go pieszczotą.

— Dobry pies, dobry — powiedział półgłosem każąc mu usiąść.

Pogłaskał go po lśniącym grzbiecie wspominając z goryczą dzień, w którym ojciec mu go podarował, po czym wstał i ruszył do wsi ścieżką, która wiodła do lasu i którą jako chłopiec przemierzał wraz z przyjaciółmi tysiące razy. Błąkał się długo wśród gęstych drzew, mimo wszystko czując lęk przed tą ciemną śmiercią bez honoru i pociechy, do której nigdy go nie przygotowano. Szukał miejsca, gdzie nikt by go nie znalazł, zarazem drżąc na myśl, że jego ciało będzie tam leżeć opuszczone, nie pogrzebane, wydane na pastwę dzikich zwierząt, że jego dusza będzie się błąkać u wrót piekieł, nie zaznawszy spokoju. Myślał także o swym mieście, żadnym krwi króla Leonidasa i jego ojca, których być może niepotrzebnie złożono na ołtarzu; o mieście, na które spadła hańba potwornej męki króla Kleomenesa i Agiasa, a które wkrótce miało się splamić również jego

s'miercią, nawet o tym nie wiedząc. Nagle znaleźli się na polanie u stóp wzgórza, obok którego rósł olbrzymi dąb ostrolistny o wydrążonym pniu, otoczony gęstymi krzakami jeżyn. Nadeszła chwila, by uciszył wszystkie głosy i zrobił to, co należało, wyjął więc sztylet, przyłożył go do serca, po czym zamierzył się otwartą prawą dłonią, żeby zadać cios. W tym samym momencie na jego głowę spadła niczym młot czyjaś owłosiona ręka, powalając go na ziemię bez czucia.

— Na Zeusa, Karasie, powiedziałem, żebyś go ogłuszył, a nie zabił — ozwał się jakiś głos.

— Trzeba przyznać — mruknął kolos — że dzisiejsza młodzież nie jest już taka mocna jak kiedyś.

— Co to ma znaczyć?

— To co powiedziałem — odparł głos zza gęstwiny brody. — Powinieneś być widzieć, jak się walczyło dwadzieścia lat temu na Hellesponcie z Trakami; był tam pewien spartański najemnik, który stracił włócznię i rozwalął tarcze wrogów gołymi rękami.

— Nie mówiłeś, że walczyłeś również z Trakami.

— Ja walczyłem ze wszystkimi — burknął Karaś podnosząc ciało Brytosa. — Ale chodźmy stąd, zanim wstanie dzień.

Kiedy dotarli do wysokiego źródła i weszli do chaty Karasa, świt z wolna różowił niebo.

— Nareszcie — sapnął olbrzym kładąc swój ładunek na posłaniu z kozłich skór. — Zaczął się robić ciężki.

Zdjąwszy płaszcz, którego poła zasłaniała mu nawet głowę, Talos usiadł.

— Może byś tak wyciągnął coś do jedzenia? — zapytał. — Zgłodniałem po tej nocnej przechadzce.

— Masz rację — przyznał Karaś — ale chyba nie znajdzie zbyt wiele; ostatnio nie miałem dużo czasu, żeby się zająć domem.

Wyjął z sakwy kawałek chleba, ze skrzyni zaś plaster miodu.

— Całe szczęście, że mam chociaż to — stwierdził kładąc zapasy na zydelku. — Znalazłem go wczoraj w dziupli dębu na wzgórzu Amyklai. A teraz — ciągnął — może mi wreszcie powiesz, co zamierzasz z nim zrobić? — wskazał leżącego opodal na klepisku Brytosa.

— Chcę go uratować, to wszystko.

— Aha — mruknął brodaty olbrzym. — A ja uważam, że to szaleństwo. Gdybyśmy pozostawili wszystko własnemu losowi, teraz byłoby o jednego Spartanina mniej, ale nie — dodał z pełnymi ustami. — Kazałeś mi iść taki kawał drogi, żeby pilnować tego obłąkańca, a potem tachać go jak worek mąki od wielkiego dębu aż tutaj. „Pewnie coś mu chodzi po głowie, myślę sobie, pewnie zamierza się zemścić za jakąś krzywdę, albo zażądać okupu, albo oddać go w ręce Persów, jak tylko się tu zjawia”, ale nie, nic z tego, on go chce uratować i tyle!

— Posłuchaj mnie uważnie, zakuta pało — odrzekł Talos. — W tym człowieku i w całej jego rodzinie jest coś, co koniecznie muszą wiedzieć, więc nie chcę, żeby umarł, rozumiesz?

— Rozumiem, rozumiem — burknął Karaś przelękając kęs chleba — przecież nic nie mówię.

— Doskonale, a teraz niech sobie pośpi, bo jak się obudzi, zacnie wrzeszczeć albo majaczyć.

Na te słowa Karaś podniósł swą pięść cyklopa.

— Na Zeusa, nie w ten sposób, bo go zabijesz!

— Słuchaj no, chłopcze, chyba nie żądasz ode mnie, żebym go wziął na ręce i zaśpiewał mu kołysankę, bo on jest na to już trochę za duży, a ja nie mam na to zbytnej ochoty.

— Przestań, Karasie, nie czas na żarty. Chciałem powiedzieć, że można by mu podać jakieś zioła, które by go uspiły. Wiem, że masz coś takiego, bo kiedy byłem cały potłuczony i obolały po napadzie kryptei, kazałeś mi pić coś, po czym ból mijał i chciało się spać.

— Skończyły się — burknął pasterz wysypując jakiś proszek ze skórzanego woreczka i mieszając go z miodem i winem.

Talos uśmiechnął się tylko. Po chwili wmusił w zamroczonego Brytosa kilka łyków napoju.

— A teraz posłuchaj mnie uważnie — powiedział Talos — bo muszę cię poprosić o jeszcze jedną ogromną przysługę.

— O co tym razem chodzi? Chcesz, żebym przyniósł ci w worku króla Leotychidasa, a na dodatek jeszcze wszystkich pięciu eforów?

— Nie, Karasie, chcę dostać zbroję.

Karaś spochmurniał i spojrzał mu prosto w oczy.

— Przecież masz zbroję... jeśli naprawdę chcesz.

- Nie, Karasie, jeszcze nie nadszedł czas.
- W takim razie jaką zbroję masz na myśli? Nie rozumiem.
- No właśnie, Karasie, rzecz w tym, że zamiast próbować zrozumieć, powinieneś zrobić to, o co cię proszę. Jeżeli czujesz się na siłach.
- Chodzi o to, żebym ją ukradł, o ile się nie mylę.
- Rzeczywiście się nie mylisz... Więc jak?
- O, ja się niczego nie boję. Jakiego typu zbroi potrzebujesz?
- Nie chodzi o jakąś tam zbroję... To ma być zbroja szlachetnego Arystarchosa... Jest pilnie strzeżona w domu Kleomenidów.
- Karas przełknął ślinę.
- W domu Kleomenidów?! Na Polluksa, nie mogłeś znaleźć jakiegoś innego miejsca?
- Wiem, Karasie, z drugiej jednak strony jeśli nie czujesz się na siłach...
- Och, na wszystkie furie piekielne, skoro chcesz, to ci ją przyniosę. Chodzi o to, że niełatwo będzie się pozbyć tej przeklętej bestii krążącej tam i z powrotem po dziedzińcu. Wolałbym już spotkać Cerbera niż tego czarnego potwora.
- Możesz liczyć na pomoc sługi; to jeden z naszych.
- W porządku — odrzekł olbrzym. — Dostaniesz tę zbroję najdalej pojutrze.

Spróbował usiąść, ale nagły ostry ból w głowie przygwoździł go z powrotem do posłania. Nie wiedział, gdzie się znajduje, powoli jednak, w miarę jak opadała mu z oczu mgła, zaczął rozróżniać poszczególne przedmioty.

— Wreszcie się obudziłeś — powiedział siedzący przy ogniu Talos. — Wiesz, jak długo spałeś?

— To ty? — zdumiał się Brytos. — Gdzie ja jestem?... Kto...

— Wszystko ci wyjaśnię, ale musisz mnie wysłuchać... Nie — dodał Talos widząc, że Brytos sięga ręką do pasa. — Nie, odebraliśmy ci sztylet. Udowodniłeś, że nie potrafisz zrobić z niego użytku.

Brytos znów usiłował się podnieść, wpadł bowiem we wściekłość, uświadomiwszy sobie wreszcie, co się stało, kłujący ból w głowie po raz kolejny wszakże kazał mu się położyć na posłaniu ze skór.

■ — Karaś ma ciężką rękę — stwierdził Talos. — Obawiam się, że przez jakiś czas będzie cię bolała głowa. Nie mówiąc już o tym, że napoiliśmy cię ziołami, które sprowadzają sen. A teraz dam ci coś do jedzenia, musisz nabrać sił.

— Nie będę nic jadł — odparł Brytos sucho. — W ten sposób i tak umrę. Już podjąłem decyzję i nie cofnę się tylko dlatego, że ty i ten cały Karaś, o którym wspomniałeś, zdradziecko mnie podeszliście. Myślisz, że chciałem się zabić, bo byłem przygnębiony?... Spartański wojownik nigdy nie traci ducha, heloto. Muszę umrzeć, ponieważ nie mogę żyć w hańbie, podobnie jak Agias.

— Przestań gadać, jakbyś był samym wielkim Zeusem. W tej chwili jesteś tylko człowiekiem, tak jak ja. Dobrze wiem, co myślisz, a także co mówią o tobie w twoim mieście. Nazywają cię Tym-który-zadrzał-ze-strachu.

Brytos spojrział nań wzrokiem pełnym nienawiści.

— Wreszcie nadszedł twój czas, heloto, prawda? Więc ciesz się tą chwilą jak długo możesz, bo jeśli nie dam rady odebrać sobie życia, zabiję cię gołymi rękami.

— O, to rzeczywiście chwalebny czyn: zabić kulawego helotę — zaśmiał się szyderczo Talos. — O ile mi wiadomo, tego typu zamysły nie są ci obce, chociaż zazwyczaj otaczasz się liczną kompanią, aby mieć całkowitą pewność, że nie chybią.

— Przeklęty kuternogo — warknął Brytos — powinienem był cię wtedy zabić jak psa.

Talos wyjął z sakwy Karasa sztylet Brytosa i podał mu go.

— Jeśli właśnie tego chcesz, masz jeszcze czas — powiedział lodowatym tonem.

Brytos wpatrywał się przez chwilę w ostrze jak zaczarowany, po czym spuścił głowę.

— Dlaczego nie pozwoliłeś mi się zabić?

Talos westchnął.

— Prawdę mówiąc sam nie wiem — rzekł odkładając broń — tym bardziej że utrzymywanie cię przy życiu nie sprawia mi

żadnej radości. Powiedzmy, że mam swoje pogody, ale dotyczą one tylko mnie i na razie nie mogę ci ich wyjawić. Za to mogę ci zdradzić powód, dla którego sam powinienes pragnąć pozostać przy życiu.

— Gdyby istniał, już bym go znalazł — odparł Brytos z gorzkim uśmiechem. — Myślisz, że to przyjemne wbić sobie sztylet między żebra?

— Posłuchaj mnie uważnie — powiedział Talos — chociaż nie bardzo rozumiem ten wasz kodeks honorowy, myślę jednak, że zadając sobie śmierć tylko potwierdziłbyś oskarżenie, jakobyś chciał uciec od termopilskiej rzezi wraz z twoim przyjacielem Agiasem. Poza tym zostawiłbyś swoją matkę, która już straciła męża.

— Spartańskie kobiety są przyzwyczajone do życia w samotności — przerwał mu Brytos — i oswojone z myślą, że ich mężczyźni mogą zginąć w obronie ojczyzny.

— Racja — przyznał Talos — ale czy uważasz, że wczorajszej nocy zginałbyś za ojczyznę? A co do waszych kobiet, to rzeczywiście nie krzyczą i nie rozdierają szat jak w innych miastach i dzielnie znoszą rozpacz, lecz czy sądzisz, że nie czują bólu? Ale nie o to chodzi. Jeżeli jesteś mężczyzną, musisz żyć i pokazać, że nie zadrzałeś ze strachu, pokazać, że hańba, którą cię okryto, jest niesprawiedliwa, oczyścić imię swojej rodziny, niegdyś należącej do najświetniejszych w mieście.

Brytos długo leżał pogrążony w myślach, z półprzymkniętymi powiekami, aż wreszcie przerwał milczenie.

— Jak mogę tego dokonać? Nie ma świadków termopilskich wydarzeń... albo może Kresilas, tak, Kresilas został zabrany do Alpenoj z powodu choroby oczu i może—

— Kresilas nie żyje — przerwał sucho Talos. — Kiedy poczuł, że wszystkich trzystu wojowników jest otoczonych, kazał się swoim helotom zaprowadzić za rękę na pole bitwy, po czym rzucił się prawie ślepy na Persów i natychmiast poległ.

Brytos usiadł powoli i przyłożył prawą dłoń do czoła.

— Dużo wiesz jak na helotę.

— Mylisz się, Brytosie, wiem dużo właśnie dlatego, że jestem helotą. Wasza kasta nie może się bez nas obejść, toteż nasi

ludzie są wszędzie: byli w Termopilach, byli przy Kresilasie, byli na pogrzebie Agiasa.

— Głupcze — mruknął Brytos — chyba nie myślisz, że zdołam odzyskać własny honor i dobre imię mojej rodziny prosząc twoich ludzi, żeby powtarzali wokoło, jaki to jestem waleczny!

— Nie jestem aż tak szalony — uśmiechnął się Talos — ale powiedzmy, że o wiele bardziej.

— Co przez to rozumiesz?

— Że możesz odzyskać honor w walce; dla wojownika to jedyna droga.

— Niemożliwe — odrzekł z rezygnacją Brytos. — Moi towarzysze by się nie zgodzili; nikt nie chciałby stanąć ze mną w jednym szeregu podczas bitwy.

— Nie to miałem na myśli — zaprzeczył Talos. — Doskonale zdaję sobie sprawę, że nie możesz wrócić do armii.

— A więc co?

— Możesz walczyć sam.

Brytos popatrzył na niego ze zdumieniem.

— Dobrze zrozumiałeś: jeżeli naprawdę nie brak ci odwagi i jeżeli jedynym sposobem na przeżycie jest oczyszczenie dobrego imienia, będziesz musiał walczyć sam. Posłuchaj mnie uważnie: teraz musisz wyzdrowieć i nabrać sił, a potem wyruszmy na Północ, żeby walczyć z Persami na wszelkie możliwe sposoby, dopóki twoja sława nie skłoni miasta, by zmieniło zdanie i przyjęło cię z powrotem.

— Jesteś doprawdy szalony, heloto — stwierdził Brytos po kilku chwilach namysłu. — Jeszcze nikt nigdy się nie porwał na podobny czyn, a na dodatek nie mam broni.

— Jeśli brak ci ducha, żeby się podjąć przedsięwzięcia, które jest prawie na pewno skazane na klęskę, nie mam ci nic więcej do powiedzenia. Głęboko wszakże jestem przekonany, że tylko rozpaczliwy czyn może wyciągnąć człowieka z rozpaczliwej sytuacji. A co do broni, będziesz ją miał, nim słońce zajdzie dwa razy.

Pomysł ten wreszcie zaciekał Brytosa, który począł zadawać pytania, dyskutować i argumentować przeciw. Talos zdał sobie sprawę, że w końcu zdołał go wydrzeć śmierci... a przynajmniej tej śmierci.

— Mógłbym wrócić do domu i wziąć moją zbroję — zaproponował Brytos.

— Nie — sprzeciwił się Talos. — Mikt nie może cię zobaczyć, dopóki nie nadejdzie czas, nawet twoja matka. Zastanów się nad tym, co powiedziałem, pizemyś. to dokładnie.

W tej samej chwili drzwi się otworzyły i do izby wszedł Karaś.

— Kto to? — zapytał Brytos.

— Ten, komu zawdzięczasz życie — uśmiechnął się Talos — a także ból głowy. Ma na imię Karaś.

— Jak widzę, już mu lepiej — burknął olbrzym siadając przy wygasłym ogniu. — Wcale nie miałeś powodu do obaw.

— Jakie nowiny przynosisz, Karasie? — zapytał Talos.

— Dużo i wszystkie ważne: Ateńczycy rozgromili flotę perską w pobliżu wyspy Salamina, Jonowie przeszli na ich stronę, a Wielki Król musiał się wycofać. Ateny znów znajdują się w rękach ich obywateli, którzy właśnie je odbudowują, ale większość perskich sił lądowych nadal pozostała w Grecji; wygląda na to, że zamierzają przezimować w Tesalii i rozpocząć atak na wiosnę. Natomiast twoi — zwrócił się do Brytosa — wysyłają posłów do wszystkich sprzymierzeńców, aby zgromadzić jak najwięcej wojska przed bitwą, która nieuchronnie nastąpi wiosną.

— W takim razie — rzekł Talos spoglądając na Brytosa — masz przed sobą wiele miesięcy.

— Po co? — zdziwił się Karaś.

— Dowiesz się w swoim czasie — odparł Talos. — A teraz idź, musisz zrobić to, o co cię prosiłem.

Karaś wyszedł, chwyciwszy płaszcz i sakwę. Ledwie zawarł za sobą drzwi, Talos wrócił do urwanej rozmowy.

— Więc co sądzisz o mojej propozycji? — zapytał.

— Może masz rację — przyznał Brytos. — Ale dlaczego powiedziałeś: „wyruszymy”?

— Ponieważ idę z tobą.

— Nie rozumiem...

— Mam swoje powody, a zresztą mogę się przydać; dobrze wiesz, że umiem walczyć.

— Kijem? Chyba nie wyobrażasz sobie...

— Zaczekaj — przerwał mu Talos.

Uniósłszy do góry wołową skórę, która przykrywała klepisko, otworzył drewnianą klapę i wydobył przesiąknięty łojem worek, po czym rozchylił go i pokazał mu wielki rogowy łuk.

— Skąd masz tę broń? — zapytał Brytos. — Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego.

— To też jest coś, o czym nie powinieneś wiedzieć. Niech ci wystarczy, że potrafię się nią posługiwać i to bardzo dobrze. A zatem ty będziesz piechotą ciężkbrojną, a ja lekkobrojną. We dwóch tworzymy armię.

— A więc pogłoski, że ktoś w tych górach jest uzbrojony w łuk i strzały, to prawda.

— To wina Karasa — uśmiechnął się Talos. — Zachciało mu się użyć tego łuku pewnego dnia, kiedy byliśmy na polowaniu; trafił jelenia, ale go nie zabił, i zwierzę uciekło ze strzałą w grzbiecie.

Brytos przyjrzał mu się uważnie. Ciekawość, aby dowiedzieć się, kim naprawdę jest ten helota, który posiada fantastyczny oręż godny króla i który jak sam twierdzi, potrafi nim doskonale władać, bardzo się wzmogła. Jednocześnie wizja ponownego chwycenia za broń i stanięcia do samotnej walki jąła rozwiewać myśli o śmierci, które zatrwały jego duszę.

— Dobrze, Talosie — powiedział po długim milczeniu. — Spraw, żebym odzyskał broń i zbroję, i wyruszajmy, kiedy tylko zechcesz.

Talos uśmiechnął się zagadkowo, po czym widząc, że Brytos zamierza znów zasnąć, udał się do swego domu.

— Zobaczmy się jutro — oznajmił. — Do tego czasu nie ruszaj się stąd pod żadnym pozorem.

— Zgoda — odparł Brytos nabrawszy otuchy.

Po czym wyciągnął się na posłaniu ze skór i znów pogrążył we śnie. Czuł, że właśnie powrócił z piekieł, w jego żyłach zaś budziło się pragnienie życia.

Brytos obudził się nazajutrz wraz z pierwszym brzaskiem. W chacie nie było żywego ducha. Kiedy rozejrzał się dokoła przecierając oczy, aż podskoczył, wydawało mu się bowiem, że w kącie izby dostrzegł uzbrojonego wojownika. Przypatrzwszy mu się bacznie, uświadomił sobie ze zdumieniem, że to

tylko zbroja — zbroja jego ojca wraz z hełmem ozdobionym trzema grzebieniami i ogromną tarczą ze smokiem.

Żołnierze perscy spędzili mężczyzn na środek wioski i kazali im się ustawić pod murem. Otoczony kilkoma sługami oficer, któremu towarzyszył tłumacz, wygłaszał właśnie rozkaz rekwizycji. Pozostająca w Tesalii armia Wielkiego Króla potrzebowała zboża, jako że rozgromiona flota nie była w stanie go jej dostarczyć.

— Jak zdołamy przeżyć, skoro zabieracie nam całe plony? — zapytał z rozpaczą stary, siwowłosy wieśniak.

Medyjski oficer o długich kręconych włosach zwrócił się do tłumacza.

— Powiedz mu, że nie przyjechalіśmy tu po to, żeby dyskutować. Te dwa wozy trzeba napełnić ziarnem. Nie obchodzi mnie, czy coś im zostanie, muszę dostarczyć do obozu tyle, ile mi kazano.

Przełożył wszy jego słowa, tłumacz dodał:

— Nie warto się opierać; ci ludzie dostali rozkaz, żeby zdobyć ziarno za wszelką cenę. Muszą zaopatrzyć wojsko i nie zawahają się was zabić, jeśli będziecie stawiać opór.

— Przecież sam jesteś Grekiem... — jęknął biedak.

— Nie jestem Grekiem — burknął tłumacz z rozdrażnieniem — tylko poddanym Wielkiego Króla i wy też jesteście jego poddanymi. Wszyscy się nimi staną w tym kraju, który ośmielił się sprzeciwić jego armii. No dalej, co mam przekazać dowódcy?

Mężczyzna spuścił głowę.

— Nie mamy wyboru — odrzekł. — Zboże jest w tej szopie na dole; dopiero co je złożyliśmy.

— Doskonale — pochwalił sepleniąc tłumacz. — Podjąłeś słuszną decyzję. A teraz nuże do roboty, chyba nie chcecie, żeby żołnierze sami ładowali zboże.

Powiedziawszy coś cicho swym towarzyszom, wieśniak poprowadził ich ku szopie.

— Bardzo dobrze — stwierdził oficer gładząc się z zadowoleniem po natłuszczonej brodzie. — Sprawiają wrażenie rozsądnych. Muszą się przyzwyczaić do myśli, że mają nowego

pana. Wiosną zajmiemy się resztą: tymi przekłętymi Ateńczykami i tymi podłymi Spartanami...

Nie zdążył wszakże skończyć zdania, gdyż nagle tuż nad obojczykiem utkwiała mu ze s'wistem strzała. Med zwałił się na ziemię plując krwią. Oslupiali żołnierze rozejrzeli się wokół, ale nic nie dostrzegli. Wtem z zajejonej z chat wyskoczył mężczyzna uzbrojony w olbrzymi łuk, błyskawicznie wypuścił strzałę, po czym skrył się za szerokim wiązem. Po chwili na ziemię upadł kolejny przesyty żołnierz.

— Łapać łotra! — wrzasnął jeden z Persów ruszając napród z obnażonym mieczem.

Pozostali pognali za nim z wściekłością, natychmiast jednak stanęli jak wryci. Zza drzewa wyłonił się bowiem hoplita w pełnej zbroi, dzierżąc tarczę, na której widniał smok z rozdziawioną paszczą. Jego hełm ozdobiony był trzema czarnymi grzebieniami, które falowały na ciepłym górskim wietrze. W chwili gdy Persowie znieruchomieli, zza tarczy znów wynurzył się łucznik, który w okamgnieniu wypuścił strzałę i natychmiast skrył się za hoplitą. Podczas gdy jeden z nich przewracał się z przebitym gardłem, hoplita odgarnął do tyłu osłaniający go czarny himation i z ogromną siłą cisnął włócznią. Jeden ze Scytów, zwinny niczym kot, położył się płasko na ziemi, włócznia zaś przebiła tarczę znajdującego się tuż za nim towarzysza, następnie osłaniający go napierśnik z szorstkiego lnu i rozerwała mu brzuch. Nieszczęśnik jął się więc z rykiem po ziemi, która natychmiast przesiąkła jego krwią. Pozostali wojownicy rzucili się jednocześnie na hoplitę, krzykiem dodając sobie odwagi. Wyłoniwszy się niespodziewanie z ukrycia, łucznik powalił dwóch z nich, po czym skoczył na trzeciego i zanim tamten zdążył się zorientować, co się dzieje, przebił mu pierś rogiem łuku. Tymczasem hoplita, zwaliwszy kolejnego na ziemię potężnym ciosem zadany tarczą, przeszył następnego mieczem. Pozostali przy życiu trzej Persowie rzucili się przerażeni do ucieczki, wkrótce jednak zostali otoczeni. Mieszkańcy wioski bowiem, ochłonawszy ze zdumienia, powychodzili z kryjówek i zasypali ich gradem kamieni. Po chwili wszyscy trzej już leżeli na ziemi okładani kijami.

— Łapać tłumacza! — zawołał łucznik. — Nie dajcie mu uciec.

Wszyscy rozejrzeli się iokoła. Spod wielkiego wiklinowego kosza wystawał skrawek materii, który zdradzał obecność poszukiwanego. Wieśniacy zaciągnęli nieszczęśnika przemocą na środek zakurzonego placyku, przed oblicze dwóch tajemniczych osobników, którzy zjawili się jakby spod ziemi. Wyswobodziwszy się z uścisków dwóch z nich z nieoczekiwaną siłą, tłumacz upadł do nóg hoplicie i podjął go pod kolana.

— Jestem Grekiem, ja też jestem Grekiem — jęczał sepleniąc. — Panie, oszczędź mnie, wyrwij mnie z rąk tych bestii!

Chociaż mdliło go od kwaśnego odoru spoconego ciała, który bił w jego nozdrza przywykłe do delikatnych orientalnych woni, strach, że rozwścieczeni wieśniacy rozerwą go na strzępy, nie pozwalał mu puścić owłosionych nóg. Hoplita odepchnął go tak mocno, że tłumacz aż potoczył się po ziemi. Pobladły, brudny, pokryty kurzem nieszczęśnik zamknął oczy czekając, aż padnie cios.

— Wstań — rozkazał władczym głosem wojownik. — Czy w okolicy są inne oddziały konfiskujące zboże? — zapytał po chwili.

— Czy darujesz mi życie, jeśli ci powiem? — upewnił się tłumacz szeroko otwierając oczy.

— Nie wydaje mi się, żebyś w tym położeniu mógł się targować — wtrącił szyderczo łucznik.

— Tak, są. Jutro do wioski Leukopedion przybędzie dziesięciu żołnierzy i oficer, a ja mam do nich dołączyć. O innych nie wiem.

— Znakomicie — odparł z uśmiechem łucznik. — Pójdiesz tam!

Tłumacz wybałuszył oczy ze zdumienia.

— Oczywiście razem z nami! A teraz — dodał łucznik zwracając się do chłopów — zwiążcie mu mocno ręce za plecami i pozwólcie nam go zabrać. Zrobimy z niego dobry użytek.

— Kim jesteście? — zapytał występując naprzód ten, który wyglądał na przywódcę wioski. — Wyjawcie nam wasze imiona, abyśmy mogli o was pamiętać.

— I tak będziesz o nas pamiętał, przyjacielu — odrzekł hoplita obmywając ostrze włóczni w poidle. — Na razie lepiej, żeby nikt nie znał naszych imion. Tymczasem ukryjcie trupy,

oczyścić ziemię z krwi, spalcie wozy i zatrzyście wszystkie ślady. Możecie zatrzymać muły, jeżeli nie mają wypalonych znaków. Jeśli przyjdą Persowie, powiecie, że nikogo nie widzieliście. Schowajcie część zboża na wypadek kolejnych rekwizycji.

Łucznik pociągnął za sobą tłumacza, po czym cała trójka oddaliła się na północ, ku wzgórzom, odprowadzana wzrokiem przez wieśniaków zbitych w gromadkę pośrodku placu.

Pokonawszy wzgórze, łucznik i hoplita zeszli do niewielkiej osłoniętej dolinki. Czekał tam na nich przywiązany do drzewa oliwnego muł, który co chwila podrzucał głową i machał ogonem, by odpędzić dokuczliwe muchy. Hoplita zdjął zbroję i załadował ją na grzbiet zwierzęcia wraz z łukiem swego towarzysza, po czym okrył wszystko kawałkiem płótna.

— Wspaniale walczyłeś, Talosie — stwierdził hoplita. — Nie przypuszczałem, że jesteś taki zręczny.

— Ta broń jest zabójcza — odrzekł łucznik wskazując pakunek na grzbiecie muła. — Mimo że ma tyle lat, posiada niewiarygodną siłę i potęgę.

— Musimy jednak wziąć pod uwagę, że ci ludzie byli przeciętnymi żołnierzami; z Nieśmiertelnymi na pewno nie poszłoby tak łatwo. Moja zbroja jest przeznaczona do walki z bliska, kiedy boki zasłaniają tarcze towarzyszy.

— Właśnie dlatego chciałem iść z tobą — powiedział Talos. — Potrzebujesz łucznika, który by cię osłonił i przetrzebił wrogów, jeśli zaatakują większą siłą.

Schroniwszy się za wielkim głazem, usiedli w cieniu czekając, aż zapadnie zmrok. Nazajutrz, przed zmierzchem, lidyjski oficer, który opuszczał właśnie zadowolony wioskę Leukopedion na czele swego oddziału z okazałym ładunkiem pszenicy i jęczmienia, myślał, że śni, gdy usłyszał wołanie o pomoc, wypowiedziane w jego ojczystym języku z charakterystycznym sardyjskim akcentem. „Wielka Matko wszystkich bogów, pomyśl, skąd tu się wziął Sardyjczyk?” Jego ludzie również przystanęli zdumieni, nie mogli się wszakże zorientować, skąd dochodziły krzyki, albowiem ścieżka, którą właśnie podążali, prowadziła między dwiema skałami, po czym nagle skręcała, by zejść prosto do strumienia Askreon. Oficer przywołał dwóch żołnierzy i rozkazał im pojechać naprzód, by sprawdzili, co się

dzieje, oni jednak więcej nie wrócili, na nic też się zdały głośne nawoływania. Tymczasem słońce chyliło się ku zachodowi i zaczęło się ściemniać. Gdy oficer nakazał marsz w szyku rozproszonym ku zwężeniu drogi, znów rozległo się wołanie o pomoc, tym razem dochodzące wszakże ze szczytu skały, która znajdowała się po lewej stronie ścieżki. Wszyscy odwrócili się w jej kierunku chwytając za broń, w tej samej jednak chwili coś przecięło powietrze z głośnym świstem, po czym jeden z żołnierzy upadł na ziemię ze strzałą utkwioną w czole, nim zaś pozostali zdążyli się otrząsnąć ze zdumienia, drugi zwałił się za nim, ugodzony w pierś.

— To zasadzka! — ryknął oficer. — Kryć się, prędko! — Po czym dopadł skały wraz z resztą towarzyszy. — Nie może ich być wielu — wydyszał — ale musimy ich stamtąd wykurzyć, bo nas nie przepuszczą. Idźcie na górę — rozkazał trzem żołnierzom — a my pójdziemy tędy. Kimkolwiek są, wpadną w nasze sidła i gorzko pożałują swojego żartu.

Już mieli wyruszyć, gdy nagle za ich plecami rozległ się krzyk, który zmroził im krew w żyłach.

Oficer obejrzał się raptownie, lecz zdążył tylko dostrzec na szczycie skały czarnego demona ciskającego weń włócznią, po czym zwałił się na ziemię klnąc i plując krwią, przesyty na wylot. Osobliwa postać zaś sfrunęła na ścieżkę jednym susem, rzucając się na jego przerażonych towarzyszy, niezdolnych do obrony z powodu deszczu strzał, które nieustannie spadały z góry sięjąc wokół śmierć. Nieliczne niedobitki wzięły nogi za pas, szukając schronienia w lesie.

Wieczorem dowódca sił perskich stacjonujących w pobliżu Trachis dowiedział się, że nie wróciły dwa jego oddziały ani tłumacz grecki. Wysłani przezeń na poszukiwanie jeźdźcy przeczesywali okolicę aż do późnej nocy, lecz nic nie znaleźli. Wszyscy zniknęli bez śladu. W ciągu ostatnich miesięcy owego upalnego lata i jesienią w wioskach położonych wśród wzgórz ojtajskich czy Kallidromos oraz nad brzegami jeziora Kopais miało miejsce wiele innych dość dziwnych bądź niewytłumaczalnych wypadków.

Najbardziej nieprawdopodobny przydarzył się grupie paflogońskich żołnierzy z armii Wielkiego Króla, którzy chcieli

się schronić przed ulewą w opuszczonej świątyni Aresa, czczono go przez Greków jako bóg wojny. Chociaż budowla została splądrowana i zbezczeszczona wiele miesięcy wcześniej, posąg boga dziwnym trafem ciągle stał na piedestale, nietknięty, w lśniącej zbroi, na ramieniu zaś trzymał ogromną tarczę z wizerunkiem smoka z rozdziawioną paszczą. Jeden z barbarzyńców, pomyślawszy, że grzechem byłoby zostawić te wspaniałości na łasce pierwszego lepszego przechodnia, podszedł bliżej ze szczerym zamiarem dokończenia rabunku, rozpoczętego przez jego rodaków i przerwanoego *w połowie wiosną, jakież* było jednak jego zdumienie, gdy posąg odwrócił ku niemu głowę, spoglądając nań spod hełmu. Żołnierz nie zdążył ochłonąć ani nawet krzyknąć, bo bóg Ares grzmotnął go tarczą w czerep z taką siłą, że złamał mu kark, po czym cisnął ogromną włócznię w grupę Paflagończyków przebijając jednego z nich, drugiego zaś przygważdżając do futryny drzwi. Jednocześnie z na wpół rozwalonego dachu świątyni jęły dochodzić przerażające, nieludzkie wrzaski i spadać zabójcze strzały, wielu z nich powalając na ziemię.

Kiedy ci, co ocaleli, opowiedzieli o wszystkim swemu dowódcy, nie dano im wiary, a na dodatek zostali surowo ukarani, powszechnie bowiem wiadomo, że Paflagończycy piją bez umiaru i że zamroczeni winem są zdolni do najdzikszych wybryków.

Z pewnością wiele z tych opowieści wyglądało na nieprawdopodobne i przesadzone, i jak to zwykle bywa ze zdarzeniami uznawanymi za cuda, ich liczba, zamiast maleć, rosła, toteż wkrótce wśród Fokijczyków i Lokryjczyków, a nawet wśród zdrajców Beotów, w każdej wiosce między przełęczami Kallidromos, masywem Helikonu i bagnistymi brzegami jeziora Kopais, rozeszła się wieść o samotnym, szybkim jak błyskawica, nieubłaganym jak fatum hoplicie pojawiającym się w towarzystwie pewnego łucznika, który chodzi dziwnym kołyszającym się krokiem.

— Jestem pewien, że przyjdzie — oświadczył Talos swemu otulonemu czarnym płaszczem towarzyszowi.

Był już środek jesieni, a wieczorny wiatr zapowiadał deszcz. Obaj schronili się w starym, całkiem spróchniałym pniu drzewa oliwnego, w pobliżu rozstaju dróg do Platejów i Tespii. Nieopodal, u stóp pagórka, który zasłaniał koryto Asopos, znajdowała się mała świątynia z posązką Persefony z oliwnego drewna.

— Karaś znają doskonale, to on mija opisał — powiedział Talos. — Dzisiaj jest pierwsza noc jesiennego nowiu, więc nie może być mowy o pomyłce. Zobaczysz, że przyjdzie.

Minęło jeszcze trochę czasu, kiedy zaś wreszcie zaczęło się ściemniać, od strony Platejów ukazała się zwalista postać na osiołku, który zdawał się uginać pod jej ciężarem.

— To on! — zawołał Talos.

— Ja też tak myślę — potwierdził Brytos wyężając wzrok, aby lepiej widzieć.

Osobliwy jeździec, szturchając piętami osła, zboczył z drogi i podjechał do świątyni. Następnie przywiązał zwierzę, sam zaś usiadł na progu. Wtedy Talos i Brytos opuścili kryjówkę.

— O, jesteście — odetchnął Karaś wstając. — Bałem się, że będę tu musiał moknąć; zanosi się na deszcz.

— Chodźmy prędko — przynaglił Talos chwytając go za ramię. — Zabierajmy się stąd, bo jeszcze nas ktoś zobaczy.

Ruszyli, ciągnąc za sobą osła, ścieżką wiodącą za wzgórzem do doliny Asopos. Weszli do opuszczonej zagrody, której pasterze musieli używać zaledwie kilka miesięcy wcześniej, gdy horda najeźdźców nie zdążyła jeszcze tędy przejść. Prawdopodobnie nie było już owiec do pilnowania. Zdjęli płaszcze, rozłożyli je na ziemi i usiedli.

— Podobno przewróciliście do góry nogami całą okolicę — zaczął Karaś. — Wszędzie gdzie się tylko zatrzymałem, słyszałem opowieści o hoplicie ze srókiem i łuczniku. Niektórzy starcy twierdzą, że hoplita może być Ajaksem, synem Ojleusa, który wrócił, żeby wesprzeć swój naród w walce z ludami Azji, tak jak za czasów wojny trojańskiej.

— A łucznik? — zapytał Talos z uśmiechem.

— Och — odrzekł Karaś — z tą twoją chromą stopą brali cię już za Filokteta, nie mówiąc o tym, że nikt nigdy nie widział takiego łuku jak twój, co również porusza ludzką wyobraźnię

i budzi podejrzliwość. Musicie jednak wiedzieć, że wieść o was dotarła nawet do Sparty i nie tylko. Miasto ma w całej okolicy swoich szpiegów, którzy śledzą ruchy wojsk perskich i przekazują wszystko, co usłyszą. Nie sądzę jednak, żeby opowiadali o Ajaksie i Filoktecie; tarcza ze smokiem jest tam dobrze znana, zdumienie budzi więc łucznik. Zdaje się, że eforowie — dodał zwracając się do Talosa — chętnie by ci się przyjrzeni z bliska.

— A co z matką? — zapytał Talos.

— Wie, że żyjesz, ale codziennie umiera ze strachu.

Brytos *spuścił* głowę nie *mając* odwagi o *nic* pytać.

— Niewiele ci mogę przekazać na temat twojej rodziny — oznajmił zwracając się doń Karaś. — Wiem tylko tyle, że matka opłakała twoją śmierć. Nie potrafię ci za to powiedzieć, czy żywi jakieś nadzieje albo czy dotarły do niej jakieś wieści o tym, co się tutaj dzieje. Twoja matka z nikim nie rozmawia, żyje na uboczu. Zupełnie jakby nie istniała.

Karaś umilkł. Słyszał było jedynie skrzekliwy krzyk żurawi, które zaczynały się gromadzić nad brzegami jeziora Kopais szykując się do odlotu.

— Wiosną przyjdzie tu ogromna armia sprzymierzona, żeby walczyć z Persami — powiedział po chwili. — Przygotowania są już w toku.

— A co z drugim zadaniem, które zostało ci powierzone? — zapytał Talos.

— Myślę, że jestem na dobrej drodze — padła odpowiedź.

— Człowiek, który przeprowadził Persów przez przejście Anopaja, nazywa się Efiates i jest pilnie poszukiwany przez władze Sparty. Niełatwo będzie dopaść go przed nimi; jedyna przewaga, jaką mamy, to taka, że on nie wie, iż my również go szukamy.

— Uważasz, że chce się dostać do armii perskiej? — *zapytał* Brytos otrząsając z zadumy.

— Nie, z tego co słyszałem, krąży gdzieś nad zatoką. Trzyma się z dala od Peloponezu, ale jest prawdopodobne, że usiłuje znaleźć statek, który zabrałby go do Azji albo do Italii. Jutro mam się spotkać z pewnym człowiekiem z Trachis, który być może powie mi coś więcej.

— Wiesz, co masz zrobić, jeśli go znajdziesz? — upewnił się Brytos.

— Wiem — przytaknął Karaś. — Nawet nie zauważy, kiedy umrze. Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, jak wielkie lekceważenie okazujesz swojemu rządowi.

— Doskonale zdaję sobie sprawę i nic mnie to nie obchodzi. Tylko my mamy prawo go ukarać, a nie miasto, które i tak postanowiło poświęcić Leonidasa i jego towarzyszy.

— W takim razie — odrzekł Karaś wstając — nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. Bądźcie ostrożni, jeśli chcecie dożyć wiosny, ponieważ wszędzie was szukają. Jeżeli będziecie mnie potrzebowali, wiecie, gdzie mnie znaleźć.

Odwiązał osiołka i oddalił się trzymając go za uzdę. Naraz niebo, które wydawało się puste, przeciął klucz dzikich gęsi.

— Dziś' wieczorem — szepnął Brytos — przelecą nad brzegami Eurotasu.

KLEJDEMOS

Tawerna cuchnęła spaloną oliwą i rybami, poza tym kłębiło się tam mnóstwo portowych marynarzy i pielgrzymów zmierzających do świątyni w Delfach. W połowie wysokości zbrocza widać było drżące światła świętego miasta.

Efialtes wszedł z twarzą niemal całkowicie zasłoniętą ogromnym kapeluszem z szerokim rondem, które opuścił na czoło. Oparłszy się na chwilę o gipsowo-trzcinową ścianę, rozejrzał się wokoło. Przy długim stole grupa Arkadyjczyków jadła pieczonego na rożnie barana, od czasu do czasu nabierając pełne garście oliwek ze wspólnego talerza dłońmi ociekającymi tłuszczem. Pośrodku zadymionej izby kilku tesprockich górali z kręconymi włosami, w których pełno było plew, pociło się w płaszczach z koziego futra pochłaniając półsurowe kielbasy i kiszki wieprzowe.

W kącie zaś siedział na ławie jakiś zarośnięty typ, prawdopodobnie opity winem, chrapiąc i raz za razem głośno czkając. Kiedy tylko dwaj marynarze z Koryntu wstali złorzecząc i podążyli za swoim przełożonym, który właśnie pokazał się w drzwiach, Efialtes skwapliwie zajął ich miejsce.

— Chcesz jeść czy pić? — zapytał oberżysta podchodząc z dzbanem wina w rękę.

— Jedno i drugie — odparł Efialtes nie podnosząc głowy znad stołu. — Postaw wino i przynieś mi kawałek jagnięciny.

— Nie ma jagnięciny.

— No to baraniny i chleba z otrębami.

— Ja myślę — powiedział oberżysta oddalając się w kierunku nory, która służyłajako kuchnia. — Zostały same otręby. Po tym całym wojsku i marynarzach, których trzeba było nakarmić, nie ma już nic oprócz otrąb.

Po chwili wrócił do gościa niosąc talerz baraniny i skibę chleba.

— Należy się pięć oboli — oświadczył wyciągając zatłuszczoną dłoń.

— Masz swoje obole, złodzieju — burknął Efilates wygrzebując monety.

Oberżysta bez mrugnięcia wsunął pieniądze do kieszeni na brzuchu. Widać przywykł do podobnych epitetów. Efilates niechętnie zabrał się do jedzenia popijając każdy kęs mięsa winem. Co chwila spoglądał na drzwi, jakby na kogoś czekał. Kiedy już prawie kończył, do tawerny wpadł może szesnastoletni chłopiec, który skierował się wprost do jego stołu.

— Kapitan statku Aella przesyła ci wiadomość: „Cena mi odpowiada. Załadunek za mniej więcej godzinę przy małym molo. Jutro statek odpływa do Kerkyra Melaina.” Nadzorca wiosłarzy czeka na ciebie na zewnątrz, idź za nim — powiedział, po czym ulotnił się wtapiając w grupę megaryjskich marynarzy, którzy wpadli w tej samej chwili wrzeszcząc coś pod adresem oberżysty.

Efilates wstał, zarzucił sobie na plecy worek i wyszedł. Oparty o ścianę tawerny człowiek miał na ramionach długi płaszcz z nasyczonego żywicą płótna, którego poła osłaniała mu głowę. Ledwie go zobaczył, dał mu znak, by poszedł za nim, i ruszył do portu. Maszerowali przez jakiś czas po krętych, ciemnych uliczkach prowadzących ku molo. Efilates pierwszy przerwał milczenie.

— Myślisz, że mogą być jakieś kłopoty z przeprawą? — zapytał swego mrukliwego towarzysza.

— Nie sędzę — odparł tamten. — Zachodnie morze jest bezpieczne, a poza tym nasz kapitan to bardzo doświadczony marynarz.

— Tym lepiej — przyznał Efilates. — Długie podróże i bez tego pełne są niebezpieczeństw, prawda?

Minęli właśnie niewielki placyk i skręcili za rogiem starego składu w ciemny i pusty zaułek. Wtedy mężczyzna przystanął i odwrócił się odsłaniając twarz.

— Nie będzie już więcej żadnych niebezpieczeństw, Efialtesie. Twoja podróż dobiegła końca.

— Skąd znasz moje imię? Kim jesteś? — wyjąkał nieszczęśnik czując, że nadszedł jego kres. — Jesteś Spartaninem...

— Nie — odrzekł sucho mężczyzna odrzucając płaszcz na potężne ramiona i wyciągając ku niemu dłonie podobne do łap niedźwiedzia.

— Ale... dlaczego? — wykrztusił Efialtes, podczas gdy owe wielkie dłonie zaciskały mu się na szyi niczym kleszcze.

Jego twarz stała się purpurowa, oczy zaś wyszły z orbit. Efialtes usiłował się wyrwać resztkami sił, po czym upadł bezwładnie w kałużę uryny, którą jego ciało wydalilo w ostatnim spazmie agonii.

Tak właśnie zginął z ręki nieznajomego Efialtes, syn Euridemos, ten, który zdradził Leonidasa pod Termopilami.

Nadeszła wiosna. W Sparcie po śmierci Kleombrotosa rządy objął jego syn Pauzaniusz, jako że syn Leonidasa nie osiągnął jeszcze odpowiedniego wieku. Drugi król, Leotychidas, udał się do Azji, by wraz ze sprzymierzoną flotą odeprzeć kolejny atak Wielkiego Króla na Grecję. Bitwa z pewnością miała się okazać decydująca, toteż władze Sparty powołały do wojska każdego, kogo się tylko dało, łącznie z helotami, którym przydzielono lekką broń. Gdy tylko zaciąg został zakończony, armia ruszyła naprzód zabierając po drodze wszystkich sprzymierzeńców.

Dowiedziawszy się, co się święci, perski wódz Mardonios, który prowadził właśnie znowu swoje wojska do Attyki, wycofał się do Beocji, gdzie mógł liczyć na pomoc wiernych sobie Tebańczyków. Przemierzywszy przesmyk, Pauzaniusz wkroczył do Beocji, ustawiając wojska nad rzeką Asopos. Takiej armii jeszcze dotąd nie widziano. Zgromadziły się bowiem tysiące hoplitów z Aten, Koryntu, Megary, Eginy, Trojzeny i Eretrii, by raz na zawsze przepędzić Persów z Grecji i pomścić poległych pod Termopilami i Salaminą. Niestety na otwartym terenie szybka i wyjątkowo zwrotna armia perska miała przewagę, toteż

nierzadko wojska helleńskie musiały uciekać się do defensywy. Znajdująca się z dala od punktów zaopatrzenia wielka armia nie była w stanie utrzymać łączności, groził jej więc brak żywności. Na dodatek jeźdźcy perscy napadali każdego, kto zbliżył się do rzeki, by zaczerpnąć wody; zresztą zdążyli już zatruć i zasypać Źródło Gargafrjskie, Puzaniaszowi groził więc również brak wody. Wysłał wprawdzie oddziały sług i tragarzy po prowiant, nigdy więcej wszakże nie wrócili — jazda Mardoniosa musiała ich odciąć od przełęczy na górze Kitajron.

Talos dowiedział się tego wszystkiego od helotów, usiłujących czerpać wodę w rzece Oeroe, która znajdowała się sporo dalej, dzięki czemu nie była pilnie strzeżona przez perskich jeźdźców.

Ze wzgórza położonego w pobliżu wioski Kreusis obserwował ogniska rozsianych po całej równinie greckich obozowisk, których bezładne rozmieszczenie świadczyło o zniechęceniu i rozluźnieniu dyscypliny wśród żołnierzy. Przyglądający się tej scenie Brytos uderzył się dłonią po udzie.

— A niech to! — zawołał. — Rozniosą ich na strzępy. Albo niech stąd idą, albo niech ruszą do boju i wreszcie z tym skończą.

— To nie takie proste — odrzekł Talos. — Odwrót mógłby się przedzierzgnąć w klęskę. Puzaniasz właściwie nie ma jazdy, a tu jest inaczej niż w Termopilach. Myślę jednak, że jutro będzie decydujący dzień.

Odwrócił się do swego towarzysza, który nagle zamilkł.

— Chcesz powiedzieć, że dla mnie też nadszedł decydujący dzień? — zapytał Brytos.

— Jeżeli nadal obstajesz przy swoim postanowieniu, to tak. Jutro twoi towarzysze broni i twój król dowiedzą się, kim jest człowiek, którego odepchnęli jako tchórza.

Brytos usiadł na spalonej słońcem trawie. Była wyjątkowo piękna noc. Nad ścierniskiem fruwały tysiące świetlików, a w pachnącym sianem powietrzu rozlegał się nieskończony koncert świerszczy.

— O czym myślisz? — zapytał Talos.

— O wszystkich tych miesiącach, które minęły... O jutrze. Żyję, ponieważ ty nie pozwoliłeś mi się zabić i dałeś mi cel,

żeby iść naprzód. Jutro odbędzie się bitwa i jeśli odniesiemy zwycięstwo, a ja zdołam odzyskać dobre imię, powrócę do domu, do mojego miasta.

— Pojmuję, co chcesz powiedzieć — przerwał mu Talos. — Ty staniesz się znowu spartiatą, a ja helotą. Czy mam przez to rozumieć, że napawa cię to smutkiem?

— Nie wiem — przyznał Brytos. — Ręce mi się pocią, co mi się nigdy dotąd nie zdarzyło, nawet w Termopilach. Czekalem na tę chwilę przez długie miesiące, a teraz wołałbym, żeby nie nadeszła. Jest tyle rzeczy, które chciałbym wiedzieć o mnie samym i o tobie, ale nie ma na to czasu. Jeśli wygram moją bitwę, nasze drogi się rozejdą. Jeśli przegram, i tak nie dowiem się tego, co chciałbym wiedzieć. Walczyliśmy ramię w ramię, setki razy ratowaliśmy sobie nawzajem życie, zabijaliśmy, żeby żyć albo przeżyć, jak powiedziałeś tamtej nocy nad morzem, a ja ciągle nie wiem, dlaczego to wszystko się wydarzyło, dlaczego ocalał mnie od śmierci helota, który kiedyś o mało nie zginął przebity moim własnym oszczepem. Nie wiem, dlaczego opuściłeś matkę i twój lud i w jaki sposób wszedłeś w posiadanie tego starego i strasliwego łuku...

Talos, który przez cały czas stał oparty o pień dzikiego drzewa oliwnego, odwrócony plecami do towarzysza, usiadł i jął obracać w palcach źdźbło owsa. W pewnej chwili zmarszczył czoło, jakby próbował coś sobie przypomnieć, po czym wyrecytował:

*Smok i wilk zrazu z zażartą
nienawiścią rozszarpują się nawzajem,
potem, kiedy lew Sparty
pada przebity przerażającą strzałą,
którą wypuścił długogrzywy Med,
chwytając za miecz ten, który zadrzał ze strachu,
zakrzywiony łuk dzierży strażnik
stad, pędząc ku nieśmiertelnej chwale...*

Były to słowa, które wypowiedziała kiedyś Perialla, zbiegła Pytia, a które przypomniał sobie teraz z nieoczekiwaną jasnością.

— Skąd te słowa, Talosie? — zapytał wyrwany z zamyślenia Brytos.

— To przepowiednia, Brytosie, która dopiero w tej chwili stała się dla mnie jasna. Smok Kleomenidów i wilk Tajgetos początkowo rozszarpują się nawzajem z zacieklą nienawiścią, potem zaś razem kroczą ku zwycięstwu. Ten-który-zadrżał-ze-strachu i strażnik stad... to my.

— Kto wypowiedział te słowa... i kiedy? — zapytał ponownie Brytos.

— To słowa wyroczni... Pamiętasz Pytię Periallę?

— Tak — szepnął Brytos. — Pamiętam też straszliwy koniec króla Kleomenesa.

— Widziałem ją w chacie Karasa i właśnie wtedy wygłosiła tę przepowiednię. Wersy te długo tkwiły mi w pamięci, pozbawione jakiegokolwiek sensu, i dopiero teraz rozbrzmiały w mojej głowie. A więc jest coś, co łączy nasze losy, Brytosie, i właśnie to powstrzymało twoją dłoń wtedy na polanie i popchnęło moją, aby nie pozwoliła ci zadać samemu sobie śmiertelnego ciosu tamtej nocy, w lesie. Ale nic więcej nie wiem, nie potrafię zobaczyć dalej; bogowie wiedzą, Brytosie, rzadko jednak pozwalają na to, byśmy poznali ich zamysły.

— Co jeszcze powiedziała ci Pytia?

— Powiedziała wiele innych rzeczy, ale nie umiem ich teraz wytłumaczyć; jeszcze nie nadeszła pora. Zapytałeś, w jaki sposób ten wielki rogowy łuk znalazł się w moich rękach. Otóż pewnego dnia ktoś mi go powierzył, abym go strzegł, i nauczył mnie, jak się z nim obchodzić, podobnie jak nauczył posługiwania się moją chromą stopą, poruszania ciałem, podobnie jak wyćwiczył moje serce i umysł. Nie prosz, żebym ci to wszystko wyjawiał, bo przecież jesteś spartiatą, Brytosie, twój naród zaś trzyma w niewoli mój lud.

— Jesteś wojownikiem... Talosie, jesteś wojownikiem, prawda? Wojownikiem i przywódcą swojego ludu. Może właśnie to nas połączyło i zarazem rozdzieliło nasze losy, nawet bowiem jeśli w głębi duszy bardzo tego pragniemy, nie możemy przekroczyć granic wyznaczonych nam przez bogów.

— Nie przez bogów, Brytosie, ale przez ludzi... Spójrz na mnie: przecież nikt nie rodzi się niewolnikiem. Czy kiedykolwiek

widziałeś, żebym zdrzął ze strachu? Czy kiedykolwiek widziałeś, żebym zdradził? A mimo to przez całe lata pasalem owce starego Kratypposa i uprawialem jego ziemie nigdy się nie buntując, płacząc w ukryciu z powodu doznanych upokorzeń, z powodu bólu, z powodu lęku. Tamtej strasznej nocy twój molos rozszarpał mojego psa Kriosa, ale który z nich wykazał się większą odwagą? Mój mały kundel, który oddał życie, by bronić swego stada, czy twój czarny, żądny krwi potwór? Mój lud przygarnia czasem niemowlęta, które wy porzucacie na pastwę dzikich bestii, a potem je wychowuje i właśnie w tym jest bardziej odważny od was. A zatem kto zasługuje bardziej na to, by zostać niewolnikiem? Nie, Brytosie, nie mów, że to fatum uczyniło z nas niewolników, że bogowie dali nam nad nami władzę.

Brytos wpatrywał się weń wzburzony, gdyby zaś Talos mógł zobaczyć wyraz jego oczu, dostrzegłby w nich to samo spojrzenie pełne bolesnego zdumienia, którym dawno temu, kiedy był dzieckiem, obdarzył go na równinie wojownik ze smokiem.

— Talos — powiedział Brytos z osobliwym przerażeniem w głosie. — Talos... ale ty...

— Brytosie, mój ojciec miał na imię Hylas, był synem Krytolaosa heloty, położyła zaś wyciągając mnie z łona matki uszkodziła mi stopę. Prawdę tę przekazał mi Krytolaos, mój dziadek, najmądrzejszy i najbardziej prawdomówny z ludzi, i dla jego plemienia ten, którego wy, Spartanie, zwiecie „kulawym”, jest Talosem Wilkiem.

Obaj młodzieńcy długo siedzieli bez słowa wpatrując się w płonące w oddali ogniska. Od czasu do czasu dobiegały do nich nawoływania wartowników pomieszane z cykaniem świerszczy. Pierwszy przerwał milczenie Talos.

— Właśnie dlatego — powiedział — wraz z nastaniem nowego dnia nasze drogi się rozejdą. Jutro pomogę ci włożyć zbroję, jak przystało helocie, ale pójdiesz sam, na tym polu bitwy nie będzie bowiem chwały dla mojego ludu... Tylko śmierć. Ale pamiętaj: pod spiszowym pancierzem będzie biło razem z twoim serce Talosa.

Zamilkł, gdyż coś ścisnęło go za gardło, Brytos zaś płakał tej nocy długo, bezgłośnie.

Po naradzie ze swymi oficerami i z dowódcami wojsk sprzymierzonych Pauzanasz doszedł do wniosku, że nie może zostać dłużej na tej pozycji, z której piechota hoplitów nie jest w stanie odpierać bezustannych, zabójczych ataków jazdy perskiej. Należało wycofać się w jakieś **bardziej osłonięte i bardziej dogodne miejsce, by rozpocząć bitwę. Przystał więc na odwrót. Sprzymierzeńcy mieli wyruszyć pierwsi pod osłoną ciemności, nie ugasiwszy ognisk, aby stworzyć wrażenie-, że nadal obozują w tym samym miejscu, starając się dotrzeć do jakiejś wyższej strefy w pobliżu platejskiego herajonu, za nimi zaś mieli podążać w dwóch równoległych kolumnach Peloponezyjczycy i Ateńczycy, którzy znajdowali się na prawym skrzydle. Z jednej strony ciemność im sprzyjała, z drugiej wszakże stanowiła przeszkodę w marszu, wkrótce też król Sparty powinien się zorientować, że stracił z nimi łączność. Jedynie Ateńczycy posuwali się za wojskiem w odległości około stadionu, idąc wzdłuż linii wzgórz i trzymając się w połowie wysokości, by móc ewentualnie uciec przed atakiem jazdy wroga.**

Ta ostatnia zresztą wcale nie kazała na siebie czekać, ledwie bowiem promienie słońca oświetliły równinę, zwiadowcy Mardoniosa zorientowali się, że w obozie greckim nikogo nie ma, wódz zaś natychmiast dał rozkaz wymarszu i wysłał jazdę w pościg. Gdy tylko dogoniła ona tyły armii Pauzanasza, rozpętało się prawdziwe piekło. Całe chmary jeźdźców rzucały się na kolumny piechoty zasypując je gradem strzał i oszczepów. Wielu wojowników padło, wszelkie zaś próby odparcia ataku okazały się daremne, jako że wróg unikał walki wręcz, pokładając nadzieję w ogromnym zasięgu swych łuków.

Sytuacja stawała się coraz trudniejsza. Wściekły na swoich sprzymierzeńców Pauzanasz, sądząc, że go opuścili, dał rozkaz zwarcia szyków, który obie kolumny zdołały wykonać, chociaż nie obyło się bez strat. W jednej linii stanęli więc hoplici spartańscy i tegejscy oraz piechurzy ateńscy i ciężkozbrojni platejscy. Tych ostatnich, którzy mieli za plecami jeszcze dymiące ruiny swego miasta, spustoszonego przez Persów, zagrzewała do walki silna determinacja i gorące pragnienie zemsty.

Pauzaniasz wydał rozkaz, by jeszcze bardziej zwarli szeregi, słysząc zaś powtarzane błyskawicznie z ust do ust hasło, żołnierze zrobili tak silny mur, że impet jazdy zaczął słabnąć. Równocześnie goniec popędził co koń wyskoczy z wiadomością do czekających przed herajonem sprzymierzeńców, aby natychmiast stanęli do walki, ci jednak odmówili: skoro był rozkaz zajęcia pozycji w herajonie, niech tamci dołączą do nich, powrót bowiem na otwartą przestrzeń byłby czystym szaleństwem. Wojska Pauzaniusza, mając uniemożliwiony dalszy odwrót i znajdując się pod kontrolą jazdy nieprzyjaciela, ciągle jeszcze żywiły nadzieję, że wkrótce nadejdą posiłki, tymczasem wroga piechota zbliżała się coraz bardziej pokazując całą swą przewagę liczebną, wystawiwszy do walki nawet tebańskich zdrajców.

Nagle na toczącym pianę wierzchovcu przygalopował posłaniec z wieścią, że sprzymierzeńcy czekają pod Platejami i że nie zamierzają się stamtąd ruszyć. Pauzaniasz zdał sobie sprawę, że wszystko stracone, a w szeregi jego żołnierzy, znużonych długim marszem i nieustannymi atakami jazdy perskiej, wkrađło się zniechęcenie. Mardonios gotował się już do zadania ostatniego ciosu, uświadomił sobie bowiem, że w oddziałach, które miał przed sobą, zapanowały zamieszanie i strach. Kiedy podjechał naprzód na swym białym koniu, by dać rozkaz do natarcia, nad polem bitwy, usianym trupami i rannymi, zaległa całkowita cisza.

W tej samej chwili od ścian zboczy okalających pole bitewne odbił się echem krzyk, który zdawał się dobywać spod ziemi:

ALALALAI!

Wszyscy odwrócili się w stronę, z której dobiegał, ujrze-li wszakże jedynie spaloną słońcem skałę. Grecy hoplici ponownie stanęli frontem do nieprzyjaciela. Okrzyk wojenny zabrzmiał po raz drugi:

ALALALAI!

Wtem na szarym głazie pojawił się hoplita, który zbiegł pędem po zboczach i po kilku chwilach znalazł się pomiędzy obydwojma wojskami. Miał na głowie hełm z trzema grzebieniami, w dłoni zaś dzierzył tarczę ze smokiem. Podniósłszy włócznię ku armii greckiej, krzyknął po raz trzeci grzmiącym głosem:

AL AL AL AI!

Na widok tego gestu Talosa, który właśnie wyrzał z za wstępu skalnego, przeszedł dreszcz: Brytos atakował w pojedynkę armię wroga! Rzucił się więc na dół wrzeszcząc, wołając go rozpaczliwie, niczym szaleniec. W końcu stanął na poranionych stopach i jął z furią wypuszczać strzały w punkt, do którego w obłąkańczym pędzie zmierzał Brytos.

Wszystko trwało zaledwie chwilę, po czym nastąpił cud: czterdzieści tysięcy włóczni opadło jednocześnie i olbrzymia falanga, najeżona od ich ostrzy niczym jakiś potworny jeżozwierz, zafalowała, po czym z tysięcy piersi wydobył się przypominający grzmot okrzyk:

AL AL AL AL AL AI!

I oto piechurzy z Aten i Platejów, hoplici ze Sparty, Makiostos, Amyklai i Tegei ruszyli na wroga niczym wezbrana rzeka, która nagle przerywa wały. Dopadłszy nieprzyjacielskiej piechoty, uderzyli z ciężkim hukiem, który rozdarł powietrze, grupa ateńskich hoplitów zaś usiłowała czym prędzej utorować sobie przejście w miejscu, gdzie na tle morza włóczni falowały czarne grzebienie.

Zatopiony w masie nieprzyjaciół Brytos wywijał tarczą i mieczem sięjąc wokół zniszczenie, otoczony ze wszystkich stron, z sercem, które o mało nie pękło mu w piersi, zlany potem i krwią, czuł jednak, że kolana się pod nim uginają. W ostatnim okrzyku wydobył z piersi całą siłę młodości, jednocześnie przelewając moc swego ramienia na każdego, kto stanął mu na drodze. Po czym padł, podcięty od tyłu. Zwalił się na plecy wyciągając przed siebie tarczę, aby jeszcze się bronić, aby zadać ostatni cios, ale ugodzony w uda, pachwiny i szyję, leżał w kałuży krwi.

Lecz już oto greckie włócznie odepchnęły od niego wrzeszczącą masę, już Mardonios został ściągnięty z konia, już spiżowa lawina jęła przewracać medyjskich piechurów i Kissjów, po czym zmiotła na prawe skrzydło mężnych Saków zamykając w śmiertelnym uścisku środek.

Kiedy stąpający ostrożnie między stosami trupów Talos podszedł do niego, jeszcze oddychał, toteż wydostawszy go spod ciał poległych wrogów, czym prędzej zdjął zeń zachłapa-

na krwią tarczę i podniósł mu głowę. Z szerokiej rany na szyi ciekła mu strużka krwi, twarz zaś zdążyła już przybrać trupio blady odcień.

— Chciałeś umrzeć... Chciałeś umrzeć w dniu twojego triumfu...

Konający wojownik zdołał nadludzkim wysiłkiem podnieść rękę i dotknąć jego zakrwawionego pancerza.

— Co... jest... pod tym pancerzem... Talosie, co tam jest? Po czym wyzionął ducha, głowa zaś opadła mu do tyłu.

Słońce chyliło się już ku zachodowi nad zalanym krwią polem bitwy pod Platejami, nad poranionymi ciałami, nad leżącymi jeden na drugim trupami, a gęste tumany kurzu, prześwietlone jego promieniami, wydawały się skrzyć drobinkami złota. Talos wstał rozglądając się wokół, jakby zbudził się ze snu. Ujrzał w oddali potężną postać jadącą na osiołku. Był to Karaś.

— Za późno przyjechałeś — powiedział ponuro. — Już po wszystkim.

Karaś zauważył ciało Brytosa przygotowane już do pogrzebu.

— Umarł tak, jak chciał, oczyściwszy swoje imię. Będzie pochowany ze wszystkimi honorami.

— Nie — odrzekł Talos. — Nie przez nich. To ja urządzę mu pogrzeb.

Chwycili ciało i przenieśli je na skraj pola bitwy, po czym Talos poszedł po wodę do rzeki, aby je obmyć, podczas gdy Karaś wybrał się na poszukiwanie drewna, zbierając połamane włócznie i szczątki wozów z pobliskiego obozu perskiego, z których ułożył skromny stos. Usiedli obok siebie czuwając przy zwłokach, spoczywających na prymitywnych marach na czubku stosu i pokrytych czarnym himationem, który Brytos włożył na pogrzeb Agiasa i który nosił ze sobą przez wszystkie te miesiące.

— Chciałem zdążyć na czas — ozwał się Karaś. — Ale miałem długą i bardzo niebezpieczną podróż.

— Nawet gdybyś zdążył, i tak nie mógłbyś nic zrobić — odparł ze smutkiem Talos. — Postanowił umrzeć; nie ma innego wytłumaczenia. A jak twoja misja? — zapytał po chwili.

— Wykonana. Efiates nie żyje; udusiłem go własnymi rękami.

— Doskonale, a teraz, drogi przyjacielu, oddajmy ostatni hołd Brytosowi, synowi Arystarchosa z rodu Kleomenidów... Temu-który-zadrżał-ze-strachu — dodał z gorzkim uśmiechem.

Karaś poszedł do obozu perskiego, w którym ciągle palił się ogień, i wrócił z płonącą pochodnią. W pewnej chwili coś przyciągnęło jego wzrok, toteż poklepał Talosa po ramieniu.

— Popatrz — powiedział.

Obejrzawszy się we wskazanym kierunku, młodzieniec spostrzegł jakąś postać w długim szarym płaszczu na ramionach, która szła powoli przez pole bitwy, po czym przystanąła bez ruchu trzydzieści kroków dalej.

— To on — oznajmił Talos. — Wygląda zupełnie jak ten, który czał się przed twoją chatą tamtej nocy...

— Chcesz, żebym się nim zajął? — zapytał Karaś.

— Nie, nic mnie nie obchodzi, zostaw go.

Wziąwszy z jego rąk pochodnię, podpalił stos. Wysokie silne płomienie, podsycane wieczorną bryzą, wkrótce ogarnęły otulone czarnym himationem ciało. W oddali widać było dym unoszący się nad ogromnymi stosami, które Grecy postawili w swoim obozie, a na których zaczęły płonąć zwłoki, przynieszone stopniowo z pola bitwy. Talos obciął włosy i wrzucił je w ogień, po chwili wrzucił też dereniowy kij, mocny i giętki, który pewnego dnia wybrał dla niego Krytolaos.

Nagle poczuł czyjąś dłoń na swym ramieniu. Odwróciwszy się z oczyma pełnymi łez, ujrzał przed sobą króla Pauzanasza, który trzymał wielką tarczę ze smokiem. Na jej obrzeżu wrył sztyletem imię: Kleidemos Aristarchou Kleomenides.

— To twoje imię — powiedział. — Sparta straciła twego ojca i brata, dwóch wielkich wojowników; tak szlachetny ród nie może wygasnąć. Przez długi czas byłeś daleko; nadeszła pora, abyś wrócił do swoich. Spójrz — dodał wskazując palcem obóz grecki.

Z obozowiska nadciągała długa kolumna żołnierzy ustawionych w szyku, pokrytych krwią i kurzem; maszerowali przy dźwiękach aulosów i warczeniu bębnow.

Stanęli w milczeniu przed wygasłym już stosem. Wówczas oficer obnażył miecz i wykrzyknął rozkaz: żołnierze wyprężyli w górę włócznie, które zaśniły w promieniach zachodzącego słońca. Trzykrotnie wznieśli do nieba okrzyk bojowy, który dał im odwagę, by zwyciężyć ostatnią bitwę, okrzyk Brytosa, Tego-który-zadrzał-ze-strachu.

Po czym odeszli, dźwięki aulosów zaś ucichły w oddali. Karaś zebrał popiół i kości z wygasłego stosu, ułożył je w tarczy i okrył własnym płaszczem. Popatrzywszy najpierw na czerwone obłoki na horyzoncie, potem na Talosa, szepnął:

*Blask chwały gaśnie niczym zachodzące słońce.
Do narodu z brązu plecami się odwraca
Kiedy Ziemiotrząsa wprawia w drżenie Pelopsa ziemię,
Głuchy jest na zew krwi
Kiedy w mieście umarłych
Woła go potężny głos serca...*

— Przypomnij sobie te słowa, Talosie, synu Sparty i synu swego narodu, kiedy ujrzysz mnie ponownie.

Chwyciwszy osiołka za uzdę, rozpląnął się w wieczornym mroku.

Część druga

*A jeśli wzbudziliśmy nienawiść
jakiegoś boga, wystarczająco surowo
zostaliśmy ukarani...*
Tukidydes

ROZDROŻE

Przez całą noc Klejdemos siedział przy ogniu, który pochłoniął ciało Brytosa, odnalezionego i natychmiast utraconego brata. Wpatrywał się skamieniały w płonące cienie tańczące wśród żaru, wzdrygając się co jakiś czas i wydając ochryply dźwięk podobny do ryku rannego zwierzęcia. Z tyłu, za nim, rozciągało się bezkresne pole bitwy pod Platejami, usiane ciałami poległych, wiatr zaś przywiewał słodki zapach krwi, którą nasiąknięta była cała ziemia od rzeki Asopos aż do samotnych kolumn świątyni Hery. Dziesiątki bezpańskich psów, wychudzonych z głodu, krążyły ujadając po olbrzymim miejscu kaźni, rozszarpując zeszywniałe zwłoki wojowników Wielkiego Króla.

W obozie greckim dźwięk trąby oznajmił trzecią zmianę warty, a nad wysuszonymi upałem ciemnymi krzewami wstał ogromny księżyc, czerwony niczym zakrwawiona tarcza. Klejdemos uniósł wzrok ku gigantycznej kuli wpatrując się w nią szeroko otwartymi oczyma. Księżyc... Księżyc wyglądał jak wielka, ociekająca krwią tarcza, za nim zaś nabierała coraz wyraźniejszych kształtów jakaś przerażająca postać... To bóg Ares, lśniący od metalowych łusek niczym wąż, dzierżył topór o dwóch ostrzach i obracał nim w powietrzu z posepnym warkotem. Nagle trupy z porozcinanymi piersiami, za zmasakrowanymi twarzami drgnęły, podnosząc się z przesiąkniętej krwią ziemi, po czym ruszyły w milczeniu ku straszliwemu wojownikowi. On zaś wywijał potwornym toporem powodując kolejną rzeź, zaścielając pole obciętymi kończynami... i jesz-

cze... i jeszcze... dopóki pierwszy brzask nie rozproszył mroków nocy.

Klejdemos otrząsnął się tocząc wokół zmęczonym wzrokiem, gdy tymczasem w głowie jeły mu się kłębić rozmaite myśli, pobudzone blaskiem świtu. Ucichł wreszcie łoskot bitwy, który przez całą noc nieprzerwanie rozbrzmiewał mu w uszach.

W obozie greckim rozległ się dźwięk trąby oznaczający zbiórkę, Klejdemos więc wstał. Powoli włożył zbroję, chwycił tarczę i włócznię, po czym ruszył naprzód. Wokół niego słychać było brzęczenie much... Much, towarzyszek Tanatosa. Szedł przez obozowisko jak we śnie, nic nie widząc, gdy nagle rozbuździł go głos wartownika.

— Pójdź za mną, Klejdemosie, regent Pauzaniaz oczekuje ciebie w namiocie.

Wszedł do środka, mijając strażę, które odchyliły zasłaniającą wejście matę. Przez chwilę rozglądał się dokoła, kiedy zaś jego zmęczony wzrok przyzwyczał się do półmroku, spostrzegł przed sobą regenta.

Ten niezbyt wysoki mężczyzna miał siwe włosy i krótką spiczastą bródkę; jego zadbane dłonie nie wyglądały na dłonie wojownika, podobnie zresztą strój odznaczał się wykwinnością, której Klejdemos nigdy nie widział u Spartan. Na stole stały dwa lśniące srebrne puchary, do których nalano czerwonego wina.

— Pij — powiedział regent podając mu puchar — dziś jest wielki dzień dla Grecji, a to wino z Kos ma wyborny smak. W namiocie Mardoniosa było go mnóstwo, te puchary zaś należały do jego zastawy. Bez wątpienia ci barbarzyńcy potrafią docenić uroki życia.

Klejdemos odmówił gestem ręki; męczyły go skurcze żołądka, przez długi bowiem czas nie miał nic w ustach. Pauzaniaz odstawił więc puchar, po czym wskazując zydel rzekł:

— Siadaj, musisz być znudzony.

Młodzieniec opadł na siedzisko. Miał zaczerwienione oczy, zmęczoną twarz i przyprószone popiołem włosy. Pauzaniaz przyglądał mu się przez moment.

— Te same duże ciemne oczy... — ozwał się po chwili. — Te same łagodne usta... Wykapana matka.

Klejdemos drgnął.

— Moja matka — szepnął — moja matka ma małe szare oczy...

Pauzansz usiadł na krześle z poręczami obracając w dłoniach perki puchar, jakby szukał właściwych słów.

— Rozumiem, co masz na myśli — oznajmił. — Uważasz nas wszystkich za obcych, może nawet za wrogów, ale powinieneś wysłuchać tego, co mam ci do powiedzenia, ponieważ przeżyjesz jeszcze wiele dni wśród synów Sparty. Zbroja, którą masz na sobie, należała do twego ojca i brata, twoja matka zaś nigdy o tobie nie zapomniała. Dobrze wiesz, że moglibyśmy udać, iż nie istniejesz, i pozwolić, byś wrócił w góry, do helotów, i przeżył resztę życia jako pasterz... Ale jesteśmy przekonani, że nie umiałbyś już tak żyć. Zostałeś wojownikiem i walczyłeś ramię w ramię ze swoim bratem Brytosem przez wiele miesięcy. Towarzyszyłeś mu pod Termopilami, wróciłeś razem z nim do Sparty, pomogłeś mu oczyścić własne imię. Teraz zaś jesteś ostatnim potomkiem wielkiego rodu, który nie może wygasnąć...

Klejdemos podniósł wzrok wbity dotąd w ziemię.

— Jest wiele rzeczy, których nie potrafię pojąć, i wiele rzeczy, których nie wiem, nawet jeśli umiem je sobie wyobrazić. Skoro prawdą jest to, co mówisz, powiedz, jak mogę wrócić do kobiety, która mnie zrodziła, aby porzucić tę, która pomimo braku jakichkolwiek więzów krwi przygarnęła mnie, wykarmiła i pokochała... Powiedz, jak mam zostawić na zawsze ten pełen pokory i nieszczęśliwy lud, który przyjął mnie do siebie, choć byłem synem wroga, i wrócić do miasta, które go uciska, do miasta, które porzuciło mnie na pastwę wilków z Tajgetos tylko dlatego, że byłem kulawy. Myślisz, że człowiek może się narodzić dwa razy? Zostałem wydarty z piekieł, ten zaś, kto mnie przyjął pod swój dach, Krytolaos, najmądrzejszy z ludzi, dał mi na imię Talos, abym nigdy nie zapomniał o swoim nieszczęściu... Powiedz, jak mógłbym od dziś nazywać się Klejdemos... Nigdy nie widziałem mojej matki, ojciec jest dla mnie jedynie twarzą... spojrzeniem... smokiem na tarczy Kleomenidów. Z kolei mój brat Brytos... to tylko popiół na polu pod Platejami...

Pauzansz otarł zroszone czoło.

— Posłuchaj — odrzekł — istnieje odpowiedź na wszystkie te pytania, ale nie myśl, że mógłbyś' zrozumieć... teraz... Życie ludzi jest pełne tajemnic, ich los zaś spoczywa w rękach bogów... Ja jednak mogę wyjawić ci wiele rzeczy, o których nie wiesz, mogę cię zapewnić, że Sparta wcale nie jest okrutna w stosunku do swych synów... Wszyscy musimy być posłuszni prawu, które jest ponad każdym z nas, nawet ponad królami. Wiedzą o tym doskonale spartańskie matki, które patrzą, jak ich synowie idą na spotkanie śmierci, wiedział o tym również twój ojciec, wielki Arystarchos, kiedy wiele lat temu w pewną deszczową, niespokojną noc zaniósł cię do Tajgetos przyciskając mocno do piersi. Ciężar tego strasznego, acz koniecznego czynu leżał mu na sercu przez cały czas. Ostrze, które przebiło mu serce w Termopilach, wcale nie było bardziej okrutne ani bardziej tnące od tego, które przeszło mu duszę owej nocy... Od tamtej pory na oczy spadła mu czarna zasłona i nikt więcej nie widział nigdy radości na jego twarzy. Nic nie zostało mu oszczędzone... Od pierwszej chwili gdy dowiedział się, że żyjesz, jego męki stały się jeszcze cięższe i jeszcze bardziej okrutne. Pewnej nocy na widok Brytosa, który poszedł uzbrojony w góry zdecydowany cię zabić, krew ścieła mu się w żyłach, lecz nie powiedział ani słowa. Gorące łzy, których nikt nigdy nie zobaczył, nawet twoja matka, z każdym rokiem złościły w jego policzkach coraz głębsze bruzdy w niekończącej się agonii... Miłował cię do samego końca... rozpaczliwie... Poległ gardząc własnym życiem, przelewając własną krew w palącym pyłe... cierpiąc z twojego powodu. Taki był twój ojciec, wielki Arystarchos... Smok.

Podniósłszy wzrok, Klejdemos siedział nieruchomo, z dłońmi wspartymi na udach. Od czasu do czasu jego pierś unosiła się w długim westchnieniu... Na jego poszarzałej kamiennej twarzy jedyną oznakę życia stanowiły dwie duże łzy. Pauzianasz odstawił puchar na stół obok siebie, położył na moment ręce na spoconej twarzy, po czym zamilkł, jakby słuchał cykania świerszczy albo pomieszanego szmeru głosów na zewnątrz namiotu. Kiedy znów się odezwał, jego osobliwy metaliczny głos zdradzał wzruszenie.

— Co do twojej matki, los... albo złośliwość bogów wcale nie zapewniła jej lepszego życia. Wspaniała uroda zwiędła

przed czasem, zniszczona potworną rozpaczą, w jakiej się pograżyła, gdy wyrwano cię z jej ramion; straciła męża, mężczyznę, którego kochała od dziecka z całej duszy, widziała powrót swego syna Brytosa spod Termopil, oplakawszy wcześniej jego śmierć, po czym znów go straciła, kiedy zniknął rok temu, po tym jak jego przyjaciel Agias się zabił; jutro zaś, w chwili gdy będą jej wręczać urnę z jego prochami, dowie się, że jeszcze żył... Spartańskie kobiety doskonale zdają sobie sprawę, że urodzeni przez nie synowie są śmiertelni, ale to wcale nie oznacza, że przez to mniej cierpią. Teraz zostałeś jej już tylko ty i czeka na ciebie, nawet jeśli nie ma odwagi żywić nadziei, że wrócisz. Klejdemos otarł oczy.

— W chacie w górach Tajgetos czeka na mnie inna kobieta, ta, którą zawsze nazywałem matką — powiedział bezbarwnym głosem.

— Wiem — odrzekł regent — ta kobieta jest ci bardzo droga. Będziesz mógł ją widywać, kiedy zechcesz. Pamiętaj jednak, że miała o wiele więcej szczęścia od tej, która wydała cię na świat... Ale to nie wszystko. Wiem, że nasze prawa wydają ci się nieludzkie, bezlitosne, ale czy myślisz, że świat jest inny? Musimy żyć w świecie, w którym nie ma litości dla pokonanych. Sam widziałeś wczoraj wściekłość najeźdźców. Ciało króla Leonidasa znaleziono w Termopilach z obciętą głową, ukrzyżowane; ze mną stałoby się tak samo, gdybym przegrał. Męstwo i poświęcenie Brytosa ocaliły tysiące towarzyszy, młodzieńców takich jak ty, których matki musiałyby oplakiwać do końca swoich dni. Wprawdzie ci sami towarzysze zaledwie rok temu lżyli go i niesłusznie oskarżali, popychając do zadania sobie śmierci, on wszakże potrafił oczyścić swe imię, które będzie wysławiane przez wieki, imię, które zostawił ci w spadku wraz z ostatnim tchnieniem życia. Brytos błąka się teraz po królestwie cieni, jego duch zaś nie zazna spokoju, dopóki się nie upewni, że przyjąłeś dziedzictwo poświęcenia i honoru, wryte na tarczy Kleomenidów. Stoisz teraz na ogromnym rozdrożu: jedna droga prowadzi ku spokojnemu, cichemu życiu, druga zaś ku życiu najeżonemu trudnościami i pełnemu zawirowań, które ofiaruje ci wszakże dziedzictwo rodu bohaterów. Sam musisz wybrać i nikt nie może ci pomóc w tej ciężkiej chwili. Pamiętaj:

skoro bogowie doprowadzili cię aż do tego miejsca, twoje życie zostało przesądzone, ja zaś myślę, że już nie zawrócisz.

Pauzaniasz zamilkł spuszczać wzrok, po czym uderzył w tarczę zawieszoną na palu podtrzymującym namiot. Na ten znak weszło natychmiast kilka kobiet niosąc wodę. Jedne rozebrały młodzieńca i go umyły, inne z kolei przygotowały mu w tym czasie posiłek. Klejdemos pozwolił wymasować sobie obolałe ciało, po czym wypił czarkę rosółu, ledwie zaś się położył, zapadł w kamienny sen.

Regent długo mu się przyglądał z osobliwym uśmiechem, następnie wezwał jednego ze strażników.

— Niech nikt nie wchodzi do tego namiotu — rozkazał. — Pod żadnym pozorem nie wolno zakłócać snu temu człowiekowi, dopóki nie wrócę. Jeśli się zbudzi, pozwólcie mu iść tam, dokąd zechce, tylko miejcie go na oku, ale tak, żeby o tym nie wiedział, a potem zdajcie mi sprawę ze wszystkich jego posunięć.

Strażnik wyszedł, aby zająć swoje miejsce. Wkrótce namiot opuścił również regent w pełnym rynsztunku i wskoczywszy na konia, pogalopował w kierunku obozu perskiego, w którym od poprzedniego wieczoru stacjonowały już jego oddziały, za nim zaś pomknęła gwardia królewska.

W namiocie, który należał wcześniej do perskiego wodza, czekali na niego wszyscy dowódcy wojsk sprzymierzonych.

— Przyjaciele! — zawołał Pauzaniasz biorąc do ręki puchar. — Przyjaciele, składam ofiarę Zeusowi Królowi i Heraklesowi Zdobywcy, którzy pozwolili nam odnieść zwycięstwo nad barbarzyńcami, a także piję za zgodę między wszystkimi Grekami, dzięki której ten dzień stał się wielki i pamiętny.

Jego słowa przyjęto okrzykami zadowolenia, tymczasem niewolnicy czym prędzej napełnili z powrotem opróżnione puchary. Pauzaniasz wszakże wcale nie skończył jeszcze przemowy.

— Panowie oficerowie — ciągnął — pozwólcie mi powiedzieć, że ci barbarzyńcy muszą być doprawdy szaleni! Choćby bowiem posiadali wszystkie te wspaniałości, zadali sobie tyle trudu, odbyli tak długą podróż tylko po to, żeby bić się o naszą nędzną czarną zupę!

Wszyscy goście roześmiali się rozbawieni, po czym rozpoczęła się uczta, która trwała aż do wieczora. Tego dnia jednak przepych i bogactwo Persów wywarły ogromne wrażenie na Pauzaniu, który zaczął mieć dość spartańskiej surowości i prostoty.

II

NOSTOS

Po niebie sunęły powoli obłoki popychane przez lekką bryzę, zasłaniając co chwila tarczę słońca, które zachodziło już za horyzont rzucając długie cienie na równinę. Klejdemos spostrzegł czerwieniejące szczyty gór Tajgetos — ileż to czasu minęło... Wydawało mu się, że słyszy ujadanie psów, beczenie owiec prowadzonych do zagród na wysokich pastwiskach; pomyślał o grobie Krytolaosa, najmądrzejszego z ludzi, przy-sypanym liśćmi dębu. Oczyma duszy ujrzał siebie jako małego chłopca siedzącego nad brzegiem Eurotasu wraz ze stadem i małym Kriosem, który radośnie merdał ogonem. Myślał o kobiecie, która przez tak długi czas była mu matką, widział ją samotną i smutną, czekającą tam, wysoko, na progu chaty, przędącą wełnę zrogowaciałymi dłońmi, wpatrzoną w horyzont swymi małymi, pełnymi nadziei oczyma.

Ścieżka prowadząca w góry biegła zaledwie o kilka kroków dalej; Talos przystanął opierając się o włócznię. Minął go galopem jakiś jeździec, zostawiając za sobą smugę kurzu, i natychmiast znikł.

Wiatr wprawdzie ucichł, jednakże potężne, teraz już czarne chmury kłębiły się na niebie tworząc olbrzymią masę, która zdawała się wolno pulsować. Klejdemos podniósł wzrok oniemiały: nagle błyskawica przecięła szybko brzuch bezkształtnego kolosa, który drgnął, po czym na oczach młodzieńca jał się wydłużać ku środkowi sklepienia niebieskiego, wijąc się i skręcając tak długo, aż przybrał wyraźny, jednoznaczny kształt... kształt smoka.

Klejdemos miał wrażenie, że słyszy słowa wypowiedziane przez Krytolaosa pewnej odległej nocy: „...niekiedy bogowie dają nam znaki...”, ruszył więc dalej zostawiając za plecami górską ścieżkę, z sercem przepelnionym smutkiem. Szedł zakurzoną drogą, jakby pchała go jakaś niewidzialna siła, aż wreszcie dojrzał w mroku dom Kleomenidów, którego strzegły majestatyczne dęby. Jediną oznaką życia w tej surowej budowlu było słabe światło lampki oliwnej, ledwie widoczne przez okno.

Klejdemos zatrzymał się z wahaniem, spodziewając się usłyszeć szczekanie Melasa, absolutnej ciszy nie zakłócał jednak żaden dźwięk; spojrzął na środek dziedzińca i natychmiast odwrócił wzrok ze zgrozą: molos leżał na domowym ołtarzu z poderżniętym gardłem, a jego śnieżnobiałe kły były odsłonięte jakby w jakimś potwornym szyderczym uśmiechu. Zwierzę zostało złożone w ofierze w imię Brytosa, teraz zaś jego okrutna dusza błąkała się po Hadesie w poszukiwaniu swego pana...

Klejdemos podszedł do drzwi owiniętych kirem, kiedy zaś pchnął je drżącą ręką, ich masywne skrzydło otwarło się z jękiem. Jego oczom ukazał się ogromny, słabo oświetlony prostas, pośrodku którego siedziała na zydlu z dłońmi złożonymi na podolku odziana na czarno kobieta, wpatrując się weń błyszczącym, płonącym wzrokiem. Nieruchome ciało sprawiało wrażenie zastygłego w stężeniu pośmiertnym. Klejdemos stał na progu jak skamieniały na jej widok, nie mogąc zrobić ani kroku. Wówczas kobieta wstała i chwiejnym krokiem podeszła bliżej, po czym wyciągnęła ku niemu białe dłonie.

— Tak długo na ciebie czekałam — wyszeptwała. — Synu, jakże długo do mnie nie wracałeś...

Klejdemos spoglądał na nią w milczeniu.

— Wiem — ciągnęła kobieta — nie potrafisz odpowiedzieć, ale mnie poznajesz, prawda? — Pozwoliła rękom opaść wzdłuż ciała. — Jestem twoją matką, Ismeną, żoną Arystarchosa, matką Brytosa... — Powiodła błędnym wzrokiem po wizerunkach kleomenidzkich bohaterów, zasłoniętych kirem. — Nie żyją... wszyscy nie żyją... ty też umarłeś... Klejdemosie.

Młodzieniec drgnął, gdy Ismena podniosła dłoń, by pogłaskać go delikatnie po twarzy.

— Ale teraz wróciłeś do domu... — Wskazała otwarte drzwi. — Dwadzieścia dwa lata... Minęły dwadzieścia dwa lata, odkąd widziałam cię po raz ostatni w tych drzwiach, w ramionach twego ojca.

— Mój ojciec... — szepnął młodzieniec jakby nieobecny — mój ojciec wydał mnie na pastwę wilków...

Ismena upadła na kolana.

— Nie, nie... nie, synu, twój ojciec powierzył cię opiece bogów... Złożył ofiarę z własnych owiec, aby bogowie się nad tobą zlitowali... Czuwał przez wiele nocy pełen niepokoju, zadreżdżając się, przełykając łzy... a kiedy ból był nie do zniesienia, uciekał z domu... otulony himationem... uciekał do lasu... w góry.

Spojrzawszy na ścianę, Klejdemos dostrzegł wiszący na gwoździu płaszcz z szarej wełny. Drgnął. Przed oczyma stanęła mu przez chwilę zakapturzona postać trzymająca wiązkę chrustu... nad wysokim źródłem, w pewien wietrzny dzień — jego ojciec! Otrząsnął się słysząc urywany głos Ismeny.

— Złożył w ofierze własne życie duchom przodków, byleby cię oszczędzono... Och, synu... synu... Jeszcze nikt nie zdołał się sprzeciwić prawom miasta i nikt z nas nie zaznał innego życia... oprócz niekończącego się bólu... bezkresnej udręki w oczekiwaniu na śmierć... płaczu bez końca.

Ismena zaniósła się szlochom chowając twarz w dłoniach. Jej pochylonymi plecami wstrząsały nieustannie łkania, w głuchej zaś ciszy domu bezgłośny płacz był niczym cięcie ostrego noża, chwilami niczym łagodna kołysanka... albo niczym smutna nenia płaczki. Klejdemos poczuł, jak w jego sercu wzbiera gorąca fala, która roztopia lód w zdrtwiałych, zeszywniałych kończynach, pochylił się więc nad Ismena, zdjął jej welon i położywszy dłoń na siwej głowie, delikatnie pogładził ją po włosach. Kobieta podniosła ku niemu zaczerwienione oczy.

— Matko — powiedział ze zmęczonym uśmiechem — matko... wróciłem.

Uczepiła się jego ramion wstając z trudem, po czym obdarzyła go długim spojrzeniem pełnym miłości i niedowierzania.

— Tak, matko... wróciłem.

Ismena objęła go kurczowo, szepcząc jakieś niezrozumiałe słowa. Klejdemos przytulił ją mocno czując, jak matczyne serce

bije coraz szybciej, niczym serduszko wróbelka, zbyt gwałtownie zamkniętego w garści przez dziecko. Uderzenia przyspieszyły jeszcze bardziej, następnie niespodziewanie ucichły, po czym zupełnie ustały, aż w końcu Ismena opadła bez czucia w ramiona syna.

Klejdemos długo wpatrywał się w nią z niedowierzaniem, po czym dźwignął przyciskając mocno do piersi, następnie wróciwszy się do drzwi, stanął na szeroko rozstawionych nogach, uniósł bezwładne ciało wysoko nad głowę i wydał z siebie głuchy jęk, dziki skowyt, który stawał się coraz wyższy i coraz bardziej przenikliwy, przechodząc w końcu w pełen zgrozy i rozpaczny ryk, który uleciał ku zimnym i dalekim gwiazdom. Krzyczał niczym zwierzę rozszarpywane przez sforę wściekłych psów, jego krzyk zaś poniósł się ponad polami, ponad dachami miast, ponad brzegami Eurotasu, odbił się echem od szorstkich skał Tajgetos, po czym ucichł, pochłonięty przez morskie fale.

Król Pauzanasz rozłożył na stole mapę, przytwierdził rogi i podnosząc wzrok na Klejdemosa rzekł:

— Podejź bliżej, chcę ci coś pokazać.

Młodzieniec wstał i podszedł do stołu.

— To jest Azja — powiedział król wskazując ząbkowaną linię po prawej stronie mapy — kraina, w której wstaje słońce, a ściśle mówiąc wybrzeże graniczące z naszym krajem. Rozciąga się ono na wschód na długość dziesiątek tysięcy stadiów aż do rzeki Ocean, ale nikt jeszcze tam nie był z wyjątkiem ludzi Wielkiego Króla, wiemy więc bardzo mało o tych odległych lądach. To co tu widzisz — ciągnął pokazując czerwone kółka wzdłuż linii brzegowej — to miasta zamieszkane przez Hellenów: Eolów, Jonów, Dorów. Każde z nich jest większe, ludniejsze i bogatsze od Sparty. Nasze zwycięstwa pod Platejami i Mykale wyzwoliły je na razie spod panowania barbarzyńców, nie możemy jednak wykluczyć kolejnego najazdu. Wielki Król w ogóle się z nami nie porozumiał ani w żaden sposób nie przyznał do porażki. Czy zdajesz sobie sprawę, co to oznacza?

— Ze wojna się jeszcze nie skończyła i że wzajemna wrogość może powrócić w każdej chwili.

— Słusznie. Jednocześnie musimy się liczyć z tym, że zdaniem Wielkiego Króla cała Hellada winna uznać jego władzę. Uświadomił on sobie bowiem, że nie może ujarzmić Hellenów z Azji, nie ujarzmiwszy wprzód tych z kontynentu. Kiedy więc znów ruszy, poprowadzi swoją armię właśnie tam. Musimy za-

tem umieścić przednie straże w Azji, aby stale śledzić ruchy jego wojsk. Lepiej, żebyśmy walczyli z barbarzyńcami w Azji, niż byśmy zostali zmuszeni po raz kolejny do odepchnięcia ich od naszych drzwi. Dlatego też eforowie i geruzja zdecydowali, że ja wraz z oddziałem Peloponezyjczyków zajmę wyspę Cypr, a następnie ustanowię garnizon w Bizancjum, mieście, które sprawuje kontrolę nad Hellespontem. O, tu, spójrz — powiedział dotykając mapy palcem — nad tym wąskim skrawkiem morza, który oddziela Azję od Europy.

Klejdemos nie potrafił zrozumieć, jak można narysować morze i ląd na kawałku kozłej skóry i w jaki sposób ów rysunek może być pomocny, aby udać się w podróż do jakiegoś miejsca, a potem stamtąd powrócić.

— Powiedz mi — poprosił nieśmiało — czy na tym obrazku są też góry Tajgetos?

— Oczywiście — uśmiechnął się król — popatrz: twoja góra znajduje się w tym miejscu, a to jest Sparta, nasze miasto.

— Ale poza tym obrazkiem istnieją jeszcze inne lądy?

— Tak, mnóstwo, na północy i na południu, na wschodzie i tam, gdzie zachodzi słońce, wszystkie zaś otacza rzeka Ocean, której wód nie zdoła przepłynąć żaden statek zbudowany przez człowieka. Nikt nie wie, co znajduje się po drugiej stronie Oceanu...

— Czy eforowie i geruzja ustalili już dzień wymarszu?

— Okręty powinny podnieść kotwicę wraz z nastaniem nowiu, a ja chcę, żebyś popłynął ze mną. Obejmę dowództwo floty sprzymierzonej, która weźmie w posiadanie wyspę Cypr. To bardzo piękna ziemia, którą musimy opanować; chodzi o to, żeby flota perska nie miała już żadnej bazy na naszym morzu. Co zaś do ciebie, jestem zdania, że najlepiej zrobisz wyruszając ze mną. Zobaczysz nowe lądy, wspaniałe miasta, rzeczy, o jakich ci się nawet nie śniło. Musisz zapomnieć o przeżytych tragediach i zacząć nowe życie. Niewolnicy zaopiekują się twoim domem, gdy będziesz daleko.

— Moim domem... — szepnął Klejdemos. — Nie wiem, gdzie teraz jest mój dom, już nic nie wiem. Nocą śni mi się dawne życie, a kiedy się budzę, nie poznaję niczego, co mnie otacza.

Pauzaniasz zwinął i odłożył mapę, po czym podszedł do młodzieńca.

— Rozumiem, co czujesz. Niewielu ludziom przypadł w udziale taki los jak twój, jeszcze mniej zaś zostało poddanych cięższym próbom. Teraz wszakże pierwszy etap twojego życia został zamknięty; możesz wziąć we własne ręce to, co masz przed sobą, i zbudować swoją przyszłość... przy pomocy bogów i ludzi, którzy znają twoją siłę i wolę. Życie nie przynosi nam wyłącznie bólu i nieszczęść, ale także radości i przyjemności. Bogowie zdążyli już wystawić twoje serce na wystarczająco ciężką próbę; z pewnością przeznaczyli ci wielką przyszłość, ja zaś również w ciebie wierzę, Klejdemosie, synu Arystarchosa.

Pewnego poranka na początku lata flota sprzymierzona, licząca prawie dwieście okrętów wojennych, wpłynęła na wody Cypru — Klejdemos nigdy dotąd nie widział czegoś takiego. Zdołał nawet zapomnieć o skurczach żołądka i nudnościach, które dopadły go podczas podróży morskiej z Gytejonu do Kityery. Wiatr wydymał żagle ogromnych okrętów ustawionych w kolumnę, spienione fale zaś kłębiły się wokół pomalowanych na różne kolory rzeźb na ich ostrych, zakrzywionych dziobach tnących morze.

Na statku Pauzaniusza podniesiono błękitną banderę—znak, że rozpoczęto manewr przybijania do brzegu. Wiosła zanurzyły się w wodzie, po czym lewe burty okrętów jęły się przybliżać do południowego wybrzeża wyspy. Wczesnym popołudniem, pod palącym słońcem, pierwsze okręty przycumowały do brzegu nie napotykając żadnego oporu — wojska Wielkiego Króla zdążyły się już wycofać, a fenickie statki z Tyru i Sydonu wróciły do swych portów w oczekiwaniu na zwycięską bitwę. Pauzaniasz kazał sobie urządzić kwaterę w pięknym domu w najwyższej położonej części miasta Salamina, władze oddały mu zaś do dyspozycji liczną służbę.

Klejdemos spędzał czas w miejskich palestrach i gimnazjach ucząc się technik walki i posługiwania się zbroją hoplity, której ogromny ciężar zdawał się go przytłaczać. Pewnego dnia, gdy wycierał się po kąpieli, podszedł doń chłopiec o gęstych czarnych lokach.

— Jesteś' Spartaninem, panie? — zapytał spoglądając na niego ciekawie.

— Tak. A tyś co za jeden?

— Mam na imię Lahgal, jestem Syryjczykiem. Mój pan jest właścicielem tej łąźni; kupił mnie na targu w Ugaricie, pięknym mieście... znasz je?

— Nie — odrzekł z uśmiechem Klejdemos — nie znam. Nigdy dotąd nie wyjeżdżałem z miasta i była to moja pierwsza podróż morska.

— To znaczy, że nie znasz nawet tej wyspy?

— Rzeczywiście, jeszcze nie ruszyłem się z Salaminy.

— W takim razie nic nie wiesz, panie. Ta wyspa to cudowna ziemia pełna najrozmaitszych wspaniałości. Tutaj wytłacza się najlepszą oliwę, tu też powstaje najbardziej aromatyczne wino, które uderza do głowy. Tutaj dojrzewają granaty, palmy zaś dają niezwykle słodkie daktyle, które zbiera się pod koniec lata. W wodach tutejszego morza narodziła się bogini, którą wy, Grecy, nazywacie Afrodytą, natomiast my, Syryjczycy, Astarte, bogini miłości.

— Jak widzę, ziemia ta bardzo ci się podoba. Nie tęsknisz za swoją ojczyzną?

— Och, panie — odparł chłopiec wzruszając ramionami — przybyłem tutaj, kiedy byłem malutki... mój pan kupił mnie podobno za bezcen, ale zrobił dobry interes. Chodzę na posyłki, sprzątam łąźnię i pilnuję dziewcząt, które robią zakupy, żeby nie kupczyły po kryjomu swymi wdziękami zatrzymując dla siebie pieniądze. Dzięki temu mam też dużo swobody. Przychodzę i wychodzę, kiedy chcę, jeśli wykonam to, co do mnie należy.

— A powiedz mi — dopytywał się dalej Klejdemos — skoro twoim zdaniem wyspa jest taka piękna, czy miałbyś ochotę mi ją pokazać? Myślisz, że twój pan pozwoliłby ci mnie oprowadzić?

— Prawdę mówiąc — stropił się chłopiec — pan przestrzegł mnie, że z wami, Spartanami, źle się robi interesy; nikt nie chce tych waszych brzydkich żelaznych monet. Z Ateńczykami jest o wiele lepiej; płacą pięknymi monetami ze srebra z wizerunkiem sowy, chętnie piją i zabawiają się z dziewczętami. Ale ty mi się podobasz, chociaż jesteś Spartaninem, więc chyba

wzmę cię ze sobą. Jeśli pan nie będzie mnie potrzebował, jutro, kiedy kur zapieje, będę na ciebie czekał tu, pod drzwiami. Masz konie?

— Nie, Lahgalu, przykro mi. Ale może będę mógł zabrać osła od tragarzy; nie sądzę, żeby im się na wiele zdał teraz, kiedy siedzimy na miejscu.

— Niech będzie — stwierdził chłopiec zdecydowanie. — Osioł też może być, chociaż wolałbym konia. Do zobaczenia!

Nazajutrz o wschodzie słońca już podążali ulicą nabrzeżną prowadzącą do miasta Pafos, gdzie wznosiła się świątynia Afrodyty. Droga wiała się wśród porośniętych gajami oliwnymi wzgórz, na których rozsiane były białe domki, co chwila schodząc ku brzegowi morza. Powietrze pachniało sosnową żywicą i solą, na zielonych jeszcze polach bieleły się i żółciły gdzieniegdzie kwiaty, na których zaczynały przysiądać motyle, w miarę jak słońce osuszało im na skrzydłach krople rosy.

Jadąc na grzbiecie osła w towarzystwie młodego przyjaciela, który siedział z przodu, Klejdemos czuł się lekki.

— Jeszcze mi nie zdradziłeś, jak masz na imię — stwierdził naraz Lahgal.

— Pewnie ci się to wyda dziwne — odrzekł z uśmiechem Klejdemos — ale trudno mi odpowiedzieć na to pytanie.

— Żartujesz sobie ze mnie — oburzył się chłopiec. — Nawet dzieci wiedzą, jak mają na imię.

— Dobrze, Lahgalu — ciągnął młodzieniec — w rzeczywistości mam dwa imiona, ponieważ mam dwie rodziny. Na dodatek nie mam ojca, matka zaś, która mi pozostała, nie jest moją prawdziwą matką, bo ta umarła... dwa miesiące temu w domu, którego nigdy wcześniej nie widziałem, ale w którym przeżyłem wszystkiego kilka miesięcy, kiedy nie byłem jeszcze w stanie nic zrozumieć ani zapamiętać.

Lahgal obejrzał się do tyłu ze zdumieniem.

— Uważasz mnie za szaleńca, prawda? — uśmiechnął się Klejdemos. — A jednak wszystko, co ci powiedziałem, to najprawdziwsza prawda.

Zdumienie w spojrzeniu Lahgala ustąpiło miejsca głębi i intensywności, po czym chłopiec odwrócił głowę, na powrót wpatrując się w zakurzoną drogę.

— Może — oznajmił po chwili milczenia — może jesteś inny... inny od reszty ludzi, którzy żyją na ziemi...

■— Nie, mój młody przyjacielu, wcale nie. Jestem taki sam jak ty, tylko że bogowie przeznaczyli mi osobliwy los. Jeżeli chcesz, mogę ci opowiedzieć moją historię.

Lahgal potakująco skinął głową.

— Wiele lat temu, kiedy nie było cię jeszcze na świecie, w pewnym dużym domu w Sparcie, w szlacheckiej rodzinie, urodził się chłopiec, któremu rodzice dali na imię Klejdemos. Wkrótce jednak zorientowali się, że jest kulawy, ojciec zaniósł go więc w nocy do lasu i zostawił na szczycie wzgórza. Takie bowiem jest prawo Sparty: dzieci, które nie są idealnie zdrowe na ciele i które nie będą mogły zostać wojownikami, należy porzucić. Chłopca znalazł wszakże pewien stary pasterz, helota, który pasł owce swego pana na łąkach w górach Tajgetos. Zabrał go więc i oddał na wychowanie swojej córce, nadając mu imię Talos. Tak też wołali na niego heloci. Chłopiec dorósł, nauczył się walczyć i strzelać z luku, nazywając matką kobietę, która go wychowała, starego pasterza zaś dziadkiem. Wyuczył się również zwinności, zmusił chromą stopę, by potrafiła przynajmniej częściowo utrzymać ciężar jego ciała, i poddał się wyczerpującym próbom, by wynagrodzić kalectwo, jakim ugodzili go bogowie. W tym samym czasie nieco starszy odeń brat dorastał wśród miejskiej młodzieży, wychowywany na wojownika. Pewnego dnia spotkali się na równinie i Talos wcale o tym nie wiedząc bil się z własnym bratem, który o mało go nie zabił...

— Dlaczego biłeś się z własnym bratem? — przerwał mu Lahgal. — Bo to ty jesteś Talos, prawda?

— Dlatego, że mój brat i jego kompani napadli na moją małą przyjaciółkę, córkę pewnego wieśniaka z równiny. Od tamtej pory mnie znienawidził. Którejś nocy wtargnął do mojej chaty, kazał swojemu molosowi pozagryzać moje owce i okrutnie mnie pobił... A potem nastąpiły lata wojen między Grecją a Wielkim Królem. Zaprowadzono nas, helotów, do miasta, żeby wojownicy wybrali wśród nas swoich przybocznych, i właśnie mnie wybrał sobie mój brat. Widziałem, jak walczył pod Termopilami, widziałem też mojego ojca, tego, który po-

rzucił mnie, gdy byłem mały, nie wiedząc, kim jest, ale myślę, że on wiedział... pamiętam wzrok, jakim na mnie patrzył; kilka razy zdołałem go uchwycić spoglądając mu prosto w oczy. Wyglądał, jakby zalewał go bezbrzeżny smutek, który potrafił przewyciężyć dzięki niewiarygodnej sile ducha. Mój ojciec był wielkim wojownikiem, kuzynem króla Kleomenesa i króla Leonidasasa. Poległ wraz z innymi żołnierzami Sparty, wybitymi co do jednego na skałach wąwozu.

Klejdemos umilkł i przez jakiś czas słychać było jedynie stukot oślich kopyt o bruk drogi, która z piaszczystej zrobiła się kamienista. Jakiś wieśniak, który ścinał sierpem trawę na pobliskiej łące, podniósł głowę, by otrzeć pot z twarzy, i pozdrowił ich machając kapeluszem z szerokim rondem. Kilka bocianów szukających owadów w zżętej trawie poderwało się nagle do lotu, by zaraz zniknąć za jakimś pagórkciem.

— Ja też słyszałem o trzystu bohaterach spod Termopil — powiedział w pewnej chwili Lahgal. — Kilka miesięcy temu słyszałem lament żalobny, napisany na ich cześć przez wielkiego poetę z wysp.

— Czy lament opowiadał o dwóch z nich, którzy ocaleli? — zapytał Klejdemos.

— Nie, zawsze myślałem, że wszyscy zginęli.

— Było tak, jak mówię: dwaj wojownicy się uratowali, ja zaś towarzyszyłem im w drodze do Sparty na rozkaz króla. Jednym z nich był mój brat Brytos. Mieli zawieźć list do geruzji, ale nikt się nigdy nie dowiedział, co zawierał. Rozniosła się natomiast wieść, że skłamali albo nakłonili króla, by dał im rozkaz powrotu, żeby mogli ocalić życie. Nikt nie chciał mieć z nimi więcej do czynienia, nikt się do nich nie odzywał. Nazywali ich tchórzami i zdrajcami. Jeden z nich powiesił się we własnym domu, drugi zaś, mój brat, uciekł pewnej nocy w góry, żeby zadać sobie śmierć, ale ja go w porę ustrzegłem: obezwładniłem siłą, zatargałem do chaty i przekonałem, aby oczyścić swe imię, proponując, że będę walczył u jego boku przeciw Persom i pomogę mu w samotnej wojnie. Pewien oddany mi człowiek podkraść z domu zbroję naszego ojca i właśnie w niej Brytos walczył przez całą jesień, zimę i wiosnę w Fokidzie, Lokrydzie, Beocji, a ja razem z nim. Ukrywaliśmy się w lasach, spaliśmy

w górskich jaskiniach; za dnia napadaliśmy znieca na małe perskie oddziały, pojedyncze grupy, które szukały zapasów pożywienia i paszy dla zwierząt. Mój brat był niczym furia: pozabijał wówczas ponad dwustu żołnierzy i oficerów perskich, ja zaś osłaniałem go od tyłu strzelając z łuku.

Słońce stało już wysoko i było ciepło; droga prowadziła teraz ku niewielkiej polanie, w której głębi zielenił się platan. Skuszony zielenią trawy i chłodem osioł potruchtał w stronę cienia. Klejdemos nie zatrzymywał go, kiedy zaś zwierzę przystało i zaczęło skubać trawę, zszedł na ziemię i usiadł obok Lahgala w cieniu wielkiego drzewa. Fale morskie obmywały położoną tuż przy nich plażę, a w promieniach słońca błyszczały niczym klejnoty tysiące różnobarwnych kamyków.

— I nigdy się nie zorientowaliście, że jesteście braćmi? — zapytał w pewnej chwili Lahgal, ciągle odwrócony plecami do swego towarzysza.

— Nie — odrzekł Klejdemos wpatrzony w pieniającą się wśród otoczek wodę. — Mój brat Brytos był do mnie podobny jedynie z oczu. To był wykapany ojciec. Był ode mnie wyższy, potężniejszy; mięśnie mu się rozwinęły od ciągłego noszenia ciężkiej zbroi. Kiedy się rozbierał, żeby umyć się w rzece, wyglądał jak posąg Heraklesa... Z kolei ja przypominałem matkę.

— I to nie wystarczyło? — zdziwił się Lahgal.

— Nie, nie wystarczyło, ponieważ ja byłem niewolnikiem, a on panem. Niewolnictwo sprawia, że wiecznie spuszczasz wzrok, że gaśnie blask w twoich oczach, że upodabniasz się do zwierząt, z którymi spędzasz życie...

Przerwał, Lahgal odwrócił się bowiem nagle i spojrzał nań zamglonym wzrokiem. Klejdemos również się odwrócił, jakby czując na sobie ciężar jego spojrzenia.

— Czy powiedziałem coś, co sprawiło ci przykrość?... Tak... widzę to.

Chłopiec spuścił wzrok ocierając oczy brzegiem rękawa.

— Mylisz się, Lahgalu — ciągnął Klejdemos — jako niewolnik byłem szczęśliwy mieszkając z dziadkiem, psem i owcami w górach. A teraz... straciłem rodzinę i mój lud. Noszę tarczę i zbroję Kleomenidów, jednego z najszlachetniejszych rodów

Sparty, ale nie wiem, kim jestem. Tęsknię za tym, co zostawiłem, nie mogę wszakże zawrócić, a przed sobą nie widzę nic. Brytos zginął pod Platejami; odzyskał dobre imię, ale stracił życie. Król Pauzanasz, który zajmuje teraz wyspę, powierzył mi zbroję mojego brata i wyjawił moje prawdziwe imię: Klejdemos. Wróciłem więc do domu, w którym się urodziłem, i spotkałem kobietę, która wydała mnie na świat, moją matkę Ismenę. Choćbym żył i tysiąc lat, nigdy nie zapomnę tej nocy. Gdy wyobrażałem sobie tę, która poważyła się porzucić własne dziecko na pastwę górskich wilków, moje serce twardıniało niczym głaz, niemal cieszyłem się na myśl, że zadam jej ból, że ona, wyniosła małżonka Arystarchosa, będzie cierpieć. Tymczasem stanęła przede mną istota pogrążona w rozpacz, z twarzą, na której łzy wyłobily głębokie bruzdy, bliska szaleństwa. Kiedy przytuliłem ją do siebie obiecując, że nigdy więcej jej nie opuszczę, jej serce pękło ze wzruszenia... Umarła w moich ramionach...

Lahgal wstał i podał rękę swemu towarzyszowi, pomagając mu się podnieść, po czym zaprowadził go na brzeg morza. Jęli się przechadzać w milczeniu w wodzie sięgającej kostek, wsłuchani w szum fal. W pewnej chwili chłopiec przystanął, by podnieść muszlę o pięknych kolorach.

— Weź — wręczył ją Klejdemosowi. — Przynosi szczęście.

— Dziękuję, Lahgalu, jest bardzo piękna — powiedział młodzieniec przyjmując podarunek.

— Och, to nic takiego, ale dzięki niej kiedy będziesz daleko, wspomnisz mnie, Dwuimienny.

Klejdemos ścisnął muszlę w dłoni.

— Dwuimienny? Nazwałeś mnie Dwuimiennym?

— Nie sądzisz, że to ładne imię, Dwuimienny?

— O, tak, bardzo ładne, a do tego wydaje się bardzo... pasować.

Lahgal uśmiechnął się puszczając oko.

— Jestem głodny, Dwuimienny, a ty nie?

— Jestem taki głodny, że zjadłbym konia z kopytami.

— W takim razie biegnij! Ścigamy się, kto pierwszy złapie worek z zapasami!

Chłopiec puścił się pędem po wodzie wzbijając tysiące mieniących się tęczowo kropel.

Morze zdawało się płonąć, gdy w głębi zatoki ukazał się port Pafos, stojące zaś nisko na niebie słońce opromieniało złotym blaskiem miejskie budowle. Między przysadzistymi domami rosły strzeliste palmy pokazujące pękate żółte pióropusze pośród strzępiastych liści. Gdzieś w ogrodach zza soczystozielonych lśniących liści lśyskały szkarłatne kwiaty granatów. Porośnięte gajami oliwnymi okoliczne wzgórza błyszczwały niczym srebro nakrapiane czarnymi wierzchołkami cyprysów. Klejdemos zatrzymał osła, by podziwiać widok.

— Jeszcze nigdy, Lahgalu, w całym moim życiu nie widziałem nic równie pięknego. Czy to właśnie jest miasto Pafos?

— Nie — odrzekł chłopiec — to jest port. Miasto leży dalej, za tymi wzgórzami po prawej stronie. Jest bardzo stare i skupia się wokół świątyni, czyli najważniejszej budowli. Nigdy nie pozwolono mi jednak wejść do środka, bo jestem dzieckiem, a może dlatego, że jestem niewolnikiem... Nie wiem. Ale mówią, że w świątyni znajdują się różne wspaniałości. No, ruszajmy stąd, bo mamy jeszcze spory kawałek drogi do przejechania.

— Ale skoro dotrzemy na miejsce w nocy — sprzeciwił się Klejdemos — nie będzie co oglądać.

— Mylisz się — odparł Lahgal mrugając szelmowsko. — Świątynia jest otwarta do późna dla pielgrzymów, którzy pragną złożyć ofiarę Afrodycie. Ponoć bogini obserwuje ich podczas składania ofiary, a gdy któryś jej się spodoba, ukazuje mu się w nocy...

— Powiedz mi, Lahgalu, na czym polega ofiara?

— Coś podobnego! — zawołał chłopiec oglądając się do tyłu. — To prawda, co mówią o was, Spartanach: jesteście rzeczywiście bardzo naiwni i wolno myślący!

Klejdemos patrzył nań nic nie rozumiejąc.

— Co to znaczy?

Lahgal uderzył osła piętami po bokach.

— Widzę, że muszę ci wszystko wytłumaczyć jak dziecku. No więc w świątyni mieszka mnóstwo pięknych dziewcząt, które są niewolnicami bogini. Po przekroczeniu progu piel-

grzymi składają datki, a potem wybierają sobie jedną z dziewcząt i razem z nią... składają ofiarę bogini miłości. Teraz rozumiesz?

— Rozumiem — przytaknął Klejdemos uśmiechając się z zakłopotaniem — teraz rozumiem. Ale co ma z tym wszystkim wspólnego bogini? Mnie to wygląda na wyciąganie pieniędzy od takich naiwnych, według twojego określenia, i wolno myślących jak ja.

— Nie mów tak — przerwał mu Lahgal —jesteś szalony! Bogini może cię usłyszeć i surowo ukarać.

— Dość tego, Lahgalu, nie kpij sobie ze mnie. Bogowie nie mogą mnie już bardziej ukarać. Po tym, co wycierpiałem, nic nie zdoła mnie już przerazić.

Lahgal obejrzał się za siebie ściskając mocno dłoń towarzysza.

— Uważaj, Dwuimienny, bogini naprawdę istnieje i czasami ukazuje się w świątyni. Podobno wiele osób widziało ją pod różnymi postaciami, ale każdego, komu się ukazała, jej widok tak poraża, że na zawsze odmienia jego serce i umysł. Powiadają nawet, że pewien perski satrapa, ujrawszy boginię, stracił mowę i nigdy już jej nie odzyskał.

Zapadł zmrok i nikogo nie było widać w pobliżu. Uliczka wiała się do góry w kierunku dąbrowy, która szeleściła pod wpływem morskiej bryzy. Ptaki wily sobie gniazda, w całym lesie zaś rozbrzmiewały świergot, trele i gwizdy. Zmęczony długą podróżą Lahgal wzdrygnął się okrywając chude ramiona lichym płaszczem. Na dalekim morzu zgasły ostatnie błyski nadając mu barwę ołowiu.

— Chce mi się sikać — powiedział niespodziewanie, przerywając ciężką ciszę.

— Właśnie teraz? Nie możesz poczekać, aż podjedziemy bliżej miasta?

— Przecież mówię, że chce mi się sikać!

— Już dobrze, dobrze, nie denerwuj się.

Klejdemos pociągnął osła za uzdę, żeby się zatrzymał. Zsiadł na ziemię, gdy tymczasem chłopiec, zsunawszy się z osła, zdążył już dotrzeć na skraj drogi, po czym natychmiast wrócił.

— To wszystko? — zapytał Klejdemos.
— Wszystko.
— No to wsiadaj, bo już późno.
— Wolę iść piechotą — odburknął Lahgal. — Ty sobie siedzisz wygodnie w siodle, ale mnie ośle kości wbijają się w zadek. Mam tego dosyć.
— W porządku, pójdziemy dalej piechotą.
Nad wierzchołkami drzew wyłonił się błądy sierp księżycy, który spowijał delikatnym blaskiem biały piach na drodze. Obaj maszerowali przez jakiś czas w milczeniu.
— Dwumienny, a może nie chcesz obejrzeć świątyni?
— A właśnie że chcę. Po tym wszystkim, co mi powiedziałeś, głupotą byłoby nie pójść i nie zobaczyć. Kto wie, może bogini ma coś do powiedzenia także i mnie.
— I nie boisz się, Dwumienny?
— Owszem — przyznał Klejdemos - — pewnie, że się boję. Bogowie mogą nam dać do zrozumienia coś, o czym wolelibyśmy nie wiedzieć.
Za zakrętem ukazało się blade w poświacie księżycy miasto, które wznosiło się na niewielkim pagórku.
— Lahgalu — ciągnął Klejdemos — czy wiesz, jak wygląda posąg bogini?
— Opisano mi go, bo jak ci już mówiłem, sam go nie widziałem. Nie ma wyraźnych rysów, nie ma ciała ani twarzy jak inne posągi bogów.
— Więc co to jest?
— Otóż ma kształt podwójnej spirali, która wydłuża się ku górze w szpic.
— To bardzo dziwne, nigdy dotąd nie słyszałem czegoś podobnego.
— Powiadają, że to symbol i sam kształt życia.
— Przecież życie przybiera różne kształty: ludzi, zwierząt, roślin... samych bogów... nie sądzisz?
— To jest to, co my widzimy, ale według mnie życie jest jedno: kiedy istnieje, ludzie się poruszają, mówią, myślą, Kochają i nienawidzą, zwierzęta się pasą i gonią po pastwiskach, drzewa i krzewy są zielone i wybijają; a kiedy odchodzi, ciała wysychają i gniją, drzewa zaś próchnieją.

— A bogowie? — zapytał Klejdemos zdumiony przemową chłopca, który szedł u jego boku usiłując dostosować swój krok do jego chwiejnego kroku.

— Bogowie nie mogą być w posiadaniu życia, skoro jak to się mówi, nie mogą umrzeć. Być może sami są życiem. Mylą się zaś artyści przedstawiając ich na nasze podobieństwo. Oto dla czego bogini, którą wkrótce zobaczysz, jest podwójną spiralą... Ma postać życia...

Klejdemos przystanął na chwilę spoglądając uważnie na Lahgala.

— Kto cię tego nauczył? — zapytał. — Nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby dziecko mówiło takie rzeczy.

— Nikt mnie nie nauczył, ale czasami słyszałem rozmowy pielgrzymów, którzy kręcą się wokół świątyni, ludzi mówiących dawnym tutejszym dialektem, którego nie potrafiłbyś zrozumieć... Nikt nie zwraca uwagi na dziecko, na dodatek niewolnika. Rozmawiają w mojej obecności tak samo jak w obecności konia albo psa, ale ja słucham, ponieważ chcę się nauczyć wszystkiego co się da, a być może pewnego dnia... może odzyskam wolność i będę mógł podróżować, gdzie mi się żywnie spodoba, i zobaczę dalekie kraje i miasta.

Pierwsze domy Pafos znajdowały się zaledwie o rzut kamieniem. Lahgal ruszył zdecydowanie ulicą przechodzącą pod jedną z bram miasta, która wyglądała na zniszczoną i zapomnianą, i poprowadził swego towarzysza na górę, gdzie widać było światła świątyni. Przystanęli pod fontanną.

— Obmyj się — polecił Lahgal. — Śmierdzisz potem.

— Słuchaj no, Lahgalu, chyba nie myślisz, że mam zamiar...

— Nie, nie myślę — uśmiechnął się chłopiec z politowaniem — ale przecież musisz się umyć, skoro chcesz wejść do świątyni, prawda?

Zdjąwszy chiton, Klejdemos umył się w fontannie, po czym posuwając się za Lahgalem podszedł do świątyni. Była to niezbyt wysoka budowla wykonana z szarych kamiennych bloków, poprzedzona kolumnadą. W części przedniej drewniane kolumny podpirały architrav ozdobiony pomalowanymi na różne kolory płytkami. Klejdemos przystanął, aby im się przyjrzeć.

— Na co patrzysz? — zapytał Lahgal. — Jutro, przy dziennym świetle, będzie je lepiej widać. A teraz wchodź — popchnął go ku wejściu — ja zaczekam na dworze.

Klejdemos zbliżył się do progu. Przez półotwarte drzwi przeświecało różowe światło. Wszedł do wielkiej sali przedzielonej dwoma rzędami drewnianych kolumn; na każdej z nich zawieszona była lampka oliwna o trzech płomieniach. Powietrze przepelniał ostry, odurzający zapach, który rozchodził się z paleniska z brązu, umieszczonego w głębi sali, przed posągiem bogini, wysoką rzeźbą, również z brązu, wznoszącą się na piedestale. Drgające światła lamp malowały na spiralach falujące refleksy, niespodziewane błyski, które zdawały się ożywiać statwę, sprawiając wrażenie, jakby wiła się do góry. Wokół panowała głęboka cisza; słychać było jedynie delikatny syk węgla w palenisku. Na podłodze leżała wołowa skóra, Klejdemos usiadł więc na niej nie przestając wpatrywać się w posąg. Poczł, jak ogarnia go lekkie odrętwienie, niemal senność, i wydało mu się, że podwójna spirala statui, w której odbijały się lśniące krwistoczerwone refleksy, powoli się porusza, obracając się od dołu ku górze, jej ruchy zaś stawały się niedostrzegalnie coraz szybsze. Klejdemos zamrugał oczami, by pozbyć się złudzenia, bo przecież to nie mogło być nic innego jak złudzenie... A może sprawił to ów osobliwy zapach? Albo zmęczenie, albo głód...

Teraz statua tkwiła nieruchomo na piedestale, lecz po prawej stronie... i po lewej!... stała wyprostowana jakaś kobieta. Ukląkł, podczas gdy ona wpatrywała się weń, jej czerwona szata zaś zsunęła się ze złotego ciała... Ześliznęła się na ziemię i wylądowała niczym szkarłatna róża wędnąca u jej stóp. Na smukłych jak u łani nogach miała bransolety z połyskującego bursztynu... Te same refleksy lśniły na posągu bogini i na jej brązowych udach, zapach był coraz silniejszy i nieco inny, jakby woń migdałów, niemal gorzki... Ale dlaczego nie widać było jej twarzy? Zastłaniały ją długie płomiennorude włosy, opadające aż na piersi. Podchodziła coraz bliżej... i bliżej... podniosła głowę (w świątyni rozległa się muzyka... jakiś osobliwy, nieokreślony daleki dźwięk aulosów)... Nagle pokazała twarz... Potężni bogowie... potężni bogowie!... Pokazała twarz Antynei.

Klejdemos wyciągnął ręce.

— O bogini, pani tego miejsca, spraw, żeby to nie był okrutny sen — szepnął. — O moja miłości daleka... obrazie tego, co trwało tak krótko... Antyneo...

Pewnego wieczoru, gdy umierało słońce, jej twarz zniknęła za zasłoną łez, by nigdy więcej nie powrócić.

— Antyneo — szepnął — Antyneo...

Upadł na wznak otoczony burzą pachnących włosów, płonąca w gorącym uścisku, który zdawał się trwać bez końca. Światło lamp oliwnych stało się blade, drżące, przez ogarniające świątynię ciemności prześliznęły się ostatnie błyski. W nieruchomym teraz i zimnym, spowitym w mroku posągu z brązu odbijały się blade promienie księżyca.

W ogromnym świątynnym hipostylu wstał świt; przez małe drzwi znajdujące się za posągiem wszedł mężczyzna w ciemnym himationie, dotarłszy zaś do miejsca, w którym leżał ciągle pogrążony we śnie Klejdemos, zagadnął wyciągniętą obok niego kobietę:

— I co? Powiedział coś?

Dziewczyna wstała okrywając nagie ciało.

— Nie, nic ciekawego — odparła półgłosem — chociaż opary ze świętego paleniska odurzyły go ponad miarę, ale kilka razy nazwał mnie jakimś dziwnym imieniem...

— Jakim imieniem? To może mieć znaczenie.

— Zdaje się, że Antynea... Wymawiał to imię z żarem, z oczyma gorącymi od łez... Wzbudził we mnie litość. — Zerknęła na Klejdemos, który wprawdzie się przebudził, lecz nie otworzył oczu. — Wolalabym, żeby nie powierzono mi tego zadania — dodała cicho kobieta.

— Nie użalaj się nad sobą — odrzekł mężczyzna. — Zapłata, którą dostaniesz, będzie wystarczająco wysoka, żeby wynagrodzić twoje trudy. Ale czy jesteś pewna, że nic nie powiedział... nawet we śnie?

— Nic. Czuwałam przez całą noc, żeby nie umknęło mi nawet westchnienie, tak jak kazałeś. Ale cóż takiego jest w tym młodzieńcu, żeby tak bardzo na niego uważać, jakby był perskim satrapą albo sycylijskim tyranem?

— Nie pytaj, bo ja też tego nie wiem i nie przychodzi mi nawet do głowy, kto za tym wszystkim stoi. Ale to musi być bardzo poważna sprawa, może ten młodzieniec należy do jakiegoś możnego rodu z kontynentu. Lecz czy jesteś całkowicie pewna, że nie powiedział nic przez sen?

— Nic, co miałyby jakiegokolwiek znaczenie... Jeśli jego umysł skrywa jakąś tajemnicę, jest ona schowana tak głęboko, że nawet zupełnie pogrążenie się we śnie ani zatracenie w miłości nie zdołają jej odsłonić. Mogę ci tylko powiedzieć, że on bardzo kocha tę kobietę o imieniu Antynea. Musiał ją utracić w chwili, gdy darzył ją miłością bez granic, i rana jeszcze się nie zabiłniła. Moc nasza i świętego posągu przywołały w jego pamięci obraz kobiety, którą kocha. Ujrzał we mnie Antyneę, utraconą miłość; nie da się powiedzieć nic więcej. Jego miłość jest tak silna, że aż mnie przeraziła... Gdyby odkrył prawdę, mógłby mnie zabić...

— Nie wydaje mi się. Złudzenia, które potrafimy wywołać w tym miejscu poświęconym bogini, nie biorą się znikąd. W jego duszy musi istnieć silna wola albo inna potęga, niemal urna osoba.

— Więc dlaczego nie kazałeś działać wielkiej kapłance? Tylko ona byłaby w stanie zajrzeć na dno jego duszy i zobaczyć...

— Wielka kapłanka widziała, jak wchodził do świątyni, za nim zaś spostrzegła cień wilka, którego czerwone ślepie ciskały złowróżbne błyskawice i który odsłaniał groźnie kły, kiedy usiłowała zajrzeć do jego umysłu.

Kobieta zmarszczyła czoło i ciasno otuliwszy nagie ciało szatą, ruszyła w głąb sali, odprowadzana przez mężczyznę. Wkrótce oboje zniknęli w uchylonych drzwiach. Klejdemos zaś rozwarł oczy i spojrzął w górę — przez otwór w suficie wpadało do środka światło poranka, na dachowym gzymsie gruchały białe gołębicę i słychać było furkotanie wróbla, z każdą zaś chwilą narastał świergot szczygłów i zieb, które zwiastowały wschód słońca. Klejdemos podniósł się przykładając dłonie do skroni, po czym przemierzył salę i wyszedł na zewnątrz pod kolumnadę. U stóp schodów czekał na niego Lahgal wraz z osiołkiem. Klejdemos zbliżył się patrząc nań krzywo.

— Ty mały wężu! — krzyknął wymierzając mu siarczysty policzek. — Wszystko wiedziałeś.

Wskoczywszy na osła, pognął go truchtem przez uliczki miasta, po czym przez zachodnią bramę wyjechał na drogę wiodącą do portu. Po chwili zwolnił, rozmyślając nad tym, co usłyszał niedawno w świątyni. Za jego plecami rozległo się wołanie.

— Dwuimienny! Dwuimienny, zatrzymaj się! Stój, proszę cię!

To Lahgal gnał za nim na złamanie karku jednocześnie płacząc i krzycząc. Klejdemos jednak nawet się nie obejrzał. Chłopiec dogonił go zdyszany.

— Dwuimienny, wiem, co sobie myślisz, ale ja wcale nie przypuszczałem, że wyrządę ci krzywdę. Pan kazał mi cię przyprowadzić do świątyni... Cóż miałem robić?

Klejdemos milczał uparcie.

— Posłuchaj mnie, Dwuimienny, co się stało w świątyni? Czy zrobili ci krzywdę?

— Opowiedziałem ci prawdziwą historię mojego życia, a ty mnie oszukałeś. Nie chcę cię więcej widzieć, idź sobie!

Lahgal pociągnął go za chiton.

— Ty jesteś wolny, Dwuimienny, i możesz mówić, co chcesz. Ale ja jestem niewolnikiem i jeżeli nie zrobię tego, co mi każą, stłuką mnie na kwaśne jabłko, nie dadzą jeść, pozwolą umrzeć z pragnienia.

Wyprzedziwszy biegiem osła, zatrzymał się na środku drogi, po czym zdjął odzienie pokazując chude plecy pokryte bliznami.

— Spójrz tylko, Dwuimienny! — wrzasnął z płaczem. — Ty też kłamałeś mówiąc, że byłeś niewolnikiem, skoro nie potrafisz zrozumieć, co zrobił Lahgal.

Klejdemos zsiadł z osła i przysunął się do chłopca.

— Zrozumiałem, Lahgalu, wiem, co chcesz powiedzieć, wybacz, że cię uderzyłem.

Położył mu dłoń na kościstych ramionach.

— Czy to znaczy, że mogę pójść z tobą, Dwuimienny? Już się nie gniewasz?

— Nie, nie gniewam się.

Chłopiec otarł oczy i ubrał się z powrotem. Wędrowali w milczeniu, trzymając się za ręce. Zza schodzących do morza wzgórz wyjrzało słońce wydłużając ich cienie na złotym pyłe drogi, po niebie zaś łyły krażyć jaskółki.

Jeździec został natychmiast doprowadzony przed oblicze króla Pauzanasza, który czuwał w swej komnacie przy s'wielce ogromnego kandelabru i sześciu lamp.

— Niechaj bogowie zachowają cię w zdrowiu, panie — powiedział mężczyzna. — Przybywam, żeby zdać ci sprawę z powierzonej misji.

— Usiądź — odrzekł król — i mów.

— No cóż, panie, wszystko poszło jak z płatka. Młody Klejdemos nie podejrzewając niczego wszedł do świątyni i spędził tam noc. Niestety nie wyjawil nic z tego, co pragnęles wiedzieć. Pod wpływem odurzenia wziął dziewczynę, która mu się ukazała w świątyni, za kobietę, którą musiał bardzo kochać, a potem utracić.

— Nazwał ją po imieniu? — zapytał król.

— Antynea, mówił na nią Antynea. Dziewczyna jednak nie była w stanie rzeczywiście uosabiać kobiety, o której wiedziała tylko tyle, jak się nazywa. Młodzieniec wydawał się w jakiś sposób kontrolować część swego umysłu, zbyt silny nacisk mógłby więc wywołać u niego niebezpieczną w skutkach złość. Wielka kapłanka, która przyjrzała mu się dokładnie, gdy wszedł, przestraszyła się go.

— Antynea... — szepnął król dotykając dłonią czoła. — To z pewnością ta dziewczyna z gór... I nie powiedział nic więcej, co mogłoby zdradzić jego uczucia?

— Nie, panie... tylko słowa... miłości — odrzekł mężczyzna niemal z zakłopotaniem.

— Rozumiem. Dobrze, możesz odejść. Skarbnik wypłaci ci ustaloną nagrodę.

Kiedy jeździec wyszedł zgięty w ukłonie, król pograżył się w zadumie. A zatem młody Klejdemos najwyraźniej żywił jedynie osobiste uczucia. Z drugiej strony miłość to uczucie zrozumiałe w jego wieku. Tym lepiej... W gruncie rzeczy tak było korzystniej ze względu na zamiary, jakie miał wobec niego.

Pozostało jeszcze wszakże mnóstwo czasu, zdąży więc go przekonać, przeciągnąć na swoją stronę. Przecież on nie ma żadnej wiedzy o świecie, w którym przyjdzie mu żyć, ani żadnego przyjaciela na ziemi.

IV

AZJA

W ciągu trwającej ponad trzy lata kampanii, w której Klejdemos uczestniczył pod rozkazami króla nawet wówczas, gdy Ateńczycy i sprzymierzeńcy przejęli dowództwo nad siłami morskimi, z Bizancjum armia Pauzanasza, wspierana przez flotę płynącą wzdłuż trackiego Chersonesu, zajmowała wszystkie ziemie na północ i wschód od Świętej Góry aż do pól Salmidessos. Wojna sprawiała, że z każdym dniem stawał się coraz twardszy i budził coraz większą trwogę, zanim zdążył to sobie bowiem uświadomić, żelazna dyscyplina spartańska uczyniła zeń zimnego i bezlitosnego zabójcę, ale czyż nie działo się tak z woli bogów? Nieubłagany los przywiódł go do miejsca, z którego nie ma odwrotu; życie, jakie teraz prowadził, zniszczyło w nim wszelką niewinność i szlachetność. Dowodzone przezeń oddziały, składające się z mężczyzn, którzy całymi setkami ruszali na jeden jego rozkaz, stały się w jego rękach przerażającą potęgą. Jego lochos, niczym jakaś niepohamowana machina, przełamywał każdą obronę, dławiał każdy opór, we wzburzonym zaś sercu Klejdemosa płonął ten sam ogień, który pożerał całe wioski, obozowiska i chaty nieszczęśników ośmielających się przeciwstawić potędze Sparty.

Wieczorami zaś, gdy siedział pod swym sztandarem przyglądając się maszerującym jeńcom zakutym w łańcuchy, całe jego życie skupiało się na świadomości, że jest w stanie jednym gestem unicestwić tak wiele istnień ludzkich, dać im nadzieję, przyprawić o rozpacz, skazać na mękę albo na śmierć.

„Kulawy” — tak nazywali go jego żołnierze, nie było w tym wszakże ani szyderstwa, ani pogardy. W słowie tym zawierała się cała bojaźń, jaką ludzie czują wobec kogoś, kto został ugodzony, naznaczony przez bogów, ale nie ujarzmiony. Jako że nikt nigdy nie widział, by jako chłopiec ćwiczył w palestrach albo kąpał się w Eurotasie, krążyły o nim dziwne opowieści. Kim naprawdę był Klejdemos, któremu nie dały rady kły wilków z Tajgetos? Kim był naprawdę Klejdemos o lodowatych oczach i zwinnych, szarych niczym żelazo, powalanych krwią, mokrych od potu, niezmordowanych dłoniach ciągle zaciśniętych na rękojeści miecza?

Zdobiący jego tarczę smok świadczył o tym, że pochodzi z rodu Kleomenidów, ale musiał być synem gór albo też prawdą było to, że został wychowany przez wilki... Nikt nigdy nie widział, by płakał albo się śmiał. Krzyki, jakie wydawał przez sen przewracając się na pośłaniu, dochodziły jedynie do uszu żołnierzy pełniących straż przed jego namiotem. Doprowadzone zaś doń nocą kobiety wybiegały z namiotu przerażone i zalane łzami, jakby natknęły się na jakieś monstrum. Boje, które toczył w prymitywnych barbarzyńskich krainach sięjąc śmierć i zniszczenie, sprawiły, że jego serce stwardniało niczym gład. Król Pauzaniusz uznał, że jest on już gotów, by wyruszyć do bezkresnej Azji i tam wszem wobec obwieścić wolę tego, który zwyciężył Wielkiego Króla, i doprowadzić do końca plan, który miał odmienić los Sparty, a wraz z nim los Greków i barbarzyńców.

Na świecie istniał tylko jeden człowiek, który mógł tego dokonać — Klejdemos, on zaś doskonale wiedział, jak go skutecznie do siebie przywiązać.

Wciągnął go na cztery lata w piekło potwornej wojny, robiąc zeń machinę do zabijania, teraz więc wystarczyło dać mu możliwość, by stał się na powrót człowiekiem, by myślał, by znów doświadczał tych uczuć, które musiały przecież mimo wszystko ciągle się tłić na dnie jego serca, a nie odstąpi go już nigdy.

Pewnego dnia o świcie pod koniec zimy Klejdemos siedział otulony płaszczem pod samotnym dębem, który wznosił nagie gałęzie ku szaremu niebu Tracji. Chociaż jak okiem sięgnąć nie było żadnych domostw, opustoszała i przepelniona wilgocią wieś rozbrzmiewała pianiem kogutów.

Jego myśli krążyły wokół śmierci. Wydawało mu się, że zajmując należne mu miejsce w domu Kleomenidów i przyjmując schedę po swoim ojcu Arystarchosie i bracie Brytosie podąża drogą przeznaczenia, lecz to co robił, nie przysparzało mu chwały, Sparta bowiem ofiarowała mu życie polegające na zabijaniu, plądrowaniu i cudzołożeniu. W żadnym z otaczających go ludzi nie dostrzegął ani szlachetności, ani wielkości, ani siły ducha. Być może epoka bohaterów skończyła się wraz ze śmiercią króla Leonidasa pod Termopilami, jego życie zaś utraciło wszelkie znaczenie.

Zawrócić? Tylko dokąd? Pomyślał o kobiecie, którą przez tyle lat uważał za swoją matkę... Pomyślał o Antynei... i zapragnął jak najprędzej umrzeć.

Z północy zadął wilgotny i zimny wiatr poruszając suchymi liśćmi dębu. Kiedy Klejdemos spoglądał w zasnuite ołowianymi chmurami niebo, na mokrą i szarą wieś, na błotnistą drogę, serce ścisnęło mu się z żalu i ogarnął go potworny, mrozący krew w żyłach strach. Poczul się rozpaczliwie samotny na tej bezludnej ziemi; zapragnął obecności bliskiego przyjaciela, który pomógłby mu umrzeć. Powoli dobył miecza, przed oczyma zaś stanął mu Krytolaos, najmądrzejszy z ludzi, ciepła pierś Antynei, jej głębokie spojrzenie... ileż nadziei... ileż snów na wysokich pastwiskach, w górach, podczas jesiennych wieczorów, kiedy to wiatr zrzucił czerwone liście z buków, jaskółki zaś odlatywały daleko (czy ziemia zadrżała? A może to jakiś odległy hałas...) Ukląkł przystawiając miecz do piersi (ale na horyzoncie coś widać... jakąś czarną kropkę, która się porusza... A dlaczego koguty przestały pisać?) Przeraziła go myśl o królestwie cieni, z którego się nie wraca... Ujrzał szydyczko uśmiechniętą czaszkę Tanatosa (o, słyhać galop... Tanatos-Tanatos-Tanatos...) Nagle przez niebo przemknęła niczym wijący się wąż błyskawica, po której rozległ się głośny grzmot. Klejdemos podniósł spocone czoło: jeździec... ku niemu galopował jakiś jeździec dziko podążając konia.

Naraz z nieba niczym z przebitego bukłaka, który niespodziewanie pęka, spadł ulewny deszcz, jeździec wszakże nieustannie poganiał wierzchowca, który galopował niemal z brzuchem przy ziemi, i machał ręką wołając:

— Dwuimienny! Dwuimienny! Dwuimienny!

Nagle ściągnął cugle tak mocno, że koń prawie stanął dęba, i rzucił się ku Klejdemosowi, który upuścił miecz w bioto.

— Dwuimienny! Wreszcie cię znalazłem, wreszcie cię znalazłem! — krzyknął obejmując go w strugach deszczu.

Klejdemos podniósł ociekającą wodą twarz.

— Lahgal, to ty... Nie mogę uwierzyć... Skąd się tu wziąłeś? Jak mnie znalazłeś? Dlaczego przyjechałeś?

— Zaraz wszystko ci opowiem. Posłuchaj, mam dla ciebie wielką nowinę, ale to temat na dłuższą rozmowę, dlatego jechałem do twojego obozu. Ale co ty tu robisz, o tej porze i tak daleko?

Klejdemos westchnął głęboko.

— Nic, nie mogłem zasnąć, więc poszedłem na przechadzkę i dotarłem aż tutaj.

Lahgal przyjrzał mu się bacznie.

— Kłamiesz, Dwuimienny. Twoje oczy pełne są rozpaczy i przerażenia. Sam nie wiem, jak cię rozpoznałem... Zmieniłeś się.

Klejdemos wbił wzrok w ziemię. Jego wypolerowany miecz lśnił w ciemnym błocie.

— Podnieś go — powiedział Lahgal — i włóż do pochwy... Sam nie wiem, jak cię rozpoznałem... z daleka... w tej ulewie. A teraz wsiadaj na konia za mną, razem pojedziemy do obozu.

Powoli ruszyli rozmokłą ścieżką w strugach deszczu.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu, które przerwał wreszcie Lahgal.

— Nie umiem powiedzieć dlaczego, ale czuję, że zdążyłem na czas, by ocalić cię przed czymś strasznym... Zgadza się, Dwuimienny?

Klejdemos nic nie mówił.

— Zgadza się? — powtórzył jego towarzysz.

— Tak, Lahgalu... Dziękuję, że przyjechałeś.

Chłopiec obejrzał się z uśmiechem.

— Doprawdy piękne podziękowanie! To tak witasz przyjaciela, który przyjeżdża cię odwiedzić po długiej rozłące? A ja myślałem, że przywita mnie falanga w pełnym rynsztunku z tobą na czele w paradnej zbroi!

— Dobrze, zaczekaj, aż dojedziemy do obozu, a przekonasz się, że potrafię godnie cię przyjąć... Tutaj rzeczywiście niewiele mam...

Roześmiali się obaj, gdy tymczasem deszcz padał coraz rzadszy, chmury zaś na wschodzie się rozstały, przepuszczając światło słońca, które ukazało się na horyzoncie. Ziemię zalały jego promienie, barwiąc na czerwono rozsiane tu i ówdzie kałuże, przebijając się przez rzadkie zarośla i przyozdabiając je w srebro i perły, po czym objęły wysoki samotny dąb rzeźbiąc w nim postać zrozpaczonego olbrzyma, otulając jego ogromne ramiona porośnięte zielonym mchem. Klejdemos przypomniał sobie dzień, w którym Lahgal, jako mały chłopiec, siedział przed nim na kościstym grzbiecie osiołka, tak jak teraz, wśród wzgórz Pafos... Teraz był młodzieńcem w kwiecie wieku.

— Kto cię przysłał, Lahgalu? — zapytał znieca.

Młodzieniec wpatrywał się w obóz spartański, rozciągający się przed nimi u stóp niewielkiej góry, tuż za zakrętem.

— Pauzaniasz — odparł nie oglądając się. — Król.

I popędził naprzód.

— Kiedy się widzieliśmy ostatnim razem, byłeś dzieckiem. Ile masz lat, Lahgalu?

— Mniej więcej szesnaście — odrzekł młodzieniec.

— Od niewolnika w łaźni do posłańca króla Sparty zaledwie w cztery lata... To niemało — zauważył Klejdemos. — Jak tego dokonałeś?

— I to ty zadajesz mi takie pytanie, Dwuimienny? — uśmiechnął się Lahgal. — A czyż ty sam jeszcze kilka lat temu nie byłeś ponurym pasterzem helotą, podczas gdy teraz dowodzisz spartańską armią siejącą strach wśród nieujarzmionych Traków? Los ludzki jest w rękach bogów... Ale dajmy temu spokój. Od dwóch lat jestem w osobistej służbie Pauzaniusza i mogę ci powiedzieć, że zawsze śledził z najwyższą uwagą każde twoje posunięcie; donoszono mu o wszystkim, co robiłeś. Teraz jest przekonany o twojej sile i mądrości i potrzebuje cię, żeby ci powierzyć bardzo ważne, tajemnicze zadanie.

— Wiesz, o co chodzi?

— Nie, nie przestaję jeszcze z królem aż tak blisko. Mogę ci jednak powiedzieć, że kiedy spełnisz misję, którą zamierza ci powierzyć, będziesz mógł wrócić do Sparty i zobaczyć kobietę, którą nazywasz matką.

Klejdemos aż się poderwał.

— Jesteś' pewien? Czy nie okaże się, że to kolejne oszustwo? Co wiesz o mojej matce?

— Żyje i jest zdrowa, chociaż bardzo za tobą tęskni. Nadal mieszka w chacie w górach. Wiemy też, że odwiedził ją jakiś mężczyzna... Brodaty olbrzym.

Klejdemos drgnął. „Karaś!” pomyślał starając się nie pokazać po sobie wzruszenia.

— Znasz go? — zapytał Lahgal wpatrując się weń z uwagą-

— Widziałem go parę razy... Zdaje się, że to góralski pasterz. Ale opowiedz mi jeszcze o mojej matce, proszę cię.

— Nie mam ci wiele do powiedzenia poza tym, co już mówiłem. Mogę tylko dodać, że będzie ci wolno zabrać ją do siebie... do domu Kleomenidów.

Klejdemos s'cisnął Lahgala za rękę.

— Czy to naprawdę są słowa króla?

— Tak — przytaknął młodzieniec. — Możesz mi wierzyć. Nie po to jechałem taki szmat drogi, żeby ci naopowiadać kłamstw.

Wpatrywał się przez chwilę w oczy Klejdemos, które jęły błyszczeć i płonąć, jakby lśniące w nich jeszcze niedawno lodowate światło niespodziewanie przedzierzgnęło się w ogień.

— Więc co mam przekazać królowi?

— Że się zgadzam — odrzekł jednym tchem Klejdemos. — Powiedz, że zrobię wszystko, co zechce. Jedź natychmiast, proszę cię, wracaj do króla i przekaz mu...

— Czy to jest właśnie ta gościna, którą mi obiecałeś? — zapytał z uśmiechem Lahgal. — Niepotrzebnie tak gnałem na złamanie karku.

— Masz rację. Źle cię potraktowałem, ale musisz zrozumieć jedno: nie ma nic straszniejszego niż samotność, a ja przeżyłem samotnie wszystkie dni mojego okropnego żywota. Ale powiedz, jak to się stało, jak trafiłeś na służbę do Pauzanasza?

— Król kupił mnie od mojego pana, kiedy wasza flota wyruszyła na Cypr. Zawsze służyłem mu najlepiej jak umiałem, nauczyłem się też waszej mowy i języka Persów. Wkrótce zrozumiałem, że król nie może nikomu zaufać, ponieważ szpiegują go sprzymierzeńcy, a nawet własny rząd, i że potrzebuje kogoś, kto byłby mu całkowicie oddany. Miałem szczęście. Z każdym dniem król powierzał mi coraz poważniejsze zadania, teraz zaś polega na mnie nawet w tak trudnych misjach jak ta, którą właśnie doprowadziłem do końca.

— Kiedy będę mógł się zrzec dowództwa?

— Choćby zaraz. Jeśli chcesz, możesz wrócić ze mną do Bizancjum. Twój namiestnik może cię zastąpić, dopóki król nie wyznaczy innego oficera, który poprowadziłby nową kampanię.

— Bizancjum... Porzucenie obecnego życia... powrót do Sparty... wydaje mi się to niemożliwe.

— Zaczekaj, uważam, że misja, którą masz wykonać, nie będzie ani łatwa, ani krótka.

— Nie obchodzi mnie to... Wszystko jest lepsze, niż nadal ciągnąć tę rzeź, niż spędzić kolejny rok na tej dzikiej, pustej ziemi. Wyruszajmy natychmiast, Lahgalu... choćby jutro.

— Jak chcesz — odparł młodzieniec wyjmując z płaszcza zwój pergaminu. — Oto rozkazy dla twojego namiestnika; będziesz je musiał odczytać na skytale.

— Niech tak będzie — odrzekł Klejdemos. — Zaraz każę go wezwać.

Wychyliwszy się z namiotu, wydał polecenie strażnikowi, który wrócił po chwili w towarzystwie taksjarchy pierwszego lochosu. Oficer zasalutował, po czym na znak Klejdemosa zdjął hełm i usiadł na zydłu. Klejdemos zaś wyjął ze skrzyni skytale, czyli wygładzony kawałek bukszpanu, na którym zaznaczono dwie równoległe linie ułożone w spirale; były to prowadnice, do których należało włożyć zwój pergaminu, aby dało się odczytać wiadomość. Przymocowawszy go znajdującym się u góry gwoździem, zakreślił laską nawijając na nią skórę wzdłuż linii, po czym przyczepił jej dolną część do następnego gwoździa u dołu laski. W ten sposób zdołał odczytać wiadomość, napisaną poziomo na lasce o tej samej grubości i tej samej szerokości.

*Pauzaniasz, król Sparty, do Klejdemos, syna Arystarcho-
sa, wodza wojsk trackich, pozdrowienia! Wychwalamy Twe
wielkie męstwo, godne imienia, które nosisz, oraz dziękujemy
Ci za zasługi, jakie oddałeś ojczyźnie odnosząc wiele zwycięstw
nad barbarzyńcami. Teraz wszakże przydasz się gdzie indziej.
Przełącz zatem dowództwo w ręce Twego namiestnika Deuxhip-
posa i jak najprędzej ruszaj w drogę.*

Klejdemos wręczył zwój oficerowi, który przeczytał go od początku do końca, gdzie widniała pieczęć Pauzaniusza.

— Kiedy wyjeżdżasz, komendancie? — zapytał Deuxhippos.

— Jutro o s'wicie. Przygotuj się więc do przejęcia dowództwa...

Oficer podniósł się z zamiarem odejścia.

— Wiem, że powierzam je w dobre ręce — dodał Klejdemos podając mu prawą dłoń.

— Dziękuję, komendancie — odrzekł Deuxhippos ściskając ją niemal ze zdumieniem. — Postaram się okazać godzien tego zaszczytu.

Po czym włożył na głowę hełm i wyszedł.

— Będiesz spał w moim namiocie — oświadczył Klejdemos zwracając się do Lahgala. — Nie mam namiotu dla gości... Nie wiem zbyt wielu odwiedzin.

Lahgal rozdział się do spania, utrudzony długą podróżą. Stał się już wprawdzie mężczyzną, jego smagłe ciało wszakże nadal olśniewało niezwykłą urodą typową dla młodzieńców ze Wschodu. Klejdemos uświadomił sobie, że Lahgal pielęgnuje je tak, jakby chciał stłumić swą wybujałą męskość, depilując uda i podbrzusze. Kiedy jego gość usnął, Klejdemos siedział wpatrzony w płonące pośrodku namiotu palenisko, wyciągając ręce, aby się nad nim ogrzały. Nagle jego wzrok spoczął na nabijanej ćwiekami bransolecie, którą otrzymał dawno temu od Fidypidesa, mistrza olimpijskiego, a do której przywiązał kolorową muszlę, podarowaną mu kiedyś na cypryjskiej plaży przez Lahgala, kiedy ten był jeszcze dzieckiem. Zerwał ją i rzucił na ziemię rozgniatając butem.

— A teraz powiedz mi, Klejdemosie, ty, który narodziłeś się dwukrotnie, ty, który otrzymałeś dwoje imion, kim naprawdę jesteś? Możesz mi wyjawić, czy jesteś synem Sparty czy też narodu, który przygarnął cię w Tajgetos?

Król Pauzanasz czekał na odpowiedź, Klejdemos wszakże milczał zakłopotany.

— Dobrze wiem: nie możesz odpowiedzieć, ponieważ sercem jesteś z tymi, których pokochałeś, zarazem jednak nie potrafisz stłumić drzemiącej w tobie siły twojego prawdziwego rodu, krwi Arystarchosa Smoka. Dlatego jestem przekonany, że zrozumiesz i poprzeseś mój plan. Otóż Sparta nie może już liczyć na to, że nadal będzie się rządzić takimi samymi prawami jak w chwili założenia jej przez potomków Heraklesa. Liczba Jednakowych zmniejsza się z każdym rokiem. Wkrótce nadejdzie dzień, gdy w naszym wojsku zabraknie żołnierzy do odparcia jakiegokolwiek ataku z zewnątrz. Heloci, których liczba ciągle rośnie, mogą stanowić zagrożenie. Właśnie dlatego w Sparcie trzeba przeprowadzić zmiany, wszyscy zaś mieszkańcy Lakonii powinni stać się jej obywatelami, bez żadnych wyjątków.

— To niemożliwe — odrzekł zimno Klejdemos. — Heloci was nienawidzą.

— Owszem, niemożliwe — przytaknął król — dopóki będzie trwał ten stan rzeczy. Ale jeśli damy im godność ludzi wolnych, ziemię i stada na własność, przepaść dzieląca ich od Jednakowych zniknie, być może powoli, ale zniknie. W wielu państwach greckich stało się tak już sto lat temu. Dzięki temu Ateny budują właśnie na morzu imperium i opływają w dostatki. Mój plan może i musi się udać — ciągnął zaciętrzewiając się coraz bardziej — ale żeby to było możliwe, muszą zniknąć strażnicy naszych instytucji. Jeśli okaże się to konieczne, trzeba będzie ich zabić.

Klejdemos był wstrząśnięty słowami Pauzanasza, który mówił dalej spokojniejszym tonem:

— Dokonuję tego dzieła niemal zupełnie sam i mam za mało sił, by doprowadzić je do końca. Potrzebuję potężnego sprzymierzeńca... najpotężniejszego, jaki istnieje... — Pograżył się na chwilę w zamyśleniu, po czym wpatrując się błyszczącymi oczami w Klejdemosa zawołał: — Króla Królów!

— Mój ojciec i brat oddali życie, by odepchnąć Persów od Grecji, ja zaś nie pomogę ci zbeczcześć ich pamięci — oświadczył młodzieniec zrywając się na równe nogi z zamiarem odejścia.

— Siadaj — rozkazał król stanowczo. — Twój ojciec i brat, a także Leonidas i jego żołnierze niepotrzebnie ponieśli ofiarę pod Termopilami z powodu ślepego uporu spartańskich eforów i geruzji. To oni bowiem ponoszą odpowiedzialność za ich śmierć. Nieludzkie prawa, na których straży stoją, kazały twemu ojcu, by porzucił cię w górach Tajgetos. Dobięła końca pewna epoka, dając początek następnej: Sparta musi się zmienić albo zginie pociągając za sobą również naród helotów. Właśnie dlatego jesteś mi potrzebny; wiem, że oni cię posłuchają i pójdą za tobą. Nadeszła pora, abym wyjawiał ci pewną tajemnicę. Otóż wiem, czym jest łuk, który dzierżyłeś pod Platejami. Widziałem wyryty na nim znak: to głowa wilka, symbol królów Mesenii. Człowiek, którego uważałeś za swojego dziadka, stary Krytolaos, też był tego świadom i z pewnością ci o tym powiedział. Ja sporo wiem, Klejdemosie... Przez dziesięć lat dowodziłem krypteją. Kiedy Brytos wpadł tamtej nocy do twojej chaty wraz ze swym molosem, wiedziałem o tym i wiem nawet, że pewien spartański wojownik przez całe lata krążył po górach otulony szarym płaszczem naciągniętym aż na głowę...

— To mój ojciec — powiedział drżąc Klejdemos.

— Tak, twój ojciec. Posłuchaj, nosisz jedno z najwybitniejszych nazwisk w Sparcie i jednocześnie jesteś spadkobiercą Krytolaosa, przywódcy helotów. Pewnego dnia wrócisz do swoich i przekonasz ich do realizacji naszego zamierzenia. Tymczasem ja postaram się pozbyć eforów i geruzji, a także króla Leotychidasa, jeśli to będzie konieczne... przy pomocy króla Persji. Kserkses jest gotów mnie wesprzeć ogromnymi środkami, żywi bowiem przekonanie, że pewnego dnia zostanę wiernym satrapą Grecji, zredukowanej do roli prowincji jego olbrzymiego imperium. Tylko że ja pokonałem jego armię pod Platejami i potrafię znów go zwyciężyć... nawet jeśli teraz potrzebuję jego złota. Wiedz, że mam potężnych przyjaciół również w innych greckich miastach... W Atenach też. Niestety teraz czeka mnie powrót do Sparty, ponieważ eforowie coś podejrzewają, muszę

ich więc uspokoić zapewniając o swej lojalności, tymczasem ty zawieszysz list ode mnie do króla perskiego. Wręczysz go strażnikowi pałacu w Kelainai, we Frygii, zaczekasz na odpowiedź, po czym wrócisz do Bizancjum. Przypuszczam, że powinieneś być z powrotem wraz z początkiem jesieni; ja znów tu będę, na swoim miejscu.

Klejdemos pogrążył się w zadumie. Wszystko to, co usłyszał, było dlań niemal nie do uwierzenia, w jego głowie wszakże kielkowała myśl, że świat, który Pauzaniusz pragnął zbudować, nie jest taki zły. W tym świecie bowiem mógłby jednocześnie wyzwolić bez rozlewu krwi naród, który przygarnął go, kiedy był dzieckiem, i nosić bez wstydu imię Kleomenidów.

— Wyruszę, kiedy tylko zechcesz — zdecydował się nagle.

Pauzaniusz odprowadził go do drzwi. Kiedy się żegnali, położył mu dłoń na ramieniu.

— Jest coś, czego o tobie nie wiem, a co chciałbym wiedzieć — powiedział. — Kto to jest Antynea?

— Antynea... — szepnął Klejdemos spuszczać wzrok. — Antynea...

I wyszedł w gwiazdzistą noc.

Zobaczył obmywane dwoma morzami bogate Kyzikos, gęsto zaludniony Adramyttion i Pergamon, następnie Efez wraz z jego portem, w którym aż roiło się od statków. Popłynął w górę Meandru aż do Hierapolis, gdzie tryskają gorące źródła. Zobaczył ogromne i przebogie Sardes, a także na pół zrujnowaną świątynię Wielkiej Matki bogów, podpaloną przez Ateńczyków podczas powstania jońskiego.

Lahgal towarzyszył mu pełniąc funkcję tłumacza wobec barbarzyńców, którzy eskortowali ich na pewnych odcinkach drogi, aby nie padli łupem złodziei grasujących w głębi kontynentu. Azja była piękna i ogromna: łagodne zbocza schodziły ku zielonym równinom porośniętym purpurowym kwieciami ostu i czerwonymi makami, których sok przynosi głębokie ukojenie. Kiedy słońce chowało się za horyzontem, niebo płonęło czerwienią, szkarłatne obłoki zaś przybierały fioletowy odcień, który mieszał się z błękitem firmamentu. Olbrzymie stada wę-

drowały wówczas ku zagrodom wzbijając gęste tumany kurzu, które widać było z daleka; runo jagniąt i owiec lśniło niczym złoto, kiedy zaś gasły ostatnie promienie słońca, ich beczenie milkło na cichej równinie. Wtedy na niewiarygodnie przejrzystym niebie roiło się od milionów błyszczących gwiazd, podczas gdy na ziemi rozlegało się monotonne cykanie s'wierszczy, nad domami zaś od czasu do czasu dało się słyszeć ujadanie psów. Zapach Azji był mocny i przenikliwy: była to woń żółtych żarnowców, niekiedy tak silna, że aż upajająca, albo cierpka i gorzka woń piołunu; jedynie dojmujący zapach dzikiej szałwi przypominał mu spędzoną w górach młodość. Czasami w nocnej ciszy mijał mężczyzn o zasłoniętych twarzach, jadących na grzbietach jakichś potwornych bestii o pyskach podobnych do pysków owiec i z dwoma wielkimi garbami na grzbiecie. Były to osobliwe zwierzaki, które wydawały coś w rodzaju żalosnego jęku, klękając, by umożliwić jeźdźcom zejście na ziemię.

W miarę upływu czasu słońce zataczało na niebie coraz szerszy łuk, zmieniał się także wygląd tej ziemi, która przybierała barwę żółci i ochry, tam zaś, gdzie jakiś strumyk bądź potok przepływał leniwie przez nasłonecznioną równinę, była poprzecinana zielonymi paskami. Wówczas upał stawał się niemal nie do zniesienia, na dodatek pod wieczór zrywał się gwałtowny wiatr, wzniesający na spragnionym wody płaskowyżu dziesiątki wirów, tumany pyłu, które miotaly się i szarpały we wszystkie strony, by na koniec rozpląnąć się niczym zjawy wśród chropowatych, wysuszonych słońcem skał.

Nawet zmierzch nie potrafił stłumić owego gorącego oddechu; nieustanny świst rozbrzmiewał przez długie godziny, a po spalonej trawie, na kształt monstrualnych pajaków, krążyły suche krzaki szarlatu. Kiedy wreszcie wiatr ucichł, na całym płaskowyżu rozległy się natychmiast szczebioty, gwizdy i kwilenie. Niekiedy w ciemnościach błyszczały ślepie szakali, a gdy wielki czerwony księżyc wstawał powoli nad samotnymi wierzchołkami, oświetlając delikatnymi krwawymi promieniami poskręcane gałęzie dzikich figowców i mięsiste liście chleba świętojańskiego, z wysokich skał dochodziło ich smutne wycie.

Gdzieniedzie w oddali wznosiły się czarne sylwetki wulkanów, które zdawały się uspięne od tysięcy lat. Podobno we

wnętrzu jednego z nich mieszkał Tyfon: być może z jego potwornych ust wydobywał się gorący oddech, który rozpałał trawę i kwiaty, a także osłabiał zmęczone członki wędrowców.

Pewnego dnia, będąc niemal u celu, Klejdemos ujrzał coś, czego miał już nigdy nie zapomnieć. Otóż pośrodku zakurzonej polany rósł gigantyczny platan, olbrzym, jakiego w życiu dotąd nie widział. Jego gładki biały pień rozgałęział się na cztery konary, z których każdy był gruby jak dorosłe drzewo. Młodzieniec podjechał więc bliżej, aby obejrzeć dokładnie to чудо i aby odpocząć w cieniu, jaki dawały rozłożyste gałęzie. Jego zdumienie nie miało granic, gdy okazało się, że pod ogromnym, samotnym drzewem siedzi jakiś mężczyzna w zbroi. Klejdemos doskonale znał tę zbroję i ozdabiający ją herb — był to jeden z Nieśmiertelnych z gwardii Wielkiego Króla!

Miał na sobie haftowaną suknię rozciętą po bokach, pod spodem zaś nosił nogawice, również uszyte z drogocennej tkaniny, ściągane w kostkach i starannie wyszywane srebrną nicią w różyczki. Utrefiona czarna broda okalała jego oliwkową twarz, łącząc się na skroniach z gęstą burzą włosów, również nieprawdopodobnie starannie uczesanych i uperfumowanych. W uszach wisiały mu złote kolczyki, przez plecy zaś przewieszony miał kołczan z farbowanej skóry, ozdobiony srebrem łuk, a w prawej dłoni dzierżył lśniącą włócznię.

— Witaj — powiedział Klejdemos, Lahgal zaś od razu tłumaczył jego słowa. — Jestem Klejdemos ze Sparty i chciałbym odpocząć w cieniu tego drzewa wraz z moim przyjacielem. Czy ty także jesteś w drodze, szlachetny panie? Ale nie widzę ani twoich sług, ani towarzyszy podróży.

Wojownik odstąpił w uśmiechu bielusińskie zęby pod kruczoczarnymi wąsami.

— Nie — odparł w swoim języku — nie jestem w drodze, przybyłem tu z rozkazu mego pana, Kserksesa, Króla Królów, który jest Aria z nasienia Ariów, ulubieńcem Ahury Mazdy. On to powracając z Jauny i przemierzając ową spaloną słońcem krainę znalazł schronienie w cieniu tej rośliny, której wielkość i piękno go oczarowały, dlatego też zapragnął, aby zawsze strzegł jej Nieśmiertelny z jego gwardii, by nie stała się jej żadna krzywda.

Klejdemos spojrział w osłupieniu na Lahgala, który zdążył już przetłumaczyć słowa perskiego żołnierza.

— Chcesz przez to powiedzieć, że członek gwardii królewskiej nieustannie pilnuje rośliny?

— Zgadza się — przytaknął Lahgal.

Zabawili trochę gasząc pragnienie w tryskającym obok płą-tana źródle i zerkając od czasu do czasu na Nieśmiertelnego, który siedział na zydelku wpatrzony w horyzont. Po czym ruszyli w dalszą drogę. Po godzinie obejrzeni się za siebie — drzewo wydawało się nadal ogromne, w drgającym powietrzu zaś ledwie było widać wojownika. Jedyne odbijające się w jego włócznie promienie słońca rzucały raz po raz srebrne błyski.

TAJEMNICA

Lahgal się rozchorował. Z każdym dniem panujący na płaskowyżu klimat wzmagał jego gorączkę, ponieważ zaś zapasy zboża się wyczerpały, a nie sposób było zdobyć następne, musiał jeść baraninę, która bardzo często była nieswieża, toteż żołądek wywracał mu się na drugą stronę powodując gwałtowne wymioty. Klejdemos zatrzymywał się wielokrotnie w mijanych wioskach, by umożliwić mu odpoczynek, czekając, aż spadnie gorączka i miną skurcze żołądka. Właśnie podczas jednego z takich postojów usłyszał z ust samego przywódcy, że przede wszystkim należy się wystrzegać wody, na płaskowyżu bowiem rzeki napotykają na swej drodze potężne skały, nie mogą swobodnie spływać do morza, toteż tworzą rozlewiska bądź płyną powoli pod ziemią i w ten sposób rozwijają się w nich szkodliwe substancje. W niektórych wypadkach mogą nawet spowodować śmierć.

— Żołądek ulega tak wielkiemu zepsuciu — objaśniał Klejdemosowi przywódca wioski — że nie jest w stanie zatrzymać żadnego pożywienia i chory wymiotuje nawet po zjedzeniu owocu.

— A jakie jest na to lekarstwo? — zapytał Klejdemos w języku frygijskim, którym posługiwał się jako tako po dwóch miesiącach podróży i licznych postojach w wioskach.

Wódz wyjął gliniany dzban i nalał do pucharka jakiejś ciemnej cieczy. Był to napar z maku, który przynosił zapomnienie.

— To likwiduje skurcze żołądka i brzucha — oświadczył. — Dzięki temu można przełknąć trochę jedzenia, ciało zaś powoli odzyskuje wigor i może skuteczniej walczyć z chorobą.

Napój miał wprawdzie bardzo gorzki smak, dodano doń wszakże dzikiej mięty i cząbrę, którego pełno rosło na okolicznych polach; po frygijsku zresztą nazwa wioski oznaczała „miejsce cząbrę”. Klejdemos wziął sobie do serca słowa przywódcy na temat tamtejszej wody. Miesiąc wcześniej w miejscowości zwanej Kolossai sam zauważył zresztą rzekę, która znikła nagle pod ziemią, wciągnięta przez glebę. Mieszkańcy tamtych okolic twierdzili, że rzeka ta spada kaskadą z wysokości dwóch stadiów i że w zimowe noce, kiedy nic nie zakłóca ciszy, słychać szum wody, która chlupie w podziemnych jaskiniach.

Lahgal doszedł do siebie w ciągu tygodnia; gorączka minęła, mógł więc znów zacząć jeść odżywiając się pieczonymi na kamieniach podpłomykami. Warunki, w jakich się znalazł, nie pozwalały na codzienne zabiegi pielęgnacyjne, toteż włosy sięgały mu aż do ramion, a jego opaloną twarz okalała teraz ciemna broda. Od dawna już brzytwa, skrobaczka i szczypczyki do wyrwania włosków leżały porzucone na dnie sakwy.

— Wreszcie wyglądasz jak mężczyzna — powiedział pewnego dnia Klejdemos, podczas gdy młodzieniec mył się w rzece.

— Wy, Spartanie, jesteście nieokrzesani i niewykształceni — wzruszył ramionami Lahgal. — Nie potraficie docenić piękna ani subtelności, nie uprawiacie sztuki ani nawet poezji... Śpiewacie tylko pieśni wojskowe, żeby wam się łatwiej maszerowało.

— Jak widzę, sporo wiesz na temat Sparty i Spartan — zauważył z ironią Klejdemos.

— A pewnie — odrzekł Lahgal — przecież od lat żyję wśród nich.

— Chcesz powiedzieć, że żyjesz... z królem Pauzaniašem.

— I co z tego?

— Jesteś jego kochankiem?

Klejdemos przyglądał mu się zimnym wzrokiem. Lahgal zdrzął, jego oczy zaś wezbrały łzami. Przez chwilę milczał wpatrując się w ziemię.

— Właśnie to chcesz wiedzieć, Dwuimienny? Naprawdę kleomenidzki bohater chce zanurzyć ręce w gnoju? Grzebać się w nędzy syryjskiego niewolnika... Skoro właśnie to budzi twoją ciekawość i masz ochotę się rozerwać słuchając sprośnych opowieści, Lahgal może cię zadowolić, o tak, Dwuimienny, Lahgal może ci opowiedzieć mnóstwo rzeczy. Otóż blizny, które pewnego dnia pokazał ci na swych plecach, to nie jedyne rany; są jeszcze inne, w bardziej intymnych miejscach... — Podniósł swe czarne oczy płonące od wstydu i gniewu. — Już wtedy, gdy poznaliśmy się na Cyprze, mój pan mnie gwałcił... Otrzymałem rozkaz, żeby zaspokoić także ciebie, gdybyś tylko miał takie życzenie.

— Dość! — krzyknął Klejdemos. — Nie chcę tego słuchać...

— Ależ tak, właśnie że chcesz usłyszeć i usłyszysz, na wszystkich bogów! Przed chwilą zadałeś mi konkretne pytanie, Dwuimienny, może już zapomniałeś? Jest dokładnie tak, jak ci powiedziałem... Uroda stała się moim przekleństwem. Zazdrościłem swym brzydkim kompanom; ciągle musiałem zaspokajać żądze oblesnych, odpychających istot, znosić wszelkiego rodzaju upokorzenia, powstrzymując się od wymiotów i tłumiąc wstręt. Tak, Dwuimienny, jestem kochankiem króla... Ale czy mam wybór? Czy kiedykolwiek miałem wybór? Wszystko, co mogłem zrobić, to postarać się, by ból, jaki mi zadawano, był jak najmniejszy. Pauzaniasz nigdy mnie nie skrzywdził, a pewnego dnia obiecał nawet, że zwróci mi wolność.

Jako że Klejdemos nie mógł wykrztusić ani słowa, Lahgal ciągnął ścisząc głos:

— Kiedy pożegnaliśmy się na Cyprze, miałem gorącą nadzieję, że jeszcze cię zobaczę... Byłeś jedyną osobą, która szczerze mnie polubiła, więc gdy ujrzałem cię w Tracji, pod tamtym dębem, przemoczonego i pogrążonego w rozpacz, zrozumiałem, że zdążyłem na czas, aby nie pozwolić ci się zabić własnymi rękami. Moja radość z ponownego spotkania była ogromna.

— Moja także — dodał Klejdemos.

— Tak... To prawda, początkowo rzeczywiście tak było, później jednak albo się domyśliłeś, albo w jakiś sposób dowiedziałeś, i poczułeś wstręt... Od miesiący wyczuwam twoją po-

gardę, chociaż usiłujesz ją ukryć. I nie nosisz już na bransolecie tej kolorowej muszli, którą ci wtedy podarowałem... Miałaś ją jeszcze, kiedy spotkaliśmy się w Tracji.

— Lahgalu... nie chciałem cię zranić — powiedział cicho Klejdemos. — Nie obchodzi mnie też to, co los kazał ci znosić, być może wbrew twojej woli. Przez cztery lata wiodłem życie żołnierza i widziałem tak wiele krwi, tak wiele rzezi. To, czy mężczyzna kocha kobietę czy też innego mężczyznę, z pewnością nie może uczynić świata gorszym, niż już jest. Być może prawdziwą przyczyną, że rozmawiam z tobą w taki sposób, tkwi w wątpliwościach, które nie dają mi spokoju i nie pozwalają w nocy spać. Jestem sam na świecie, Lahgalu, i nie mam się komu zwierzyć. Wszyscy, których kochałem, odeszli albo są daleko, wydają mi się więc niedostępni albo na zawsze utraceni. Twoje zniknięcie i słowa króla rozbudziły we mnie nadzieję i niemalże na nowo natchnęły życiem, nie wiem wszakże, czy wszystko, co usłyszałem, odpowiada prawdzie, czy król rzeczywiście tak myśli, jak mi to przedstawił, czy przypadkiem nie chce uczynić ze mnie narzędzia do zaspokojenia własnych ambicji. W obozie, w Tracji, krążyło wiele pogłosek na jego temat. Podobno to człowiek bezlitosny i twardy, którego zżera nienasycona żądza władzy, zepsuty przez dążenie do bogactwa i zbyt ków... Niewolnik własnych chuci. Jestem pewien, że potrafiś sobie bez trudu wyobrazić, co czuję, chociaż w ciągu trwającej tyle miesięcy podróży nie powiedziałeś ani słowa, nigdy nie pomogłeś mi zrozumieć, a jeśli nawet wiadomo ci coś, o czym ja nie wiem, mimo że niejednokrotnie dostrzegałeś wątpliwości na mojej twarzy, nie chciałeś mi tego wyjawić. Właśnie dlatego pomyślałem sobie, że łączy cię z Pauzanaszem więź silniejsza niż cokolwiek innego, pomyślałem, że ten mały Lahgal, który podarował mi kolorową muszlę na sycylijskiej plaży, stał się już tylko złudzeniem i że należy o nim zapomnieć.

— Ty też się zmieniłeś — stwierdził Lahgal. — Masz ponury i nieobecny wzrok, twój głos bywa często twardy i szorstki; przez cały ten czas odnosiłem wrażenie, że podróżuję z zupełnie obcym człowiekiem. Czy mogłem więc z tobą rozmawiać jak z przyjacielem? Wyczuwałem, że budzę w tobie tylko pogardę. Kiedy wyruszyliśmy w drogę, wydawało mi się, że jesteś zado-

wolony mogą wypełnić tę misję i że popierasz plany Pauzania-sza; nawet nie przypuszczałem, że znowu opadły cię wątpliwo-ści. Zresztą ty sam ukrywasz przede mną pewną tajemnicę... Klejdemos spojrział na niego pytająco.

— Pauzaniasz przekazał ci wiadomość, którą możesz od-czytać na twoim skytale...

— Wiesz o mnie wszystko, Lahgalu; byłeś jeszcze dziec-kiem, gdy opowiedziałem ci historię mojego życia. Ale to co zostało napisane w tym liście nie dotyczy ani ciebie, ani mnie, może wszakże wpłynąć na los wielu ludzi, a nawet całych naro-dów. Nie mogę...

— Czy na pewno przeczytałeś tę wiadomość? — przerwał mu Lahgal.

— Nie, jeszcze nie. Otrzymałem rozkaz, żeby to zrobić do-piero po zakończeniu misji.

— I nie przyszło ci do głowy, żeby najpierw ją przeczy-tać?

— Dałem słowo królowi, a dla mnie słowo to rzecz święta, Lahgalu. Ale powiedz mi, dlaczego chcesz wiedzieć, co zawiera ta wiadomość.

— Dwuimienny — Lahgal wylaamywał sobie palce, jakby szukał właściwych słów. — Dwuimienny... boję się.

— Nie rozumiem, przecież tutaj nic nam nie grozi.

— Boję się, że umrę.

Klejdemos popatrzył na niego w osłupieniu.

— A niby dlaczego? Chorowałeś, ale to nie było nic po-ważnego. Nietrudno się rozchorować, kiedy człowiek podróżu-je po obcych krajach; jedzenie, woda...

— Nie, nie o to chodzi. Pauzaniasz wysyłał już wcześniej listy do Wielkiego Króla, ale ten, kto je przewoził... nigdy nie wrócił.

— Co przez to rozumiesz?

— Tylko to, co powiedziałem, Dwuimienny, nic więcej: wiem na pewno, że ten, kto przewoził te listy, nigdy nie powró-cił. Rozumiesz, dlaczego się boję? List może zawierać rozkaz, żebyś mnie zabił... Gdyby było inaczej, to po co król kazałby ci go przeczytać dopiero po zakończeniu misji? Posłuchaj, Dwu-imienny: kiedy przyjechałem do ciebie do Tracji i przekazałem

ci królewskie obietnice, zauważyłem, że sama myśl o powrocie do Sparty, o spotkaniu z kobietą, która cię wychowała, o ujzeniu ludzi, których kochasz, przywraca cię do życia, rozpała w tobie chęć do walki. Sądzę... obawiam się, że zrobiłbyś wszystko, byleby tylko dostać to, co ci obiecano. Nie wiem, co jeszcze powiedział ci król w rozmowie w cztery oczy; z pewnością coś ważnego i istotnego. Zdaję sobie sprawę, że bardzo cię szanuje. Życie syryjskiego niewolnika jest niewiele warte w porównaniu z tym wszystkim... Dlatego się boję, Dwuimienny. Jeszcze tylko trochę ponad dwa dni marszu i dotrzemy do Kelainai, gdzie oddasz list, a wtedy będziesz mógł przeczytać następne rozkazy od Pauzanasza. Błagam cię, jeśli otrzymasz rozkaz, żeby mnie zabić, nie podryznaj mi gardła mieczem, zaklinam cię... Pozwól mi samemu odebrać sobie życie. Znam pewien napój sprowadzający na człowieka rodzaj słodkiego półsnu, w którym przechodzi się bezboleśnie od stanu życia do ciemnej otchłani...

Lahgal zamilkł nie mając odwagi spojrzeć na towarzysza, z jego ciemnych oczu zaś pociekły dwie łzy. Klejdemos długo nie odpowiadał. Zastanawiał się wzburzony nad wszystkim, co mu się dotąd przydarzyło, nad ogromną nadzieją, która się w nim odrodziła, nad budzącym w nim zgrozę czynem, który być może przyjdzie mu popełnić. A może Lahgal się mylił, może ludzie, o których mówił, zniknęli z innych powodów — zabłądzili albo wpadli w zasadzkę podczas długiej podróży? W jego sakwie leżał wszakże zwój pergaminu z rozkazem królewskim, w dłoni zaś spoczywała laska, do której należało go przyłożyć, skytale, czyli klucz do odczytania go... a nie jego dereniowy kij, który wybrał dlań Krytolaos, a który spłonął pod Płatejami na stosie wraz z Brytosem, podobnie jak wypaliło się jego dawne chłopiące życie na tym polu bitwy. Ponownie wyrwał go z zamyslenia drżący głos Lahgala.

— Nie raz czytałeś na swoim skytale rozkazy śmierci, Dwuimienny, śmierci dla tysięcy ludzi. Jesteś spartańskim wojownikiem i musisz iść za swoim przeznaczeniem; bogowie już tyle razy utrzymali cię przy życiu: jako dziecko ocalili cię przed kłami wilków, tysiąc razy uratowali cię przed ciosami trackich żołnierzy. Twoi ludzie nie potrafili pojąć, jak ty, kulawy wojownik, któremu przypadły w udziale dwa imiona i dwa żywoty,

zdołałeś tyle razy bezkarnie wywinąć się śmierci na polu bitwy. Ty, który umknąłeś śmierci, chociaż o mało sam jej sobie nie zadałeś własnym mieczem... mam rację? Czeka cię zatem wielki, może nawet straszny los, przed którym nie możesz uciec. W dniu, kiedy ujrzałem cię w Tracji u stóp dębu, znajdowałeś się na dnie rozpaczy... Można to było wyczytać w twoich ponurych oczach, widać to było w twoim pooranym bliznami ciele, na twojej kamiennej twarzy. Cóż znaczy życie byle niewolnika, sprzedane, zanim zdążył się nim nacieszyć, coś znaczy ciało, które można kupić za pięć oboli...

— Dość tego, Lahgalu! — wrzasnął Klejdemos łapiąc się za głowę.

Tamten wszakże nie przestawał mówić głosem, w którym ustało drzenie, głosem głębokim i posepnym, głosem, w którym nie było nic prócz bólu.

— Dotarłeś zatem tam, skąd nie ma powrotu; nie przejmuj się mną, tylko przeczytaj ten list, a jeśli czeka mnie śmierć, pozwól mi umrzeć. Potowarzyszę ci jeszcze dziś i jutro, jak przystało na wiernego niewolnika, a pojutrze rano już się nie obudzę. Nawet tego nie zauważysz. Tylko proszę cię, nie zostawiaj moich zwłok na pastwę szakali, pochowaj mnie tak, jakbym był wolnym człowiekiem, jakbym był... przyjacielem, którego miłowałaś, nie pozwól, żeby mój cień błakał się z trudem po lodowatych brzegach Acheronu, tak jak to się podobno zdarza tym, co nie mieli pochówku...

Klejdemos położył mu dłoń na głowie.

— Nie zginiesz z mojej ręki, Lahgalu — obiecał — ani nie będziesz zmuszony się zabić.

Następnie wyjął z sakwy opieczętowany zwój i owinał go wokół skytali tak, aby dało się go przeczytać.

Niewolnik, którego z Tobą posłałem, wypełnił już swe zadanie. Znasz teraz drogę powrotną —przemierzysz ją sam, nie może się bowiem ostać żaden świadek twojej podróży w głąb kontynentu. A potem zniszczysz ten list.

— Bałeś się nie bez powodu, Lahgalu — przyznał wrzucając zwój do strumienia. — Król rozkazał mi cię zabić.

Mury Kelainai odcinały się wyraźnie na błękitnym niebie, na szczycie każdej z wież znajdowało się zaś bocianie gniazdo. Te ogromne ptaki wolno sunęły nad miastem szybując na rozłożonych nieruchomo skrzydłach, niesione wiejącym znad płaskowyżu wiatrem. Po tylnym zboczu jednego ze wzgórz spływała srebrzysta wstęga rzeki Meander, która podobno miała swe źródło pośrodku miasta, w ciemnej grocie zamieszkaanej niegdyś przez nimfy i satyrów, otaczał ją zaś las pełen topoli i śpiewających ptaków.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział Klejdemos zwracając się do Lahgala. — W tym mieście ma na nas czekać wysłannik Wielkiego Króla, satrapa Artabazos.

— Zgadza się — potwierdził chłopiec. — Tam, na skale, stoi letni pałac Wielkiego Króla. Właśnie w nim mieszka satrapa.

Kiedy podjechali do południowej bramy, strzeżonej przez dwóch frygijskich łuczników, Klejdemos podał Lahgalowi opieczętowaną tabliczkę, ten zaś wręczył ją jednemu z łuczników mówiąc w jego języku:

— Zanieś ten znak satrapie Artabazosowi i powiedz mu, że szlachetny Klejdemos ze Sparty, syn Arystarchosa z rodu Kleomenidów, czeka na przyjęcie.

Kazawszy sobie jeszcze dwukrotnie powtórzyć długie i trudne imię, aby mieć pewność, że dokładnie je zapamięta, łucznik się oddalił.

— Opowiedz mi o tym mieście i okolicach — poprosił Klejdemos Lahgala siadając na przylegającej do muru kamiennej ławie i rozprostowując ścierpnięte po wilgotnej nocy kończyny.

— Niewiele wiem — odrzekł Lahgal. — Słyszałem, że to najbardziej wysunięte na wschód miasto frygijskie. Za tymi górami — wskazał błękitnawy łańcuch przecinający płaskowyż w odległości dwóch dni marszu — zaczyna się Lykaonia, niebezpieczna i niepewna okolica, zamieszkaana przez okrutnych rozbójników, nad którymi nie zawsze potrafią zapanować nawet oddziały Wielkiego Króla. Żeby przemierzyć całą Lykaonię, potrzeba sześciu dni, aż dotrze się do stóp Taurusu, nieprzystęp-

nego, niemożliwego do pokonania łańcucha górskiego, przez który można się przedostać jedynie przez tak ciasny wąwóz, że nie mogą się tamtędy przecisnąć dwa zaprzężone razem muły bądź osły. Od tamtych gór do morza idzie się trzy dni mijając po drodze region zwany Cylicją. Wschodnią granicę Cylicji stanowi kolejny, bardzo wysoki, łańcuch górski, zwany przez tubylców Samanem, za nim zaś rozciąga się Syria, kraj, w którym się urodziłem. Co do tego miasta, mogę ci powiedzieć tylko tyle, że bierze tu początek rzeka Meander, przepływająca przez cudowny ogród, o którym mówią, że można w nim znaleźć wszelkie rodzaje roślin i zwierząt. Persowie określają go w swoim języku mianem „pairidaeza”, wy, Grecy, zaś „paradeisos”; kiedy Wielki Król przebywa w letnim pałacu, który stoi na skale, przyjeżdża tu na łowy razem ze swą swiłą. W mieście ma swoje źródło jeszcze inna, mniejsza niż Meander, rzeka, którą jego mieszkańcy nazywają Marsuas, wy, Grecy, zaś Marsyas, i być może właśnie dlatego mówi się, że na jej brzegu satyr Marsjasz, ośmieliwszy się wyzwać na muzyczny pojedynek Apoilina i przegrawszy go, został żywcem obdarty ze skóry, którą powieszono w źródlanej grocie. Jeśli chcesz, możemy ją obejrzieć, chociaż po mojemu to tylko skóra jakiejś kozy, którą złożono w ofierze jednemu z miejscowych bóstw.

— Lubię słuchać twych opowieści — przyznał Klejdemos. — Przypominają mi historie, które opowiadał dziadek Krytolaos, kiedy byłem dzieckiem. Zdaje się, że właśnie z jego ust usłyszałem historię o tym satyrze, żywcem obdartym ze skóry przez boga Apoilina. Nigdy jednak nawet do głowy by mi nie przyszło, że na własne oczy zobaczę miejsce, w którym opowieść ta się narodziła.

Klejdemos spojrział na równinę, która rozciągała się jak okiem sięgnąć u stóp miasta i na której połyskiwała rzeka Meander, skąpana w promieniach stojącego już wysoko na niebie słońca. Wreszcie nadbiegł z powrotem frygijski łucznik, który oznajmił:

— Nasz pan, satrapa Artabazos, czeka na ciebie. Chodź za mną, a zaprowadzę cię do pałacu.

Klejdemos wraz z Lahgalem ruszyli za nim przez ulice miasta, które zaczynały się zapełniać ludźmi: odzianymi według

dziwacznej mody mężczyznami i kobietami, przyglądającymi się ciekawie dwóm przybyszom. Natychmiast zostali otoczeni przez chmurę dzieciaków, które czepiając się ich szat usiłowały sprzedać im skromne towary niesione w koszykach bądź słomianych torbach. Chociaż łucznik odganiał je wrzeszcząc i rozdając im kuksańce, malcy rozbiegali się z piskiem na wszystkie strony, po chwili wszakże znów zaczynali się kłębić wokół owego małego orszaku, który maszerował szybkim krokiem w kierunku środka miasta. Wreszcie ujrzeni akropol — było to otoczone murem wzgórze, całe zielone od topoli, które na brzegach rzeki, zapewne Marsyas, przechodziły w gęste zarośla. Dzieci rzuciły się ze śmiechem i krzykiem ku rzece, po czym pozostawiając na piasku ubrania, koszyki i torby, wskoczyły nago do wody chlapiąc jak najęte. Tymczasem mały orszak wspiał się po schodach wiodących do pałacu i po chwili cała trójka znalazła się w głównej sali. Klejdemosa zaprowadzono do łaźni, gdzie został wykąpany i odziany w nowe szaty, dopiero wtedy zaś dopuszczono go przed oblicze Artabazosa. Na jego widok siedzący na stosie poduszek satrapa wstał i wyszedł mu na spotkanie.

— Bądź pozdrowiony, spartański gościu — ozwał się po grecku — witaj w mych progach. Mam nadzieję, że szlachetny Pauzaniasz cieszy się dobrym zdrowiem.

— Tak też było, gdym się z nim żegnał w Bizancjum ponad dwa miesiące temu — odparł z ukłonem Klejdemos. — Teraz wszakże powinien się już znajdować w Sparcie.

— W Sparcie? — zdziwił się satrapa z niezadowoloną miną. — Sądziłem, że nie opuszczał Bizancjum. Ale usiądź, proszę, na pewno jesteś zmęczony — dodał wskazując ogromną, wypełnioną wełną poduszkę leżącą na błękitnym kobiercu.

Klejdemos usiadł nie bez trudu w niewygodnej pozycji wkładając między nogi kraj perskiej szaty.

— W Sparcie zrodziły się pewne podejrzenia, król zaś nie chce podsycać pogłosek, które mogłyby mu zaszkodzić. Jest pewien, że nikt nie może mieć najmniejszych dowodów i że jest to wyłącznie zawiść. Odnoszę wrażenie, że jego sposób życia w Bizancjum, niezgodny zresztą ze zwyczajem spartańskim, dostarczył okazji eforom i gerontom, którzy zawsze obawiali się, by władza królewska zbytnio się nie umocniła — okazji,

żeby go wezwać i ewentualnie wytknąć mu jakieś błędy. Król zapewnia cię jednak, że wkrótce odzyska swobodę działania i że niechybnie prędko wróci do Bizancjum. Tam zaś będę mógł powtórzyć mu twoje słowa... i słowa Wielkiego Króla.

Artabazos gładził przez chwilę siwe wąsy, po czym zwracając się do gościa rzekł:

— „Tak mówi Kserkses do Pauzanasza: Bądź pozdrowiony. Okazany przez ciebie dowód przyjaźni głęboko nas wzruszył. Zdołałeś bowiem uwolnić osoby bliskie naszemu sercu, które wpadły w ręce twoich żołnierzy. Jesteśmy zatem skłonni uważać cię za naszego sprzymierzeńca w każdej sprawie i gotowi dostarczyć ci wszystkiego, czego potrzebujesz, bez względu na to, czy będzie to srebro, złoto czy też jakakolwiek inna forma pomocy. Co zaś do twojej prośby o rękę jednej z naszych córek, cóż, jesteśmy skłonni ci ją oddać, tymczasem spodziewamy się, że powiadomisz nas o swoich najbliższych zamiarach. Przekażesz swoją odpowiedź satrapie naszej prowincji Karii w mieście Daskylejon, do którego twoi wysłannicy mogą bez trudu dotrzeć z Bizancjum.”

— Słowa, które rzekłeś, zapisały się w mojej pamięci i zostaną powtórzone dokładnie w tej samej postaci — oświadczył Klejdemos.

— Znakomicie — stwierdził satrapa — ale powiedz mi teraz, co zamierza zrobić król Pauzanasz.

— Na razie — odparł Klejdemos — musi stłumić wszelkie podejrzenia eforów i geruzji. Jego postępowanie budzi w nich bowiem ogromną nieufność; okrył się chwałą dzięki zwycięstwu pod Piątej ami.

Klejdemos dostrzegł na twarzy Artabazosa nieznaczny, choć wyraźny cień zawodu i chociaż zdał sobie sprawę, że nie powinien pierwszy poruszać tego tematu, mówił dalej:

— Ponadto jest wodzem armii sprzymierzonej, floty pełoponeskiej, a także opiekunem króla Plejstarchosa, syna Leonidas, który to Plejstarchos, jak zapewne wiesz, jest jeszcze dzieckiem. W normalnej sytuacji eforom i geruzji udaje się zazwyczaj nastawić jednego króla przeciwko drugiemu i skłonić ich do rywalizacji, która umożliwia im sprawowanie i umocnienie rządów. Pauzanasz jest jednak właściwie sam i skupia w swych

rękach ogromną władzę i choćby z tego powodu budzi nieufność i podejrzenia. Rozumie się samo przez się, że eforowie i geruzja szukają argumentów przeciwko niemu, nic więcej... przynajmniej tak mi się wydaje. W każdym razie Pauzaniasz sprawia wrażenie bardzo pewnego siebie. Należy wszakże pamiętać, że może również liczyć na poparcie Zgromadzenia Jednakowych, żołnierze żywią bowiem wielki podziw dla jego przenikliwości, męstwa i umiejętności wojskowych, zgodnie zaś z tradycją bliżsi są im królowie, którzy prowadzą ich do boju, aniżeli eforowie i geronci.

Artabazos przechadzał się przez jakiś czas po sali, po czym przystanąwszy pośrodku, przemówił:

— W naszym interesie jest zatem działać jak najszybciej, abyśmy mogli liczyć na sprzymierzeńca, który znalazł się u kresu swej potęgi. Gdyby Pauzaniasz został postawiony w stan oskarżenia albo przynajmniej pozbawiony dowództwa armii, musieliśmy zmienić wszystkie nasze plany. Jak zapewne wiesz, w tej chwili w Atenach panuje bardzo napięta sytuacja.

Klejdemos przytaknął, jakby znał wszystkie szczegóły, chociaż naprawdę nie miał o niczym pojęcia.

— Temistokles, wódz ateński, który zwyciężył naszą flotę pod Salaminą — ciągnął satrapa — został wypędzony z miasta i jest na wygnaniu.

Klejdemos z trudem powstrzymał okrzyk zdumienia.

— Pewnego dnia mógłby zostać naszym sprzymierzeńcem — stwierdził Artabazos — choćby tylko po to, by zemścić się na swojej niewdzięcznej ojczyźnie. Przekaż zatem twojemu królowi, aby był gotów do działania, jako że w każdej chwili może się okazać potrzebny. Przyjechałeś do Kelainai bez żadnego pośpiechu, wiedząc, że tak czy inaczej Pauzaniasz nie wróci do Bizancjum przed końcem lata, teraz jednak będziesz musiał pędzić co koń wyskoczy, gdyby bowiem Pauzaniasz zjawił się tam wcześniej, ty musisz być tam przed nim i na niego zaczekać, a następnie przekazać mu moje słowa. Potem zaś porozum się jak najprędzej z satrapą Daskylejonu; musisz się postarać, aby twoja podróż pozostała dla wszystkich tajemnicą. Wiem, że masz przy sobie niewolnika; nie możemy pozwolić, aby zaczął mówić i popsuł nam szyki. Jeśli chcesz, sam się tym zajmę

i dam ci innego niewolnika albo przyślę ci jakąś kobietę... piękne dziewczę... a może wolałbyś chłopca? — zapytał satrapa z wielką uprzejmością.

— Och nie, panie — odparł natychmiast Klejdemos — to już byłby dla mnie zbytek, który mógłby nawet wzbudzić podejrzenia albo wręcz zawiść moich towarzyszy. Lepiej nie rzucać się w oczy. Sam zadbam o to, aby pozbyć się niewolnika, kiedy dotrzemy na wybrzeże. Zresztą i tak otrzymałem już rozkaz, żeby to uczynić.

— Jak chcesz — odrzekł satrapa. — Pozwól mi wszakże teraz zaofiarować ci moją gościnię, abyś mógł odpocząć kilka dni i nabrać sił przed podróżą.

Klejdemos chętnie się zgodził, był bowiem ciekaw, jak żyją ci, których Grecy zwą „barbarzyńcami”.

Pałac był większy od wszystkich domów, jakie kiedykolwiek widział w Grecji czy Azji. Lahgala umieszczono w kwatery dla niewolników, jemu zaś przydzielono komnatę w górnej części pałacu. Jako że jej okna wychodziły i na wschód, i na zachód, w nocy owiewała ją chłodna bryza.

Wieczereż spożył przed zmierzchem w towarzystwie Artabazosa, kosztując wyśmienitych potraw — wszelkiego rodzaju dziczyzny pieczonej na rożnie i przyprawionej pachnącymi ziołami. Najbardziej zdumiał się wszakże na widok olbrzymiego ptaka, którego kucharze wnieśli na stół wraz z niezwykle długimi, mieniącymi się wszystkimi barwami tęczy piórami z jego ogona; na końcu każdego z nich widniało jakby zielono-niebieskie oko, które mieniło się przy każdym ruchu. Spostrzegłszy zdziwienie gościa, satrapa rozkazał jednemu z niewolników, żeby przyniósł w klatce żywy okaz, aby mógł go zobaczyć w naturze. Był to zadziwiający ptak o tak lśniących kolorach, że Klejdemosowi brakowało słów. Jego szyję i pierś pokrywały niebieskie pióra o niezwykle intensywnym odcieniu, ogon był długi niemal na dwa łokcie, wydawał za to bardzo nieprzyjemne dla ucha dźwięki. Powiedziano mu, że zwierzę pochodzi z dalekich Indii, najodleglejszej wschodniej prowincji Wielkiego Króla, za którą rozciąga się już tylko bezkresny Ocean.

Pokazano mu również innego ptaka, wprawdzie mniejszego, za to o jeszcze barwniejszym upierzeniu, o jeszcze bardziej

połyskliwych kolorach, przechodzących od złota do purpury, bieli i czerni. Powiedziano mu, że został schwytany w krainie Fazjan, pewnego północnego ludu, który wziął swą nazwę od rzeki Fazis, mającej źródło na Kaukazie i wpadającej do Pontu. Po dżyczyźnie nadeszła kolej na słodczyce i owoce: granaty, figi i coś w rodzaju różowych jabłek pokrytych delikatnym puszkciem, cudownie soczyste i gaszące pragnienie, o słodkim smaku, lecz bardzo twardej pestce w środku. Klejdemos o mało nie połamał sobie na niej zębów wzbudzając wesołość współbieszczadników. Owoce te hodowano wyłącznie w pałacowych ogrodach, ich nasiona zaś sprowadzano specjalnie z dalekiej Persji, dlatego też nosiły nazwę „perskich jabłek”, czyli inaczej brzoskwiń.

Wreszcie nadeszła pora odpoczynku. Pałacowy eunuch odprowadził Klejdemosa do jego pięknej i obszernej komnaty, ozdobionej malowidłami, które przedstawiały kwiaty, drzewa, wielobarwne ptaki i dzikie zwierzęta. Najbardziej zdumiało go łóżce: było tak ogromne, że mogłyby na nim spać co najmniej cztery osoby, i stało na spiżowych złożonych nogach w kształcie skrzydlatych postaci.

Na nim zaś leżała wyciągnięta młoda, bardzo piękna dziewczyna o ciemnej skórze, ledwie osłonięta szatą z tkaniny z Miletu. Posługując się greką z wielkim trudem, eunuch wyraził nadzieję, że mu się spodoba, po czym dodał, że pochodzi ona z pewnego plemienia z Północy, zwanego Mossynojkami, które słynie z tego, iż cechuje je całkowita swoboda obyczajów, toteż kobiety i mężczyźni kopulują tam bez skrepowania na oczach wszystkich. Następnie pomagając sobie nieprzyzwoitymi gestami usiłował dać gościowi do zrozumienia, jakie też czekają go delacje. Dodał, że w pałacu znajdują się także inne młode dziewczęta z Bitynii, Kapadocji, Licji, a nawet z Egiptu — wszystkie znakomicie wyszkolone w rytuałach Afrodyty.

Klejdemos podziękował mówiąc, że ta mu w zupełności wystarczy i że ewentualnie zastanowi się nad zastąpieniem jej jakąś inną na kolejną noc. Eunuch wyszedł, z szerokim uśmiechem życząc mu upojnej nocy i zamykając za sobą drzwi z perfumowanego drewna. Klejdemos przyjrzał się dziewczynie, która również zmierzyła go od stóp do głów z ogromną ciekawością,

po czym stand na jednym z balkonów, by zerknąć na zewnątrz. Widok ga oczarował, rozciągało się bowiem przed nim miasto otoczone różową poświatą zmierzchu, dalej zaś, na południu, rozpościerał się ogromny płaskowyż, po którym poruszało się gdzieniegdzie mnóstwo maleńkich obłoczków pyłu, pozostawiając smugi na ziemi. Kiedy przez niektóre z nich przenikał niespodziewanie promień zachodzącego słońca, natychmiast oblewały się czerwienią, inne znów drżały lekko wśród delikatnych złotych refleksów, po czym gasły powoli w mroku. Były to stada owiec. Prowadzone przez pasterzy, powracały do doliny Kelainai, uciekając przed nocą, która miała wkrótce nadejść z dalekich wzgórz Armenii.

Słychać już było ich beczenie, albo tak się tylko wydawało Klejdemosowi, który wyobraził sobie siebie, jak idzie wśród owiec i jagniąt wspierając się na kiju, tuż za nim zaś podąża wielki baran, przewodnik stada... Tak jak kiedyś, dawno temu... Sam nie umiałby teraz powiedzieć, jak dawno. Po czym niemal w jednej chwili dolina pogrążyła się w ciemnościach, które zalały także płaskowyż, sięgając nawet gór, nad którymi wznosiła się błękitna, lekka niczym bisiorowy welon kopyła nieba. W tej samej chwili na wschodzie pojawił się księżyc, biały i lśniący, jakby dawno już opuścił wody oceanu, z których podobno się wynurza.

Poczuwszy lekkie pukanie w ramię, Klejdemos odwrócił się spoglądając na dziewczynę, która stała przed nim naga, oświetlona promieniami księżyca. Pozwolił się zaprowadzić za rękę aż do łoża, następnie się rozebrać i długo pieścić. Dziewczyna zerknęła nań raz po raz uśmiechając się i szepcząc coś, czego nie potrafił zrozumieć, jej głos zaś był tak słodki, a dłonie tak delikatne i miękkie, że niemal nie czuł ich dotyku. Kiedy zaś muskała go wilgotnymi, chłodnymi wargami przypominającymi płatki fiołków, przyciskając do jego ciała twarde piersi, przyszło mu do głowy, że pewnie tak właśnie wyglądają boginie, które nigdy nie odczuwają zmęczenia ani bólu, po czym jego myśli poszybowały ku Antynei, jedynej kobiecie, jaką w życiu kochał; z pewnością jej dłonie stały się szorstkie od ciężkiej pracy, skóra zaś spalona słońcem, ale oczy... jej oczy, zielone niczym łąki Tajgetos, nadal błyszczwały.

SPIŻOWY DOM

Wyruszywszy z Kelainai wraz z odpowiedzią od satrapy Artabazosa dla Pauzanasza, Klejdemos i Lahgal podróżowali bez przerwy około miesiąca, by pod koniec lata dotrzeć w pobliże Sardes. Kiedy wyjeżdżali, zboże na polach było jeszcze zielone, kiedy zaś wracali, chłopci zdążyli je już wymłócić na klepisku, a teraz skrażali je podrzucając w rzeszotach tak, aby wiatr oddzielił ziarno od plew. Gdy znaleźli się przy jednym z gospodarstw, Klejdemos zsiadł z konia i przywiązawszy go do płotu, dał znak Lahgalowi, by podszedł bliżej, po czym chwycił go za ramię i zaprowadził za topolowy zagajnik.

— Lahgalu, nadszedł czas się rozdzielić — oznajmił. — W Sardes ktoś mógłby nas rozpoznać. Ja powiem Pauzanaszowi, że wykonałem rozkaz, ale ty musisz zniknąć na zawsze.

— Tak też zrobię, Dwuimienny — przyrzekł młodzieniec. — Dziękuję za uratowanie życia, nigdy tego nie zapomnę.

— Dokąd pójdziesz? — zapytał Klejdemos.

— Nie wiem. Nielatwo zbiegłemu niewolnikowi znaleźć bezpieczne miejsce; może udam się na południe, do Patary, skąd będę mógł popłynąć na zachód. Powiadają, że Sycylia to piękna i bogata kraina. Złoto, które mi dałeś, powinno wystarczyć na opłacenie podróży statkiem.

— Moim zdaniem to dobry pomysł; nikt cię tam nie znajdzie, ale będziesz musiał zmienić imię.

— Tak, zupełnie jak ty. Muszę ci się jednak przyznać, że Pauzanasz już mi zdążył nadać greckie imię, ponieważ

nie potrafił wymówić mojego własnego. Nigdy go nie słyszałeś?

— Zdaje się, że raz czy dwa, ale w tej chwili nie mogę sobie przypomnieć...

— Argheilos, nazywał mnie Argheilos, ale to mi się nie podobalo. Znajdę sobie jakieś inne imię.

Obaj mężczyźni milczeli przez chwilę.

— To bardzo przykra chwila dla mnie — powiedział Klejdemos. — Odnalezienie przyjaciela, żeby znów go utracić... jest bardzo smutne.

— Nie mów tak, Dwuimienny. Czy kiedy wyjeżdżałeś z Cypru, przypuszczałeś choć przez chwilę, że kiedyś znowu spotkasz tego małego chłopca, tym razem jako dorosłego mężczyznę, na opustoszałej trackiej wsi, pewnego szarego deszczowego poranka, u stóp samotnego dębu? Któż to wie, Dwuimienny, los śmiertelników spoczywa w rękach Zeusa; może się kiedyś jeszcze zobaczymy.

— Może — szepnął Klejdemos.

— A więc żegnaj — powiedział Lahgal z lekkim drżeniem w głosie.

— Nie chcesz uściskać starego przyjaciela, zanim opuścisz go na zawsze?

Lahgal uściskał go mocno.

— Niechaj bogowie mają cię w opiece, Dwuimienny. Ciężkie miałeś życie, podobnie jak ja — stwierdził nie wypuszczając go z objęć. — To co nam pozostało, może być już tylko lepsze.

— Oby bogowie tak zechcieli — odrzekł Klejdemos uwalniając się z uścisku. — A teraz jedź już.

Lahgal wskoczył na osła i jął go popędzać piętami. Przemierzył soczystozieloną równinę co rusz znikając w chmurach plew, które chłopci wciąż podrzucali. Klejdemos spoglądał za nim dopóty, dopóki wzmagający się wiatr nie zaczął rozsiewać wszędzie złotego pyłku z połyskujących ździebel słomy. Odwiązał konia, by ruszyć w drogę, kiedy zaś wsiadał na jego grzbiet, zdało mu się, że wiatr niesie jakiś odległy dźwięk; odwróciwszy się, za chmurą pyłu, na rozświetlonym słońcem zboczcu, ujrzał maleńką czarną postać wymachującą ramionami. Przez chwilę usłyszał wyraźnie wołanie: „Dwuimienny!”, po czym wiatr

zmienił kierunek, skrywając postać za obłokiem kurzu, który wznosił się ze ścian wzgórza.

Pauzaniasz popędził wierzchowca w górę po stromym zboczu, kierując się ku ruinom, które okoliczna ludność zwała „grobem Menelaosa”, dotarłszy zaś na miejsce, ściągnął cugle i zwolnił kroku. Obejrzał się za siebie, by zlustrować drogę prowadzącą ze Sparty — nikt go nie śledził, zsiadł więc z konia i przywiązał go do jakiegoś krzewu, po czym ruszył ku ruinom, zaatakowanym przez korzenie i pędy dzikiego figowca. Słońce kryło się już w oddali, za pasmem gór Tajgetos. Wszedł między rozwalone mury z mieczem w dłoni, posuwając się ostrożnie. Nadgryziony zębem czasu pilaster zasłaniał główną komorę, która musiała niegdyś pełnić funkcję krypty monumentalnego grobowca, a przez której zawalony sufit widać było spory kawałek nieba. Wyjrzawszy niepewnie zza pilastra, spostrzegł siedzącego na ociosanym kamieniu efora Epistenesa. Wszedł zatem do środka i schował miecz do pochwy.

— Witaj, Epistenesie. Długo czekasz?

— Nie, niedługo. Wyjechałem z miasta wczoraj rano mówiąc, że wybieram się do mojego gospodarstwa, które znajduje się niedaleko tego miejsca. Jeżeli nikt cię nie śledził, nasze spotkanie pozostanie dla wszystkich tajemnicą.

Król usiadł na pniu.

— Nikt mnie nie śledził, możesz być spokojny — zapewnił. — Więc co masz mi do powiedzenia?

— Rada eforów nie zdołała znaleźć nic, żeby cię oskarżyć.

— A krypteja? — zapytał podejrzliwie Pauzaniasz.

— Krypteja może sprokurować dowody, nawet jeśli nie istnieją, i dobrze o tym wiesz. Masz szczęście, że w mieście nadal panuje sprawiedliwość.

— A zatem mogę spokojnie na powrót objąć dowództwo w Bizancjum. Wkrótce dobiegnie końca dogodna do podróży morskich pora, muszę więc wyruszyć jak najprędzej.

— Uważaj, Pauzaniasz — ostrzegł efor marszcząc brwi — to jeszcze nie koniec. Chociaż nie znaleziono przeciw tobie żadnych dowodów, musisz pamiętać, że eforowie i geruzja są ci przeciwni i że wcześniej czy później spróbują cię zniszczyć.

— Ale przecież Zgromadzenie...

— Wiesz lepiej ode mnie, że Zgromadzenie nie ma prawa podejmować decyzji i że jeżeli geruzja sprzeciwi się opinii Zgromadzenia, nie będzie to miało miejsca po raz pierwszy.

— Jak myślisz, co się stanie? — zapytał Pauzaniasz nagle pochmurniejąc.

— Na razie nic, ale i tak bardzo się niepokoję. Eforowie nie mają obowiązku, by oskarżyć cię w procesie albo poprzez detronizację; mogą kazać komuś cię zgładzić, jednocześnie w żaden sposób się nie narażając.

— A kto by się ośmielił... — powiedział król.

— Posłuchaj mnie uważnie — przerwał mu efor. — Długo cię nie było, więc nie wiesz, że sporo się wydarzyło w tym czasie. W Atenach arystokraci zrećnie podburzyli lud do buntu przeciwko Temistoklesowi, który został wygnany. Nie ocalał go nawet ogromny prestiż zwycięstwa, jakie odniósł pod Salaminą, możesz sobie zatem wyobrazić, że zwycięstwo pod Platejami nie ocaliłoby również ciebie; najazd perski miał miejsce dawno temu, ludzie zaś szybko zapominają. Demokraci w Atenach są teraz bardzo słabi, człowiekiem chwili zaś jest Kimon.

— Syn Miltiadesa?

— Ten sam, syn zwycięzcy spod Maratonu. Kimon odznacza się bystrością umysłu, jest przebiegły i ma tradycyjne poglądy; jednym słowem bardzo się podoba nawet tutaj. Zdołałem wywnioskować, że zanoszą się na porozumienie, które powinno zaowocować prawdziwym paktem między ateńską partią arystokratyczną z Kimonem na czele a rządem Sparty. Jeśli tego typu pakt dojdzie do skutku, obawiam się, że nie będzie w nim dla ciebie miejsca.

— Nie rozumiem — odparł Pauzaniasz. — Chociaż nie znam Kimona, wiem, że darzy mnie pewnym szacunkiem i o ile się orientuję, prowadzi politykę antyperską. Dlaczego miałby wystąpić przeciw zwycięzcy spod Platejów?

— To bardzo proste, nawet jeśli może ci się wydać skomplikowane.

Pauzaniasz nie zdołał ukryć gniewu.

— Nie denerwuj się — ciągnął Epistenes. — Dowodzenie wojskiem i władanie włóczęnią to co innego niż zajmowanie się

polityką. Posłuchaj mnie, ja chcę ci tylko pomóc. To jasne, że Kimon nie może mieć nic przeciwko tobie i że osobiście z pewnością uważa cię za wielkiego wojownika, skoro jednak chodzi mu po głowie przymierze ze Spartą, rząd Sparty zaś jest przeciwny Pauzaniaszowi, Kimon także musi się opowiedzieć przeciw Pauzaniaszowi. Gdy u władzy stał Temistokles, stosunki z Atenami uległy tak znaczącemu pogorszeniu, że aż zaczęto się obawiać wojny. Teraz zaś Temistokles został usunięty, a Kimon jest gotów zawrzeć nowe przymierze ze Spartą przeciwko Persom. I niewiele nas obchodzi to, czy patriotyczny zamiar walki z barbarzyńcami przyćmi bardziej praktyczny zamiar uciszenia demokratów. Ważą się bowiem teraz losy wzajemnych stosunków między dwiema największymi potęgami greckimi, i to na całe lata. Nie raz już wybitnych mężów i znamienitych wodzów poświęcano dla nierównie mniejszych spraw.

Pauzaniasz opuścił ręce w geście zniechęcenia.

— Ale powiedz mi przynajmniej, jaka jest prawdziwa przyczyna, dla której eforowie i geronci dążą do unicestwienia mnie? — zapytał po chwili, podnosząc głowę.

— Przyczyn jest wiele, Pauzaniasz, i niestety wszystkie mają swoje uzasadnienie. Otóż jako że Plejstarchos to jeszcze dziecko, ty jesteś prawdziwym królem, panując zaś nad Bizancjum sprawujesz kontrolę nad cieśninami, a tym samym szlak handlowy, którym zboże z Pontu podąża do Grecji, znajduje się w twoich rękach, ponadto masz duży wpływ na Jednakowych, którzy walczyli pod twoją wodzą, a co za tym idzie poparcie większości Zgromadzenia. Istnieją wszakże pewne wątpliwości: otóż podobno w Bizancjum zachowywałeś się jak król perski przywdziewając tamtejsze szaty i pertraktując z barbarzyńskimi dowódcami bez porozumienia z własnym rządem. Poza tym przypisuje ci się sympatyzowanie z ateńskimi demokratami i bezpośrednie kontakty z Temistoklesem, zresztą nie dowiedzione. Niektórzy uważają też za podejrzaną osobistą troskę, jaką otaczasz tego całego Talosa...

— Jego imię brzmi Klejdemos, syn Arystarchosa z rodu Kleomenidów! — wybuchnął Pauzaniasz z rozdrażnieniem.

— Jak chcesz — powiedział Epistenes z lekką nutką poślazania w głosie. — Nie sposób zaprzeczyć, że ten człowiek

jest teraz wysokim oficerem w wojsku spartańskim, nie wiemy jednak, co go łączyło z helotami.

— A co go miało łączyć? Przez cztery lata walczył w Tracji wracając do Bizancjum wszystkiego na parę tygodni. Klejdemos bił się pod Platejami jak bohater i jest jednym z najlepszych dowódców.

— Rozumiem cię, niemniej musisz sobie doskonale zdać sprawę, że wszelkie stosunki między spartiatami a helotami, które, powiedzmy, wykraczają poza tradycyjne ramy, traktuje się jako bardzo podejrzane.

— Klejdemos nie jest helotą.

— Nikt tego nie wie. W rzeczywistości żył wśród tych ludzi przez dwadzieścia lat nie znając swoich prawdziwych rodziców. Tak czy inaczej ja cię ostrzegłem; teraz jesteś świadom niebezpieczeństw, jakie ci grożą.

— Dziękuję, Epistenesie, nie zapomnę ci tego — zapewnił król wstając. — Ale muszę już iść; nie chcę, żeby ktoś zauważył moją nieobecność w mieście. Zegnaj.

— Żegnaj — odparł efor również się podnosząc. — I bądź ostrożny.

Pauzaniasz wyszedł na zewnątrz rozglądając się uważnie dokoła, po czym odczekawszy, aż jakiś chłop z wozem pełnym siana zniknie za zakrętem widocznej w dole drogi, wskoczył na konia i pogalopował ku polom.

Klejdemos dotarł do Bizancjum na krótko przed tym, jak na pokładzie okrętu wojennego dopłynął tam Pauzaniasz. Ledwie zameldował się w królewskiej rezydencji, został natychmiast przyjęty i serdecznie powitany.

— Bardzo się cieszę, że cię widzę — powiedział monarcha ściskając go.

— Ja także — odrzekł Klejdemos odwzajemniając uścisk.

— Jak tam podróż? Miałeś jakieś kłopoty?

— Nie, przebiegła pomyślnie i doprowadziłem moją misję do końca.

— Całkowicie? — upewnił się król nie spuszczać zeń wzroku.

— Całkowicie — odparł chłodno Klejdemos.

— Nie osądzaj mnie zbyt surowo — powiedział król. — Ten niewolnik był mi bardzo drogi, ale nie miałem wyboru. Musiałem wysłać wraz z tobą kogoś, komu mogłem bezgranicznie ufać, jednocześnie wszakże nie mogłem pozostawić go przy życiu. Gra toczy się o tak wysoką stawkę, że nie można sobie pozwolić na żadne ryzyko. — Władca zamilkł na chwilę, po czym zapytał z pewnym zakłopotaniem: — Czy zdawał sobie sprawę, że umrze?

— Nie — zaprzeczył Klejdemos. — Nawet się nie zorientował.

— Tym lepiej. Jak mówiłem, byłem bardzo przywiązany do tego chłopca.

— Rozumiem — stwierdził Klejdemos tonem, który wskazywał, że uważa temat za zamknięty.

— W takim razie powiedz, co ci mówił Artabazos — polecił Pauzaniasz.

— Wielki Król bardzo docenił przysługę, jaką mu wyświadczyłeś uwalniając wiesz kogo, i uznał ten gest za dowód twojej szczerości. Ufa ci więc i jest gotów cię poprzeć w każdy sposób. Jest nawet skłonny spełnić twoją... prośbę o rękę.

— Znakomicie — odrzekł władca udając obojętność. — Czy to wszystko?

— Nie, jest coś jeszcze. Przeprowadziłem z Artabazosem długą rozmowę, z której wynioskowałem, jaki Persowie mają punkt widzenia w tej sprawie. Otóż oni uważają, że nadeszła pora, by działać, sądzą bowiem, że znajdujesz się teraz u szczytu władzy, ale nie są pewni, jak długo zdołasz ją utrzymać. Wiedzą też, że Temistokles został wygnany z Aten, i z tego co zrozumiałem, byłiby szczęśliwi mogąc gościć go u siebie. Wkrótce będziesz musiał wyjawić swoje zamiary satrapie Daskylejonu.

— Nasze zamiary — poprawił go król. — Mam rację, Klejdemosie?

— Masz rację, panie — przytaknął Klejdemos.

— Nie wyglądasz jeszcze na zbyt przekonanego, ale może, podobnie jak Wielki Król, potrzebujesz dowodu, i ja mogę ci go dać. Skoro mój plan opiera się w dużej części na tobie, powinieneś uzyskać całkowitą pewność i poczucie bezpieczeństwa. W Sparcie spotkałem pewną bliską ci osobę.

Klejdemos drgnął.

— Kogo? Powiedz mi, proszę.

— Pewnego brodatego olbrzyma...

— Karasa!

— Tak, jego.

— Jak go znalazłeś?

Klejdemos trząsł się ze wzruszenia.

— To nie było aż takie trudne — odparł król. — Powiedziałem pewnemu helocie z gór, że mam wieści od Talosa i że chciałbym je przekazać zaufanemu przyjacielowi. Minęło sześć tygodni i już myślałem, że nie uda mi się z nikim zobaczyć. Pewnej nocy jednak wracając do domu usłyszałem za plecami głos, który mówił: „Przyjaciel Talosa jest tutaj”. Przewycięzyłem pokusę obejrzenia się za siebie i powiedziałem: „Idź za mną w odległości czterech kroków”. Wiedziałem, że ktoś może mnie śledzić, nie chciałem więc wzbudzać podejrzeń. Nie odwracając się ani nie zwalniając kroku podałem mu czas i miejsce spotkania, po czym usłyszałem, jak się oddala. Spotkaliśmy się kilka dni później w pewnej opuszczonej chacie znajdującej się na jednej z moich ziem. Nasza rozmowa była długa i trudna, ponieważ ten człowiek nikomu nie ufał. Zażądał dowodu, że żyjesz i że jesteś ze mną, więc mu go dałem, a potem powiedziałem, że kiedy tylko będzie to możliwe, wrócisz, aby wprowadzić w życie nasz plan.

— Ale skąd miałeś pewność, że możesz mu zaufać? — zapytał Klejdemos.

— Ten człowiek był razem z tobą pod Piątej ami — odrzekł spokojnie Pauzaniasz — i wiem, że wiele razy widział się z kobietą, którą nazywasz matką, w twoim domu w górach Tajgetos. Kiedy wspomniałem ci o nim po raz pierwszy tu, w Bizancjum, sześć miesięcy temu, nie potrafiłeś ukryć wzruszenia. Ten człowiek jest dla ciebie kimś bardzo ważnym, zgadza się?

— Zgadza — przytaknął Klejdemos.

— Nie chcesz mi powiedzieć, kim jest naprawdę?

— W gruncie rzeczy sam tego nie wiem — odparł Klejdemos. — Pojawił się w górach, kiedy umarł mój dziadek Krytolaos. Gdy udało nam się spotkać, z jego słów wywnioskowałem, że przybył tam po to, by mi pomóc i by mnie chronić, i że mogę mu zaufać. On znał tajemnicę wielkiego łuku.

— Łuku z głową wilka z Mesenii...

— Tak, ale nie tylko to. Znał jeszcze inną, jeszcze straszniejszą tajemnicę, której nie mogę ci zdradzić. Sam jestem nią przerażony. Ale powiedz, co ci mówił Karas?

— Że jest gotów, ale że nie ruszy się dopóty, dopóki ty sam nie wrócisz i nie potwierdzisz każdego mojego słowa.

— I nic więcej?

— Nie. Kiedy skończył mówić, wstał i zniknął. Nigdy potem go nie widziałem.

Podczas gdy król mówił, Klejdemos jął rozmyślać o przeszłości, widząc pełne bezbrzeżnego smutku oczy matki, zarośniętą twarz i byczy kark Karasa, słysząc jego głęboki głos, i nagle z całej duszy zapragnął wrócić.

— Kiedy mogę ruszyć z powrotem? — zapytał spoglądając na króla wzrokiem przepelnionym niepokojem.

— Musisz się uzbroić w cierpliwość — odrzekł monarcha kładąc mu rękę na ramieniu. — Wiem, co czujesz, i rozumiem, jak bardzo pragniesz powrotu, ale doskonale zdajesz sobie sprawę, że zostało nam sporo istotnych rzeczy do zrobienia. Tymczasem musisz *zawieźć* satrapie Daskylejonu koJejna odpowiedź dla Wielkiego Króla. Kiedy zdobędziemy perskie złoto, zorganizuję armię i wyposażę flotę; dopiero wtedy wrócimy do Sparty. Podniesiemy z kolan helotów, a wówczas Jednakowi też będą musieli przejść na moją stronę; przecież to ja poprowadziłem ich na Plateje.

— Jak chcesz — powiedział Klejdemos spuszczać głowę. — Kiedy mam wyruszyć?

— Prędko. Nie zostało już wiele czasu. Wyjedziesz, nim na niebie znów wstanie księżyc.

Klejdemos wyruszył w drogę, nie była to wszakże jedyna misja, jaką miał do spełnienia w Daskylejonie, dokąd w okresie zimy wielokrotnie powracał zachowując najwyższą ostrożność. Na początku wiosny zdarzyło się wszakże coś, czego sam Pauzaniasz się obawiał: otóż u wejścia do Bosforu stanęła flota ateńska pod wodzą Kimona, nauarcha zaś przekazał mu rozkaz opuszczenia miasta. Rozkaz ten podpisany został przez władze Sparty. Początkowo Pauzaniasz usiłował stawiać opór, po chwili zdał sobie wszakże sprawę, że nie zdoła w pojedynkę przerwać

blokady morskiej miasta. Nie ufał też zbyt wiele najemnikom, których opłacał za pomocą perskiego złota. Opuszcivszy więc Bizancjum, udał się do Troady i osiedlił w pewnej miejscowości niedaleko Daskylejonu, gdzie dołączył doń Klejdemos.

Jego pozycja stała się poważnie zagrożona, Persowie zaś poczęli go traktować z pewną rezerwą. Nie pozostało mu więc nic innego, jak usiłować doprowadzić do końca swoje zamiary dotyczące Sparty. Nadeszła zatem pora, by Klejdemos opuścił Azję i wrócił do Lakonii. Jako oficjalną przyczynę swego postępku miał podać to, że nie chce pozostać dłużej pod rozkazami wodza, który zasłużył na potępienie rządu, i że zamierza oddać się do dyspozycji eforów i geruzji.

— Zegnaj, Klejdemosie — powiedział król ściskając mu dłoń. — Teraz w tobie cała nadzieja. Nie trać ducha; wróć, a wtedy przekonasz się, że nie wszystko stracone.

— Zegnaj, mój królu — odrzekł Klejdemos. — Kiedy wrócisz, będą na ciebie czekał w domu Kleomenidów. Tam się spotkamy, jeśli bogowie tak zechcą.

Po czym wskoczył na konia i pogalopował ku drodze do Kyzikos.

Natomiast Pauzaniusz udał się do swojej kwatery głównej piechotą, prowadząc wierzchowca za uzdę. Był piękny dzień; po niezwykle przejrzystym niebie pływały duże białe obłoki i wiała chłodna, orzeźwiająca bryza.

*Kiedy tak wieje ze wschodu, od lądu ku morzu,
Najwyższy czas do Grecji odpłynąć, marynarzu.*

„Tak mówi przysłowie”, pomyślał król Sparty odwracając się, by spojrzeć na bezkresne Morze Egejskie, lśniące w oddali niczym lustro, które wypadło z rąk bogini. Gdy zaś chmura przesłoniła słońce, monarcha powoli ruszył w dalszą drogę.

Dopłynąwszy do Gytejonu, Klejdemos kazał sprowadzić konia na brzeg i oddalił się ku Sparcie.

Jako że wyruszył wczesnym rankiem, spodziewał się dotrzeć do miasta przed zachodem słońca, aby móc stanąć przed eforami i wyłuszczyć im plan, jaki obmyślili wspólnie z Pauza-

niaszem. Wkrótce też znalazł się na prawym brzegu Eurotasu i podążał wzdłuż koryta rzeki przez cały dzień, aż wczesnym popołudniem, gdy dojechał w pobliże miasta Faris, ujrzał przed sobą szczyty wzgórz Tajgetos. Długo wpatrywał się w góry, omiatając wzrokiem wierzchołki, wąwozy, lasy i usiłując sobie wyobrazić dokładnie miejsce, gdzie czekała na niego kobieta, której nigdy nie przestawał nazywać matką.

Wyciągnął z sakwy skibę chleba i trochę sera, by się posilić, po czym ugasił pragnienie wodą z rzeki i przygotował się do wkroczenia do miasta.

Włożył pancerz i nagolenice, wyjął ze skórzanej pochwy ogromną tarczę ze smokiem i zawiesił ją u siodła, następnie nasadził na głowę hełm z trzema czarnymi grzebieniami i dopiero wówczas stanął u bram Sparty. Strażnik, który ujrzał go z wieży, aż zaniemówił, przez chwilę miał bowiem wrażenie, że wojownik siedzący uroczyście na pięknym nesajskim ruma-ku, osłonięty lśniąca zbroją to powracający z piekiel sam wielki Arystarchos. Dopiero gdy ów podjechał bliżej, strażnik zorientował się, kogo ma przed sobą. Śledził go wzrokiem, gdy posuwał się między domami, dopóki nie zniknął w płataninie ulic.

Klejdemos skierował się zaś wprost na plac Sali Rady i zaczął się zapowiedzieć strażom:

— Powiedz, że Klejdemos, syn Arystarchosa z rodu Klejmenidów, dowódca czwartego lochosu trackiego, domaga się posłuchania.

Po chwili doprowadzono go przed oblicze efora Epistenesa, który wyruszył mu na spotkanie z uśmiechem.

— To dla mnie zaszczyt powitać w ojczyźnie syna wielkiego Arystarchosa, szlachetnego Klejdemosa, którego zwycięstwa odniesione w Tracji są powszechnie znane. Czcigodni geronci będą szczęśliwi mogąc cię jak najprędzej przyjąć i usłyszeć z twoich ust obszerną opowieść o wydarzeniach w Bizancjum, a także o sytuacji regenta Pauzanasza, którego postępowanie przyczyniło nam ostatnio wielu zmartwień. Sam dam ci znać, kiedy powinieneś się stawić. Tymczasem zostaniesz odprowadzony do kwater, jakie zajmuje twój lochos, abyś mógł się po-krzepić i odpocząć. Zajmę się tym, abyś odzyskał dom, który od lat stoi pusty. Opiekuje się nim stary niewolnik, który powie

ci wszystko, co będziesz chciał wiedzieć na temat twoich ziem i uprawiających je helotów.

— Dziękuję ci, panie, będę czekał na twoje wezwanie — powiedział Klejdemos, po czym zasalutowawszy po wojskowemu, ruszył za strażnikiem, który zaprowadził go do sysytii.

Przemierzył miasto na piechotę, trzymając konia za uzdę, minął dzielnice zwane Pitane i Konooura, następnie przeszedł pod akropolem, spoglądając zaś na fasadę świątyni Ateny Chalkiojkos oczyma duszy ujrzał samego siebie, gdy jako chłopiec, otulony płaszczem Peliasa, przyglądał się biczowaniu Brytosa z sercem przepelnionym nienawiścią, słysząc uderzenia bata... tak jakby czas się zatrzymał. Kiedy tak podążał ulicami miasta, z zamyślenia wyrwał go głos strażnika.

— Jesteśmy na miejscu, komendancie, jeśli zechcesz oddać konia, każę go odprowadzić do twego domu, aby się tam nim zajęto.

—[^] Odczepiwszy tarczę od siodła, Klejdemos chwycił juk i sakwę, po czym wszedł do przydzielonej mu kwatery. W urządzonej z prostotą sypialni znajdowały się trzydzieści dwa łóżka, za każdym z nich zaś stała ława ze skrzynią. Do ścian przytwierdzone były stojaki na włócznie i miecze oraz rząd wieszaków na hełmy i pancerze. W tej jakże smutnej i surowej sali lśniąca i bogato zdobiona broń wyglądała raczej jak element dekoracyjny niż narzędzia do zabijania.

Jeden z helotów pomógł mu zdjąć zbroję, po czym ułożył w skrzyni kilka szat i przedmiotów, które składały się na jego skromny bagaż, następnie zaś oznajmił, że posiłek zostanie wkrótce podany w sąsiedniej sali. Klejdemos położył się na wskazanym przez helotę łóżku. Nie mógł się doczekać, by popędzić do domu Kleomenidów, wsiąść na konia i pogalopować prosto w góry, powrócić na polanę, do chaty, zawołać: „matko!”, głośno krzycząc, żeby wszyscy go usłyszeli, nawet pochowany na skraju lasu Krytolaos, potem zaś wdrapać się nad wysokie źródło, do kryjówki Karasa, poczuć, jak kości trzeszczą mu w żelaznym uścisku... O bogowie wszechmogący, czy Karaś będzie na niego czekał? Czy pójdą jeszcze kiedyś razem na polowanie, czy wydobędą spod ziemi królewski luk? A może Karaś... Na pewno wie, gdzie jest teraz Antynea... Zapyta go więc i czym

prędzej do niej pobiegnie. „Głupcze, pomyślał nagle przecierając dłonią czoło, głupcze, czego ty się spodziewasz? Na pewno została żoną jakiegoś pasterza albo chłopca, figura zaś zmieniła jej się nie do poznania z powodu ciężkiej pracy i częstej brzemienności, podobnie zresztą jak dusza — najpierw wezbrana goryczą i złością z powodu długiego oczekiwania, a następnie pełna rezygnacji i pokory po latach ciężkiego niewolnictwa.”

Mimo wszystko był jednak przekonany, że pragnie ją znów zobaczyć, że musi się w niej jeszcze tlić iskierka dawnego życia, musiała przecież pozostać ta część dumy, która nigdy, przenigdy nie opuściła wysokich łąk Tajgetos... Tak, odszuka Karasa i każe mu się do niej zaprowadzić.

Z zadumy wyrwał go chór głosów, po czym do ogromnej sali wbiegło ze trzydziestu nagich, roześmianych, rozbrykanych młodzieńców — członków sasytii, do której go przydzielono. Ledwie pierwsi z nich dostrzegli nowo przybyłego, znieruchomieli zaskoczeni, po czym jeden z nich wystąpił naprzód i zwracając się do swych kompanów wrzasnął usiłując przekrzyczeć gwar:

— Wszyscy w szeregu! W szeregu, mówię! Oto macie przed sobą dowódcę lochosu trackiego, nie widzicie tarczy? Stoicie przed synem wielkiego Arystarchosa, słyszycie? — Po czym zwrócił się do Klejdemos, który zerwał się na równe nogi. — Wodzu, jestem Aincias, syn Onesikritosa, dowódca sasytii. Witaj wśród nas i... wybacz, że nie nakazałem wojskowego salutu, jest on zabroniony przez regulamin w wypadku, gdy żołnierze są nadzy, tak jak widzisz, ale jeśli okażesz chwilę cierpliwości, moi ludzie przywdzieją zbroje i będziesz mógł przeprowadzić inspekcję na dziedzińcu, o ile sobie tylko życzysz.

— Dziękuję ci — odrzekł Klejdemos — ale z pewnością jesteście zmęczeni i głodni, więc spocznijcie i przygotujcie się do wieczerzy. Dołączę do was w jadalni.

Jadło znalazło się na stole tuż po zachodzie słońca, Klejdemos zaś usiadł ze wszystkimi, mimo że nie miał zbytniej ochoty na towarzystwo. Musiał się zachowywać jak najbardziej normalnie, by nie budzić niepotrzebnie czujności władz. Klejdemos żywił przekonanie, że plan Pauzanasza został poważnie zagrożony, ale że powinien postępować tak, jakby nic się nie

stało. Jeśli sprawy przybiorą pomyślny obrót, tym lepiej, jeśli jednak po powrocie do Sparty Pauzaniasz okazałby się bezsilny, on na pewno nie będzie usiłował poderwać helotów, aby nie narażać ich niepotrzebnie na niechybną śmierć. Należało wszakże nawiązać przyjazne stosunki z żołnierzami, spora część członków lochosu trackiego zdążyła już bowiem wrócić rozgłaszając z pewnością wieści, że jest nieskazitelny i niezmordowanym wojownikiem. Podczas wieczerzy uświadomił sobie wręcz, że jedno zdanie, jakie wypowiedział w obozie w Tracji dwa lata wcześniej, zdołało już obieć wszystkie koszary w mieście. Było to wówczas, gdy przybyły z Bizancjum na inspekcję oficer podkpiwał sobie z jego chromej stopy, on zaś odpowiedział:

— Jestem tu po to, żeby walczyć, a nie wziąć nogi za pas.

Zdał sobie sprawę, że na jego temat krąży mnóstwo opowieści i że jego ludzie będą mu zadawać tysiące pytań, aby dowiedzieć się jeszcze więcej. Młodzi pragnęli przede wszystkim, żeby opowiedział im o bitwie pod Termopilami, której był jedynym żyjącym świadkiem wśród Spartan. Inni z kolei woleli usłyszeć coś o Pauzaniasz — czy prawdą jest to, że żyje i odziewa się jak Persowie, że posiada osobiste wojsko, i czy wróci do Sparty. Najbardziej wszakże ciekawiły ich jego nieprawdopodobne dzieje, chociaż żaden z nich nie odważył się wyrazić tego głośno: to, że o mało nie został pożarty przez wilki z Tajgetos, że odnalazł swego brata Brytosa i walczył u jego boku pod Platejami, po czym zajął należne mu miejsce wśród Jednakowych, on, kulawy i wydziedziczony.

Klejdemos nie zwracał jednak uwagi na rozmaite napomknięcia, jakie pojawiały się niekiedy w rozmowach, dając do zrozumienia, że wprawdzie owszem, sporo się w życiu nacierpiał, ale że wcale się z tego powodu nie uważa ani za lepszego, ani innego niż reszta ludzi. Właśnie to zjednało mu szacunek siedzących w sali żołnierzy, przywykłych do tego, że nawet królowie dzielą z nimi prosty posiłek, śpią na takich samych niewygodnych posłaniach i że pierwsi są tylko w niedostatku i niebezpieczeństwie. Nagle rozmowa znów zeszała na Pauzaniusza.

— Jednego nie mogę pojąć, wodzu — powiedział wojownik o imieniu Boiskos — mianowicie jak to możliwe, że zwycięzca spod Platejów może spiskować z Persami. To wygląda

niemał tak, jakby ktoś celowo starał się zaszargać mu opinię, aby odebrać mu władzę. A co ty o tym sądzisz?

Klejdemos zastanawiał się przez chwilę dokładnie ważąc każde słowo, po czym rzekł:

— Przyjacielu, nikt jeszcze nie dowiódł, że w tej pogłosce jest ziarno prawdy. Dopóki jednak nie ma żadnych dowodów, to, że ktoś mógł ją celowo rozpuścić, moim zdaniem również zakrawa na plotkę. Jeśli o mnie chodzi, muszę przyznać, że Pauzaniasz zawsze okazywał mi dobroć i szacunek, za co jestem *mu wdzięczny*.

— A jednak go opuściłeś, a to coś znaczy.

— Kiedy się dowiedziałem, że eforowie i geronci odebrali mu dowództwo, zrozumiałem, że moje poczucie obowiązku obywatelskiego nie powinno wypływać z wdzięczności dla Pauzaniusza, dlatego też wróciłem.

— Ale co król teraz zamierza zrobić? — zapytał jego rozmówca.

— Nie wiem... — odrzekł Klejdemos — ale myślę, że wróci, chociażby po to, aby się bronić, aby wszystko wyjaśnić.

Nigdy nawet by mu nie przyszło do głowy, że w tym samym czasie w podziemiach Sali Rady to samo pytanie, aczkolwiek o wiele groźniejszym tonem, zadał jeden z oficerów kryptei pewnemu torturowanemu mężczyźnie zakutemu w łańcuchy, pokrytemu sińcami i brozącemu krwią... Karasowi.

— Wiemy, że spotkałeś się po kryjomu z Pauzaniaszem, i nie wydaje się nam prawdopodobne, żeby król Sparty zechciał się widzieć z nędznym niewolnikiem bez wyraźnego powodu!

— Już mówiłem — odparł Karaś przygaszonym głosem — że król chciał mi tylko przekazać wieści o człowieku, którego my zwiemy Talosem, wy zaś Klejdemosem.

— Po kryjomu, w rozwalonym szałasie, z dala od Judzkich spojrzeń? — zapytał z szyderczym uśmiechem oficer chłoscząc go okrutnie batem.

Karas zaskowyczał z bólu zaciskając zęby.

— Miejcie litość — jęknął, ledwie odzyskał oddech — nie zrobiłem nic złego. Do mojej chaty przyszedł królewski niewolnik i oznajmił, że Pauzaniasz chce ze mną mówić, że ma wieści od Talosa. Nie wiem, dlaczego chciał się ze mną spotkać aku-

rat tam; może uznał, że nie powinien przyjmować człowieka nędznego stanu w jakimś uczęszczanym miejscu albo w swoim pałacu. Powiedział mi tylko, że Talos poprosił go, aby mnie odnalazł i abym z kolei ja przekazał wiadomość od niego kobiecie, która go wychowała.

— I chcesz mi wmówić, że nie rozmawialiście o niczym innym? O co cię pytał Pauzaniasz? — wrzasnął oficer. — Gadaj, nikkzemniku, albo nie wyjdiesz stąd żywy!

Karasz podniósł spocone czoło.

— Panie — powiedział sapiąc — dobrze wiecie, że nigdy wcześniej nie widziałem waszego króla, dlaczego więc miałbym znosić dla niego męki? Powiem wam o nim, co tylko zechcecie, bylebym odzyskał wolność.

Oficer spojrział pytająco na efora Mnesyklesa, który przypatrywał się przesłuchaniu i który wyszedł właśnie z ciemnego kąta, gdzie pozostawał w ukryciu aż do tej chwili.

— W gruncie rzeczy ten człowiek ma rację — oznajmił ów tonem, od którego Karasa przeszedł dreszcz. — Po co miałby znosić ból i... narażać życie dla spartańskiego króla, którego ledwie zna i którego z pewnością nie miłuje? Ale my wiemy — dodał biorąc z rąk oficera bat i zbliżając się do więźnia — że twój przyjaciel Talos przez te wszystkie lata cieszył się pełnym zaufaniem Pauzaniusza i że aby go chronić, gotów jesteś znieść każdy ból, czyż nie?

Karasz uniósł skutą łańcuchem dłoń, by otrzeć czoło i zyskać trochę czasu do namysłu, nie chcąc wpaść w pułapkę, nie chcąc się zdradzić.

— Nie wiem, przed czym miałbym go chronić — odrzekł — ale nawet gdybym wiedział, i tak bym tego nie zrobił. Talos przestał istnieć w oczach górali. Człowiek, którego nazywacie Klejdemosem, jest dla mnie nikim i nie chcę go więcej widzieć. Ale kobieta, która wychowała go jak matka, oddałaby życie, byleby tylko wiedzieć, że żyje i ma się dobrze. Tylko dlatego zgodziłem się na spotkanie z królem.

— Kłamiesz! — wrzasnął efor i uderzył go w nos kijem od bata.

Natychmiast usta i pierś zakutego w łańcuchy olbrzymia załała strumień krwi. Twarz Karasa zamieniła się w bezkształtną

maskę — oczy miał tak zapuchnięte, że niemal niewidoczne, wargi popękane od ciosów pięścią. Z jego ust wydobywało się jedynie rżenie.

— Panie... — wyrzekł z wysiłkiem — nie mogę wyznać czegoś, czego nie wiem, ale daj mi tylko do zrozumienia, co chcesz usłyszeć... a powiem ci to, żeby ocalić życie.

Po czym głowa opadła mu na piersi. Efor zaś odszedł wraz z oficerem kryptei na bok, aby się z nim naradzić.

— Jest bardzo silny — stwierdził — nie udało nam się z niego wyciągnąć ani słowa. Albo... naprawdę nic nie wie. Przed chwilą wydawał się gotów nam pomóc, gdybyśmy chcieli sporządzić akt oskarżenia przeciwko Pauaniaszowi...

— Sam nie wiem — odparł z zakłopotaniem oficer. — Możliwe, że zna nasze prawo, zgodnie z którym zeznanie niewolnika nie może stanowić dowodu przeciwko członkowi kasty Jednakowych, a tym bardziej przeciwko królowi. Mógł więc złożyć nam taką propozycję, żeby nas zmylić, równocześnie mając świadomość, że i tak nie zdołamy jej przyjąć.

— Co twoim zdaniem powinniśmy zrobić?

— Zastosować dalsze tortury. Kiedyś wrzecie go złamie-my. Bez względu jednak na to, czy coś powie czy też będzie milczał, na koniec i tak trzeba go zabić, ponieważ bardziej nas nienawidzi, niż się boi, więc mógłby się okazać niebezpieczny. Pamiętaj, że wczoraj w nocy był uwięziony, a kiedy nadszedł strażnik, właśnie usiłował rozgiąć kraty...

Rzuciwszy okiem na Karasa, który sprawiał wrażenie zemdlonego, efor oświadczył:

— Nie zgadzam się z tym. Istnieją ludzie, których nie da się złamać torturami, i on mi właśnie na takiego wygląda. Zabijając go zaś nigdy się nie dowiemy, co ukrywał. Musisz więc torturować go aż do granic wytrzymałości, zadać mu ból nie do zniesienia i śmiertelnie go przerazić. — Wskazał na żelazo, które rozgrzewało się w palenisku. — Wiesz, co mam na myśli.

Oficer skinął potakująco głową.

— Jeśli wytrzyma — ciągnął Efor — puść go wolno, ale każ śledzić; nie trać go z oczu, a przede wszystkim daj mi znać, gdyby próbował się zobaczyć z Klejdemosem czy choćby tylko z tą kobietą, która mieszka w górach. To nie będzie trudne, masz

przecież helotów, którzy są na twoich usługach. Jeżeli nasze podejrzenia są słuszne, prędzej czy później się zdradzi. A teraz idę, już ci nie jestem potrzebny. Jutro wszystko mi opowiesz.

Nasunawszy połę płaszcz aż na głowę, wyszedł.

Oficer tymczasem podszedł do więźnia i ocucił go wylewając mu prosto w twarz ceber wody, po czym zbliżył się do ognia. Karaś widział zrazu zamglony obraz, kiedy zaś dotarło doń, co się święci, ogarnął go strach rozdzierający duszę. Tuż przed jego twarzą świeciło białym światłem rozżarzone żelazo — czuł nawet bijące od niego ciepło.

— Teraz będziesz mówił — oświadczył ze spokojem oficer chwytając go za włosy.

Karaś napiął mięśnie w daremnym i rozpaczliwym wysiłku uwolnienia się, wkrótce jednak jego zbyt obolałe ciało ogarnęły szarpiące skurcze, zastygł więc w bezruchu przywołując całe pokłady siły ducha, jakie mu pozostały, niczym dzik, który wykrwawiwszy się po nierównej walce ze sforą psów i opadłszy z sił, opiera się o pień drzewa czekając, aż włócznia myśliwego przebije mu gardło.

— Mów! — rozkazał oficer przysuwając bliżej żelazo. Karaś wypuścił nosem powietrze i zacisnął zaślinione usta.

— Nic... nie wiem — wyksztusił przez zaciśnięte z powodu skurczów wargi.

Wówczas oficer chwycił go mocniej i włożył mu rozpalone żelazo do lewego oka. W podziemiach rozległ się ryk Karasa, który przebiwszy się przez mury Domu Rady, przedostał się na plac niczym długi, nieludzki skowyt, wywołując dreszcze u dwóch hoplitów, którzy drzemali oparci o włócznie.

Wkrótce potem oficer kryptei opuścił Dom Rady i nie odpowiadając na salut strażników przemierzył pusty plac i zniknął w ciemnościach. Wypełniwszy swe zadanie dokładnie, zgodnie z otrzymanym rozkazem, nabrał przekonania, że ten nieszczęśnik siedzący tam, w podziemiach, naprawdę nic nie wie. Nędzny pasterz nie miałby przecież ani tyle siły, ani wytrzymałości. Chociaż zagroził, że całkowicie go oślepi, tamten i tak nie zaczął mówić. Zanim opadł bez czucia, Spartanin zdołał odczytać w jego jedynym podbitym oku strach, który przekraczał wszelkie wyobrażenie, przed wyjściem rozkuł go zatem i zostawił

otwarte drzwi na korytarz prowadzący na powietrze, z dala od miasta. Kazał się tam zacząć swoim ludziom, aby go śledzili. Efor Mnesykles miał rację: skoro ten człowiek nadal żył, skoro nie miał wystarczająco dużo zdrowego rozsądku, by uciec jak najdalej, skoro naprawdę uknął z Pauzaniem jakiś spisek, zdradziłby się zżerany nienawiścią, a wówczas wszystko by się wydało. Teraz mógł więc spokojnie wrócić do domu i wreszcie odpocząć po męczącym dniu.

Tymczasem Karaś odzyskał przytomność pod wpływem powiewu zimnego powietrza, który dochodził z otwartych drzwi na korytarz. Potworny ból w lewym oczodole przywołał go do rzeczywistości i uświadomił, jak okrutnie go okaleczono, a z powodu otaczających go ciemności wydało mu się przez chwilę, że oślepl. Zaniósł się więc niepowstrzymanym szlochem: wszystko skończone, pragnął jedynie jak najszybciej umrzeć. Kiedy tak trwał w zamyśleniu, mrok jął się rozpraszać i stopniowo zaczął dostrzegać znajdujące się wokół przedmioty, a wtedy zdał sobie sprawę, że nie jest już skuty łańcuchami, które wisiały teraz na ścianie. Z trudem więc wstał i rozejrzał się dookoła, zobaczywszy zaś otwarte drzwi, prześliznął się przez nie. Długo szedł w całkowitych ciemnościach, często się potykając i cofając ze wstrętem pod dotknięciem ohydnych istot, które zamieszkiwały owo mroczne pomieszczenie. Kiedy zaś poczuł na obolałej twarzy powiew świeżego powietrza, po czym przez otwór w tunelu spostrzegł gwiazdy Oriona, drżące na opalonym niebie, uświadomił sobie, że jest wolny... Świt musiał być blisko. Wydostawszy się na zewnątrz, ruszył niepewnym krokiem ku brzegowi Eurotasu.

Gdy znalazł się nad rzeką, ukląkł, by obmyć zakrwawiony oczodół, pojękując z dojmującego bólu, jaki wywoływało dotknięcie zimnej wody. Księżyc zaczął blednąć, kiedy ranny cyklop wstał dysząc z bólu i złości i wyrażając pięścią miastu, które jaśniało w słabym świetle brzasku. Podążył w kierunku Tajgetos; ogromne góry, jeszcze pograżone w ciemnościach, przyjęły go i ukryły wśród nieprzebytych puszczy.

Nie mogąc zostać dłużej w Troadzie, Pauzaniusz zdecydował się wreszcie powrócić, był bowiem przekonany, że eforo-

wie nie mają żadnych dowodów przeciwko niemu. Jednakże to co na próżno usiłowali wydobyć z Karasa, niespodziewanie usłyszeli od kogoś, kogo nawet nie znali.

Eforowie sądzili, że król będzie się próbował porozumieć z Karasem za pośrednictwem jednego ze służących w jego pałacu helotów, których ze swej strony usiłowali zresztą skłonić do mówienia groźbami i obietnicami, albo z Klejdemosem, który również znajdował się pod nieustanną obserwacją.

Świadomy sytuacji Pauzanasz miotał się jak lew w klatce. Wszyscy go unikali, toteż nie mógł się spotkać z żadną z osób, na które liczył, nie chciał również zdradzić Klejdemosa, spodziewał się bowiem, że otaczają go szpieczy z kryptei. Zamierzał podporządkować się chwilowo władzy eforów i geruzji czekając, aż sytuacja ponownie zmieni się na jego korzyść.

Pewnego dnia przed świtem efor Mnesykles usłyszał pukanie do drzwi, kiedy je zaś otworzył, ujrzał przed sobą młodzieńca o ciemnej skórze, z twarzą ukrytą pod kapturem płaszcza. Chciał z nim mówić.

— Mam na imię Argheilos — oświadczył. — W Bizancjum zaś byłem w służbie u króla Pauzanasza. Mam ci do powiedzenia coś, co powinno cię zainteresować.

— Wejdz — zaprosił go do środka efor, czym prędzej zamykając za nim drzwi. zaproponował mu, by usiadł, młodzieńiec zaś zdjął płaszcz i kaptur; bez wątpienia musiał być cudzoziemcem, najprawdopodobniej z Azji.

— Masz greckie imię — stwierdził efor — ale wyglądasz na cudzoziemca.

— Bo tak jest — przytaknął przybysz. — Moje prawdziwe imię brzmi Lahgal i jestem Syryjczykiem. Przez całe lata służyłem królowi Pauzanaszowi, teraz jednak przyszedłem go zadenuncjować... Nie jestem szpiegiem, wierz mi, ale człowiekiem, który pragnie zemsty za potworną niesprawiedliwość. W zamian za moją wierność i oddanie król kazał mnie zabić, aby nikt się nie dowiedział o spisku, jaki uknuł z Kserksesem.

— Twoje słowa mają ogromną wagę — odrzekł efor. — Czy zdajesz sobie sprawę, że oskarżasz króla Sparty o najwyższą zdradę? Uważaj, jeśli bowiem nie potrafisz dowieść mu winy, możesz stracić życie.

— Mogę udowodnić to, co powiedziałem, kiedy tylko zechcesz — zapewnił Lahgal.

— W takim razie prawda musi jak najprędzej wyjść na jaw. A teraz powiedz mi wszystko, co wiesz; nie pożałujesz, że pomogłeś' nam zapobiec ohydnej zdradzie.

Lahgal opisał wszystko, co zdołał zobaczyć i pojąć przez te lata, które spędził wraz z Pauzaniaszem, a także podróż do Kelainai, rolę Klejdemosa przedstawił wszakże w taki sposób, by go uniewinnić.

— A zatem dobrze znasz Klejdemosa z rodu Kleomenidów — stwierdził efor. — Wiemy, że Pauzaniasz bardzo go cenił i że powierzał mu ważne zadania.

— Znam — przytaknął Lahgal. — Sam zanośłem mu czasami rozkazy króla, kiedy dowodził lochosem trackim, ale mogę cię zapewnić, że nie miał nic wspólnego ze zdradą Pauzaniusza. Król polecił mu pojechać ze mną do Kelainai, aby przekonać się, jakie jest nastawienie perskich dowódców w głębi kontynentu, pod pretekstem przygotowań do wyprawy wojennej, dzięki której Persowie mieli zostać przepędzeni poza Halys. Tylko ja znałem prawdziwy cel misji, czyli powiadomienie satrapy Artabazosa, że Pauzaniasz jest gotów ruszyć na Spartę i że czeka na złoto i żołnierzy. Natomiast Klejdemos wiozł list mówiący, że ja jestem perskim szpiegiem; po zakończeniu misji, kiedy przestałbym być potrzebny w roli tłumacza, miał mnie zabić. Ale kiedy spał, udało mi się przeczytać list i uciec.

— Dobrze — odrzekł efor — lecz wiedz, że jako cudzoziemiec nie możesz s'wiadczyć przeciwko członkowi kasty Jednakowych ani tym bardziej przeciw królowi, Pauzaniasz zaś jest i tym, i tym, mimo że jego regencja dobiega końca, ponieważ księżę Plejstarchos wkrótce dorośnie. Należy więc zmusić Pauzaniusza do mówienia w obecności obywateli spartańskich, którzy mają prawo s'wiadczyć. Mój plan jest zatem następujący: na przylądku Tenaros znajduje się stara, opuszczona budowla; udasz się tam, najpierw jednak dasz znać Pauzaniaszowi, że wróciłeś i że tam na niego czekasz. Moim zdaniem na pewno przyjdzie. Wtedy skłoniś go do mówienia, aby jego słowa usłyszało kilku s'wiadków ukrytych w pobliżu. O resztę się nie martw, my się wszystkim zajmujemy. A teraz idź już, lepiej, żebyś nie

siedział tu zbyt długo. Spróbuj się ukryć i nie zwracać na siebie uwagi. Oczywiście otrzymasz nagrodę za przysługę, jaką nam oddajesz, ale skoro Jednakowi, jak ci zapewne wiadomo, nie obracają pieniędzmi, teraz nie mogą ci zapłacić, lecz postaram się je zdobyć. Powiedz, które wolisz: ateńskie czy eubejskie... a może monety z Kyzikos?

— Nie robię tego dla nagrody — odparł Lahgal — więc nie wezmę twojego złota.

Po czym wstał i zasłoniwszy twarz, wyszedł.

Trzy dni później Pauzaniasz znalazł w domu list, żaden niewolnik nie potrafi! wszakże powiedzieć, kto go dostarczył. Jego treść napelniła go przerażeniem i przekonaniem, że jest zgubiony: skoro Lahgal żyje, to znaczy, że Klejdemos go okłamał albo wręcz zdradził. W pierwszej chwili postanowił uciec, zaraz sobie jednak uświadomił, że byłoby to przyznaniem się do winy. A któż udzieliłby schronienia banicie, który został pozbawiony wszelkiej władzy? Lepiej stawić temu czoło. Jeżeli list napisał Lahgal, o czym świadczyły niezbitnie niektóre zdania, może zdoła go przekonać albo przynajmniej się dowiedzieć, kto jeszcze zna ich tajemnicę. Udał się więc na wyznaczone spotkanie. Znał to miejsce: na wpół zburzona wieża strażnicza stała niemal na samym krańcu przylądka w spalonej słońcem, bezludnej okolicy, po której stale hulał wiatr.

Kiedy wszedł przez niezamykające się drzwi, usłyszał w półmroku dobrze znany głos.

— Powiadają, że nikt jeszcze nie wrócił z piekieł, prawda, Pauzaniaszu? Tymczasem jestem tutaj... No wejdz, nie stój w progu.

— Posłuchaj... — zaczął regent.

— Nie, ty posłuchaj — przerwał mu młodzieniec wyłaniając się z cienia. — W tej chwili to ja mam przewagę.

Pauzaniasz, być może bezwiednie, położył dłoń na rękojeści miecza.

— Szalony! — zawołał Lahgal. — Myślisz, że jestem aż taki głupi, że nie zabezpieczyłem się na wypadek, gdybyś spróbował mnie zabić po raz drugi?

Pauzaniasz opuścił ręce i schylił głowę.

— Słucham — powiedział zrezygnowanym tonem.

— Poprosiłem, żebyś przyszedł, ponieważ chciałem się dowiedzieć od ciebie, za jakie to winy skazałeś mnie na śmierć. Czy dlatego, że służyłem ci wiernie i nienagannie, że troszczyłem się o ciebie, gdy byłeś chory, że zawsze podążałem za tobą jak cień, że znosiłem napady żądz...

— Sądziłem, że mnie kochasz — przerwał mu Pauzaniasz.

— Zniżyłeś się nawet do tego? — roześmiał się szyderczo Lahgal. — Przecież doskonale wiesz, że między tym, kto rozkazuje, a tym, kto wykonuje rozkazy, nie może być mowy o miłości, lecz o gwałcie. Niech ci się więc nie wydaje, że możesz liczyć na moje uczucia, które nigdy nie istniały. Chciałem ci tylko pokazać, że możesz liczyć na oddanie ze strony człowieka, którego kiedyś obdarzysz wolnością. Byłaby to uczciwa męska wymiana.

— Kiedy obiecywałem ci wolność, mówiłem szczerze i dotrzymałbym słowa.

— Rozumiem — odparł Lahgal uśmiechając się gorzko. — Usuwając mnie z tego świata uwolniłbyś mnie zarazem od wszelkich myśli i zmartwień!

— Nie drwij sobie ze mnie — napomniął go surowo regent — ale posłuchaj. Mogę ci wyjaśnić... jeśli obiecasz, że zastanowisz się nad moimi słowami, że nie pozwolisz, by uraza i gniew wzięły górę nad rozsądkiem. Skoro mnie wezwałeś, potrafisz mnie chyba wysłuchać.

— Więc mów — odrzekł zimno młodzieniec.

— Będę mówił, ale najpierw chcę się dowiedzieć, dlaczego Klejdemos chciał mnie zgubić.

— Twoja dusza musi być naprawdę podła — stwierdził Lahgal — skoro widzisz zdradę nawet tam, gdzie jej nie ma. Klejdemos wiernie wypełniał wszystkie twoje rozkazy... poza jednym. Przeczytałem twój list, kiedy spał, a potem uciekłem. Nie dlatego, żebym się bał, że naprawdę mnie zabije, bo to dobry człowiek, lecz nie chciałem wystawiać na próbę jego sumienia. Ale dajmy temu spokój; dobrze wiesz, że wolałbym usłyszeć od ciebie coś innego.

Pauzaniasz poczuł ogromną ulgę: a więc jeszcze nie wszystko stracone, wystarczy tylko przekonać Lahgala. Zaczął więc

mówić dalej nie zdając sobie sprawy, że w tej samej chwili wydaje na siebie wyrok.

— Nie chciałem twojej śmierci, Lahgalu, przysięgam. To Persowie postawili mi taki warunek. W sytuacji, w jakiej się wówczas znajdowałem, nie mogłem się już cofnąć, bo wzbudziłbym ich podejrzenia, a wtedy wszystko by się rozpadło, może nawet uznaliby mnie za wroga... Stawką było życie tysięcy ludzi, nie mogłem... Musisz mi uwierzyć, zgodziłem się napisać ten rozkaz wbrew własnej woli i z niewysłowioną goryczą. Być może byłeś mi wierny przez te wszystkie lata wierząc, że w ten sposób kupisz sobie wolność, ale nie mogłeś przecież nie zauważyć, że postępowałem szczerze. Powiedz, mój młody przyjacielu, czy kiedykolwiek cię skrzywdziłem, czy nie obsypywałem cię dobrodziejstwami, czy nie dzieliłem z tobą życia, planów, marzeń? To ty mnie oszukałeś pozwalając mi wierzyć, że mnie kochasz.

Lahgal spoglądał na tego pokonanego człowieka, bohatera spod Platejów, helleńskiego władcę, który znajdował się teraz na łasce wrogów i który stał się zaledwie własnym cieniem. Słyszając szczerłość w jego głosie, o mało nie uległ odruchowi litości, gniew i pragnienie zemsty popchnęły go wszakże tak daleko, że już nie mógł się wycofać. Wszystko musiało się dopełnić. Udzielił mu zatem odpowiedzi, która wprowadziła go w błąd, Pauzaniasz odszedł więc żałując, że pewnego dnia rozkazał zabić tego młodzieńca.

Dotarł do Sparty pod wieczór zastanawiając się, w jaki sposób mógłby się porozumieć z Klejdemosem, lecz pogrążony w rozmyśleniach nie zauważył nawet, że przed bramą Amyklai czeka pięciu eforów w towarzystwie dwudziestu uzbrojonych żołnierzy. Podjechawszy bliżej, zorientował się, że czekają właśnie na niego; gdy stojący z tyłu Epistenes dał znak, pojął, że to już koniec. Pauzaniasz spiął konia próbując ucieczki, a wówczas jeden z wojowników cisnął włócznią i zranił zwierzę w bok zwalając je z nóg. Pauzaniasz upadł wraz z koniem, natychmiast się wszakże podniósł i puścił biegiem, ścigany przez swych prześladowców. Kiedy znalazł się przed akropolem, rozejrzał się dokoła przerażony w poszukiwaniu kryjówki, wszędzie jednak widział tylko wrogie spojrzenia i zamknięte drzwi. Schronił

się więc w świątyni Ateny Chalkiojkos, która stała tuż obok. Nikt nie ośmieliłby się wtargnąć do świętego przybytku, toteż zamknął drzwi zdyszany i przycupnął za ołtarzem.

Wówczas eforowie, nie mogąc wejść do środka, by go pojmać, kazali zamurować drzwi i odsłonić dach. Król pozostał więc w swym więzieniu przez wiele dni umierając z głodu i pragnienia w promieniach palącego słońca, na oczach wrogów, którzy spoglądali nań obojętnie leżąc na gołych belkach dachu i czekając na jego śmierć. Długo jeszcze słychać było nocą jego wrzaski i błagania, po czym wszystko ucichło.

Wtedy eforowie, uświadomiwszy sobie nagle, że jeśli skona w tym przybytku, będzie to oznaczało profanację, postanowili otworzyć drzwi i przenieść go gdzie indziej, póki jeszcze żyje. Gdy zaciągnęli go aż na zewnętrzny dziedziniec, przypominał szkielet, miał wysoką gorączkę i dreszcze i przewracał oszalałymi ze strachu oczami w pustych oczodołach.

Rzucony na ziemię Pauzanasz spróbował podnieść wychudzone ramię, by ich przekląć, zabrakło mu jednak sił, opadł więc z powrotem bezwładnie, wydając ostatnie tchnienie.

Taka była agonია i śmierć tego, który zwyciężył pod Platejami armię Wielkiego Króla.

VII

ŚWIĘTOKRADZTWO

Zebrawszy się na zgromadzeniu, eforowie i geronci w pierwszej chwili zdecydowali, aby ciało Pauzanasza wrzucono do rzeki Keadas, tak jak czyniono ze zwłokami każdego zdrajcy, Epistenes jednak, który przyjaźnił się w tajemnicy z królem, zwrócił uwagę, że wprowadzie okazał nieposłuszeństwo wobec rozkazów miasta i spiskował z wrogiem, poza murami Sparty wszakże nadal pozostał tym, kto wyswobodził Grecję od barbarzyńców, Hellenowie zaś ciągle otaczają go chwałą. Śmierć jest zatem wystarczającą karą, toteż nie należy się już pastwić nad jego szczątkami, lecz zapewnić mu pochówek. Jako że pomysł ten uznano za rozsądny, Pauzanasz został pochowany w zbroi w tym samym miejscu, w którym wydał ostatnie tchnienie.

Jego duch długo jeszcze zakłócał wszakże nocny spoczynek wielu Spartan. Niektórzy zarzekali się nawet, że mijając w środku nocy świątynię Ateny Chalkiojkos słyszeli jego mroźące krew w żyłach krzyki, inni z kolei przysięgali, że każdego siódmego dnia miesiąca tuż po zachodzie słońca w jego grobowcu rozlega się głuchy metaliczny łoskot, jakby uderzał bronią o ściany. W końcu postanowiono zatem zapytać o radę wyrocznię delficką, która udzieliła takiej oto odpowiedzi:

*Odebraliście ciało
bogini w spiżowym domu.
Jej gniew uciszyć możecie
oddając w zamian dwa ciała.*

W Domu Rady trwały długie dyskusje nad właściwym odczytaniem odpowiedzi. Jedni domagali się poświęcenia dwóch helotów, drudzy zaś byli zdania, że nie powinno się dokładać kolejnych śmierci i że należy znaleźć inny sposób zadośćuczynienia bóstwu. Wreszcie zapadła decyzja, aby wyrzeźbić dwa posągi i złożyć je w ofierze w świątyni; w ten sposób eforowie i geronci uznali, że za pomocą nieożywionych tworów ludzkich rąk zdołają uciszyć gniew bogów.

Wkrótce przestano wprawdzie rozmawiać na ten temat, umysł człowieczy łatwo bowiem puszcza wszystko w niepamięć, zostało wszakże napisane, że krew króla zamieni się w przekleństwo dla miasta.

Lahgal zniknął równie nagle, jak się pojawił, i wszelki słuch po nim zaginął. Klejdemos zaś, który o niczym nie wiedział, usłyszawszy, że Pauzaniasz został zamknięty w świątyni Ateny Chalkiojkos, przygotował się na najgorsze, lecz nikt po niego nie przyszedł ani o nic go nie wypytywał. Jego jedynym spotkaniem z eforami było więc to, o które poproszono go tuż po powrocie. Zdał wówczas długą relację z tego, co robił w Tracji, jego słowa zaś potwierdzili żołnierze z czwartego lochosu, którzy wrócili o wiele wcześniej. Ogromny szacunek, jakim otaczano jego imię, oszczędził mu wszelkich upokarzających indagacji, każdemu zaś, kto go przepytował, musiało wystarczyć jego słowo wojownika. Dlatego też eforowie uznali, że najlepiej będzie mieć go na oku, aby się przekonać, czy nie pojawi się jakiś dowód, który by go obciążył. To, że utrzymywał stosunki z Pauzaniaszem oraz całą swą młodość spędził wśród helotów, wzbudzało podejrzania i nieufność, chociaż postępowanie syna Arystarchosa było nienaganne.

Śmierć regenta odebrała Klejdemosowi wszelką nadzieję, plany zaś, jakie snuł Pauzaniasz jeszcze będąc w Bizancjum, teraz wydawały mu się zaledwie snem, który pewnego dnia przywrócił sens jego życiu, po czym rozwiął się pozostawiając w jego duszy pustkę. Czuł jednak, że nie może dłużej uciekać od życia, skoro bowiem zdołał uniknąć po raz kolejny śmiertelnego niebezpieczeństwa, które zagroziło mu, gdy plany Pauzaniusza wyszły na jaw, widocznie jest mu pisane zadanie, które musi wykonać. Powinien zatem żyć tak, jak to możliwe w jego położeniu, i po prostu czekać.

Jako że nie ukrywał, iż pragnie mieć przy sobie kobietę, która wychowywała go w Tajgetos, ledwie objął we władanie dom Kleomenidów, wyrażono zgodę, by ją sprowadził. Eforowie uznali, że dzięki temu łatwiej zdołają zauważyć, jeśli będzie się spotykał z podejrzanymi osobami.

Wraz z początkiem zimy pozwolono mu więc opuścić sycylię, w której żył przez długie miesiące w całkowitej dyscyplinie i poszanowaniu surowych reguł wojskowych, aby mógł się zająć domem i swoim dziedzictwem.

Pewnego dnia o wschodzie słońca opuścił koszary w towarzystwie jednego z helotów z domu swego ojca. Kiedy ów załadował jego rzeczy i broń na grzbiet osła, Klejdemos wyszedł przez wschodnią bramę maszerując powoli i rozglądając się wokoło; dom Kleomenidów znajdował się zaledwie jakieś dziesięć stadiów dalej i nadal spowijał go mrok. W tej chwili w jego sercu kłębiły się dziwne i sprzeczne uczucia. Oto bowiem wkrótce miał ujrzeć dom, w którym się urodził, w którym na chwilę poznał Ismenę, swoją rodzoną matkę. Tam też miała zostać wkrótce przyprowadzona ta, która go wychowała i obdarzyła miłością, odebraną mu z kolei przez prawdziwą rodzicielkę. W jego rozdartą duszę zakradła się niepewność: czy ludzie, wśród których spędził młodość, go rozpoznają? Czy pewnego dnia jeszcze do nich powróci? Wiele lat temu Krytolaos przekazał mu odziedziczone po przodkach dowództwo, ukryty zaś w tajemnym miejscu wielki łuk czekał, aż Talos Wilk znów chwyci go w dłonie. W mrocznych podziemiach spoczywały zbroja i przekłety miecz króla Aristodemosza czekając, aż ujrzą światło dzienne, ale czy ów dzień miał kiedykolwiek nadejść?

Dom Kleomenidów znajdował się teraz zaledwie o rzut kamieniem. Dom Smoka... Dom Arystarchosa... jego ojca. Tam, w dole, ujrzał go po raz pierwszy i nigdy, przynigdy nie zapomni udręki czającej się w jego płonących, głębokich oczach ani rozpacz, która się w nich odmalowała, gdy jego wzrok spoczął na chromej stopie Talosa. Nagle przypomniał sobie słowa Perilli, uciekającej wyroczni:

*Smok i wilk zrazu z zażartą
nienawiścią rozszarpują się nawzajem...*

Słowa wypowiedziane przez Brytosa tamtej gwiazdzistej nocy na wzgórzach Platejów... Wilk z Tajgetos i Smok z rodu Kleomenidów... Lecz Arystarchos już nie żył, podobnie jak Brytos, gdzie więc spoczywał teraz smok, jeśli nie w nim samym, w sercu Klejdemosa z rodu Kleomenidów, razem z wilkiem z Mesenii? Obydwie bestie rozszarpywały się tam z niezmordowaną furią, bez chwili wytchnienia, bez ustanku... Tylko jak długo jeszcze? Dlaczego bogowie skazali kulawego chłopca na tak okrutny los?

Nagle uświadomił sobie, że towarzyszący mu helota przystanął przed furtką: dziedziniec porastały chwasty, mur wokół domu był odrapany i bliski zawalenia, na ołtarzu zaś bieleły się kości Melasa. Od lat nikt nie przekroczył tego progów...

— Wiesz, gdzie została pochowana moja matka Ismena? — zapytał Klejdemos helotę.

— Tak, szlachetny panie — odparł niewolnik. — Została pochowana tam, między tymi cyprysami. — Wskazał prosty kamienny sarkofag pośrodku otaczającego dom pola.

— Zaczekaj tutaj — polecił Klejdemos i ruszył w kierunku grobowca swej matki. W tej samej chwili wstało słońce zalewając dolinę swoim blaskiem: dom wyłonił się z ciemności, cyprysy zaś falowały poruszane poranną bryzą. Klejdemos długo klęczał nad grobem z pochyloną głową. Nagle, gdy ostre promienie słońca przeniknęły przez czyste powietrze, zdało mu się, że na porośniętym mchem kamieniu mignęły jakieś litery. Wstał więc, wy dobył miecz i oskrobał mech; rzeczywiście widniał na nim napis następującej treści:

ISMENA CÓRKA EUTIDEMOSA
MAŁŻONKA ARYSTARCHOSA SMOKA
NIESZCZĘŚLIWA MATKA
DWÓCH WALECZNYCH SYNÓW

BOGOWIE POZAZDROŚCILI JEJ
CENNEGO DARU —
SPARTAŃSKIEGO LWA

Kiedy głośno zawołał helotę, ten przybiegł czym prędzej, uwiązawszy osła.

— Kto kazał wyryć ten napis? — zapytał wskazując kamień.

Helota przyjrzał się uważnie literom, po czym rzekł:

— Panie, zostałem przydzielony, żeby ci służyć, ponieważ przez długi czas uprawiałem ziemię należącą do twego ojca, czcigodnego Arystarchosa, i otrzymałem polecenie od geruzji, żebym wraz z paroma kompanami postawił ten grobowiec. Nie umiem czytać, ale pamiętam doskonale, że wyryto tylko cztery pierwsze wersy, jestem tego pewien, a zresztą jeśli chcesz wiedzieć więcej, możesz zapytać moich towarzyszy albo sprawdzić w archiwach Rady, gdzie z pewnością znajduje się kopia tego napisu, który wyryto na koszt miasta.

— Jesteś' tego całkowicie pewien? — dopytywał się Klejdemos.

— Było tak, jak powiedziałem, panie. Ale możesz to bez trudu sprawdzić.

— Dziękuję ci — odrzekł Klejdemos. — A teraz idź się zająć domem i moim pakunkiem, zaraz do ciebie przyjdę.

Kiedy niewolnik się oddalił, Klejdemos jął się przyglądać inskrypcji — nie miał żadnych wątpliwości, że ktoś dodał trzy wersy. Widać było, że dokonała tego inna ręka, ponadto cztery pierwsze wersy zostały umieszczone dokładnie pośrodku płyty, pozostałe zaś schodziły za bardzo ku dołowi, niemal dotykając jej krawędzi. Nie potrzebował żadnych innych dowodów. Któż jednak mógł dodać te słowa? I o jakim darze mówił ów napis? Wyglądało na to, że w słowach tych kryje się jakieś przesłanie, być może ważne przesłanie, musiał się więc dowiedzieć, dla kogo jest przeznaczone i co zawiera.

Tymczasem udał się do domu; helota zdążył już zaprowadzić osła do stajni. Klejdemos z trudem otworzył dębowe wrota, które rozchyliły się jęcząc na zardzewiałych zawiasach; cały sufit prostasu porastały pajęczyny, a wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu. Na jego widok potężne szczury rozbiegły się w poszukiwaniu kryjówki. Stojące w niszy posągi kleomenidzkich bohaterów również pokryte były kurzem i pajęczynami, lampka wotywna zaś pusta i wyschnięta. Kiedy wszedł do sąsiedniej izby, ujrzał przed sobą coś, co musiało być niegdyś łóżem małżeńskim jego rodziców. Ze starego ogromnego mebla

pozostała jedynie rama z mocnego dębu, materac i pościeganie ze skór zamieniły się zaś w gniazdo myszy. Nagle usłyszał odgłos kroków w prostrastie — to niewolnik przyszedł zapytać o rozkazy.

— Życzę sobie, aby ten dom został wysprzątnięty i aby przywrócono mu dawną świetność, ponieważ chcę w nim zamieszkać — oznajmił Klejdemos zmiierzając w kierunku jadalni.

— A kiedy wszystko będzie jak należy, pošlę po kobietę, która wychowała mnie w górach jak syna twego ludu. Jak się nazywasz? — zapytał starego sługę.

— Alesos, panie.

— Czy wiesz, o kim mówię?

— Wiem, panie, mówisz o córce Krytolaosa. Twoja historia jest dobrze znana w tym mieście.

— Tym lepiej — odrzekł Klejdemos. — Dziś w nocy będę spał w prostrastie.

Przez resztę dnia pracował wspólnie z Alesosem i innymi sługami, których sprowadził z pól. O zmierzchu zaś zapalił ogień pośrodku prostrasty, a także lampkę wotywną i w tej samej chwili wydało mu się, że do starego domu wróciło życie. Następnie usiadł przy ogniu wraz ze sługą, który mu towarzyszył.

— Ile masz lat? — zapytał Klejdemos.

— Ponad siedemdziesiąt, panie.

— A od jak dawna służyysz w tym domu?

— Od chwili urodzenia, podobnie jak mój ojciec i jego ojciec.

— A więc przez długi czas żyłeś u boku pana tego domu, Arystarchosa.

— Tak, panie, i dopóki miałem sprawne i zdrowe ciało, chodziłem z nim na wojnę jako jego przyboczny.

— Opowiedz mi o nim... Jakim był człowiekiem?

— Był wielkim wojownikiem, ale nie tylko; waleczność jest w tym kraju czymś powszechnym. Był także sprawiedliwym i dobrodusznym człowiekiem i dlatego mógł na nas liczyć. — Wstał, by dorzucić drew do ognia, po czym usiadł z powrotem i podjął cichym głosem: — Nasz naród nie lubi Spartan, panie...

— Wiem, Alesosie, przecież żyłem wśród twego narodu.

— To żelazne albo brązowe skorupy, które nie mają duszy.

— Masz odwagę mówiąc w ten sposób do dowódcy czwartego lochosu Jednakowych.

— Ale twój ojciec był prawdziwym mężczyzną, który nigdy nikogo nie uderzył ani nie upokorzył.

— A co sądzisz o mnie?

— Naprawdę chcesz poznać moje zdanie?

— Tak, mów, nie lękaj się.

— Nie można stłumić zewu krwi, ponadto było ci pisane wrócić tam, skąd wyszedłeś'. Tylko ty znasz tajemnice własnej duszy, ale ja myślę, że spuścizna po Krytolaosie nie poszła na marne. Żar długo się tli pod popiołem, głupcom zaś się wydaje, że już zgasł, ale kiedy wiatr zawieje, ogień znów zaczyna płonąć.

Klejdemos spuścił wzrok.

— Nie wiem, o czym mówisz, starcze — powiedział.

— Panie, wśród twoich niewolników są tacy, których smutna potrzeba albo strach przywiodły do tego, że stali się oczami i uszami uciskających ten lud wielmożów, strzeż się ich więc, wyjawię ci bowiem ich imiona. Co do mnie, wiedz, że znałem i szanowałem Krytolaosa, tak samo jak kochałem twego ojca Arystarchosa. Jesteś rośliną, której korzenie tkwią w dwóch różnych polach, ja wszakże dbałem o obydwa z nich z jednakową miłością i jeśli chcesz, sam możesz się o tym przekonać. Otocz należyłą dbałością dom, w którym się urodziłeś, i czcij pamięć swego wybitnego, lecz nieszczęśliwego ojca. Być może jednak droga, którą będziesz musiał podążać, jest ukryta nawet przed tobą i tylko bogowie mogą ci ją wskazać.

Klejdemos wstał, by dorzucić do ognia.

— Bogowie wiedzą, jaką drogę powinniśmy obrać — stwierdził wpatrując się w płomienie żywo buchające w palenisku. — Jutro pójdziesz w góry i przyprowadzisz kobietę, która była mi matką przez dwadzieścia lat... Powiesz jej, że nigdy nie przestałem o niej myśleć i że to los mnie od niej oddalił... Że czekam na nią z synowską miłością.

— O świcie będę już w drodze — odrzekł niewolnik podnosząc się z miejsca — więc jeśli pozwolisz, pójde się położyć.

— Idź — powiedział Klejdemos — i niech bogowie ześlą ci dobry sen.

— Tobie także, panie — odparł starzec otwierając drzwi.

— Przyjdzie? — zapytał Klejdemos nie odwracając się, jakby głośno myślał.

— Przyjdzie — przytaknął niewolnik, po czym zamknął za sobą dębowe drzwi.

Położywszy się przy ogniu, Klejdemos na długo powędrował myślami ku matce, która czekała w chacie wysoko w górach, i ku innej matce, która spoczęła na zawsze w lodowatym grobowcu strzeżonym przez czarne cyprysy.

Ujrzał ją z daleka na grzbiecie osła, którego Alesos trzymał za uzdę, i natychmiast rozpoznał. Rzuciwszy więc sierp, którym ścinał właśnie chwasty na dziedzińcu, puścił się biegiem najszybciej jak potrafił, mimo że chora stopa dokuczala mu mocno przy złej pogodzie. W tej wszakże chwili żaden ból nie zdołałby go powstrzymać. Podniósł ją z siodła i długo trzymał w potężnym uścisku, nie będąc w stanie wykrztusić ani słowa. Tymczasem Alesos odprowadził osła do stajni.

— Matko... — powiedział wreszcie z trudem. — Matko, ileż to czasu... twoje włosy... są białe.

Pogłaskał ją po włosach i po twarzy, po czym przytulił. Poczul jej gorące łzy na swych policzkach i usłyszał drżący głos.

— Synu, bogowie są dobrzy, skoro zesłali mi ten dzień. Od kiedy odszedłeś, każdego wieczoru przed zamknięciem drzwi spoglądałam na ścieżkę prowadzącą z równiny w góry, ponieważ miałam nadzieję, że cię na niej zobaczę.

— O, matko — odrzekł Klejdemos — tymczasem to ty, mimo twego wieku i zmęczenia, przyszedłaś do mnie...

Otoczył ją ramieniem i razem ruszyli ku domowi. Gdy weszli do środka zamykając za sobą drzwi, dopiero w samotności tego ogromnego cichego wnętrza oboje dali upust uczuciom, które skrywali w sercach przez całe lata, płacz zaś przyniósł im ulgę, podobnie jak długie chwile, kiedy wzajemnie spoglądali sobie w oczy w milczeniu.

W pewnym momencie Klejdemos uświadomił sobie, że usta matki nie wypowiadają już imienia „Talos”, które spodziewał się z nich usłyszeć. Nazywała go „synem” i choć pewnie wkładała całą duszę w to słowo, które było dla niej droższe niż

życie, zachowała imię „Talos” niczym zazdrośnie skrywane wspomnienie, czekając na to, co przyniesie rozwój wydarzeń. Klejdemos pragnął zasypać ją pytaniami, ale zarazem brakowało mu odwagi: co się działo z Antyneą i z Karasem? Tak długo był daleko i nie miał możliwości przesłać jakichkolwiek wieści na swój temat. Jak osoby, które kochał, mogły zachować żywe wspomnienie Talosa?

Wreszcie pierwsza odezwała się matka.

— Masz jakąś kobietę? — zapytała.

— W czasach kiedy byłem daleko stąd, miałem ich wiele, ale nigdy żadnej nie kochałem, więc zostałem sam.

— Skończyłeś prawie trzydzieści lat, synu; znasz zwyczaj: Jednakowi, którzy osiągną ten wiek, muszą sobie wybrać żonę.

— Matko, nigdy nie przestałem kochać Antynei, jak więc mógłbym wybrać sobie inną kobietę?

— Posłuchaj: Antynea należy do naszego ludu, a dobrze wiesz, że...

— Gdzie ona jest? Matko, powiedz mi tylko, gdzie ona jest, chcę to wiedzieć.

— Co by ci z tego przyszło? Mógłbyś z niej zrobić co najwyżej swoją nałożnicę, na pewno nie żonę. Miasto nie pozwoli, by ród Kleomenidów wygasł; właśnie dlatego oddali ci dom twego ojca, nie rozumiesz? A jeśli sam nie dokonasz wyboru, geronci skorzystają ze swych uprawnień i wybiorą jakąś dziewczinę ze szlacheckiego rodu, którą przyprowadzą ci do domu, żeby została twoją żoną. Ale jeśli zechcesz, będziesz mógł ją zobaczyć wcześniej, z gołymi udami, podczas ćwiczeń w palestrze...

— To niemożliwe — odrzekł Klejdemos marszcząc czoło. — Nikt nie może mnie zmusić...

— To prawda, nie mogą cię zmusić do małżeństwa, ale i tak wepchną ci ją do łóżka, abyś złożył w jej łonie nasienie Kleomenidów. O, synu, tak długo cię nie było, a teraz widzę, że niewiele wiesz na temat obowiązujących w tym mieście zwyczajów. Miasto od zawsze ogarnięte jest panicznym strachem, że liczba Jednakowych ulegnie zmniejszeniu. Niektórzy spartiaci nie mają pojęcia, kim są ich ojcowie, chociaż codziennie ich spotykają. Bezplodni mężowie kazali zapłodnić swe żony

słynnym wojownikom, aby mieć silne i krzepkie potomstwo. Na tej samej zasadzie my dajemy klacze do pokrycia najbardziej jurnym ogierom, by ulepszyć rasę naszych koni. Miasto nie może pozwolić, by zmniejszyła się liczba Jednakowych ani by wymarł któryś z ich rodów, szczególnie zaś w okresie, gdy rodzi się mało dzieci. Dlatego nie możesz nawet myśleć o tym, by związać się z Antyneą.

Klejdemos milczał z sercem przepelnionym bólem. Słowa te uświadomiły mu przekleństwo ciążyące nad jego życiem, o ile jednak tamtego dnia w Tracji postanowił zadać sobie śmierć, teraz był gotów walczyć i nigdy więcej nie ugiąć karku przed przeciwnościami, nawet gdyby wydawały się nie do pokonania.

— Matko — rzekł — chcę, żebyś powiedziała mi wszystko, co wiesz o Antynei, nawet gdyby to miało mnie zranić. Co do mnie, sam zdecyduję, co robić, kiedy nadejdzie czas.

— Wszystko, co wiem na temat Antynei, przekazał mi Karaś. Mieszka wraz ze swym ojcem Peliasem w Mesenii, jakież trzy dni drogi stąd. Pelias jest już stary i słaby, Antyneą zaś stanowi jego jedyną podporę. Ich pan Kratypoos zmarł trzy lata temu, jego syn zaś także poległ w bitwie, kiedy Spartanie prowadzili wojnę w Azji. Produkty z ich gospodarstwa idą teraz do miasta, możliwe jednak, że przydzielą ich do pracy na rzecz jakiejś innej rodziny. Skoro już koniecznie chcesz wiedzieć, mogę ci zdradzić, że Antyneą nigdy o tobie nie zapomniła i nigdy nie związała się z innym mężczyzną. Przy życiu trzyma ją również miłość do ojca. Gdyby kogoś poślubiła i podążyła za swym mężem, musiałaby zostawić Peliasa, który jak ci mówiłam, jest zbyt stary i zbyt słaby, żeby samemu zajmować się gospodarstwem. Wtedy by go wypędzili i umarłby z głodu.

— A co z Karasem? Gdzie teraz jest? Kiedy go ostatnio widziałas?

— Przez te wszystkie lata Karaś był mi prawdziwą podporą, mimo że czasami znikał na długo. Ale to flie nastreczało żadnych trudności; górale ciągle pamiętają o Krytolaosie, więc nigdy niczego mi nie brakowało. Niestety od trzech miesięcy Karaś nie daje znaku życia i nikt nie wie, co się z nim stało. Pytałam pasterzy i chłopów, którzy od czasu do czasu schodzą na równinę, ale nikt nie umiał mi nic powiedzieć. Z początku się

tym nie martwiłam, bo wiem, że nie raz opuszczał swoją chatę u wysokiego źródła na długo, ale w końcu zaczęłam się obawiać, bo zazwyczaj dawał mi znać, jeśli wybierał się na dalszą wędrówkę.

— Czy wiedział, że wróciłem? — zapytał Klejdemos nagle pochmurniejac.

— Wiedział. Sam przyniósł mi tę nowinę. Powiedział, że wkrótce znów padniemy sobie w ramiona i że gotów byłby przewrócić do góry nogami całe miasto, byleby cię tylko zobaczyć.

— Byłby zdolny to zrobić — przyznał Klejdemos z uśmiechem. — Tak czy inaczej, jeżeli to co mówisz, jest prawdą, nie ma żadnego wytłumaczenia dla jego zniknięcia. Ale ostatnio w mojej głowie kłębi się zbyt wiele myśli i muszę się zastanowić. Już od dzieciństwa czuję się w centrum tajemniczych zdarzeń... Od tamtej nocy, gdy Krytolaos zabrał mnie do lasu... Wiesz dokąd, prawda, matko?

Kobieta przytaknęła nie podnosząc wzroku.

— I jakimś dziwnym trafem — ciągnął — ten sam Krytolaos nigdy nie rozmawiał ze mną otwarcie, nigdy mi nie powiedział, czego naprawdę ode mnie oczekuje, kiedy zaś umarł, pojawił się Karaś. Jego obecność zawsze była mi droga i podobnie jak Krytolaos on także mnie prowadził... Wiele razy wskazywał mi drogę, nigdy jednak nie zdradził, dokąd ta droga wiedzie... Jaki jest dokładny cel. Muszę ci wyznać, matko, że nie wiem, kim on naprawdę jest. Wiem na pewno tylko jedno: Krytolaos musiał go wezwać tuż przed śmiercią... On zna tajemnicę przekłętego miecza i wie, gdzie są ukryte zbroja i broń króla Aristodemos. Lecz nadeszła pora, bym sam zdecydował o własnym losie: Karaś musi wrócić, a wtedy wszystko stanie się dla mnie jasne. Wtedy znajdę wreszcie odpowiedź na wszystkie pytania, jakie od lat sobie zadaję szukając wśród wspomnień, przywołując w pamięci spojrzenia, słowa, zdania... Być może nawet ty, matko, ukrywasz przede mną coś, co chciałbym wiedzieć...

— Och nie, synu, zawsze ci wszystko mówiłam, teraz też powiedziałam wszystko, co wiem... W naszym narodzie to mężczyźni decydują, a nie kobiety, to oni dbają o wspólne dobro. Aleja też myślę, że pewnego dnia Karaś wróci, a wtedy wszyscy się dowiemy, co należy robić.

nościach i niepostrzeżenie otoczyć budowlę. Kiedy wszakże dał znak, by zsiadli z koni, rozległo się szczekanie najpierw jednego psa, potem następnego, aż w końcu w całej okolicy nie było słyhać nic, tylko wściekłe ujadanie. Heloci mieli ze sobą psy pasterskie, które zaczęły ich ostrzegać. Przerażone konie były stawać dęba i rzeć rzucając się do ucieczki, zaskoczeni żołnierze zaś nie zdolali ich powstrzymać.

— Puśćcie je! — zawołał oficer. — Potem je wyłapiemy. Szybko, nie dajmy uciec helotom!

Tymczasem heloci, uświadomiwszy sobie niebezpieczeństwo, wymknęli się drugą stroną szukając schronienia w ciemnościach, wypadli jednak na pustą, pozbawioną roślinności przestrzeń — był to skalisty brzeg morski, po którym hulał wiatr. Niedaleko, na krańcu cypla, wznosiła się świątynia Posejdonu Ziemiotrząscy, boga morza, którego marynarze wzywali wówczas, gdy chcieli opłynąć najeżony ostrymi skałami przylądek Tenarus. Uciekinierzy próbowali się schronić w świętym przybytku, lecz na próżno, członkowie kryptei, którzy nadbiegli ze wszystkich stron, okrążyli bowiem niewielki dziedziniec przylegający do kolumnady, po czym wpadli do środka.

Wówczas heloci, wycofawszy się pod ołtarz, usiedli niczym błagalnicy, oddając się pod opiekę bogu. Spartanie przystanęli spoglądając pytająco na oficera, ten jednak dobył miecza i dał rozkaz do ataku. Żołnierze rzucili się więc na bezbronne ofiary i rozpoczęła się prawdziwa jatka. Miecze spadały nieubłaganie, zanurzając się w płataninę ciał, przebijając nagie torsy, podrzynając gardła, z których krew tryskała na poświęcony kamień ołtarza. Kolumnada świątyni rozbrzmiewała rozpaczliwym wrzaskiem i błaganiami, które mieszały się z wściekłym ujadaniem psów oraz z rżeniem przerażonych koni biegających w nocnych ciemnościach.

Tymczasem oficer wkroczył do świątyni, po chwili zaś wyszedł niosąc dwie zapalone pochodnie, by oświetlić plac. Scena, jaką ujrzał przed sobą, wydała mu się tak potworna, że chociaż był przyzwyczajony do widoku krwi, poczuł, jak żołądek wyraca mu się na drugą stronę z obrzydzenia: w mroku jego ludzie zadawali ciosy nie z dokładnością żołnierzy, lecz z brutalnością rzeźników.

Odwróciwszy wzrok od jatki, rozkazał swym wojownikom się wycofać. Na dziedzińcu świątynnym zapadła cisza; porzucone na ziemi pochodnie skwierczały roztaczając wokół drżący blask.

Nagle na tle krwawej aureoli ukazała się czarna postać; dogasające płomienie oświetliły brodatą twarz, zaciśnięte szczęki, potężne, przeraźliwie zmarszczone czoło, spod którego jedyne oko ciskało ponure błyskawice niczym żagiew.

Tamtej nocy w górach wilki wyły do późna, wprawiając w zdumienie mieszkańców Tajgetos, nie była to bowiem jeszcze pora godów. Starzy górale wszakże, usłyszawszy ów posepny chór, przewracali się na posłaniach czując, jak krew ścina im się w żyłach, niektórzy z nich zaś, przewidując wiszące nad ich narodem nieszczęście, płakali w ciemnościach gorzkimi łzami.

VIII

ANTYNEA

Wstrząśnięty Alesos zamierzał powiadomić swego pana o rzezi, jakiej Spartanie dokonali w Tenaros, lecz go nie zastał, Klejdemos wyruszył bowiem jeszcze przed świtem do Mesenii. W stajni brakowało gniadosza, którego przywiózł z Azji. Tymczasem Klejdemos, minąwszy Sellazję i pokonawszy południowe odnogi Tajgetos, schodził właśnie po zachodnim zboczu góry, kierując się ku drodze prowadzącej do wioski Thouria.

Jechał przez cały dzień, co jakiś czas zsiadając z konia, by rozprostować nogi i rozgrzać się nieco w marszu. Niebo przybrało siną barwę, wiatr zaś gnał ciemne chmury nad Zatoką Meseńską. Rozciągający się przed nim krajobraz przecinały liczne dolinki poprzedzielane grzbietami górskimi, to porośnięte lasem, to nagie i skaliste. Co pewien czas natykał się na jakiegoś pasterza, którego pytał o drogę i z którym zamieniał kilka słów. Wszyscy mówili niemal takim samym dialektem jak heloci z Tajgetos.

Usiadłszy pod skałą, zjadł skibkę chleba i garść suszonych fig, podczas gdy koń skubał pożółkłą trawę, po czym ruszył na wschód. Pod wieczór niebo zasnuły jeszcze gęstsze chmury grożące deszczem, rozejrzał się więc za jakimś schronieniem na noc. Spozrzegłszy pośrodku polany, nad niewielkim strumykiem, skromny drewniany domek otoczony płotem, zapewne należący do jakiegoś pasterza heloty, spiął konia i popędził ku niemu.

Gdy podjechał bliżej, rozległo się szczekanie psa, toteż zsiadł z wierzchowca i przystanął przed podwórzem, spodziewając się, że za chwilę ktoś wyjdzie zobaczyć, co się dzieje. Z komina unosił się dym — znak, że mieszkańcy domu właśnie wrócili po pracy. W rozwartych drzwiach pojawił się stary, lecz jeszcze krzepki mężczyzna odziany w wełniany chiton do kostek i jął się wpatrywać w ciemność. Wówczas Klejdemos postąpił naprzód mówiąc:

— Witaj, przyjacielu, na imię mi Klejdemos, jestem w drodze i zaskoczyła mnie tutaj noc. Nie mam dokąd pójść, a boję się, że będzie padać, proszę cię więc o gościnę dla mnie oraz o schronienie i trochę siana dla mojego konia.

— Masz rację — przytaknął mężczyzna — na pewno spadnie deszcz albo śnieg. Wejdz do środka, przybyszu.

Podając mu rękę Klejdemos zauważył, że tamten przygląda się jego przytroczonej do strzemienia włóczni.

— Skąd jesteś? — zapytał mężczyzna, który ruszył przodem.

— Z Megary. Jadę do Thouria po węgny.

Mężczyzna poprosił go, by usiadł.

— Nie mam ci wiele do zaoferowania — powiedział — ale jeśli zechcesz dzielić ze mną wieczerzę, będę rad.

— Chętnie zjem z tobą wieczerzę — odrzekł Klejdemos — aleja też mam coś w jukach — dodał wyciągając chleb, oliwki i ser i kładąc wszystko na stole.

— Dobrze — odparł mężczyzna — rozgość się więc i ogrzej trochę przy ogniu. Ja tymczasem zaprowadzę twojego konia do obory; on też musi być zdożony i głodny.

Klejdemos rozejrzał się dokoła. Całe umeblowanie tej nędznej chaty składało się jedynie ze stołu i dwóch zydl. W kącie leżały narzędzia: motyka i grabie, a także worek jęczmienia. Na stole zaś stała drewniana miska z korzonkami w occie z solą, dwa jajka i gliniany dzban pełen wody. Gospodarz musiał być bardzo ubogi. Pokrzątawszy się chwilę w oborze, otworzył drzwi i wszedł do izby rozcierając dłonie.

— Jest tak, jak mówiłem — stwierdził — właśnie zaczął padać śnieg. Lepiej dołożyć drew do ognia.

Chwycił wiązkę długich pędów winorośli i wrzucił je do paleniska, z którego wystrzeliły w górę piękne płomienie napel-

niając izbę odrobiną ciepła. W chacie nie było lampy; pasterz z pewnością nie mógł pozwolić sobie na palenie oliwy, skoro nie miał jej nawet tyle, by przyprawić jadło.

Przystąpili do wieczerzy. Klejdemos nałożył sobie trochę korzonków, by nie urazić gospodarza, po czym poczęstował go własnymi zapasami, czym sprawił mu wyraźną przyjemność.

— Mogę poznać twoje imię? — zapytał w pewnej chwili Klejdemos.

— Mam na imię Basjas — odparł mężczyzna. — Wybacz, że od razu ci nie powiedziałem. Widzisz, nikt tutaj nie zagłada, więc nie jestem przyzwyczajony do przyjmowania gości.

— Nie boisz się mieszkać tutaj sam? — zdziwił się Klejdemos.

— A czego? Złodzieje by się u mnie nie obłowili. Stado należy do mojego pana, który jest Spartaninem, a nikt nie odważy się okraść Spartanina. Lepiej opowiedz mi coś o sobie; masz konia i włócznię... Musisz być jakimś bogatym panem...

— Wydaje ci się dziwne, żeby kupiec krążył po świecie na koniu, na dodatek uzbrojony w włócznię? Cóż, muszę wyznać, że włócznia i koń przez długi czas były dla mnie chlebem powszednim. Całe lata walczyłem w Azji jako najemnik, dopóki pewnego dnia nie spadłem z konia i nie okulałem; wtedy postanowiłem się wycofać i zająć handlem.

— Ale czy to aby nie za wcześnie, żeby skupować wełnę? — zdumiał się Basjas. — Strzyżenie rozpocznie się dopiero za dwa miesiące albo nawet za trzy, jeśli utrzyma się brzydka pogoda.

— To prawda — przyznał Klejdemos — ale pomyślałem sobie, że jeśli przyjadę wcześniej, może uda mi się utargować lepszą cenę, a poza tym muszę się z kimś spotkać... Z człowiekiem o imieniu Pelias... Może go znasz?

Mężczyzna podniósł głowę znad talerza wpatrując się w swego gościa z pewnym zdziwieniem.

— Pelias? Znam jednego helotę o tym imieniu, który mieszka o trochę więcej niż dzień drogi stąd.

— Dzień drogi? — powtórzył Klejdemos. — To może być on. A gdyby brzydka pogoda miała się utrzymać, mógłbym go poprosić o gościnę na jutrzejszą noc... Chętnie zapłacę.

— Tak — odrzekł Basjas czyszcząc sobie brodę i zbierając okruchy ze stołu — moim zdaniem to dobry pomysł. Jego gospodarstwo znajduje się przy tej samej drodze; powinienes tam dotrzeć jutro po zapadnięciu zmroku. Twój koń nie zdoła zbyt szybko iść w takim śniegu. Jeśli się nie zgubisz, będziesz na miejscu kilka godzin po zachodzie słońca. Powiedz, że przysłała cię pasterz Basjas i że byłeś moim gościem, wtedy chętnie przyjmie cię pod swój dach. Ale jeśli możesz, daj mu coś... Jest bardzo biedny.

— On też mieszka sam, tak jak ty?

— Nie, o ile sobie przypominam, ma córkę, która mu pomaga, ale żyją naprawdę ubogo. Daj mu coś, jeżeli możesz.

Mężczyzna wstał, żeby dorzucić drew do ognia, po czym wyszedł po słomę na posłanie dla swego gościa.

— Nic innego nie mam — powiedział rozkładając ją na ziemi. — Będziesz się musiał zadowolić bardzo skromnym łóżem.

— Nie zaprzataj sobie głowy — odrzekł Klejdemos. — Jako żołnierz często sypiałem na gołej ziemi. To piękna, sucha słoma; będzie mi bardzo wygodnie. A gdzie ty będziesz spał?

— W oborze, razem z owcami.

— O, nie, nie chcę, żebyś odstępował mi swoje miejsce. Ja pójdę do obory.

— Jeśli o to chodzi, jak widzisz, jest tu dosyć miejsca dla nas obu, ale wolę spać w oborze, bo boję się, że dziś w nocy mogą krążyć po okolicy wilki.

— Skoro tak, to dobrze — zgodził się Klejdemos. — Gdybyś jednak potrzebował pomocy, obudź mnie... Mam przy sobie włócznię i mógłbym ci się przydać.

— Dziękuję ci, gościu — odparł Basjas — nie omieszkam tego uczynić. Tymczasem życzę ci dobrej nocy.

— Ja tobie też — powiedział Klejdemos.

Odprowadziwszy go do drzwi, spostrzegł, że śnieg zasypał wszystko i że nadal pada wielkimi płatami. W bladej poświacie zdołał zobaczyć podwórze i pokrytą strzechą drewnianą szopę, w której mieszkały zwierzęta. Basjas ruszył w jej kierunku pozostawiając w grubej warstwie białego puchu głębokie ślady; gdy wszedł do środka, powitały go muczenie i beczenie, po czym natychmiast zawarł za sobą drzwi.

Wpatrzony w spadające płatki Klejdemos przypomniał sobie niekończące się zimy w Tracji, bezbrzeżny smutek i samotność, długi marsz po śniegu w zbroi, która zamieniała się w lodowatą skorupę, najazdy na pogrążone we śnie wioski, wrzaski kobiet, ogień, błoto, krew... Teraz zaś śnieg, który sypał powoli, otulając świat bielusieńkim płaszczem, wydawał mu się znakiem pokoju; niemal czuł, jak przenika go na wskroś przykrywając głębokie rany, tłumy krzyk, szept, strach... Wszystko białe...

Z obory docierało zaledwie stłumione pojedyncze pobe-kiwanie — to pewnie jagnięta wtulone w matczyne runo śniły o zielonych łąkach, stojący zaś na straży olbrzymi baran o kręconych rogach poruszał co chwila parującymi nozdrzami, czując w powietrzu zapach drapieźnika... wilka.

Klejdemos otulił się płaszczem i już miał wejść do środka, w progu zatrzymał go wszakże delikatny trzask łamanych gałęzi. Wpatrzył się uważnie w ciemność, ale nikogo nie było, pewnie mu się tylko zdawało... Nagle ujrzał żółte ślepiea mrugające w mroku, po chwili zaś ruszył na niego wilk, potężny samiec o srebrzystej sierści. Przemknęło mu przez myśl, by chwycić za włócznię, nie ruszył się jednak z miejsca, spoglądając w błyszczące ślepiea. Wilk podszedł bliżej i przystanął kilka kroków od niego; podniósł pysk, jakby chciał go powąchać, dotykając ognem śniegu, po czym odwrócił się i zniknął wśród wirujących białych płatków. Pies jednak wcale nie zaszczekał, śpiące zaś w oborze zwierzęta nie okazały strachu...

Klejdemos zamknął drzwi i położył się blisko ognia wpatrzony w płomienie, migoczące błękitnym blaskiem wśród ledwie przykrytych popiołem rozżarzonych drzew. Dorzuciwszy kilka pędów do paleniska, wyciągnął się na posłaniu i otulił płaszczem. Powoli ciepło jęło się rozchodzić po jego zmęczonych członkach, oczy zaczęły się kleić, kiedy zaś zapadał w sen, usłyszał rozbrzmiewający w ciemnościach skowyt, po chwili, dalej — następny... Pies spał wszakże na zewnątrz, skulony pod wiatą, podobnie jak jagnięta wtulone w matczyne runo i olbrzymi baran o kręconych rogach.

Obudził go chłód w środku nocy; ogień zdążył już zgasnąć, izbę zaś wyziębił wiatr, przedostający się przez liczne szpary. Klejdemos dorzucił gałęzi do paleniska i tak długo dmuchał w żar, aż płomień rozpalił się na nowo. Kiedy już miał znów zasnąć, usłyszał, że skrzypnęły drzwi do obory, pies zaś "szczeknął cicho, jakby nadszedł właśnie ktoś, kogo zna. Uchyliwszy drzwi do domu, ujrzał wślizgujące się do obory postacie otulone w czarne płaszcze. Wyszedł bezszelestnie na dwór i przyczaił się pod ścianą, która znajdowała się najbliżej domu. Przez szparę między deskami widać było wewnątrz szopy, słabo oświetlone dymiącą pochodnią.

— Basjasie, przynosimy ci złe wieści: krypteja otoczyła i wymordowała naszych przywódców, którzy zebrałi się w starej olejarni obok przylądka Tenaros. Schronili się w świątyni Posejdona, ale podobno Spartanie nie uszanowali nawet tego świętego miejsca i powyrzynali wprost na ołtarzu tych, którzy się tam ukryli. Powstanie jest teraz niemożliwe, dlatego cię uprzedziliśmy, żebyś przekazał tę wiadomość dalej. Nie możemy się narażać na dalsze niebezpieczeństwa, musimy więc zaczekać, aż nadejdą lepsze czasy i wszystko ulegnie zmianie.

Basjas spuścił głowę, jakby otrzymał potężny cios.

— Nikt nie ocalał? — zapytał po długim milczeniu.

— Nikt — odrzekł jego rozmówca. — Naszym ludziom pozwolono przynajmniej pogrzebać ciała.

— Strażnik też... zginął?

— Nie, jego ciała tam nie było. Może udało mu się uciec, a może przyszedł, kiedy było już po wszystkim, i się oddalił.

— Spartanie mogli ukryć jego zwłoki. Nikt go więcej od tam nie widział?

— Z tego co wiemy, nie. Ale po co mieliby chować jego zwłoki? Nie mieli żadnego powodu. Nie, on na pewno żyje, na pewno się gdzieś ukrył. Ktoś nas zdradził, więc prawdopodobnie nikomu już nie ufa, ale bądź pewny, że się pojawi i sam nam powie, kiedy nadejdzie dzień zemsty albo... wolności.

Wszyscy trzej umilkli na chwilę, Klejdemos zaś wstrząśnięty tym, co usłyszał, drżał ze wzburzenia i gniewu, nie czując nawet chłodu. Tymczasem chmury się rozrzędziły, a na czystym niebie świeciły gwiazdy.

— Ktoś jest w twoim domu — przemówił w końcu jeden z przybyłych. — Widzieliśmy dym z komina i odbłask ognia w palenisku.

— Tak — przytaknął Basjas — to wędrowiec, który poprosił mnie o gościnę na noc. Powiedział, że pochodzi z Megary i jest kupcem, kiedyś zaś walczył jako najemnik w Azji, ale zrobił na mnie dziwne wrażenie: nie mówi jak Megarejczyk, ale raczej jak Lakończyk.

— Bądź ostrożny, bo po okolicy płaczą się szpiegdy kryptei. Spartanie są bardzo podejrzliwi i próbują się pozbyć tych z nas, którzy wyglądają na buntowników.

— Na wszystkich bogów! — zawołał Basjas. — Jeżeli jest tak, jak mówisz, zabiję go i na pewno nie powstrzyma mnie przed tym zasada gościnności, podobnie jak Spartanie nie poszanowali zasady nienaruszalności świątyni Posejdona.

— Nie, Basjasie, bez względu na to, kim jest ten człowiek, nie wolno ci podnieść na niego ręki. Niech Spartanie płamią się świętokradztwem i ściągają na siebie gniew bogów. Gdyby on rzeczywiście był szpiegiem kryptei, nie byłoby ci łatwo go zabić, a gdyby ci się jednak udało, zemsta Sparty znów okryłaby żalobą nasze ziemie. Zegnaj, Basjasie, niechaj bogowie mają cię w opiece.

Przybysz wstał i otulił się płaszczem. Klej demos zaś wycofał się zacierając ślady połą chlamidy i ledwie zdążył wrócić na czas do domu.

Dwaj mężczyźni wyszli na zasypane śniegiem podwórze i w milczeniu ruszyli ścieżką wiodącą na wschód. W oborze zgasło światło, Klejdemos zaś położył się z rozdartym sercem. Cierpienie nie pozwalało mu zasnąć; w uszach ciągle rozbrzmiewały słowa tamtych ludzi, wyobrażał sobie rzeź, krzyki, rżenie w agonii, krew zalewającą ołtarz... Jedna myśl nie dawała mu spokoju: kim był człowiek, którego Basjas nazwał „strażnikiem”? Nawet Krytolaos nigdy nie wymawiał przy nim tego słowa ani nie wspominał o podobnej postaci, mimo to w głębi duszy wyczuwał, że musi istnieć rozwiązanie tej zagadki.

Długo przewracał się na posłaniu nie mogąc zasnąć, aż jego myśli poszybowały ku Antynei, przed oczyma zaś ujrzał wyraż-

nie obraz jej twarzy. Wówczas nadszedł zbawczy sen zdejmując mu ciężar z serca i zmęczenie ze steranego ciała.

Tymczasem wiatr przegnał chmury, nad wzgórzami Mese-nii zaś lśniło siedem najjaśniejszych gwiazd Wielkiej Niedźwiedzicy.

Klejdemos bez trudu utrzymywał kierunek, jako że ścieżka, choć przykryta śniegiem, biegła dnem doliny, nie sposób więc było ją zgubić, chyba że człowiek wdrapałby się na skaliste zbocza gór. Posuwał się zatem naprzód o wiele szybciej, niż przypuszczał. Od pewnego momentu ścieżka prowadziła ku morzu i znajdowało się tam mniej śniegu niż w jej wyższych partiach. Wkrótce po zachodzie słońca głodny i zmęczony, nie zatrzymał się bowiem po drodze ani razu, dotarł do gospodarstwa, w którym powinien mieszkać Pelias.

Opuściwszy ścieżkę, popędził konia w górę zbocza, aż znalazł się nad małą chatą otoczoną zagrodami dla zwierząt. Po wschodniej stronie rozciągał się gaj oliwny i winnica, na którą składała się może setka roślin, z powodu ciemności niewiele wszakże było widać. Spojrzawszy na chatę, stwierdził, że z komina leci dym. Wreszcie dotarł na miejsce... Za chwilę zjedzie tam i zapuka do drzwi, a nabrzmiałe serce samo podsunie mu właściwe słowa.

Wejdzie wraz z wieczornym wiatrem, starszy o wszystkie minione lata, z duszą rozdartą przez wątpliwości, wejdzie niczym wilk, którego przygnały zimno i głód... Klejdemos pogładził po szyi konia, który z oszronionych chrap wypuszczał obłoki białej pary. Mróz ponownie skuwał ziemię i usztywniał kończyny. Kiedy Klejdemos dotknął końskich boków piętami, wierzchowiec zaczął schodzić po zboczu. Nagle rozszczękał się głośno uwiązany na łańcuchu pies. Gdy Klejdemos znalazł się pośrodku podwórza, drzwi się otworzyły i stanęła w nich jakaś postać... Antynea... Czarna sylwetka na tle różowego blasku ognia... Nie widział ani jej oczu, ani twarzy... Postać przyciskała do piersi szal podnosząc głowę, jakby chciała dojrzeć w ciemnościach nieruchomego niczym posąg jeźdźca siedzącego na grzbiecie pokrytego szronem wierzchowca.

Pies przestał szczekać i wokół zaległa głęboka cisza. Kobieta zadrżała na widok tajemniczego jeźdźca, który dzierzył

włócznie i nie miał odwagi przemówić. Po chwili usłyszała cichy, niemal ochryply szept:

— Antynea...

Głos natychmiast ucichł, jakby ktoś go zdławił. Postąpiła krok do przodu, podczas gdy z wnętrza chaty dobiegło trwożliwe pytanie:

— Jest tam kto?... Jest tam kto?

Kobieta wyteżyła wzrok, usiłując dojrzeć rysy twarzy jeźdźca, kiedy zaś ponownie usłyszała swoje imię, serce jej się ścisnęło i ugięły się pod nią kolana.

Jeździec właśnie zsiadł z konia i ruszył ku niej w promieniach bladego światła wydobywającego się przez otwarte drzwi.

— Zimno mi — powiedział głos ze środka.

Przyjrzała mu się uważnie drżąc jak liść: miał twarz okoloną czarną brodą, spod zmarszczonego czoła zaś patrzyły lśniące oczy... Wokół oczu widniały zmarszczki, a w kącikach ust podobna do blizny bruzda, która nadawała im wyraz goryczy, lecz płonące oczy wezbrane były łzami, zupełnie jak tamtego odległego dnia na równinie, gdy patrzył, jak odjeżdża, i podniósł wysoko ramiona na pożegnanie, stojąc na tle zachodzącego słońca.

Nie zdołała wykrztusić słowa ani się poruszyć, podczas gdy on szedł ku niej powtarzając jej imię coraz głębszym i pewniejszym głosem. Kiedy zaś płomień z paleniska dokładnie go oświetlił, oderwała ręce od piersi i przysunęła do jego twarzy. Dopiero gdy go dotknęła, poczuła ciepło łez.

— To ty — powiedziała głaszcząc go po policzkach, dotykając oczu, czoła, szyi. — Wróciłeś... Wróciłeś do mnie.

Głos drżał jej coraz bardziej, kiedy ciągle powtarzała „wróciłeś”, aż wreszcie wybuchnęła płaczem, nie panując nad sobą.

Widząc, że zaraz upadnie, objął ją i okrył szerokim himationem, po czym przytulił mocno, stojąc wyprostowany na śniegu i cicho łkając. Nocny wiatr rozwiewał mu włosy zamieniając łzy na jego policzkach w kryształki lodu, on wszakże nie czuł nic z wyjątkiem uderzeń serca Antynei, które zdawały się przywracać go do życia, chociaż myślał, że na zawsze je utracił. Kiedy wreszcie odsunął ją od siebie i podniósł jej twarz, spostrzegł,

że czas nie odcisnął swego piętna na jej wilgotnych oczach... jakby się zatrzymał. Był to ten sam wzrok, którego nigdy nie zapomniał, spojrzenie, którym pewnej pochmurnej nocy na dalekim Cyprze posłużyła się bogini, by go uwieść, blask, którego tak wiele razy szukał na próżno u kobiet z Azji i Tracji, światło przejrzyste niczym woda w strumieniu, światło odległych, ciepłych, pełnych kwiatów wiosen, gorące jak słońce...

Objąwszy ją w tali ramieniem, poprowadził do ciągle otwartych drzwi. Siedzący przy ogniu, okutany derką starzec skamieniał na ich widok. Pomyślał, że pewnie słaby wzrok go myli, dopiero więc słysząc, jak jego córka oznajmia, że Talos wrócił, podniósł sękatę dłoń szepcząc:

— Bogowie nieśmiertelni... Bogowie nieśmiertelni... Dzięki wam, żeście pocieszyli starego niewolnika.

Drzwi zamknęły się za nimi i choć Klejdemos zapomniał uwiązać swego wierzchowca, zwierzę i tak samo znalazło sobie miejsce do spania pod wiatą. Dumnemu koniowi, przywykłemu do świstu strzał i potwornego ryku rogów bojowych, wcale nie przeszkadzało nieśmiałe pobekiwanie jagniąt. Nazajutrz przecież jego pan pojawi się dzierząc w dłoni lśniącą włócznię i pogłodzi go po jasnej grzywie.

Klejdemos całymi godzinami opowiadał Peliasowi i Antynei, co się wydarzyło w ciągu tych wszystkich lat, gdy przebywał daleko stąd, aż w końcu zdał sobie sprawę, że starzec jest już zbyt zmęczony. Chwycił go więc w ramiona, zaniósł do jego izby i ułożył na pościeli. Był tak wychudzony, że Klejdemosowi zdawało się, iż trzyma na rękach dziecko, jednocześnie zaś zastanawiał się, na jakie życie skazała się Antynea, aby zaopiekować się chorym ojcem i pracować w polu. Zawarłszy za sobą drzwi do małej izdebki, usiadł z powrotem przy ogniu. Antynea dorzuciła drew do paleniska i zgasiła lampę.

— Wierzyłaś, że jeszcze kiedyś wrócę? — zapytał zniecierpliwiony.

— Oczywiście bardzo tego pragnęłam, ale wolałam o tym nie myśleć, żeby niepotrzebnie nie cierpieć. Moje życie i bez tego było wystarczająco ciężkie. Co jakiś czas odwiedzał nas Karaś, szczególnie w okresie żniw, pomagając mi w najtrud-

niejszych pracach. Rozmawialiśmy wtedy o tobie, o czasach, gdy mieszkaliśmy wszyscy razem w górach.

— Wiedziałaś, że wróciłem do Sparty?

— Nie, nie widziałam Karasa prawie od roku.

— Wróciłem pod koniec lata i mieszkam teraz w domu Kleomenidów.

— Teraz jesteś... Spartaninem.

— Jestem sobą, Antyneo, i wróciłem do ciebie.

Antynea wstała nie odrywając od niego oczu i rozpięła klamry spinające peplos. Pozwoliła mu opaść na klepisko, po czym rozwinęła taśmę opasującą biodra.

— Powiadają, że azjatyckie kobiety mają ciała gładkie jak marmur i pachnące kwiatowymi olejkami — oznajmiła spuszczać głowę, tymczasem Klejdemos przytulił ją z neodpartą siłą, położył na wołowej skórze przy ognisku i zaczął całować z nieskończoną słodyczą, drżąc zupełnie jak wtedy, gdy uświadomił sobie, że ją kocha. Kiedy zaspokoił swe pragnienie, zasnął zmęczony z głową na jej brzuchu. Antynea zaś długo mu się przyglądała gładząc go po włosach, nie mogąc się nasycić widokiem jego spalonej przez letnie słońce i ogorzałej od zimowego mrozu, pobrużdżonej od udreki i niepokoju twarzy, tak wprawdzie różnej od tej, którą przez tyle lat oglądała oczyma duszy, a przecież tej samej, którą pokochała za pierwszym razem. Nadeszła wreszcie pora, by powrócić do życia, czy też chwila ta była jedynie błyskiem światła, które rozjaśniło na krótko jej los, lecz wkrótce zniknie pozostawiając ją w mroku? Z pewnością Klejdemos znów wyjedzie... lecz czy kiedykolwiek wróci? Choć nie mogła znać zamiarów bogów, którzy decydują o ludzkim losie, wiedziała, że pragnęła tej chwili bardziej niż czegokolwiek na świecie, i właśnie dlatego mogła się bez końca przyglądać jego twarzy.

Dawniej noc często wydawała jej się straszna i nieskończenie długa, ona zaś czekała, aż światło dnia uwolni ją od ponurych przywidzeń, teraz wszakże pragnęła, by trwała wiecznie, trzymała bowiem w ramionach słońce — czuła jego ciepło i życie.

Na myśl o tym, w jaki sposób ją posiadał i złożył w jej łonie nasienie, z którego rodzi się dziecko, poczuła lęk, czyż nie

przyszło mu bowiem do głowy, że gdyby powiła mu syna, ciążyłoby na nim to samo przekleństwo?... Syn Sparty i syn narodu niewolników? A może o wszystkim już zapomniał, podobnie jak ona ulegając niezwyciężonej sile? Wprawdzie wkrótce ciepłe zefiry miały przywiać wiosnę, kiedy to rośnie gorzki piołun, którego liście wywołują gwałtowne skurcze łona i unicestwiają zagnieżdżone w nim życie... nie zamierzała jednak tego robić.

Jej ojciec Pelias długo nie pożyje, ona zaś nie wie, jaką przyszłość przyniesie jej los, ale i tak nie będzie żuła liści piołunu... Spojrzała jeszcze raz na tę twarz, czoło, na te dłonie, pragnąc z całego serca, by mogła wciąż się nimi cieszyć, oczyma duszy widziała łąki w Tajgetos, które wraz z nadejściem wiosny znów zakwitną, na jagnięta na wysokich pastwiskach i na białe odrosłe na równinie, nie zdając sobie sprawy, że ogarnęła ją senność i że śni wyciągnięta na wołowej skórze.

IX

ZIEMIOTRZĄSCA

— Nie wracaj tą samą drogą — przestrzegł go Pelias. — W dolinie spadło pewnie więcej śniegu i nie dasz rady się przedostać. Kieruj się na wschód, aż dotrzesz do rzeki Parmisos, a wtedy pojedź do góry, do rozstajów. Tam skreć w prawo, ku Gatheai i Belminatis, dokąd dojdiesz po jakichś dwóch dniach. Następnie udaj się do Karistos, które leży w dolinie Eurotasu, stamtąd zaś podążaj na południe i po kolejnym dniu drogi już znajdziesz się w Sparcie. Będziemy z niepokojem czekać na wieści od ciebie i postaramy się dać ci znać, co z nami. Niechaj bogowie cię prowadzą i mają w swej opiece... Nawet nie wiesz, ile otuchy dodała nam twoja obecność.

— Przyślę kogoś, żeby pomógł wam w polu — obiecał Klejdemos narzucając na ramiona himation. — Tymczasem dzięki pieniądzom, które zostawiłem, nie powinno wam niczego zabraknąć. Kiedy już będę w Sparcie, sprawdzę, co się działo podczas mojej nieobecności, i postaram się dowiedzieć, jak moglibyście wrócić. Może eforowie pozwolą wam zamieszkać na mojej ziemi. Bez wątpienia się zgodzą, jeśli o to poproszę i uiszczę odpowiednią daninę do skarbcza. Kiedy znów będziemy razem, wszystko się zmieni... Może zdołamy jeszcze kiedyś zaznać szczęścia albo przynajmniej pocieszenia po tych wszystkich latach rozłąki.

Uściskawszy ich mocno oboje, wsiadł na grzbiet konia i ruszył w drogę. Przez pewien czas posuwał się galopem, potem wszakże ściągnął cugle i zwolnił. Słońce wyjrzało właśnie zza

chmur, gdy dotarł nad brzeg Parmisos, niezbyt długiej, lecz bystrej rzeki o ciemnych wodach. Jechał wzdłuż jej koryta aż do południa mijając po drodze dwie małe wioski, wczesnym popołudniem zaś dotarł do rozstajów. Posiliwszy się w cieniu murku, który otaczał gaj oliwny, ruszył dalej wzdłuż prawego dopływu Parmisos. Zaczynało się ściemniać, kiedy po lewej stronie ujrzał nagi szczyt, dominujący nad łańcuchem wzgórz porośniętych z rzadka pistacjami i krzewami jałowca. Na wierzchołku wznosiły się jakieś budowle, pomyślał więc, że może znajdzie tam schronienie na noc. Zboczywszy z drogi w ścieżkę z ubitej ziemi, wkrótce stanął u stóp góry. Osobliwie odosobnione miejsce ziało pustką i jak okiem sięgnąć nigdzie nie było żadnej wioski ani nawet domu. W miarę jak wspinał się coraz wyżej, mgliste kształty, które dostrzegł na szczycie wzgórza, nabierały coraz wyraźniejszych kształtów, aż wreszcie zobaczył przed sobą ruiny jakichś murów, walące się, poobtlukiwane wieże, wznoszące się gdzieniegdzie ponad na wpół rozpadniętym ogrodzeniem — nie miał żadnych wątpliwości, to musiało być wymarłe miasto helotów!

Zatrzymał konia zdjęty trwogą i już miał zawrócić, ciekawość okazała się wszakże silniejsza od strachu, ruszył więc dalej. Słońce jeszcze całkiem nie zaszło, toteż wierzchołek góry lśnił ciągle słabym blaskiem. Mur musiał być bardzo stary; jego podstawę tworzyły ledwie ociosane olbrzymie głazy. Gdy wdrapał się wreszcie na szczyt, było już ciemno. Przeszedł przez jedną z bram, z której pozostała tylko ościeżnica, reszta zaś leżała na ziemi w dwóch kawałkach. Posuwał się naprzód krążąc wśród ruin i mimo tych wszystkich mrozących krew w żyłach opowieści, które słyszał w dzieciństwie na temat owego przekłętogo i świętego miejsca, o dziwo wcale nie czuł lęku... Pod tymi kamieniami, w jakichś tajemniczych podziemiach, spoczywał król Aristodemos, ten, który pewnego dnia chwycił wielki rogowy łuk.

Cofnął się do muru, by znaleźć schronienie na noc i uwiązać konia. Chętnie roznieciłby ogień tak, jak się tego nauczył od Traków — pocierając o siebie dwa kawałki dobrze wysuszonego drewna, niestety zdołał znaleźć zaledwie parę wilgotnych gałązek. „Oto jak się rodzą baśnie, powiedział sobie w duchu.

Gdyby udało mi się rozpaść ogień, ciekawe, co by pomyślał przechodzący doliną pasterz na widok światła drgającego wśród ruin wymarłego miasta!"

Zdjąwszy z konia derkę, położył się pod murem. Jako że właśnie wzeszedł księżyc, mógł wyraźnie zobaczyć ciągnące się daleko ruiny —■ musiało to być duże i ważne miasto, z pewnością jednak od niepamiętnych czasów nikt w nim nie mieszkał ani nie starał się go odbudować po jego zniszczeniu. Powędrował myślami ku Krytolaosowi, ku Karasowi, ku wszystkim tym, którzy zawsze pragnęli wolności dla mieszkańców gór, na myśl zaś o rzezi na przylądku Tenaros ogarnęło go przygnębienie. Stanowiła ona niestety odpowiedź na wszelkie dążenia helotów. Wraz z Pauzaniaszem rozwiła się jedyna nadzieja na prawdziwe zmiany, polegające na zburzeniu instytucji miejskich przez regenta, którego poparłaby przynajmniej część Jednakowych, z zewnątrz zaś być może Ateńczycy. Teraz wszakże nie było już żadnego sposobu, by ziścić ów plan, po wygnaniu Temistoklesa władzę w Atenach przejęli bowiem ludzie wrodzy wszelkiemu postępowi, sprzyjający eforom, którzy wywierali ogromny wpływ na króla Plejstarchosa, syna Leonidasa, i na młodego Archidamosa. Obaj byli wprawdzie waleczni, lecz brakowało im doświadczenia i raczej nie potrafiliby się wyrwać spod kurateli gerontów i eforów. A przecież pamięć o upadku miasta Itome podsyciała dumę helotów i nadzieję Krytolaosa.

Klejdemos skulił się pod derką usiłując zasnąć, w głowie zaczęły mu się jednak kłębić rozmaite myśli, odległe słowa, zdania, jakieś mgliste obrazy, które jeły nabierać wyraźnych konturów... Przypomniawszy sobie ów przerażający sen, który miał tamtej nocy, gdy jako chłopiec zasnął przyciskając do piersi królewski luk... przepowiednię Pytii Perialli... tajemnicze zdanie wypowiedziane przez Karasa na polu bitwy pod Platejami: „Przypomnij sobie te słowa, Talosie, synu Sparty i synu swego narodu, kiedy ujrzysz mnie ponownie...” — dzień, który zapewne miał wkrótce nastąpić. Słowa umierającego Krytolaosa... „przyjdzie do ciebie człowiek ślepy na jedno oko. On może zdjąć kłatwę z królewskiego miecza...” Co miał na myśli Krytolaos? A napis na steli grobowca Ismeny... Kto kazał wyryć dodatkowe słowa? Jakie zawierały przesłanie? Cóż to był za cenny dar? Może życie

Brytosa, które pragnął ocalić król Leonidas? Kto jednak mógł znać zamysły monarchy, który poległ w walce pod Termopilami? Nikt ze Spartan nie przeżył, nikt oprócz Brytosa i Agiasa nie powrócił spod Termopil... Kto mógł znać zamysły króla?

W końcu powieki opadły mu ze zmęczenia, po czym Klejdemos pograżył się we śnie wśród murów Itome, umarłego miasta... Wówczas wydało mu się, że widzi, albo też mu się to przyśniło, mały obóz... a w nim śpiącego Brytosa... znużonego sennością Agiasa, zbliżający się cień... który pochyla się nad Brytosem, jakby po coś sięgał, po chwili zaś znika... Bogowie wszechmogący! List od króla! List od króla!

Klejdemos usiadł raptownie. Nagle wszystko stało się zupełnie jasne: otóż dar króla Leonidasa, o którym wspominał napis na steli grobowca Ismeny, to było życie Brytosa (a może także i jego?), które król pragnął ocalić. Przydzielił mu nawet towarzysza, Agiasa, i hełotę (co naprawdę wiedział król na temat owego hełoty, kulawego Talosa?) i wręczył list, który miał oddać eforom i gerantom. Co było napisane w liście? Nikt tego nigdy nie wyjawiał. Sam Brytos w okresie, gdy walczyli ramię w ramię w Fokidzie i Beocji, powiedział, że ów list zawsze otaczała tajemnica. Brytos zastanawiał się bez ustanku, dlaczego krążyła pogłoska, jakoby on wraz z Agiasem użyli podstępu, by ocalić własną skórę uciekając spod Termopil, i dlaczego eforowie nigdy nie uczynili nic, by tej pogłosce zaprzeczyć. Rozpuszczono wręcz plotkę, jakoby w liście w ogóle nic nie było napisane, ale to nie miało sensu: przecież nie istniał żaden powód, dla którego król Leonidas wysłałby do Sparty list pozbawiony wszelkiej treści. Chyba że zwój pergaminu został podmieniony... tamtej nocy podczas postoju. Ten, kto kazał wyryć ostatnie trzy wersy na steli grobowca Ismeny, zdawał się znać ostatnią wolę króla, bez wątplenia zawartą w oryginalnym liście, który Brytos i Agias wieźli do Sparty. Teraz zaś owa ostatnia wola, ukryta w słowach wyrytych w kamieniu nagrobnym jego matki, stała się znakiem dla ostatniego z rodu Kleomenidów... A może dla Talosa Wilka? Ale któż mógł je dopisać — jeden z eforów, a może z gerontów? To było bardzo dziwne...

Chwilami sam już nie był pewien, czy rzeczywiście widział tamtej nocy, jak ktoś zakrada się do Brytosa, sam już nie wie-

dział, czy to mu się nie przys'niło... Nie potrafił odróżnić snu od jawy we własnym życiu.

Miał nadzieję, że noc przyniesie mu ukojenie, przestał się więc zadreżać, doszedł bowiem do wniosku, że dopiero w Sparcie zdola rozwiązać swoje wątpliwości i znaleźć odpowiedzi na pytania, które nie dawały mu spokoju. Miejsce, w którym się położył, było suche, a gruba wełniana derka zapewniała dość ciepła, toteż udało mu się ponownie zasnąć. Wiatr tymczasem ucichł i wokół panowała głęboka cisza. Nagle rozległ się łopot skrzydeł — to drapieżne ptaki poderwały się w ciemnościach do lotu z posępnych ruin w poszukiwaniu pożywienia.

Tuż przed świtem obudziło go niespodziewanie rzenie konia; zwierzę było niespokojne, jakby coś je przstraszyło — grzebało kopytem i głośno dyszało. Gdy Klejdemos wstał próbując go uspokoić, koń stanął dęba usiłując się wyswobodzić i ponownie rżąc z przerażenia. Klejdemos rozejrzał się dokoła, lecz nic nie zobaczył, podszedł więc do wierzchowca i jał doń przemawiać łagodnie, jednocześnie rozplątując wodze, którymi był przywiązany do krzewu. Spróbował pogłaskać go po pysku, koń wszakże nie dawał się uspokoić, przeciwnie — sprawiał wrażenie coraz bardziej zaleknionego. Klejdemos podniósł zatem z ziemi derkę nie wypuszczając wodzy i pociągnął zwierzę poza mury.

W tej samej chwili usłyszał głuchy pomruk, jakby dobywający się spod ziemi zdławiony ryk. Ogarnął go strach, oto bowiem nagle wszystkie opowieści, jakie słyszał w dzieciństwie na temat tego miejsca, wydały mu się prawdziwe, toteż zaczął żałować, że w ogóle się tu znalazł. Gdy usiłował przeprowadzić konia dołem zbocza, usłyszał kolejny pomruk i poczuł, że ziemia drży — najpierw nastąpił lekki wstrząs, po nim zaś drugi, silniejszy, po którym zachwiał się na nogach, a na koniec jeszcze jeden, tym razem bardzo mocny, po którym upadł na ziemię wraz z koniem i o mało nie został przezeń stratowany. Podczas gdy turlał się po błotnistej ścieżce, rozległ się głośny łoskot, kiedy zaś się podniósł, ujrzał walące się z murów i wież ogromne głazy. Ziemia zatrzęsa się ponownie, po czym posypały się następne kamienie, wzniesając tuman pyłu — to bogowie niszczyli pozostałości po Itome, nad którym kłębiły się ołowiane, nabrzmiałe od deszczu chmury.

Nagle sine niebo przecięła błyskawica zalewając wzgórze oślepiającym blaskiem, po niej zas' rozległ się potworny grzmot. Wkrótce pojawiły się kolejne błyskawice rzucając na ziemię przypominające widma cienie murów i wież. Towarzyszył im tak silny łoskot piorunów, jakby ziemia się miała zaraz otworzyć pochłaniając całe miasto.

Skamieniały ze zgrozy Klej demos przyglądał się temu przekonany, że oderwane od fundamentów mury za moment zawałą mu się na głowę i go pogrzebią, po chwili jednak obejrzał się do tyłu i puścił pędem w dół zbocza, biegnąc na złamanie karku, potykając się, wciąż to przewracając, to podnosząc się na nowo, cały ubłocony, z zakrwawionymi łokciami i kolanami, aż zatrzymał się u stóp góry. Wówczas zawołał konia, który przygalopował z płaczącymi mu się między nogami wodzami, i wskoczył mu na grzbiet wściekle bijąc go po bokach piętami. Zwierzę pokłusowało w dal chłuszcząc powietrze ogonem, wypuszczając przez rozszerzone chrapy kłęby gorącej pary i wytrzeszczając oczy przy każdej błyskawicy przecinającej niebo. Jeździec nie przestawał go popędzać do szaleńczego galopu po wąskiej ścieżce, którą jeły zalewać strugi deszczu. Po chwili zerwał się silny wiatr, deszcz zaś przeszedł w ulewę, Klej demos wszakże ciągle gnał na oślepa jak oszalały, lecz słysząc, że oddech konia staje się krótki i urywany, ściągnął wodze, by zwolnić. Wydostawszy się z burzy, kazał mokremu od deszczu i potu wierzchowcowi iść truchtem. Minał po drodze jedną wioskę, po niej następną, a wszędzie przerażeni mieszkańcy grzebali rękami wśród ruin domów albo usiłowali schwytać zwierzęta, które ze strachu przewracały ogrodzenia i pouciekały na pola.

Późnym popołudniem wyczerpany i głodny dotarł do Gatheai, pod wieczór zaś do Belminatis, które zostały bardzo zniszczone przez trzęsienie ziemi. Stopniowo zdał sobie sprawę, że im bardziej zbliża się do Lakonii, tym jego skutki są poważniejsze. Drewniane domy wprawdzie ocalały, murowane jednak zawałiły się pod wpływem wstrząsów. Wszędzie napotykał zalane łzami kobiety, oszołomionych mężczyzn, którzy błakali się wśród gruzów bądź kopali wśród kamieni, dzieci, które krzyczały rozpaczliwie wołając rodziców, być może już pogrzebanych pod ruinami własnych domów. Przespawszy

się znużony wysiłkiem i niepokojem w jakiejś stodole, ruszył w dalszą drogę w kierunku Makistos, przystając co jakiś czas, by dać koniowi odpocząć. Zastanawiał się pełen obaw, co się stało z jego domem i jak się czuje matka. Teraz było już wiadomo, że trzęsienie ziemi ogarnęło sporą część Peloponezu, toteż nie mógł mieć pewności, czy gospodarstwo Peliasa i Antynei również nie uległo zniszczeniu. Okazało się wkrótce, że wstrząsy dosięgły także Makistos, gdzie ujrzał setki trupów leżących na ulicach, w miarę zaś jak ci, co ocaleli, odguzowywali ruiny zawalonych domów, przybywały następne. Klejdemos zatrzymał dwóch jeźdźców, którzy galopowali od strony południa.

— Skąd jesteście? — zawołał.

— Z Tegei. Ktoś ty?

— Jestem Klejdemos, syn Arystarchosa, Spartanin. Jakie macie wieści z miasta?

— Złe — odparł jeden z nich potrząsając głową. — Większość domów się rozpadła albo grozi zawaleniem. Są tysiące zabitych. Poszukuje się zdrowych mężczyzn od odguzowywania i utrzymywania porządku. Zginęło wielu gerontów, a także paru eforów. Wszędzie panuje przerażający zamęt.

— A co z królem?

— Król Archidamos żyje; jeden z moich kompanów widział go w pobliżu akropolu, gdzie urządził kwaterę główną. Nic nie wiem o królu Plejstarchosie.

— Dokąd teraz jedziecie?

— Na północ, szukać pomocy: do Arkadii, jeśli trzeba, nawet do Achai, ale jak dotąd wszędzie widzieliśmy tylko śmierć i ruiny. Spotkaliśmy dwóch żołnierzy gwardii królewskiej, którzy podążali właśnie do Sykionu i Koryntu, by sprowadzić posiłki. Amyklai zostało zrównane z ziemią, Gytejon zaś prawie doszczętnie zniszczony. Jeśli masz kogoś z bliskich w Sparcie, śpiesz się, bo miasto jest płdrowane.

Jeźdźcy pogalopowali na północ, podczas gdy Klejdemos pognał w przeciwnym kierunku okładając konia wodzami.

Po drodze mijał kolumny uchodźców z wozami i jucznymi zwierzętami, grupy powalanych błotem jeźdźców, którzy pędzili poganiając konie i krzykiem torując sobie drogę wśród morza ludzi pozbawionych dachu nad głową i środków do życia. Zo-

stawiwszy za plecami na pół zniszczoną Sellazję, dotarł do brzegów mętneho, wezbranego Eurotasu; jeśli tylko koń wytrzyma ów ogromny wysiłek, jakiego od niego żądał, wkrótce powinien się znaleźć w Sparcie. Wielkoduszne zwierzę galopowało z brzuchem przy ziemi, rytmicznie wysuwając łeb do przodu i wyginając potężną, nabrzmiałą od mięsni szyję. Klejdemos musiał je wszakże powściągać co jakiś czas, bo jego serce mogłoby tego nie znieść.

W miarę jak zbliżał się do miasta, obraz potwornych zniszczeń przybierał na sile; wiele wiosek obróciło się w kupy gruzu, gdzie nie został nawet kamień na kamieniu. Skoro wstrząsy, które słyszał w Itome, były zaledwie dalekim echem przeraźliwego trzęsienia ziemi, jakie zmiotło z jej powierzchni całą Lakonię i powaliło siedem miast zaskakując większość ich mieszkańców we śnie, zagłada musiała ogarnąć całe narody.

W pewnej chwili spostrzegł oddziały uzbrojonych hoplitów, którzy pilnowali rozstajów dróg, niekiedy zaś patrolowali wsie zapuszczając się w zalane deszczem pola, czego nie potrafił sobie wytłumaczyć. Patrole stawały się coraz częstsze i składały się nawet z młodziutkich chłopców i rannych, którzy choć cali w bandażach, i tak dzierżyli tarcze z czerwoną lambdą. Klejdemos wcale nie chciał wiedzieć nic więcej, martwił się bowiem o los matki.

Wreszcie tuż przed zapadnięciem nocy dotarł w pobliże domu Kleomenidów. Jako że widział jedynie jakiś ciemny zarys, nie mógł się zorientować, czy budynek nadal stoi czy też jest jedynie bezkształtną kupą gruzu. Gdy doszedł do dziedzińca, odetchnął z ulgą: wprawdzie tu i ówdzie przecięto mur kilka pęknięć, a część dachu się zawaliła, masywna kamienna budowla wytrzymała, chociaż rozpadły się stajnie i chaty wieśniaków. Wewnątrz nie paliło się jednak światło i nie słychać było żadnych dźwięków. Pchnął drzwi zastawione gruzem i wszedł do środka; w palenisku był jeszcze żar, zdołał więc podsycić ogień i zapalić pochodnię.

Wiele belek na suficie powysuwało się podczas wstrząsów i zwiśla teraz luźno nad podłogą. Klejdemos kilkakrotnie zawołał matkę i Alesosa, lecz nikt nie odpowiadał; biegał od komnaty do komnaty, jednakże nikogo nie zastał — dom był całkowicie

pusty, mimo że poprzedniej nocy ktoś rozpałił ogień, wokół zaś nie widział śladów krwi. Łoże w sypialni matki pokrywała warstwa gruzu i pyłu, sprawiało jednak wrażenie, jakby nikt na nim nie spał. Klejdemos wrócił do przestronnego prostasu i usiadł przy ogniu pełen niepokoju. Co się tu stało, kiedy go nie było? Wyglądało na to, że matka opuściła dom... albo może ktoś ją wyrzucił siłą, podczas gdy on przebywał daleko? Nie potrafił sobie wyobrazić, że odeszła, nie zostawiwszy mu żadnej wiadomości. W tej chwili był wszakże tak zmęczony, że nie miał siły szukać jej w pogrążonych w ciemnościach wioskach albo gorzej: w zniszczonym mieście. Wyszedł na dwór, by oporządzić konia. To biedne, mokre od potu i wycieńczone zwierzę mogłoby paść trupem w nocy od powiewu zimnego wiatru. Wytarł go jak mógł wiązką siana, które znalazł po omacku wśród ruin stajni, okrył derką i zaprowadził pod dach, po czym nasypał mu trochę obroku i dopiero wtedy wrócił do domu. Nie dbając o to, że pod wpływem kolejnego wstrząsu na wół rozwalony dach mógłby mu spaść na głowę, przysunął łóżko do ognia i rzucił się na nie bez czucia.

Z dala dobiegały przytłumione jęki i wrzaski udręczonego miasta i płacz niewyciężonej Sparty.

Hen, na przyłasku Tenaros, zalana przez bałwany świątynia Posejdona zadrzała w posadach, posąg boga zaś, którego marynarze zwali Ziemiotrząską, spadł z piedestału i poturlał się pod poplamiony jeszcze krwią ołtarz.

Klejdemo wstał przed wschodem słońca, obudził go bowiem ryk zgłodniałych wołów, które ocalawszy z trzęsienia ziemi, błąkały się po ruinach obory w poszukiwaniu pożywienia. Usiadł na chwilę próbując uporządkować rozbiegane myśli. Niepokoiło go zniknięcie matki, jednocześnie wszakże żywił nadzieję, że schroniła się wraz z Alesosem w górach, gdzie drewniane chaty helotów zapewne oparły się wstrząsom. Wspominał z goryczą noc spędzoną wśród ruin Itome, gdzie błysnęła mu myśl, że mógłby odkryć prawdę o śmierci swego brata i Agiasa, odepchniętych przez mieszkańców miasta, zmuszonych jeden do targnięcia się na życie, drugi zaś do rozpaczliwych wysiłków, by odzyskać honor. I właśnie gdy prawda wydawała się tak blisko, trzęsienie ziemi zniszczyło miasto.

Z drugiej strony jaki sens miało teraz odkrycie, co zawierał list od Leonidasa? Sparta chciała śmierci jego ojca — Arystarchosa, brata — Brytosa, ponosiła także odpowiedzialność za śmierć Ismeny, złamanej bólem, którego żadna istota ludzka nie byłaby w stanie znieść. Pozostały mu jedynie tamte słowa wyryte na steli jej grobowca nie wiadomo przez kogo i przeznaczone być może dla niego, ulotny ślad, mający go doprowadzić do prawdy, która teraz już niewiele znaczyła. Sparta płaciła właśnie za swe nieludzkie okrucieństwo, za potworne świętokradztwo w Tenaros. Bogowie zmiotli ją z powierzchni ziemi.

Nadeszła pora, by wreszcie podjął decyzję. Klejdemos wstał w poszukiwaniu jadła, chcąc zaspokoić głód, kiedy zaś przełknął kawałek czerstwego chleba znaleziony w skrzyni na mąkę i zaczyn, wyszedł na dziedziniec. Zerwał się wiatr, który osuszył nieco ziemię i przegonił chmury. Spojrzawszy w kierunku Sparty, dostrzegł licznych żołnierzy kręcących się wokół zburzonych domów. W pewnej chwili wydało mu się, że coś się dzieje, rozległ się bowiem ryk trąb, zewsząd jęli się zbiegać kolejni wojownicy, jakiś jeździec na koniu kręcił się tam i z powrotem wymachując prawą ręką, jakby wydawał rozkazy. Nosił na głowie hełm z grzebieniem, mógł to zatem być żołnierz któregoś króla: Plejstarchosa albo może Archidamosa. Co się stało?

Klejdemos spojrzał ku górcom: z Tajgetos schodziły właśnie setki mężczyzn. Wyłaniali się z lasów i zarośli, by po chwili znów zniknąć i wynurzyć się nieco dalej, w dolinie, wszyscy zaś byli uzbrojeni we włócznie, miecze lub kije. Zdążyli już dotrzeć do gaju oliwnego, który rozciągał się między zboczami góry a miastem.

Gniew bogów nie został jeszcze uśmierzony — heloci napadli na Spartę!

SŁOWO KRÓLA

Lawa helotów prędko zalała równinę, kiedy zaś znalazła się w pobliżu miasta, znieruchomiała, jakby posuwająca się bezładnie gromada otrzymała jakiś rozkaz. Pierwsi uformowali szereg, za nimi następni, tworząc dość regularny front, znacznie dłuższy niż wąła linia wojowników, których Spartanie zdołali wystawić na polu bitwy. Klejdemos wyszedł na dziedziniec i ruszył ku równinie, aż dotarł do rozwalonego domu, z którego mógł lepiej obserwować bitwę.

Nagle rozległ się donośny okrzyk, po czym heloci rzucili się do ataku. Spartanie wycofali się powoli wśród ruin swego miasta, aby mieć osłonięte flanki, następnie zaś zbili się w zwarty szereg opuszczając włócznie. Po chwili oba wojska starły się ze sobą; heloci natychmiast ochoczo ruszyli do boju, tak jakby żaden z nich nie chciał odmówić sobie przyjemności zabijania wrogów, których nienawidzili od setek lat, a jednocześnie zawsze się bali, Spartanie walczyli wszakże o życie, doskonale zdając sobie sprawę, że gdyby ustąpili, ujrzeliby koniec swego miasta, własne żony zhańbione i powyrzynane, synów przekłutych na wylot mieczami — każdy, kto wyszedł cało z trzęsienia ziemi, poniósłby śmierć.

Klejdemos zerwał się, by pobiec do swego domu, chwycić za broń i rzucić się w wir walki, oto nadszedł bowiem dzień, o którym Krytolaos zawsze marzył dla niego i jego narodu, jednakże sama myśl, iż miałby włożyć zbroję należącą niegdyś do Arystarchosa i Brytosa, aby zadać śmiertelny cios miastu,

przykuła go do okna, skąd przyglądał się bezradnie walce, drżąc z rozpaczy, z szeroko otwartymi oczami, z sercem wezbranym od sprzecznych uczuć. Jego dusza sama stanowiła pole bitwy, na którym starły się ze sobą z dziką zaciekłością racje dwóch narodów, śmierć zaś, krew i krzyki siały w niej przerażenie i spustoszenie. Nie mogąc dłużej patrzeć prosto przed siebie, osunął się powoli na kolana i oparł głowę o ścianę zanosząc się płaczem, wstrząsany bolesnym szlochem.

Tocząca się przed rozwalonymi domami Sparty bitwa stała się coraz bardziej zażarta, jako że heloci atakowali bez ustanku, kiedy zaś ci z pierwszej linii wycofywali się z powodu zmęczenia bądź ran, natychmiast zastępowali ich nowi. Znajdujący się przed nimi mur z tarcz już ociekał krwią i zdawał się nie do zdobycia; najeżony włóczniami szereg znieawidzonych wrogów nie ustępował ani na krok. Na ich czele stanął sam król Archidamos, który bardzo dzielnie walczył. Hoplici natomiast dosłownie stawali na głowie, byleby tylko nie stracić w oczach swego monarchy. Po pewnym czasie nadeszła pomoc w postaci kolejnych wojowników, którzy rozpierzchli się na boki, gdzie istniało zagrożenie, że zostaną okrążeni, po nich zaś zjawili się następni. Wraz z nimi przybyli grajkowie, którzy zaczęli dąć w aulosy, a ich muzyka, która rozlegała się nad rozwalonymi domami zagłuszając wrzaski walczących, niosła się ponad polami niczym głos kogoś, kto został śmiertelnie ranny, lecz nie chce umrzeć. W końcu wszakże heloci jęli się wycofywać do lasu, zabierając ze sobą rannych i zabitych.

Spartanie wcale ich nie gonili, wystarczyło im bowiem, że zdołali odeprzeć atak, po czym odłożywszy broń, zabrali się do opatrywania rannych i znoszenia ciał poległych. Król rozstawił strażę wokół całego miasta, następnie zaś skrzyknął najzdrowszych mężczyzn i zaczął odgruzowywać tych, którzy zostali uwięzieni w ruinach. Do końca dnia uwijał się wśród gruzów, niezmordowany, w podartych szatach, zjawiając się wszędzie tam, gdzie był potrzebny. O zmierzchu wielu z tych, co ocalili, mogło się już schronić pod namiotami, które kazał porozstawiać w licznych punktach miasta, gdziekolwiek tylko była wolna przestrzeń. Kobiety rozpały ogień i zabrały się do gotowania strawy dla zmęczonych i głodnych ludzi. Chirurdzy wojskowi

pracowali bez wytchnienia przy świetle pochodni i lamp oliwnych zeszywając rany, składając połamane kości, przypalając rozżarzoną żelazem miejsca, w których istniała groźba zakażenia albo gdzie nie dało się zatamować krwi.

Tymczasem król Plejstarchos na czele niewielkiego oddziału gwardii pogalopował na północ, w kierunku Koryntu. Miał tam zorganizować posiłki i spróbować się porozumieć z Ateńczykami. Kimon nie odmówi mu przecież wsparcia, a może nawet wyśle statki pełne zboża, aby zaspokoić głód jego ludu. Syn Leonidasa miał prawo prosić syna Miltiadesa, zwycięzcy spod Maratonu, o pomoc, której tak rozpaczliwie potrzebował.

W chwili gdy heloci się wycofywali, Klejdemos upadł bez czucia na podłogę i przez długi czas leżał półprzytomny, aż obudził go chłód. Czując skurcze w żołądku wywołane głodem, postanowił wrócić do domu. Zamierzał się posilić i odpocząć, nazajutrz bowiem miał obrać drogę na całe życie. Zdoławszy rozpaść ogień i upiec na żarze podpłomyk, zmęczony rzucił się na posłanie. W środku nocy, gdy spał pogrążony w głębokim śnie, zbudziło go coś jakby pukanie do drzwi; nadstawił ucha — rzeczywiście, naprawdę ktoś pukał. Zerwał się z łóżka chwytając za miecz, po czym wziął pochodnię i poszedł otworzyć, lecz nikogo nie było.

— Kto tam? — zapytał wpatrując się w ciemność.

Zszedł po schodach na dziedziniec i uniósł pochodnię, by lepiej widzieć. Spojrzał w prawo, ku stajni, następnie w lewo oświetlając ścianę domu i w tej samej chwili jego oczom ukazał się stojący nieruchomo mężczyzna w czarnym płaszczu, którego poła zakrywała mu pół twarzy, z opaską na lewym oku. Klejdemos drgnął zaskoczony, po czym wyciągnął groźnie miecz przed siebie.

— Ktoś ty?

Mężczyzna odchylił skraj płaszcza odsłaniając poznaną bliznami twarz: Karaś!

Klejdemos upuścił miecz wpatrując się w niego bez słowa.

— To tak witasz przyjaciela, którego nie widziałeś tyle lat? — zapytał Karaś podchodząc bliżej.

— Ja... — wyjąkał Klejdemos — nie mogłem uwierzyć... nie spodziewałem się... O bogowie wszechmocni... Karaś... To

naprawdę ty... Ale co z twoim okiem? („...tego dnia przyjdzie do ciebie człowiek ślepy na jedno oko...”) Co się stało z twoim okiem?

Karaś odrzucił płaszcz na plecy i otworzył przed nim ramiona.

— O, stary, kochany przyjacielu, stary przyjacielu... — powiedział drżącym głosem Klejdemos ściskając go mocno. — Już się bałem, że nigdy więcej cię nie zobaczę („...On może zdjąć kłatwę z królewskiego miecza...”)

Weszli do atnum i usiedli przy palenisku, w którym Klejdemos na nowo rozniecił ogień.

— Na Polluksa... twoja twarz — szepnął spoglądając na czarną opaskę i blizny znaczące jego lico. — Kto ci to zrobił?

— Krypteja. Spotkałem się z Pauzaniaszem po jego powrocie z Azji, więc eforowie chcieli się dowiedzieć, o czym rozmawialiśmy. Zadali mi straszne męczarnie, ale nic nie zdradziłem... W końcu doszli do wniosku, że nic nie wiem, i puścili mnie wolno; pewnie naszpikowali szpiegami całe góry śledząc każdy mój krok. Dlatego musiałem tak długo się ukrywać, ale wreszcie nadeszła pora, żeby za wszystko im odpłacić.

— Właśnie wróciłem z Mesenii — oznajmił Klejdemos. — Widziałem się z Antyneą i Peliasem.

— Wiem... To ja zaprowadziłem twoją matkę w góry.

— Dzisiaj ujrzałem, jak heloci zaatakowali miasto.

— Tak było, ale ich atak został odparty. Nie chcieli mnie słuchać i rzucili się na oślep. Stracili mnóstwo żołnierzy... Wielu z nich zginęło, inni są ranni... Potrzebują kogoś, kto by ich poprowadził... — Karaś podniósł głowę, w jego oku zaś odbiły się płomienie. — Nadszedł czas, żebyś wybrał drogę, którą będziesz podążał. Bogowie objawili ci swoją wolę — dodał, po czym wyrecytował:

*Do narodu z brązu plecami się odwraca
Kiedy Ziemiotrząsca wprawia w drżenie Pelopsa ziemię.*

— Bogowie zatrzęśli ziemią... To jest właśnie znak. Klejdemos zacisnął powieki. Nie miał już żadnych wątpliwości, a człowiek z jednym okiem, o którym Krytolaos wspo-

minął na łożu śmierci, to był Karaś, ten sam Karaś, który oto siedzi przed nim po tylu latach... Teraz zaś wydawało mu się, jakby rozstali się zaledwie przed kilku dniami. Oczywiście duszy ujrzał go na polu bitwy pod Platejami, gdy w blasku zachodzącego słońca wpatruje się w niego szepcząc słowa Pytii Perialii, po czym dodaje: „Przypomnij sobie te słowa, synu Sparty i synu swego narodu, kiedy ujrzysz mnie ponownie...”

— Masz rację, Karasie — odrzekł — bogowie dali mi znak, na który czekałem od lat, a mimo to nadal czuję się niepewny i rozdarty. Okłamałem cię: to nieprawda, że dopiero co wróciłem z Mesenii, w rzeczywistości przyjechałem wczoraj. Dzisiaj widziałem, jak heloci schodzą z gór — nagle Karaś spojrział nań uważnie — ale nie byłem w stanie się ruszyć. Chciałem pobiec po broń, ale stałem beczynn timerząc się i wbijając zęby w dłonie... Nie zrobiłem nic. Nie mogłem chwycić miecza mojego ojca i brata i użyć go przeciwko miastu, za które oni oddali życie. Jest jeszcze coś, co pragnę ci powiedzieć: otóż niedaleko tego domu została pochowana Ismena, moja matka, na steli jej grobowca zaś widnieje napis, który brzmi jak przesłanie: „Ismena, córka Eutidemos, małżonka Arystarchosa Smoka, nieszczęśliwa matka dwóch walecznych synów. Bogowie pozazdrościli jej cennego daru — Spartańskiego Lwa”. Jestem pewien, że ktoś dopisał ostatnie zdanie, i od jakiegoś czasu usiłuję zrozumieć, co ono znaczy. Karasie, skoro muszę podjąć ostatnią ważną decyzję w życiu, skoro jest prawdą, że owo trzęsienie ziemi to znak, jaki dali mi bogowie, skoro muszę znów chwycić za broń i bez wahania stawić czoło losowi, nie chcę zostawiać po sobie nie rozwiązanej tajemnicy. Wszystko musi zostać wyjaśnione, abym nie miał żadnych wyrzutów ani niczego nie żałował. Żaden człowiek nie może podążać pewnie własną drogą, jeśli jego duszy brak spokoju. Wiem, czego się po mnie spodziewasz, wiem też, że gdyby żył Krytolaos, chciałby tego samego, i pewnie się dziwisz, że szukam wyjaśnienia jakiegoś napisu na grobie, podczas gdy cały naród podnosi się z kolan, by odzyskać utraconą wolność kładąc na szali własne życie.

— Nie dziwię się — odrzekł olbrzym z zagadkową miną. — Mów dalej.

— Z woli Leonidasa towarzyszyłem mojemu bratu Brytosowi i jego przyjacielowi Agiasowi w drodze z Termopil. Mieli zawieźć list do eforów i gerontów, nikt się jednak nigdy nie dowiedział, co w nim było napisane. Słyszałem nawet, że zwój był pusty, że nie zawierał żadnej treści. Dobrze wiesz, co się stało z Agiasem i co by się stało z Brytosem, gdybyśmy mu nie przeszkodzili. Zresztą i tak Brytos poległ pod Piątej ami, w szalonym akcie rozpaczy rzucając się w pojedynkę na Persów...

Wstał i zaczął się przechadzać po prostasie, po chwili zaś podszedł do drzwi, otworzył je i wyjrzał w kierunku Sparty. Jedynie rozmieszczone tu i ówdzie lampy dawały skąpe światło, wokół miasta zaś zapalono ogniska — żołnierze cały czas czuwali. Zamknął drzwi i wrócił do izby.

— Doszedłem do przekonania — ciągnął — że ten, kto wyrzył tamte wersy na steli grobowca Ismeny, znał treść listu od króla. Cóż innego znaczyłyby bowiem słowa napomykające o królewskim darze? Leonidas chciał ocalić Brytosa... i może również mnie. On musiał wiedzieć... Mój ojciec zawsze był z nim związany, przedtem zaś z królem Kleomenesem.

Nagle rozległ się w oddali łoskot przypominający grzmot, od którego zadrżał cały dom, i tak już uszkodzony przez trzęsienie ziemi. Karaś spojrział niewzruszony na belki w suficie.

— Chyba mogę ci pomóc — powiedział. — A jeśli moje domysły są słuszne, poprowadzisz helotów na Spartę bez żadnych wyrzutów.

— Co przez to rozumiesz?

— Zastanów się — odparł Karaś. — Jeśli to prawda, że zwój był pusty, o czym zresztą sam słyszałem, nie ma wątpliwości, że ktoś go podmienił.

Klejdemos drgnął na wspomnienie tamtej nocy nad zatoką, cienia, który zakradł się do obozu, pochylił nad Brytosem i zaraz zniknął.

— Jeśli to prawda — powtórzył olbrzym — tylko krypteja mogła się dopuścić takiego czynu. I z pewnością powiadomiła o wszystkim eforów. Otóż jeden z eforów, Epistenes, był przyjacielem króla Pauzanasza i znał jego zamiary... To on mógł wyrycić ten napis na steli grobowca twojej matki, żebyś go przeczytał i doszedł prawdy. Trzęsienie ziemi spowodowało wiele

ofiar wśród Spartan, a jeśli Epistenes zginął, na pewno zabrał tę tajemnicę do grobu, jeśli jednak żyje... Wiesz, gdzie stoi jego dom, i jeżeli chcesz, zaprowadzę cię tam.

— Nie, to zbyt niebezpieczne, sam pójdę jeszcze dziś w nocy. — Wstał, otworzył drzwi i spojrzał na ciągle ciemne niebo. — Do świtu zostały jeszcze dwie godziny — stwierdził. — Wystarczy.

— Wolałbym, żeby to nie było konieczne, chłopcze — oznajmił Karaś podchodząc do drzwi.

— Ja też bym wołał, ale nie mam wyboru. Ta myśl nie daje mi spokoju od dnia, gdy w drodze powrotnej zatrzymałem się... w ruinach Itome.

— Byłeś w umarłym mieście? Po co?

— Sam nie wiem, po prostu nagle przed wieczorem zobaczyłem je przed sobą i poczułem pragnienie, żeby wejść za mury. Ale idź już, Karasie, i uważaj na siebie...

— Ty też bądź ostrożny. A kiedy zdobędziesz odpowiedź, której szukasz, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

— W chacie u wysokiego źródła.

— Nie — zaprzeczył Karaś. — Znajdziesz mnie u wejścia do podziemi, za dąbrową... Najwyższy czas, żeby wydobyć spod ziemi miecz Aristodemos, który wyswobodzi jego naród.

Otuliwszy się płaszczem, wyszedł, Klejdemos zaś odprowadził go spojrzeniem. Po kilku krokach olbrzym rozpląnął się wśród licznych nocnych cieni.

Zdjął ze ściany szary himation, otulił się nim, wyszedł na dziedziniec i ruszył ku miastu. Kiedy dotarł nad Eurotas, ześliznął się nad samą wodę, unikając wzroku żołnierzy patrolujących okolice Sparty. Znalazłszy się pod świątynią Ateny Chalkiojkos, zapuścił się między pogrążone w mroku rozwalone domy dzielnicy Meso. Miasto wyglądało na opustoszałe, po kolejnych wstrząsach ludzie uciekli bowiem jak najdalej od budowli grożących zawaleniem. Tu i ówdzie widać było słabe światło — na otwartych przestrzeniach rozpalono ogniska, które miały służyć uchodźcom jako punkty orientacyjne. Klejdemos posuwał się wzdłuż murów usiłując zobaczyć cokolwiek. Nieprzeniknione ciemności stanowiły dlań wprawdzie osłonę,

utrudniały wszakże znacznie poruszanie się. Co chwila musiał zawracać, natykając się na bariery nie do przebycia w postaci zwałów gruzu, i szukać innej drogi. Nagle rozpoznał kapliczkę z posągiem Artemidy —jeszcze tylko dwa kwartały, a dotrze na plac przed Salą Rady. Zgodnie z jego przewidywaniami placu pilnowała grupa żołnierzy siedzących na ziemi przy ognisku. Klejdemos przywarł do ściany portyku znajdującego się w lewym skrzydle, po czym przemykając od jednej kolumny do drugiej zdołał ominąć niepostrzeżenie oświetlony obszar. Wkrótce dotarł przed na wpół rozwalony dom efora Epistenesa. Stanąwszy przed rozbitymi drzwiami, nadstawił uszu, nie słysząc zaś żadnego dźwięku, zdobył się na odwagę i wszedł do środka. Na zasypanej gruzem podłodze leżały belki z zapadniętego dachu, część domu została wszakże podparta i przystosowana do zamieszkania. Przed posągiem Hermesa paliła się lampka — znak, że Epistenes zdołał się uratować i być może tu mieszkał. Nagle na ulicy rozległ się stukot podkutych butów — to szło dwóch, a może trzech hoplitów.

Schował się w kącie w nadziei, że zaraz go miną, zorientował się jednak, że stanęli na wprost drzwi. Zamieniwszy między sobą kilka słów, żołnierze ruszyli dalej; pewnie był to tylko patrol. Wystawiwszy głowę, by sprawdzić, czy wszystko w porządku, ujrzał jakiegoś mężczyznę, który wszedł do prostasu z lampką oliwną w dłoni. Kiedy ów się odwrócił i płomyk oświetlił mu twarz, Klejdemos go rozpoznał: był to Epistenes odziany w podarty chiton, ze śladami zmęczenia na twarzy. Usiadł na zydlu i postawił lampę na podłodze. Wówczas Klejdemos wyłonił się z ukrycia pozwalając się rozpoznać.

— Witaj, Epistenesie, niech bogowie mają cię w opiece.

Mężczyzna drgnął na widok przybysza, po czym chwycił lampkę oliwną i przybliżył do jego twarzy.

— Na Heraklesa, toż to syn Arystarchosa... Myśleliśmy, że nie żyjesz.

— Jak widzisz, ocalałem, ale groziło mi poważne niebezpieczeństwo. Wybacz, że zakradłem się do twojego domu, ale mam niezwykle istotne powody, żeby złożyć ci tak osobliwą i niecodzienną wizytę.

Epistenes spuścił zaczerwienione oczy.

— Liczyłem na to, że pewnego dnia mnie odwiedzisz — powiedział — ale teraz zbyt wiele się dzieje i nie można spokojnie porozmawiać.

— Na grobie mojej matki — zaczął Klejdemos — wryto pewien napis, który zawiera przesłanie; sądzę, że mógłbyś mi wyjaśnić jego znaczenie.

— Zgodnie z moimi oczekiwaniami odznaczasz się bystrym umysłem, ale obawiam się, że to co miałem ci do powiedzenia, straciło swoją wagę. To ja kazałem wryć te słowa, aby dać świadectwo prawdzie, żywiłem bowiem nadzieję, że gdy wrócisz do domu, zaczniesz się zastanawiać nad ich sensem i poszukasz prawdy. Ja byłem zbyt stary i zmęczony i dlatego nie mogłem zrobić nic więcej. Ale teraz... teraz wszystko straciło jakiegokolwiek znaczenie. Gniew bogów spadł na miasto... Cóż straszniejszego mogliby jeszcze uczynić ludzie?

— Nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć, Epistenesie. Chociaż znasz tajemnice tego miasta, nie jesteś w stanie sobie nawet wyobrazić, jak ważne jest dla mnie poznanie prawdy o mnie i mojej rodzinie, prawdy, którą muszę usłyszeć natychmiast, zanim nastanie świt.

Efor wstał z trudem, wspierając dłonie na kolanach, i podszedł do swego rozmówcy.

— Powiedz mi, znałeś zamiary Pauzanasza, zgadza się?

Klejdemos milczał.

— Mów śmiało, nikt nas nie słyszy, ten zaś, kto stoi przed tobą, usiłował go ocalić od śmierci... ale niestety mu się nie udało.

— Jest tak, jak mówisz.

— I pomógłbyś mu je ziścić?

— Zrobiłbym to. Ale dlaczego pytasz? Pauzanasz nie żyje, a wraz z nim umarły moje nadzieje. Jedyne, co łączy mnie z tym miastem, to pamięć o moich rodzicach i bracie Brytosie. Chcę wiedzieć, czy istnieje jeszcze jakiś powód... Służyłem temu miastu przez dziesięć lat zabijając ludzi, których nawet nie znałem. Rodzice musieli mnie porzucić w imię nieludzkich praw, matce z żalu pękło serce... Ojciec i brat polegli w walce, za to ja chcę poznać tajemnicę, jaka kryje się za tą potworną historią. O ile mi wiadomo, zwyczaj zabrania wysyłania na wojnę wszyst-

kich mężczyzn z tego samego rodu, dlaczego więc złamano ten zakaz w stosunku do mojego ojca, do brata Brytosa... i do mnie? Uważam bowiem, że wiedzieliście, kim był kulawy Talos.

— Masz rację, ale obawiam się, że jeśli powiem ci wszystko, co wiem, będziesz chciał się zemścić...

— Mylisz się, szlachetny Epistenesie. W tej chwili czuję litość dla tego przekłętego przez bogów miasta. Chcę poznać prawdę, ponieważ męczy mnie życie w niepewności i lęku. Nadszedł czas, bym odnalazł własną drogę raz na zawsze. — Wyjrzał na dwór przez szpary w rozwalonych drzwiach. — Teraz będzie świtać.

— Masz słuszość — przytaknął Epistenes. — Usiądź więc i posłuchaj.

Podsuniąwszy gościowi zydę, usadowił się naprzeciw niego.

— Od wielu lat w tym mieście królowie, eforowie i geronci spierają się o władzę nierzadko prowadząc między sobą bezlitosną walkę. Otóż eforowie doprowadzili do śmierci króla Kleomenesa dodając do jego jądła trucizny, po której powoli, dzień po dniu, pogrążał się w szaleństwo. Twój ojciec Arystarchos i Brytos byli bardzo przywiązani do króla, niektórzy zaś twierdzili, że zaczęli coś podejrzewać. Dlatego kiedy Leonidas został wysłany do Termopil, eforowie zadbali o to, żeby zabrał ich obu ze sobą, mianując Arystarchosa strategiem, twój brata zaś zapisując do gwardii królewskiej... Wydawało się, że twoją rodzinę spotkał niezwykle zaszczyt, w rzeczywistości jednak wszyscy wiedzieli, że oni nigdy nie wrócą. Król musiał sobie wszakże zdawać z tego sprawę, toteż przed ostatnią bitwą wysłał do Sparty dwóch synów Arystarchosa z wiadomością, dodając im eskortę w postaci jeszcze jednego wojownika, aby mieć pewność, że tam dotrą.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że Leonidas wiedział, iż byłem bratem Brytosa?

— Tak było. Kiedy mineliście Tespię, zauważył was jeden ze szpiegów kryptei, który dostrzegł na szyi Brytosa zwój z królewską pieczęcią. Pomyślał zatem, że musi to być coś ważnego... Coś, co nie powinno ujrzeć światła dziennego. Szedł więc za wami przez cały dzień, a kiedy rozbiliście obóz nad zatoką, zaczął, aż zaśniecie, i wykradł list od króla.

— W takim razie co Brytos oddał eforom?

— Inny zwój, tym razem pusty. Szpieg, który dzisiaj jest oficerem kryptei, sfalszował królewską pieczęć, ale nie starał się napisać innego listu, ponieważ nie potrafił podrobić pisma Leonidasa, a zresztą i tak by nie wiedział, co napisać.

— Na Heraklesa! — zawołał Klejdemos uderzając dłonią w kolano. — Przecież ja to wszystko widziałem, ale byłem tak zmęczony i śpiący, że uznałem to za sen... Gdybym tylko zdawał sobie sprawę...

— To ja rozwinąłem zwój przed zgromadzeniem gerontów, widząc zaś, że jest pusty, wpadłem w osłupienie. Wtedy jeszcze nie znałem prawdy ani nie znali jej zasiadający w zgromadzeniu. Właśnie dlatego rozeszła się pogłoska, że Brytos i Agias uknuli spisek, aby uniknąć śmierci w wąwozie termopilskim. Niewykluczone, że plotkę tę rozpuścił człowiek, który znał prawdę, wołał więc usunąć Brytosa w obawie, że pewnego dnia ją odkryje. Wszyscy myśleli, że nie żyje, kiedy jednak rozeszła się wieść, że w Fokidzie i Beocji jakiś wojownik ze smokiem na tarczy walczy z Persami, wszędzie rozesłano szpiegów kryptei, aby dowiedzieli się, kim on jest. Kiedy zaś Brytos pojawił się na nowo pod Platejami i zaraz potem poległ w walce, eforowie poczuli ogromną ulgę. Brytos miał być pochowany jak bohater i nikt by więcej nie dociekał, co się stało z listem od króla...

— Ale zostałem jeszcze ja — przerwał mu Klejdemos. — Byłem pod Termopilami i wróciłem razem z Brytosem towarzysząc mu we wszystkich przedsięwzięciach w Fokidzie i Beocji.

— Za moją radą Pauzaniusz zabrał cię ze sobą, dzięki czemu przez całe lata pozostawałeś niegroźny i dobrze strzeżony. Kiedy Pauzaniusz umarł... — głos mu zadrżał i otulił się himationem, jakby wstrząsnęły nim dreszcze — eforowie starali się dowiedzieć za wszelką cenę, czy byłeś wtajemniczony w jego plany, ale zachowałeś wielką ostrożność... Złapali więc pewnego pasterza helotę, olbrzymia o niezwykłej sile, wiedzieli bowiem, że to twój przyjaciel i że spotkał się z Pauzaniuszem... A potem oddali go w ręce kryptei, która sprawiła mu okrutne męki. Oczywiście nie powiedział ani słowa, więc puścili go wolno w nadziei, że będą mogli go śledzić i dowiedzieć się in-

nych rzeczy, gdyby próbował się z tobą porozumieć. Ale on był bardzo ostrożny; być może zorientował się, że pilnują twój dom, tak czy inaczej zniknął bez śladu i nawet wczoraj, kiedy heloci napadli na miasto, nikt go nie widział.

— Ja go widziałem — odparł Klejdemos — i to on poradził mi, żebym przyszedł do ciebie, był bowiem przekonany, że tylko ty znasz odpowiedź na moje pytania.

Efor zamilkł na chwilę, w ciszy zaś, jaka nagle zaległa, Klejdemos usłyszał pianie kogutów — wkrótce miało wzejść słońce.

— Słusznie się domyślał — przytaknęła Epistenes. — Widziałem list od króla Leonidasa i zdążyłem go przepisać, nim został zniszczony. Nigdy nie starczyło mi odwagi, by powtórzyć ci jego treść, dlatego kazałem wyryć tamte słowa na grobie twojej matki. Jeżeli w twoich żyłach rzeczywiście płynęła krew wielkiego Arystarchosa, pewnego dnia zacząłbyś dociekać prawdy bez względu na to, gdzie byłaby ukryta... — Podniósł się wskazując posążek Hermesa, który stał w niszy za jego plecami. — Jest tam — oznajmił — wewnątrz posążka.

Klejdemos uniósł figurkę drżącymi dłońmi, odwrócił do góry nogami i wyjął zwój pergaminu.

— Idź — powiedział efor — uciekaj, bo zaraz wzejdzie słońce... I niech bogowie mają cię w opiece.

Schowawszy na piersiach zwój, Klejdemos wyrzwał na pustą ulicę.

— Niechaj bogowie czuwają nad tobą, szlachetny Epistenesie — odrzekł odwracając się — bo przekleli to miasto.

Otuliwszy się himationem i nasunawszy jego połę na głowę, szybkim krokiem ruszył ulicą. Nie chcąc przechodzić przez plac Domu Rady zapuścił się w labirynt ciasnych i ciemnych zaułków dzielnicy Mesoa, aż dotarł do doliny Eurotasu. Następnie puścił się pędem i biegł bez wytchnienia brzegiem, osłonięty wałem, dopóki nie uznał, że musi się już znajdować na wysokości swego domu. Wszystko spowija właśnie gęsta mgła, toteż mógł wyjść na otwartą przestrzeń bez obawy, że ktoś go zauważy. Widząc z daleka przebijające się przez białe mleko wierzchołki cyprysów, które otaczały grób Ismeny, ruszył pewnym krokiem ku siedzibie Kleomenidów. Upewniwszy się, że

wokół nie ma żywego ducha, wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Wznoszące się tuż nad horyzontem słońce nappełniło izbę słabym mlecznym światłem. Klejdemos wyjął zwój pergaminu i rozwinął go, z trudem panując nad drżeniem rąk. Przebiegł wzrokiem słowa, które pełen obaw król Leonidas pragnął przekazać w ostatniej godzinie swemu miastu, słowa, które pozostały owiane tajemnicą przez trzynaście długich lat.

Leonidas, syn Anaksandridasa, król Spartan, władca wszystkich Hellenów, do króla Leotychidasa, czcigodnych eforów i szlachetnych gerontów, pozdrowienia.

Kiedy będziecie czytać te słowa, mnie nie będzie już wśród żywych, a wraz ze mną mężnych synów Sparty, którzy nadstawili własną pierś przerażającej sile barbarzyńców. Słusznym jest zatem, by przemówił ten, kto przelał własną krew. Pragnąłem moim ostatnim czynem ocalić od zagłady wielki ród walecznych mężów zapobiegając w ten sposób niesprawiedliwemu złożeniu ich w ofierze. Są to Brytos i Klejdemos, synowie Arystarchosa, Kleomenidzi, pierwszy przeznaczony na śmierć wbrew miejskiemu prawu, drugi zaś żyjący jak niewolnik, uratowany przed śmiercią, która od dawna była mu pisana zgodnie z obowiązującym prawem. Są oni żywym obrazem położenia, w jakim znalazła się Sparta, wśród tych skał bowiem przelewają własną krew zarówno heloci, jak i wojownicy. Niech obaj synowie Sparty dowiedzą się, że pochodzą z tego samego rodu, ponadto moim życzeniem jest, aby zapanował nowy porządek, by dwa narody, które mieszkają na tej ziemi i jednakowo przelewają za nią krew, mogły w przyszłości żyć w spokoju i na tych samych prawach. Domagam się od Was, aby oczyszczono pamięć mego brata Kleomenesa, Waszego króla, który pogrzył się w odmętach szaleństwa i śmierci nie z woli bogów, jak mniemam, lecz za sprawą ludzi. Skoro prawdą jest, że bóstwa zsyłają prawdziwe przepowiednie temu, który ma wkrótce umrzeć, jeśli tak się nie stanie, niechaj na miasto, za które zamierzam przelać krew, spadnie pewnego dnia klątwa bogów, wywołana gniewem tego, kto doznał niesprawiedliwości i krzywdy bez powodu.

Klejdemos upus'cił zwój na podłogę, pobiegł z płaczem do sypialni rodziców, otworzył ogromną cyprysową skrzynię, wyciągnął z niej tarczę Kleomenidów, po czym wyszedł i powlókł się do grobu Ismeny. Położył na kamiennej płycie ozdobiony płaskorzeźbami pancerz, wspaniale wyklepane nagolenice, hełm z trzema czarnymi grzebieniami i tarczę ze smokiem, następnie ukląkł opierając głowę o lodowaty kamień, dotknąwszy zaś po raz ostatni tarczy, w której spał będąc dzieckiem i do której wsypano prochy jego brata, puścił się biegiem ku Tajgetos, znikając we mgle.

Wówczas w brzuchu góry rozległ się pomruk, ziemia zaś zadrżała wstrząsana aż do otchłani Tartaru. Potężne mury domu Kleomenidów zachwiały się, kamienie narożne rozsypały i stara siedziba runęła z głośnym hukiem aż do samych fundamentów.

Minąwszy wysoką dąbrowę, wszedł między gęste zarośla i dotarł do stóp grobowca. Przy skąpym ogniu, jaki dawały palące się suche pędy, siedział nieruchomy niczym głaz, otulony płaszczem Karaś.

— Czekałem na ciebie — powiedział wstając. — Chodź, wejdźmy do środka.

Odsunął porośnięte miękką warstwą mchu i paproci kamienie, zasłaniające wejście do grobowca. Od pewnej deszczowej nocy, gdy Karaś zajął do tego miejsca, nikt ich nie ruszał.

Karaś wziął kij owinięty pakułami, zapalił go od ogniska, po czym wszedł pierwszy do pieczary, za nim zaś Klejdemos. Umocowawszy na ścianie pochodnię, otworzył wieko ogromnej skrzyni. Wspaniała zbroja lśniła w półmroku, Klejdemos zaś wpatrywał się w nią zauroczony. Karaś wyciągnął najpierw pancerz składający się z trzech połączonych ze sobą dużych płyt, następnie brązową tarczę z głową wilka wykonaną ze stopu złota ze srebrem i wreszcie hełm ozdobiony wilczymi kłami. Gdy na koniec sięgnął po miecz, Klejdemosem nagle wstrząsnął dreszcz. Karaś zdjął ze ściany pochodnię i przybliżył ją do ostrza. Kiedy smar, którym był pokryty, zaczął się palić, broń zamieniła się w luczycwo. Kiedy zaś płomień zgasł, zahartowane żelazo zalśniło delikatnym niebieskawym blaskiem.

Wówczas Karaś osłonił głowę i szepnął cicho:

— Będzie silny i niewinny i umiłuje swój naród tak mocno, by nie zważać na zew krwi...

— Słyszałem te słowa z ust Krytolaosa — powiedział Klejdemos..

— To słowa starej przepowiedni, która sprawdza się właśnie w tej chwili. Ty, który poświęcasz spartańską krew dla własnego ludu... ty jesteś ostatnim Wilkiem z Mesenii, Talosie, synu Sparty i synu swego narodu... Nadszedł czas, byś chwycił miecz Aristodemos, króla Meseńczyków, spadkobiercy Nestora, pasterza narodów. Nadszedł czas, by zdjąć dawną kłatwę.

Jedyne oko Karasa błyszczało pod masywnym czołem, być może z powodu łez, lecz jego twarz pozostawała nieruchoma... Nagle przytknął miecz do giersi Klejdemos, który nawet nie drgnął, aż trysnęła krew, po czym uniósł go nad głowę trzymając w obu dłoniach. Czerwona kropla spłynęła powoli wzdłuż środkowego wyżłobienia, aż dotknęła jantarowego jelca. Wówczas Karaś wbił miecz w ziemię, sam zaś ukląkł opierając zroszone potem czoło o jego rękojeść, po czym drżącym głosem wypowiedział słowa, których Klejdemos wprawdzie nie potrafił pojąć, lecz które wyryły się głęboko w jego pamięci, jedno po drugim.

Podniósłszy wzwok na Klejdemos, który wyglądał jak skamieniały, dodał:

— A teraz weź go.

Klejdemos otrząsnął się i chwycił jantarowy jelec, po czym ściskając mocno wyciągnął miecz z ziemi i przytknął do piersi.

— Krytolaos był ostatnim Strażnikiem Miecza — powiedział Karaś wstając — ja zaś jestem Strażnikiem Słów... Słów przekazywanych z pokolenia na pokolenie od stu osiemdziesięciu czterech lat. Teraz ty jesteś w posiadaniu miecza i znasz Słowa... Ty jesteś Wilkiem.

Wszyscy górale zdolni do walki zebrali się na szerokiej polanie u wysokiego źródła, uzbrojeni i podzieleni na plemiona. Spoglądali w stronę lasu rozmawiając między sobą, jakby na kogoś czekali. W pewnej chwili kilku z nich zawołało wskazując kępę dębów:

— Nadchodzą!

Wówczas z zarośli wyłoniła się potężna postać Karasa trzymającego w prawej dłoni włócznię, ze skórzaną tarczą na le-

wym ramieniu. Za nim podążał wojownik w pełnej zbroi, z głową osłoniętą hełmem ozdobionym wilczymi kłami, z wielkim rogowym łukiem przewieszonym przez plecy. U przecinającego pierś pasa wisiał mu miecz z jantarowym jęczmem. Na jego widok starcy ukłękli wznosząc ramiona, tymczasem Karaś, podszedłszy bliżej, uniósł miecz wołając:

— Wilk powrócił, oddajcie mu cześć!

Wtedy mężczyźni zwarli szeregi i jęli uderzać mieczami o tarcze. Rozległ się potężny, zrazu bezładny łomot, który stopniowo stawał się coraz głośniejszy i coraz bardziej rytmiczny, silny łoskot, który odbijał się echem od okolicznych wzgórz.

Nagle do wojownika podszedł chwiejnym krokiem starzec z długą siwą brodą, spojrzał nań oczyma pełnymi łez i powiedział z trudem:

— Od tak dawna czekamy na ten dzień, panie. Niech bogowie będą przy tobie i obdarzą cię siłą, abyś mógł poprowadzić ten naród.

Po czym chwycił jego dłoń i ucałował.

Klejdemos zdjął hełm i gestem ręki nakazał wszystkim milczenie.

— Ludu gór! — zawołał. — Posłuchaj! Liczne znaki dane przez bogów i spełnione przepowiednie skłoniły mnie do włożenia tej zbroi i chwycenia za miecz, który należał niegdyś do Aristodemosą. Wyruszyłem na długo w daleką drogę, aby poznać prawdę o moim życiu i otaczającym nas świecie. Zniosłem wiele cierpień i bólu, bogowie zgotowali mi bowiem ciężki los, teraz wszakże moje spartańskie korzenie uschły i wiem, jaką ścieżką powinienem podążać. Poprowadzę was zatem przy pomocy Karasa, Strażnika Słów, którego dziadek Krytolaos wybrał mi na towarzysza zabaw wiele lat temu. Widziałem, jak walczyliście przedwczoraj na równinie, widziałem także Spartę i to, co dla was szykują. Nie powinniśmy jeszcze igrać z losem i napadać na miasto, dawno już bowiem nie walczyliście i zdążyliście od tego odwyknąć, podczas gdy Sparta ma jeszcze mnóstwo doskonale uzbrojonych i wyćwiczonych żołnierzy, którym dowodzą dwaj młodzi, bardzo odważni królowie. Poza tym wiem na pewno, że miasto wkrótce otrzyma posiłki i wsparcie od swoich sprzymierzeńców, wśród których są także Ateńczycy, dzisiejsi

władcy mórz. Moim zdaniem powinniśmy wrócić do dawnej ojczyzny tego ludu, Mesenii, i odbudować Itome!

W szeregach wojowników rozległ się szmer.

— Spartanie długo jeszcze będą zajęci odbudową zniszczonego miasta i przywracaniem w nim porządku — ciągnął Klejdemos — my zaś zyskamy mnóstwo czasu, żeby dotrzeć do Itome i na nowo postawić mury. Miejsce to ma znakomite położenie i jest łatwe do obrony, nie będziemy więc musieli walczyć na otwartej przestrzeni z falangami z Peloponezu. Przywrócimy do życia studnie i zbiorniki wodne, umocnimy baszty, będziemy się zaś utrzymywać z chowania krów i owiec, które dotychczas paśliście dla swoich panów. Przyprowadźcie zatem wasze rodziny, kobiety i dzieci i przygotujcie się do drogi, bo zaraz jutro wyruszamy.

Na te słowa z tysiąca ust wydobył się krzyk, wszyscy unieśli wysoko włócznie, Karaś zaś zabrał się czym prędzej do przydzielania obowiązków: wyznaczył warty na wszystkich ścieżkach i wszystkich punktach, z których dało się obserwować równinę, i podzielił zdolnych do walki mężczyzn na grupy wybierając najlepszych z nich na dowódców. Następnie polecił zebrać wszystkie zwierzęta juczne, wszystkie wozy i woły, które musiały je ciągnąć, i nakazał, aby każdy przyniósł swoje sprzęty na wielką polanę, gdzie miano je załadować razem z zapasami jada.

Tej nocy Klejdemos spał w chacie Krytolaosa, pod jednym dachem z kobietą, która przez tyle lat zastępowała mu matkę. Zachowała się nadal zagroda dla zwierząt, wewnątrz zaś sprawiało wrażenie, jakby nikt go nie opuszczał. Ciągłe stał tam zydelek, na którym Krytolaos siadał w długie zimowe wieczory snując cudowne opowieści i wyplatając koszyki z giętkich witek żarnowca. Było tam też posłanie, na którym spał jako chłopiec, niejednokrotnie śniąc z otwartymi oczami w stanie półczuwania albo słuchając w letnie poranki śpiewu skowronków, które zrywały się z krzaków wylatując na spotkanie słońca, i gwizdu kosów podczas godów.

Po dwóch dniach marszu dotarli do Antynei i zostaliby razem na zawsze. Zasnął znużony wielodniową udręką, obok niego zaś leżała zbroja królów Mesenii, wykonana przez rze-

mieślnika cudotwórcę w starym, wspaniałym pałacu, zakopana na okres wielu pokoleń w górskiej grocie. Niedaleko zaś, na skraju dąbrowy, pod skromnym grobowcem, spał Krytolaos. Obok czyjaś litościwa ręka zasadziła młody jesion, który już wypuszczał pączki, owiewany ciepłym morskim wiatrem.

Długi marsz rozpoczął się o świcie, gdy wartownicy obwieścili, że wokół panuje spokój: Klejdemos rozstawił uzbrojonych mężczyzn w dwa rzędy po pięciu ludzi, jeden na początku i jeden na końcu. Pomiedzy nimi umieścił wozy, zwierzęta juczne, kobiety, starców i dzieci wraz ze sprzętami. Oddziały zwiadowców na koniach wysunęły się daleko naprzód patrolując drogę, reszta zaś zamykała długi pochód ludzi i zwierząt, trzymając się w znacznej odległości, w razie ataku gotowa w każdej chwili podnieść alarm.

Trwająca pięć dni podróż minęła wszakże bez niespodzianek, górale zaś dotarli do ruin Itome po południu piątego dnia. Klejdemos polecił im rozbić obóz u stóp wzgórza, gdzie mogli czerpać wodę, a pobliski las zapewniał obfitość drewna. Kowale i stolarze czym prędzej postawili swe warsztaty, toteż wkrótce zbudowano prowizoryczne schronienia, tymczasem wszyscy zdrowi mężczyźni i liczne kobiety pracowali na zmiany w środku miasta, naprawiając mury, zatykając szpary, stawiając dachy, uprzążając gruz. Nawet młodzieńcy chłopcy i dzieci brali udział w tych pracach na miarę swych możliwości, chcąc pomóc rodzicom. Antynea i stary Pelias dołączyli do kolumny wędrowców, kiedy mijała ich ziemię; Karaś posadził ich na wozie i opowiedział o wszystkim, co się do tej pory wydarzyło. Jądący na czele Klejdemos powitał Antyneę gestem ręki i długim spojrzeniem, nie opuścił wszakże swego stanowiska. Będą mieli jeszcze mnóstwo czasu na rozmowy, czeka ich jeszcze wiele chwil we dwoje. Teraz najważniejsze było odprowadzenie tych ludzi w bezpieczne miejsce, zanim Spartanie zdecydują się na atak. O dziwo jednak Spartanie przez co najmniej trzy miesiące wcale nie dali o sobie znać, toteż w dniu, kiedy mały oddział zwiadowców na koniach został zauważony przez wartowników u wejścia do doliny, w Itome toczyło się już normalne życie, miasto zaś było gotowe na przyjęcie wszystkich uciekinierów

z Tajgetos. Było ich trzy tysiące ośmiuset, z czego ośmiuset nadawało się do noszenia broni.

Klejdemos poddawał ich nieustannym ćwiczeniom, aby wpoić im najróżniejsze techniki walki, których sam nauczył się w okresie, gdy był spartańskim wojownikiem. Pewnej nocy, podczas odbywanej wraz z Karasem inspekcji murów, przystanął przed jedną z wież przyglądając się oświetlonej promieniami księżycyca dolinie.

— O czym myślisz? — zapytał Karas.

— O tym, kiedy wyłoni się stamtąd spartańskie wojsko.

— Nic nie wiadomo — odparł Karas. — Może zostawia nas w spokoju.

— Nie — powiedział Klejdemos potrząsając głową. — Dobrze wiesz, że nigdy się nie zgodzą, żeby w odległości zaledwie pięciu dni drogi od nich istniało niezależne i wrogie im miasto. Mam tylko nadzieję, że eforowie wezmą pod uwagę możliwość układów. W zamian za pokój moglibyśmy uznać ich zwierzchnictwo nad tą ziemią. Niestety nie mamy pojęcia, co się teraz dzieje w dolinie Eurotasu, ale ja nie robię sobie złudzeń...

— To miasto nie może umrzeć — stwierdził Karas po długim milczeniu. — Już słyszałem, jak starcy opowiadają dzieciom historię o wielkim marszu z gór Tajgetos, historię o Talosie Wilku... Za kilka lat będą o tym śpiewać, tak jak śpiewają o wyczynach dawnych królów.

— Wiem, co chcesz przez to powiedzieć — odrzekł Klejdemos. — Wspólnie z tobą postanowiłem doprowadzić ludzi do tego miejsca, uznałem bowiem, że to jedyny sposób na ocalenie życia i odzyskanie wolności, teraz jednak zaczynam się bać.

— Meseńczycy pogodzili się już z naszą obecnością; nie przejawiali żadnej wrogości, co więcej... starcy z pobliskich miast i wiosek dali nam do zrozumienia, że uważają nas za pobratymców, potomków tych samych przodków.

— Zgadza się i jest to bardzo korzystne, ale nie sądzę, by w razie ataku ze strony Spartan walczyli u naszego boku... Nie warto się jednak zastanawiać, co przyniesie przyszłość. Musimy być przygotowani na najgorsze, a jeśli los okaże się dla nas łaskawy, tym lepiej dla wszystkich. Zresztą już sam widok

umarłego miasta, które odżyło, był czymś cudownym. Sen Krytolaosa... gdyby tylko mógł zobaczyć to wszystko...

— Krytolaos był Strażnikiem Miecza — odrzekł Karaś.
— Jego duch zawsze jest z narodem.

— Wszystko zdaje się tak nierzeczywiste, że czasami mam wrażenie, jakbym śnił. Odnalezienie ciebie, Antynei, matki... i tych ludzi gotowych do walki nie wiadomo od jak dawna.

— Od zawsze — powiedział Karaś. — Gdy Grecy odnieśli zwycięstwo pod Platejami, wielu z naszych jeszcze tej samej nocy pozbierało z pola bitwy po stronie perskiej mnóstwo cennych przedmiotów i ukryło je na długie lata. Posłużyły one na zakup broni dla naszych wojowników, którzy będą nią walczyć o wolność na śmierć i życie. Ci ludzie już nigdy więcej nie będą niewolnikami, zapamiętaj, nigdy więcej. Prędzej zginą... wszyscy.

Tej nocy Klejdemos położył się obok Antynei i długo tulił ją w ramionach.

— Mój ojciec umiera — powiedziała Antynea spokojnie.
— Wie, że życie z niego ucieka, ale niczego nie żałuje. Pokazując mu miasto przodków ziściłeś jego odwieczne marzenie.

Klejdemos przytulił ją mocniej.

— Antyneo — rzekł — och, Antyneo, chciałbym, żeby ten sen nigdy się nie skończył, ale przeraża mnie to, co nas czeka... Sparta nie zna litości.

— Nieważne, co nas czeka, i nie warto żyć długo, jeśli się żyje w niewoli. Wszyscy są gotowi walczyć i szczęśliwi, że za tobą poszli. Mój ojciec umiera, za to ja noszę w swym łonie syna: to znak życia, które toczy się dalej, a nie tego, które się kończy.

Klejdemos poszukał w ciemnościach jej wzroku czując, że coś ścisną go za gardło.

— Syn — szepnął. — W umarłym mieście narodzi się dziecko...

Po czym złożył na jej wargach długi pocałunek gładząc ją po miękkim brzuchu.

Na początku lata pojawiły się pierwsze oddziały spartańskie, była to wszakże skromna armia. Po prostu eforowie za-

mierzali kontrolować z bliska miasto helotów, uniemożliwiając tym, którzy pozostali w Lakonii, przyłączenie się do buntowników. Minęło sporo czasu, nim wojownicy usiłowali wdrzeć się siłą do doliny, której wejście zostało wzmocnione nasypem. Ludność Itome chciała zebrać jeszcze przed zimą to, co posiadała, dlatego też nasypu strzeżono bez przerwy dzień i noc, aby wróg nie zdołał się tamtędy przedostać. Gdy rośliny zaczęły się zielenić, Spartanie wysłali poselstwo z żądaniem poddania miasta i powrotu helotów do Tajgetos. Są gotowi zrezygnować z wszelkiej zemsty i kary, byleby tylko wszyscy wrócili do pracy w polu bądź na pastwisku. Stojący na nasypie Karaś odrzekł:

— Naród ten długo znosił niewolę; wielu z nas poległo na polu bitwy usługując waszym żołnierzom, mimo to jednak ich przelaną krew traktowano z pogardą i uznano za niegodną. Dlatego właśnie porzuciliśmy Lakonię, aby powrócić do dawnej ojczyzny, i odbudowaliśmy to miasto. Nie ma wśród nas prawie nikogo, kto nie cierpiałby z powodu niesprawiedliwości, przesładowań czy tortur, nie zamierzamy się wszakże mścić. Pragniemy jedynie żyć w spokoju jako ludzie wolni. Jeśli więc opuścicie tę ziemię, nie będziecie się musieli niczego obawiać z naszej strony, ale za nic w świecie nie zgodzimy się, byście z powrotem nałożyli nam jarzmo. Prędzej staniemy do walki na śmierć i życie, lecz nigdy się nie poddamy.

— Strzeżcie się! — zawołał na to Spartanin. — Nasi przodkowie już raz zdobyli to miasto, a my zrobimy to samo.

— Precz stąd! — krzyknął rozwścieczony Karaś.

Spartanin spojrział na niego drwiąco.

— Ślepy i kulawy — roześmiał się zerkając na swych towarzyszy. — Ładnych przywódców sobie wybrali ci łachmaniarze!

Nie zdążył jednak dodać nic więcej, Karaś bowiem chwycił ogromny głaz, po czym uniósł go wysoko nad głową i cisnął z potwornym rykiem. Spartanin, który zbyt późno zdał sobie sprawę z siły olbrzyma, na próżno obnażył miecz w geście obrony. Kamień przygwozdził go do ziemi rozgniatając klatkę piersiową, spomiędzy rzemieni zaś, którymi połączona była zbroja, jęły mu się wylewać wnętrzności. Oniemiali z wrażenia pozostali odłożyli włócznie i umieściwszy trupa na tarczy, oddalili się w milczeniu.

Karaś wysłał na pobliskie wzgórza zwiadowców, aby przekonać się o liczebności oddziałów wroga, ci jednak stwierdzili, że raczej nie jest ona pokaźna. W gruncie rzeczy eforowie nie mieli odwagi pozbawić Sparty zbyt dużej liczby wojska w obawie, iż Arkadyjczycy i Meseńczycy mogliby wzniecić powstanie. Poprosili o pomoc Ateńczyków, mieli więc nadzieję otrzymać spore posiłki z Attyki, oczekując przede wszystkim wsparcia ze strony Kimona, przywódcy partii arystokratycznej i zwolennika ścisłego przymierza między tymi dwiema największymi potęgami greckimi. Wówczas mogliby przejść do decydującego ataku i unicestwić helotów, którzy okopali się w murach Itome. Kiedy jednak Kimon, któremu z ogromnym trudem udało się zdławić silny opór demokratów tylko dzięki osobistemu szacunkowi, wymusił wreszcie na Zgromadzeniu wysłanie pięciu lochosów hoplitów do Mesenii, lato dobiegało już końca i istniały znikome szanse na wzięcie miasta szturmem przed nadejściem pory deszczowej. Przy brzydkiej pogodzie obłożenie stałoby się rzeczywiście trudne, jeśli nie niemożliwe.

Na początku jesieni Antynea powiła chłopca, zgodnie zaś z życzeniem starszyny nadano mu imię Aristodemos. Był on zdrowym i silnym dzieckiem; miał ciemne włosy jak jego ojciec i zielone oczy po matce. Kiedy położna włożyła go do koszyka i podała Klejdemosowi, wziął go w ramiona przepęlniony wzruszeniem, przycisnął do piersi i otulił własnym płaszczem modląc się żarliwie:

— O bogowie, którzy żyjecie wiecznie i macie władzę nad życiem i śmiercią, którzyście mnie obdarzyli tak gorzkim losem i odebrali ojcu, kiedy byłem mały i bezbronny, jeśli gdziekolwiek jest napisane, że moje cierpienia odkupią jakąś dawną winę, zaklinam was, poprzestańcie na tej srogiej karze zadanej niewinnemu człowiekowi i oszczędźcie tę dziecinę, która zrodziła się z wielkiej miłości.

Tak oto modlił się z sercem przepęlnionym nadzieją i lękiem.

Przybycie wojsk ateńskich nie na wiele się zdało, spartańscy oficerowie wkrótce bowiem zdali sobie sprawę, że wielu z ich sprzymierzeńców należy do partii demokratycznej i niechętnie

walczy o to, by uczynić niewolnikami zbuntowanych helotów. Krążyły nawet pogłoski, że pewna liczba ateńskich dowódców zasięgnęła języka u Meseńczyków z pobliskich wiosek, którzy choć podporządkowani Sparcie i związani z nią żelaznymi paktami przymierza, podziwiali szczerze odwagę i męstwo obrońców Itome.

Pełni podejrzeń i zakłopotania eforowie w końcu zwolnili wojsko ateńskie zapewniając, że nie potrzebują już pomocy, Ateńczycy wrócili więc do Attyki. Gest ten wywołał wielkie oburzenie wśród Zgromadzenia, a przeciwnicy Kimona, którzy obarczyli go winą za doznaną zniewagę, zażądali usunięcia go z urzędu i wygnania. Propozycję poddano pod głosowanie, po czym dzielny wódz, zwycięzca licznych bitew na lądzie i morzu, musiał opuścić miasto. Władzę przejęli wówczas demokraci i od tej chwili stosunki między Spartą i Atenami stawały się coraz bardziej chłodne i coraz trudniejsze. Tymczasem eforowie i geronci, przejąwszy kontrolę nad Lakonią i naprawiwszy większość szkód wyrządzonych przez trzęsienie ziemi, postanowili rozprawić się ostatecznie z Itome, tym bardziej że wielu Meseńczyków zdążyło się już przyłączyć do buntowników i istniało niebezpieczeństwo, że utracą władzę nad całym regionem.

Następnej wiosny składająca się z pięciu tysięcy hoplitów armia okrążyła miasto, rozpoczynając oblężenie, kiedy zaś gorące południowe wiatry całkowicie osuszyły ziemię, król Archidamos wydał rozkaz decydującego natarcia. W ten upalny, typowy dla początku lata dzień monarcha podzielił swe wojsko na cztery wielkie lochosy; na ich czele szli kreteńscy łucznicy i lekkobrojna piechota, po których oczekiwał, że będą ostrzeliwać mury wszelkiego rodzaju pociskami, podczas gdy piechota liniowa wdrapie się na górę. O wschodzie słońca wojownicy wyruszyli ze wszech stron, po czym stanęli u stóp wzgórza Itome.

Klejdemos i Karaś, obaj w pełnym rynsztunku, roztawili na murach wszystkich mężczyzn zdolnych do walki, tymczasem kobiety i dzieci nosiły kamienie i piasek, którymi napełniały tarcze, aby następnie zrzucić ich zawartość na wroga. Antynea również stała za swym mężczyzną, podając mu strzały

do wielkiego rogowego łuku. Kiedy Archidamos kazał zadać w trąby, wojownicy jęli się wspinać po zboczach w milczeniu, zwarci, idąc ramię w ramię. Pierwsi pod mury dotarli łucznicy, którzy poczęli wypuszczać strzały ku przedpiersiu, gdzie obrońcy usiłowali się osłaniać tarczami. Kiedy hoplici, poruszający się wolniej z powodu ciężkich zbroi, podeszli pod mury, łucznicy i procarze rozstąpili się nie przerywając ataku, aby ich przepuścić. Nagle zerwał się silny wiatr, rozwiewając po górskich zboczach tumany kurzu, spartańscy wojownicy przedzierali się zaś przez tę ścianę pyłu z pochylonymi głowami, z pobielałymi szatami i grzebieniami na hełmach, niczym potworne zjawy niosące śmierć.

Wówczas stojący na przedpiersiu Klej demos dobył miecza dając tym samym znak do ataku, jego łucznicy zaś zaczęli strzelać do wroga z rozpaczliwym zapałem. Wielu żołnierzy lekkiej piechoty sprzymierzonej z oddziałami spartańskimi poległo, chmara strzał wydawała się wszakże odbijać od tarcz hoplitów, którzy ciągle posuwali się naprzód w tumanach kurzu. Ich zbroje lśniły w słońcu, które stało już wysoko, znajdujące się zaś na szczycie wzgórza liczne oddziały złączyły się w jedno zamykając Itome w kleszczach. Widziani z wysokości wież wojownicy przypominali hordę monstrualnych owadów zakutych w żelazne pancerze. Obrońcy jęli zrzucić kamienie i cebry pełne gorącego piasku, który zasypywał najeźdźców, przenikając zaś między łączenia w zbrojach powodował oparzenia i zmuszał ich do wycofania się. Natychmiast jednak zastępowali ich inni, z dalszych szeregów, gdy tymczasem lekkobrojna piechota zносиła dziesiątki drabin, osłonięta gradem strzał wystrzeliwanych przez kreteńskich łuczników. Widząc, że wypuszczanie strzał stało się niepotrzebne, gdyż wróg znalazł się pod osłoną występów bastionów, Klejdemos odłożył rogowy łuk i odwrócił się do Antynei, by odebrać od niej włócznię.

W tej samej chwili strzała wypuszczona przez kreteńskiego łuczника spadła z wysoka trafiając Antyneę, która osunęła się z jękiem na ziemię. Klejdemos upuścił tarczę i czym prędzej wziął ją w ramiona, równocześnie jednak na przedpiersiu jęły się pojawiać ze wszech stron setki spartańskich hoplitów,

którzy przedostali się po wspartych o mury drabinach, nie powstrzymywani dostatecznie przez obrońców. W tej samej chwili znajdujący się w pobliżu Karaś został zaatakowany przez grupę lekkiej piechoty, która pokonała bastion. Przebił mieczem jednego z napastników, który spadł z przedpiersia z ostrzem w ciełe. Pozbawiony broni, złapał kolejnego, który się nań rzucił, podniósł wysoko i cisnął nim w jego towarzyszy, którzy właśnie włązili na górę, zrzucając ich z hukiem na ziemię. Obejrzawszy się w lewo, olbrzym ujrzał Klejdemosa, który trzymał w ramionach Antyneę z zakrwawionymi pierściami, za nim zaś kilku Spartan, którzy atakowali go mieczami. Scena ta przejęła go zgrozą, zupełnie jakby stanął mu przed oczyma sam król Aristodemos, składający w ofierze własną córkę tuż przed tym, jak pochłonęło go piekło, toteż przekrzykując bitewny zgiełk i wrzaski rannych, ryknął na całe gardło:

— Ratujcie króla!

Po czym rzucił się naprzód wrywając włócznię jakiemś martwemu żołnierzowi, który leżał na galerii. Klejdemos położył na ziemi Antyneę i odwrócił się dobywając miecza i odpierając ataki ze wszystkich stron. Pokonując wszelkie przeszkody Karaś ledwie zdążył, by przerwać krąg wrogów. Gdy jeden z nich rzucił się na niego, pchnięciem włóczni przebił mu tarczę i pancerz, po czym nadział go jak na rożen i cisnął na pozostałych, którzy cofnęli się przerażeni. Wówczas przyszedł mu z odsieczą Klejdemos wymachując mieczem i strącając napastników na dół.

Widząc to obłączeni heloci, w których odżył duch walki, odzyskali bastion, odpychając wroga wraz z jego drabinami, zasypując go gradem kamieni i pocisków, rzucając weń belki wyrwane z balustrady. Wówczas Klejdemos wziął Antyneę na ręce i zaniósł w osłonięte miejsce, gdzie kobiety opiekowały się rannymi.

Tymczasem Spartanie wysłali poselstwo o zawieszenie broni, by mogli pozbierać ciała poległych. Otrzymawszy zgodę, noszowi podeszli powoli pod mury Itome i jęli wynosić zwłoki, składając poobcinane bądź zmiżdżone kamieniami kończyny. Stojąc wyprostowany u wejścia do swego namiotu, król Archidamos przyglądał się ze spuszczoną głową smutnemu pochodo-

wi noszowych, którzy wracali z ciałami hoplitów. Wpatrywał się w każde z nich po kolei z zaciśniętymi szczękami i pięściami, kiedy zaś wszyscy go minęli, podniósł wzrok ku miastu. Zachodzące słońce zalało zbocza szkarłatem, którego soczysta barwa przypominała krew jego poległych wojowników.

Antynea, której wyciągnięto z ramienia strzałę, długo walczyła ze śmiercią, trawiona bardzo wysoką gorączką. Co noc po zejściu z murów Klejdemos czuwał nad nią przed zaśnięciem, gładząc po rozpalonym czole i zaklinając bogów, by ją ocalili. Swego synka zaś powierzył mamce, która utraciwszy własne dziecko podczas porodu, miała dość pokarmu, by wyżywić niemowlę Antynei. Tymczasem starcy, którzy na gruzach dawnej świątyni Zeusa Itometry postawili skromne sanktuarium, składali bogom ofiary, aby zachowali w zdrowiu ich wodza i uratowali jego kobietę, która walczyła ze śmiercią. W końcu ich prośby zostały wysłuchane, Antynea zaczęła bowiem powoli dochodzić do siebie, za każdym jednak razem gdy widziała, jak Klejdemos wkłada zbroję i wychodzi z mieczem u pasa, umierała ze strachu. Wraz z deszczem i chłodem zima przyniosła też nieco spokoju spowalniając wszystkie działania żołnierzy. W rzeczywistości Spartanie ograniczyli się jedynie do utrzymywania okrojonej armii w dolinie, dzięki czemu mieszkańcy Itome mogli zdobywać żywność, wychodząc ukradkiem w nocy wraz z jucznymi zwierzętami i przywożąc zboże z sąsiednich wiosek, gdzie zaopatrywali ich Meseńczycy.

W wioskach tych można było również zasięgnąć języka na temat tego, co działo się w okolicy i w pozostałej części Peloponezu. Dzięki temu Klejdemos dowiedział się, że Sparta ma poważne kłopoty z mieszkańcami przyległych miast, szczególnie zaś z zawsze wrogimi jej Argiwami i Arkadyjczykami, któ-

rzy nie mogli znieść jej hegemonii. Miał więc nadzieję, że uda mu się przedłużyć opór Itome. W miarę jednak jak zbliżała się wiosna, a jego synek zaczął stawiać pierwsze kroki i wymawiać pierwsze słowa, Klejdemos ją się zastanawiać, co by się stało, gdyby Sparta zdołała wreszcie zgromadzić wokół miasta całe swoje wojska. Kiedy zasięgnąwszy języka, usłyszał, że eforowie i geronci postanowili skończyć wojnę w Mesenii raz na zawsze, zdecydował za wszelką cenę ocalić życie Antynei, swego synka i starej matki.

Poprosił zatem Karasa, by wywiózł ich gdzieś z dala od Itome, w jakieś bezpieczne miejsce w Arkadii albo Argolidzie, gdzie do nich później dołączy albo skąd każe ich przywieźć z powrotem, jeśli uda mu się wywalczyć wolność dla swego narodu i dla siebie. Ponieważ Karas oświadczył, że jest gotów wykonać zadanie, zanim rozpocznie się kolejna wiosenna kampania, pewnej nocy Klejdemos wyluszczył Antynei swe zamiary.

— Posłuchaj — rzekł — właśnie się dowiedziałem, że w Sparcie zapadła decyzja, aby położyć kres tej wojnie, co może oznaczać tylko jedno: zburzenie Itome i wybicie wszystkich jego mieszkańców albo uczynienie z nich niewolników. Dlatego też powziąłem postanowienie, że wyjedziesz stąd razem z naszym synem i moją matką; Karas jest gotów zaprowadzić was w jakieś ustronne miejsce w Arkadii, gdzie zaopiekują się wami dobrzy ludzie, których zna. Ja natomiast zostanę tutaj, aby bronić miasta, a jeśli zdołamy się utrzymać albo odepchnąć Spartan, być może odzyskamy wolność, a wtedy albo tu wrócisz, albo ja do ciebie dołączę.

Antynea wybuchnęła płaczem.

— Więc tak mi życzysz? — powiedział. — Płaczesz, jakbym już był martwy.

Objęła go mocno.

— Nie odsyłaj mnie, proszę, nie odsyłaj. Bez ciebie umrę z niepokoju, nie wiedząc, co się z tobą dzieje... jestem pewna, że nie wytrzymam.

— A właśnie że wytrzymasz — odrzekł Klejdemos uwalniając się łagodnie z jej objęć. — Pomyśl o naszym dziecku, które cię potrzebuje.

Antynea była niepocieszona.

— Nie zdołacie się uratować; Spartanie nie spoczną, dopóki nie zrównają miasta z ziemią, a jeżeli ty zginiesz, ja chcę umrzeć razem z tobą, z moim synem i jeśli tak ma być, także z całym narodem.

— Nie, Antyneo, sama nie wiesz, co mówisz... I tak już postanowiłem i musisz mi być posłuszna. Wyjedźcie razem z Karasem pierwszej nocy nowiu. Odsyłam cię daleko stąd, żeby nie narażać cię na poważne niebezpieczeństwo, nie tracę jednak nadziei. Dowództwo podczas następnej kampanii zostanie powierzone królowi Plejstarchosowi, synowi Leonidasa... Postaram się z nim spotkać i porozmawiać; być może uda się nam uniknąć niepotrzebnej rzezi. Nawet Sparta nie może bezkarnie narażać życia swoich wojowników... Wielu z nich zginęło podczas trzęsienia ziemi, wielu innych poległo w tej wojnie.

Antynea nic nie odpowiedziała, czuła bowiem w sercu głęboki, niepohamowany smutek. Oparła tylko głowę na piersi Klejdemosa wsłuchując się w bicie jego serca.

— Los rozdzielił nas na tyle lat — ciągnął Klejdemos. — Kiedy widziałem cię po raz ostatni, jak odjeżdżałaś na grzbiecie osiołka, gorzko płakałem, byłem bowiem pewien, że nigdy więcej cię nie zobaczę, a przecież odnalazłem cię po tym, jak setki razy nadstawiałem karku w dalekich stronach. Musimy wierzyć, Antyneo, musimy wierzyć, że znów się spotkamy... Czasami bogowie nie dają nam innej pociechy, ale mamy w sobie siłę, która nie pozwoli umrzeć nadziei. Właśnie ta siła przywiodła mnie do ciebie z dalekiej Azji, z samotności dzikiej Tracji. Zawsze będę z tobą, Antyneo, i z naszym synem, ale nie zostawiaj mnie samego z moją wiarą i nadzieją. Jeśli ty także będziesz ufać, że się jeszcze spotkamy, pewnego dnia znów będziemy razem, wolni, i doczekamy w spokoju starości, przyglądając się, jak nasze wnuki rosną silne i zdrowe niczym drzewa oliwne. W wojennej zawierusze człowiek zapomina, że istnieje słońce, i boi się, że świat pograży się w mroku, lecz po burzy ono zawsze świeci, jego promienie zaś przebijają się przez ciemne chmury, by przynieść światło i życie.

Antynea milczała przytulona do niego usiłując otworzyć serce na te słowa i powstrzymać gorące łzy, które cisnęły się jej do oczu.

Pierwszej nocy nowiu Karaś posadził na wozie obie kobiety wraz z dzieckiem, aby wywieźć je daleko od Itome, Klejdemos zaś spoglądał za nimi z uniesionymi ramionami, tak jak tamtego dnia na równinie, był jednak szczęśliwy, że jadą w spokojne miejsce, z dala od niebezpieczeństw, zarazem czując w sercu rozdzierający smutek z powodu rozstania z tymi, których kochał nad życie. Mieszkańcy Itome spoglądali zaś z bólem i nadzieją, jak stoi wyprostowany w północnej bramie. Oni także pragnęli, by ocalał syn Talosa Wilka, wiedząc, że w godzinie próby należy zostawić wodza samego.

Obleżenie rozpoczęło się wraz z wiosną i w pierwszej chwili dowodzili nim dwaj stratedzy i dwaj dowódcy lochosów. Król Plejstarchos miał dołączyć później, po zakończeniu uroczystości ku czci Artemidy Ortia, którym musiał przewodniczyć wraz z Archidamosem. Spartańscy eforowie długo się zastanawiali, kto stoi na czele helotów, kiedy zaś nadeszły pierwsze wieści od żołnierzy walczących w Mesenii na temat tajemniczego wojownika w zbroi, jakiej nigdy wcześniej nie widziano, zrobili wszystko, by dowiedzieć się czegoś więcej, lecz na próżno. Wiadomo było tylko tyle, że ów człowiek jest kulawy, ktoś podsunął więc pomysł, że może to Klejdemos, syn Arystarchosa, zaginiony podczas trzęsienia ziemi, nie zdołano wszakże znaleźć żadnych dowodów potwierdzających tę tezę, efor Epistenes zaś, który domyślał się prawdy, milczał. Skądinąd żaden Spartanin nigdy nie widział jego oblicza, jako że Klejdemos zawsze walczył w hełmie, który zakrywał mu większość twarzy.

Wykonawszy zadanie, Karaś nie wrócił od razu do Itome, lecz zatrzymał się w Arkadii, by zasięgnąć języka. Kiedy się wreszcie pojawił tuż przed rozpoczęciem obleżenia, powtórzył Klejdemosowi to, co usłyszał: otóż wytrwała obrona helotów wywarła głębokie wrażenie na Ateńczykach, którzy naciskali na Spartę, aby zostawiła ich w spokoju. Nie zdołał się jednak niczego dowiedzieć na temat tego, co myślą sami Spartanie. Kiedy wreszcie do obozu wroga dotarł król Plejstarchos, Klejdemos starał się za wszelką cenę o audiencję, lecz na próżno. Pewnego dnia stojąc na murach ujrzał, jak podąża na koniu ścieżką prowadzącą do doliny, by obejrzeć umocnienia obleganego miasta. Napisał więc krótki list i przywiązał do strzały, po czym wyce-

lował łuk prosto w niebo obliczając dokładnie jej lot i wystrzelił. Strzała poleciała z sykiem i zatoczywszy długą parabolę, wbiła się w ziemię kilka kroków od królewskiego rumaka.

Plejstarchos zeskoczył z konia, wyciągnął strzałę i szybko przeczytał wiadomość, po czym podniósł wzrok ku miastu — na murach nie było żywej duszy, lecz na szczycie jednej z wież spostrzegł nieruchomego wojownika w lśniącej zbroi, który zdawał się mu przyglądać. Król również obdarzył go długim spojrzeniem, po czym gestem nakazał strażom, by się oddaliły. Po chwili wążąc w dłoni włócznię cisnął ją z całej siły, aż wbiła się w pień suchego drzewa oliwnego, które rosło pośrodku drogi między nim a miastem. Wojownik zniknął z wieży, zaraz jednak rozwarła się jedna z bram i ukazał się znowu, tym razem na szczycie wzgórza, wbił w ziemię włócznię i wolno ruszył ku drzewu. Wówczas król również zrobił krok naprzód i pod czujnym okiem straży dotarł do pnia. Wojownik podniósł dłoń na znak powitania, król zaś przyglądał mu się w milczeniu. Zbroja, której nigdy dotąd nie widział, wprawiła go w zakłopotanie, ponadto usiłował dojrzeć coś pod ozdobionym wilczymi kłami hełmem. Oczy, które spoglądały nań spod osłony ze złoconego brązu, nie należały do niewolnika ani potomka niewolników.

Klejdemos stanął twarzą w twarz z królem po raz pierwszy. W Sparcie miał wprawdzie kilka razy okazję go zobaczyć, jednak zawsze z daleka. Był to piękny, niewiele ponad dwudziestoletni młodzieniec o umięśnionej sylwetce, śniadej cerze i długich lokach, które opadały mu na kark sięgając aż do brzegu pancerza. Na tarczy miał wyrzeźbionego krogulca Agiadów, dynastii, do której należał jego ojciec, wielki Leonidas.

— Ktoś ty? — zapytał znienacka król.

— Czy to ma znaczenie, jakie noszę imię? — padła odpowiedź.

— Rzeczywiście nie, ale widzę na twojej tarczy wilka królów Mesenii...

— Ten, kto przed tobą stoi, nosi zbroję Aristodemos, ma więc władzę nad ludem Itome.

— Czego ode mnie chcesz? — zapytał Plejstarchos zdumiony.

— Wiem, że jesteś walecznym synem godnym wielkiego ojca. Dlatego też mniemam, że szanujesz męstwo tego narodu, który od trzech lat walczy o własną wolność nie dając się pokonać. Ta wojna trwa już zbyt długo i prowadzi do niepotrzebnego rozlewu krwi. Pozwól temu ludowi żyć w pokoju na ziemi przodków. Jeśli wycofasz swoich żołnierzy, nie będziesz się musiał niczego obawiać z naszej strony; jesteśmy gotowi zawrzeć rozejm, którego nigdy nie złamiemy.

— Nie mam prawa tego zrobić, nawet gdybym chciał — odrzekł Plejstarchos. — Jeśli zamierzasz ocalić tych ludzi, przekonaj ich, żeby wrócili do Lakonii uprawiać pola, które porzucili. Jeśli rzeczywiście masz nad nimi władzę, nakłoń ich do powrotu, a dam ci królewskie słowo, że nie stanie im się żadna krzywda.

— To niemożliwe, prędzej wszyscy zginą. Gdyby bali się śmierci, już dawno by się poddali.

— W takim razie nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. Przygotujcie się na to, że polegniecie w walce.

Z tymi słowy wyrwał włócznię z drzewa oliwnego i odwrócił się ku swym strażom z zamiarem odejścia.

— Zaczekaj, jeśli droga ci jest pamięć twego ojca! — krzyknął za nim Klejdemos.

Słyszając to król zawrócił.

— Posłuchaj — poprosił Klejdemos — bo chociaż to co mam ci do powiedzenia, może ci się wydać dziwne, przysięgam na piekielnych bogów, że to prawda.

— Mów! — rozkazał król.

— Twój ojciec starałby się uniknąć tej wojny. Przed śmiercią pod Termopilami wysłał do eforów i gerontów list z prośbą, aby przyznać helotom godność ludzi wolnych, ponieważ widział, jak umierali w walce u boku Jednakowych jak synowie tej samej ziemi, chciał więc, aby na tej właśnie ziemi żyły w pokoju oba narody. Poprosił również, aby oczyszczono pamięć króla Kleomenesa, twego wuja, którego eforowie truli powoli doprowadzając w końcu do szaleństwa i do śmierci.

Plejstarchos zdjął ozdobiony grzebieniami hełm ukazując wykrzywioną twarz. Klejdemos zaś mówił:

— Ale wiadomość, którą z rozkazu króla mieli przywieźć do Sparty Brytos, syn Arystarchosa z rodu Kleomenidów,

i Agias, syn Antymakosa, została wykradziona przez krypteję i zastąpiona pustym zwojem. W ten sposób dwaj wojownicy, którzy przywieźli ją do Sparty, okryli się hańbą i nie mogą ścierpieć plamy na honorze, wyruszyli na spotkanie śmierci.

— Dlaczegoż miałbym ci wierzyć?

— Byłem pod Termopilami, po czym wróciłem razem z Brytosem i Agiasem i widziałem, jak ktoś ukradł list — odparł Klejdemos zdejmując hełm. — Jam jest bowiem Klejdemos, brat Brytosa, syn Arystarchosa, zwany przez helotów Talosem Wilkiem.

— Czy mam wierzyć słowom zdrajcy? — zapytał twardym głosem Plejstarchos.

— Nie jestem zdrajcą. Kiedy dowiedziałem się, kim naprawdę jestem, postanowiłem służyć miastu, przez którego prawa jako dziecko zostałem porzucony w lesie na pastwę dzikich zwierząt. Chociaż moim przeznaczeniem była śmierć albo żywot w niewoli, walczyłem pod Platejami na pierwszej linii, przez cztery lata dowodziłem lochosem Jednakowych, a od trzech lat trzymam w garści wasze wojsko. Dowiedziałyszy się, że rząd Sparty usiłował rozmyślnie unicestwić moją rodzinę wysyłając ojca i syna na wyprawę z góry skazaną na klęskę, bez możliwości ucieczki, że Sparta sprzeniewierzyła się ostatniej woli wielkiego króla, walecznego i mądrego męża... twojego ojca, że Sparta dokonała rzezi na błagalnikach w świętym miejscu... wolałem zamieszkać wśród ludzi, którzy uratowali mi życie i mnie wychowali...

— Nie chcę tego słuchać! — przerwał mu Plejstarchos.

— Możesz odejść, jeżeli chcesz — odrzekł Klejdemos — ale od prawdy i tak nie uciekniesz. Jeśli potrafisz, zapomnij moje słowa i daj rozkaz ataku na Itome, ale jeśli pewnego dnia zechcesz poznać cały bezsens tej potwornej rzezi, przeczytaj napis wyryty na steli grobowca mojej matki Ismeny, która umarła w moich ramionach, bo jej serce pękło; zacznij kopać wśród ruin domu Kleomenidów, a w żelaznej szkatułce obok ołtarza w prostasie znajdziesz prawdziwe słowa napisane przez króla, twojego ojca!

Plejstarchos zaniemówił na chwilę, jakby poraził go piorun, po czym włożył hełm i wolnym krokiem podszedł do swego

konia, Klejdemos zaś wrócił do miasta. Stojący na przedpiersiu tłum wojowników, kobiet i starców przyglądał się z lękiem i niepewnością, jak wspina się na mury znużony, zgarbiony, jakby lśniący brąz na jego zbroi zmienił się nagle w ołów.

Król Plejstarchos spał niespokojnie, budząc się zaś co chwila nie mógł opędzić się od słów, które wcześniej usłyszał. Wielu Spartan uważało, że trzęsienie ziemi to przejaw gniewu bogów za świętokradztwo, jakiego dopuszczono się na przylądku Tenaros. Straszna historia Kleomenidów i okrutna śmierć Pauzanasza, dla którego wyrocznia delficka poprosiła o zadośćuczynienie, nie pozwalała gerontom spać spokojnie. Niezwyciężona Sparta nie potrafiła stłumić garstki niewolników — czyż to także nie był znak od bogów? A wiadomość od ojca? Czy to możliwe, żeby dwóch walecznych wojowników przywiozło spod Termopil list, w którym nic nie było napisane? A jeśli prawdziwy list rzeczywiście został pogrzebany pod gruzami domu Kleomenidów? Tamtym ludziom za murami Itome wkrótce zabraknie jałła, a przecież nadal będą walczyć.

Nawet nie przypuszczał, że w tej samej chwili dwaj kapłani ze świątyni Ateny Chalkiojkos wracali właśnie z Delf, gdzie z rozkazu geruzji zapytali boga o wojnę, która toczyła się akurat w Itome. Nie przypuszczał tego również Klejdemos, zjednoczywszy bowiem wszystkich wodzów, planował właśnie rozpaczliwe przedsięwzięcie, które być może jako jedyne oszczędziłoby miastu długiej śmierci głodowej, a nawet mogłoby mu przynieść decydujące zwycięstwo, gdyby czuwali nad nim bogowie: nocny atak na armię spartańską. W tym samym czasie kapłani, którzy dopiero co wrócili do Sparty, przekazywali gerontom i eforom przesłanie boga z Delf:

*Zwróćcie wolność blagalnikom
Zeusa Itometry.*

Treść przesłania nie pozostawiała żadnych wątpliwości, toteż geronci pokornie spuścili głowy. Ateńczycy zdążyli już dać do zrozumienia, że gotowi są przyjąć pod swój dach helotów z Itome, dlatego też eforowie wysłali do Attyki gońca, aby usta-

lic warunki. Na odpowiedź trzeba było zaczekać jeszcze jeden dzień; kiedy posłaniec wyruszył wraz z pierwszym brzaskiem, nad Tajgetos bladł właśnie sierp księżycy — była to ostatnia kwarta przed nowiem, tej nocy zaś Klejdemos miał właśnie poprowadzić do ataku swoich wyczerpanych głodem ludzi, licząc na sprzyjające ciemności i pomoc bogów.

Gdy nadeszła właściwa chwila, zgromadził ich wszystkich pośrodku miasta i podzielił na dwie kolumny, z których jedną miał dowodzić osobiście, aby wywołać zamieszanie w obozie wroga. Druga zaś, silniejsza i bardziej liczna, miała pod wodzą Karasa wtargnąć w zwartym szyku na nasyp ziemny i osłaniać uciekającą ludność. Następnie, gdyby atak się powiodł, obydwie oddziały miały się wymienić na tyłach, aby zatrzymać wroga dopóty, dopóki kolumna uchodźców nie dotrze do Arkadii. Ostatnie bogactwa zrabowane na polu bitwy pod Platejami piętnaście lat wcześniej miały posłużyć na zakup jadła na podróż.

— Jeśli uda nam się dojść do morza — zakończył Klejdemos — to może zdołamy dostać się na statek i odplynąć w poszukiwaniu nowej ojczyzny, gdzie już nigdy nikt nie uczyni z nas niewolników. Karaś mówił, że na sycylijskiej ziemi jest ogromne miasto założone przez Meseńczyków, którzy uciekli wiele lat temu; może nas przyjmą do siebie, gdy się dowiedzą, że jesteśmy ich braćmi i że podzieliliśmy ich los.

Przyjrzał się twarzom swych żołnierzy w świetle pochodni — były to twarze znużone, pobrużdżone przez zmęczenie i głód. Czy tak wyczerpani wojownicy potrafią pokonać najpotężniejszą armię w całej Grecji? Wprawdzie ich serca były gotowe do walki, lecz czy ich ciała zdołają wytrzymać ten ostatni, potworny wysiłek?

Wstał, włożył hełm i chwycił tarczę; w swej wspianiałej zbroi budził grozę.

— Walczymy o życie i wolność — powiedział. — Nie powstrzymają nas. A teraz pogaście pochodnie i chodźcie za mną.

Ruszył w kierunku bramy, za nim zaś podążyła w milczeniu kolumna wojowników, mijając dwa szeregi starców, kobiet i dzieci. Wzgórze było całkowicie pogrążone w mroku, a rozproszone chmury przesłaniały gwiazdy, które i tak dawały słabe

światło. Zeszli ścieżką wiodącą ku dolinie, aż dotarli do spartańskich przednich straży. Ukryty za skałą Klejdemos widział wyraźnie dwóch wartowników grzejących się przy ognisku. Nagle przypomniał sobie taktykę stosowaną przez Traków, kiedy był dowódcą czwartego lochosu Jednakowych: otóż rozpalali oni wielkie ogniska, które oświetlały szeroką przestrzeń wokół, podczas gdy ich wojownicy ciągle pozostawali w cieniu, dzięki czemu mieli doskonały widok jednocześnie sami nie będąc widziani. Przywoławszy gestem ręki kilku łuczników, pokazał im dwie znajdujące się niedaleko sylwetki.

— Niech nawet nie jękną — przykazał.

Na jego sygnał wszyscy wystrzelili jednocześnie i po chwili obaj wartownicy zwalili się na ziemię przebici gradem strzał.

— A teraz—powiedział — możemy zakraść się do spartańskiego obozu i nikt ich nawet nie ostrzeże. Na mój znak rzućcie się do ataku; poprzecinajcie sznury tak, aby namioty przykryły tych, co śpią pod nimi, i krzyczcie ile sił w płucach; niech myśla, że są nas tysiące. Podpalcie wszystko co się da, rozpedźcie konie, zniszczcie zapasy żywności, ale nie rozdzielajcie się ani na chwilę; zawsze bądźcie w grupie, nigdy pojedynczo. Kiedy zrujnujecie cały obóz, pojedziecie w kierunku nasypu w głębi doliny, tak jak ustaliliśmy. Pozostawicie z tyłu łuczników, którzy przy łunie pożaru będą mogli jeszcze trafić tych, co się pochowali w ciemnościach. Niech bogowie mają was w opiece.

Wówczas podniósł rękę i dał im znak. Żołnierze ruszyli naprzód ławą i wkrótce byli już przy przednich strażach. Rzucili się na nie z mieczami, podczas gdy spartańscy wojownicy, nagle zbudzeni w samym środku nocy, usiłowali w pośpiechu chwycić za broń i wydostać się na otwartą przestrzeń, wszędzie jednak było pełno napastników. W ciemnościach walka stała się zaciekle, w krwawej łunie pożaru zaś ukazał się przerażający widok. Zewsząd słychać było wrzaski, wykrzykiwane rozkazy, przekleństwa, rżenie koni, wszędzie widać było płataninę zakrwawionych ciał. Wkrótce żołnierze Klejdemosa wypadli na otwartą przestrzeń i nagle zdali sobie sprawę, że prawdziwy obóz przeciwnika znajduje się o jakieś sto kroków dalej. Król Plejstarchos musiał zmienić rozkazy w ostatniej chwili — być może obawiając się wypadu — i ustawił na pierwszej

linii jedynie lekkobrojną piechotę. Kiedy żołnierze Klejdemosa puścili się pędem, by naprawić swój błąd, trąby zdażyły już zagrznieć na alarm, spartańscy hoplici zaś ustawili się w szyku bojowym. W tych warunkach atak na zwartą falangę na otwartej przestrzeni byłby szaleństwem, toteż Klejdemos rozkazał swym żołnierzom, by pobiegli na prawo, ku nasypowi, mając nadzieję, że Karaś zdażył już go zająć. Zostałby wówczas wraz z jego kompanią, by osłaniać uchodźców. Kiedy heloci usiłowali zewrzeć szyki, walka rozgorzała na nowo. Łucznicy zdołali powstrzymać na jakiś czas falangę Plejstarchosa, która posuwała się powoli po wyboistym terenie, aby nie popsuć szyków. O świcie wojsko spartańskie stanęło przed nasypem, gdzie schronili się wszyscy heloci, którzy zdołali tam dotrzeć bez uszczerbku. Za ich plecami zaś cała ludność Itome, której strzegła zaledwie garstka uzbrojonych żołnierzy, wyruszała właśnie na zachód. Siedzący na koniu Plejstarchos podjechał bliżej, by dać rozkaz decydującego natarcia i pozbawić życia nieprzyjaciół, którzy gonili ostatkiem sił i których nie chroniły już mury miasta. Uniósł włócznię, podczas gdy promienie słońca z trudem przebijały się przez warstwę chmur, zanim jednak zdażył ją opuścić, na otwartą przestrzeń między falangą a nasypem wpadł galopujący jeździec.

— Królu — powiedział zeskakując na ziemię i stając przed Plejstarchosem — królu, wiadomość od eforów i gerontów.

— Przeczytam ją później — odrzekł król na nowo unosząc włócznię.

— Nie! — zawołał posłaniec podając mu zwój. — Musisz ją przeczytać natychmiast.

Plejstarchos zdjął hełm, podczas gdy obydwa wojska społgądały na siebie w milczeniu, i przeczytał:

Eforowie i geronci Sparty do króla Plejstarchosa, syna Leonidasa, pozdrowienia. Nieszczęścia, jakie spadły na nasze miasto, oraz obawa przed gniewem bogów skłoniły nas do szukania rady u wyroczeni delfickiej, która udzieliła nam takiej oto odpowiedzi:

*Zwróćcie wolność błagalnikom
Zeusa Itomety.*

Królu, zwróć zatem wolność mieszkańcom miasta i połóż kres tej wojnie, taka jest bowiem wola boga. Ateńczycy podarują im ziemię, gdzie będą się mogli osiedlić, jeśli zechcą się udać za wysłanymi przez nich delegatami, którzy przybędą wraz z tym, kto wręczył Ci tę wiadomość. Cześć Twemu męstwu i wierności prawom Ojczyzny.

Podniósłszy pełen zdumienia wzrok, król ujrzał przed sobą dwóch ateńskich oficerów, którzy właśnie się zbliżyli.

— Królu — ozwał się jeden z nich — od dawna prosiliśmy eforów i gerontów, aby położyli kres tej wojnie, która przynosi jedynie rozlew krwi, kiedy zaś zapytano nas, czy udzielimy schronienia tym ludziom, zgodziliśmy się. Pozwól nam zatem wyprowadzić ich z tej ziemi i przyjmij pozdrowienia i hołd od Ateńczyków, którzy nadal czczą pamięć twego ojca.

— Skoro tak zostało postanowione, niechaj tak się stanie — odrzekł król. Po czym wezwawszy jednego z oficerów, polecił: — Dajcie rozkaz odwrotu. Jeszcze dzisiaj wracamy do Lakonii.

Spartańscy żołnierze wysłuchali w osłupieniu królewskiego rozkazu, po czym wykonali zwrot, by udać się do obozu na oczach zdumionych helotów, którzy nie mogli uwierzyć w to, co się stało. Ateńczycy zaś popędzili konie i podjechali pod nasyp.

— Mieszkańcy Itome! — zawołał ten, który wcześniej rozmawiał z królem. — Wasze miasto jest stracone, lecz z woli delfickiego boga wasi władcy Archidamos, syn Zeuksidamosa, i Plejstarchos, syn Leonidasa, przydzielili wam nową ojczyznę, wspaniałomyślni Ateńczycy zaś wysłali nas tutaj, abyśmy was do niej zaprowadzili. Mieszkańcy Itome, jesteście wolni!

W miarę jak stojący bliżej przekazywali jego słowa dalej, słyhać było coraz głośniejszy szmer głosów.

— Jesteście wolni! — zawołał jeszcze raz ateński oficer.

Pomruk zamienił się wówczas w niepohamowany wrzask. Heloci jęli się nawzajem ścisnąć jak oszalali, jedni padli na kolana i wzniosłszy do góry ramiona, spoglądali w niebo oczyma pełnymi łez, inni zaś biegali krzycząc tam i z powrotem, jeszcze inni rzucili się zanieść nowinę uchodźcom, którzy zdążyli już wyruszyć pod eskortą żołnierzy Karasa.

Kiedy ich uniesienie wreszcie minęło, za ateńskimi jeźdźcami, którzy wjechali na drogę prowadzącą ku morzu, ustawiła się długa kolumna. Około południa dołączyli do grupy Karasa, ochraniającej uciekinierów, którzy byli wprawdzie zmęczeni długim marszem, lecz nie posiadali się z radości słysząc dobrą nowinę, przyniesioną przez szybkich posłańców.

Kiedy czoło kolumny dotarło do brzegów Parmisos, Karas wydał rozkaz, by rozbić obóz, sam zaś czym prędzej zwrócił się do ateńskich oficerów.

— Dziękuję wam — powiedział ocierając spocone czoło i podając im dłoń — w imieniu tego nieszczęsnego narodu, który uniknął śmierci, gdy nie było już żadnej nadziei. Nasz wódz pewnie zdążył wam wyjaśnić, co się stało dziś w nocy.

Obaj żołnierze spojrzeli po sobie zdumieni.

— Nie znamy waszego wodza, ale wiele o nim słyszeliśmy i bylibyśmy szczęśliwi mogąc go spotkać.

Karas spochmurniał uświadomiwszy sobie, że nie widział Klejdemosa, odkąd rozstali się tuż przed atakiem. Pożegnał się więc w pośpiechu i popędził do obozu pytając wszystkich, czy go widzieli, wkrótce jednak zdał sobie sprawę, że tutaj go nie ma — ci, którzy zajęli pozycję na nasypie, byli przekonani, że dołączył do żołnierzy ze straży przedniej, oni z kolei byli pewni, że został na tyłach. Wówczas Karas kazał się zebrać dowódcom i polecił, by poszli za Ateńczykami, sam zaś postanowił zawrócić i przeszukać pole bitwy. Znalazłszy konia, pogalopował z powrotem ścieżką w promieniach chylącego się ku zachodowi słońca. O zmierzchu dotarł do stóp Itome, po czym zeskoczył na ziemię zostawiając konia.

Opustoszałe pole usiane było martwymi ciałami; Lakończycy zdążyli już odjechać zabierając ze sobą wyłącznie poległych spartiatów. Karas gorączkowo zabrał się do szukania, przewracając po kolei trupy, przyglądając się zniekształconym przez rany twarzom, lecz na próżno. Bliski szaleństwa ruszył z boczem na szczyt wzgórza, oświetlonego jeszcze słabym szkarłatnym blaskiem zachodzącego słońca. Wokół panowała grobowa cisza, przerywana jedynie od czasu do czasu skrzeczeniem kruków, które zataczały szerokie koła czekając na swój posiłek, wysoko zaś rozwarta brama w czarnych murach

Itome wyglądała jak pusty oczodół w czaszce. Karaś przystanął w połowie drogi ciężko dysząc ze zmęczenia i spojrzął w dół, na pustą dolinę, którą spowijał mrok. Przytknąwszy więc do ust dłonie, zaczął wołać na cały głos, odpowiedziało mu jednak tylko dalekie echo. Wówczas położył się wyczerpany na ziemi, z sercem przepelnionym rozpaczą, pozbawiony sił, kiedy zaś pomyślał ze smutkiem, że powinien wrócić tam, skąd przyszedł, wydało mu się nagle, że po prawej stronie, zaledwie kilkadziesiąt kroków dalej, widzi jakiś' słaby błysk. Przyjrzał się uważniej zrywając się na równe nogi: to były oczy, żółte oczy ogromnego szarego wilka. Wówczas zwierzę podeszło bliżej, podniosło pysk, jakby chciało go powąchać, po czym zawył przeciągle i oddaliło się z boczem, zatrzymując się co chwila i oglądając za siebie. Odzyskawszy nadzieję, Karaś ruszył za nim, aż zwierzę dotarło do wysokiego uschlętego drzewa oliwnego, które w półmroku, ze swymi powykręcany konarami wzniesionymi ku niebu, wyglądało zupełnie jak pogrążona w rozpacz istota ludzka. Nagle wilk zniknął za skałą. Karaś podbiegł do drzewa, strącając po drodze kupę otoczków, które spadały odbijając się od skał. Kiedy znalazł się pod drzewem, przystanął zdumiony. O pień oparta była lśniąca, powalana krwią przepiękna zbroja: ozdobiony płaskorzeźbami pancierz, rogowy łuk, wielka tarcza, miecz z jantarowym jelcem i hełm z wilczymi kłami.

Olbrzym osunął się na kolana zalewając gorącymi łzami i waląc pięściami o ziemię. Długo trwał w tej pozycji bez ruchu, dopóki znów nie usłyszał rozlegającego się w dolinie przeciągłego wycia. Wówczas wstał i pozbierawszy broń i zbroję, zaczął schodzić po zboczach. Gdy dotarł do doliny, ruszył wzdłuż brzegu strumienia, z którego mieszkańcy Itome zaczerpnęli wody po raz pierwszy po przybyciu z Lakonii. Umył w przejrzystej wodzie pancierz, miecz i tarczę, po czym przywołał konia, załadował wszystko na jego grzbiet, przykrył płaszczem i podążył na wschód, ku Tajgetos, aby odłożyć zbroję i broń tam, gdzie ich miejsce.

Pewnego dnia, jeśli jego naród będzie ich potrzebował, Talos Wilk znów po nie sięgnie.

SPIS TREŚCI

Część pierwsza

Tajgetos	9
Łuk Krytolaosa	22
Mistrz	37
Tarcza	53
Krypteja.....	67
Wielki Król.....	94
Spartański lew	108
Ten-Który-Zadrzał-Ze-Strachu	127
Samotny hoplita.....	140
Ktejdemos	158

Część druga

Rozdroże.....	173
Nostos.....	180
Lahgal.....	184
Azja	203
Tajemnica	217
Spizowy dom.....	232
Świętokradztwo	257
Antynea	272
Ziemiotrząsa	284
Słowo króla	294
Itome	308
Wilk.....	321